



*Barwna saga rodzinna  
rozgrywająca się na tle  
wspaniałych krajobrazów  
Nowej Zelandii*

SARAH  
LARK

NADZIEJA  
NA KOŃCU  
ŚWIATA

  
WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

S A R A H

L A R K

NADZIEJA  
NA KOŃCU  
ŚWIATA

Z języka niemieckiego przełożyła  
Anna Makowiecka



ZDRADA

TEHERAN, PERSJA

BOMBAJ, INDIE

PAHIATUA, NOWA ZELANDIA (WYSPA PÓŁNOCNA)

LIPIEC 1944 – STYCZEŃ 1945

## ROZDZIAŁ 1

*Obóz uchodźców w pobliżu Teheranu, Persja*

– Gdzie jest Lucyna?

Adam, który wraz ze swoimi rodzicami mieszkał po zachodniej stronie baraku, zupełnie zniecała pojawił się przed Heleną. Zapewne biegł, bo był bardzo zdyszany.

– Nie mam pojęcia.

Helena z pewną niechęcią podniosła głowę znad szycia. Aż do tej chwili siedziała zadowolona, grzejąc się w promieniach słońca i ciesząc, że wreszcie mogła wymknąć się z ciasnego pomieszczenia. Poprzedniego dnia padał deszcz i mieszkańcy baraku nie mogli wyjść na dwór. Siostra Heleny, Lucyna, najpierw skarżyła się, że obozowy regulamin nie zezwalał jej na odwiedzinę chłopaka w jednym z męskich baraków, potem pokłóciła się z dziewczyną, której łóżko stało tuż obok, i wreszcie rozzłościła się na jedną z kobiet, która sypiała nad nią i stale mówiła do siebie. Helena odetchnęła z ulgą, kiedy Lucyna rankiem wreszcie poszła do pracy w kuchni polowej. Ale teraz z kolei Adam zakłócił jej chwilę spokoju. Wszystko wskazywało na to, że kłopoty z siostrą jeszcze się nie skończyły.

– A nie ma jej w kuchni? – spytała Helena z rezygnacją.

– Miała ponoć iść do lekarza – odparł chłopak, potrząsając głową przecząco. – Tak przynajmniej oświadczyła kucharce.

Do obozu należał też mały szpital.

– I powinna była wrócić w południe, ale nie pojawiła się do tej pory – a ma razem ze mną roznosić jedzenie i rozdzielać je. Nie mogę tego robić sam, ale też nie chcę jej wsypać. No ale skoro nie ma jej u lekarza...

Adam, chudy piętnastolatek o jasnych włosach i pryszczatej twarzy, nerwowo przestępował z nogi na nogę.

Helena westchnęła. Ciągłe tak było: nikt nie chciał być przyczyną kłopotów Lucyny. Młoda dziewczyna zawsze znajdowała kogoś, kto był gotów ją kryć i wręcz brać jej winę na siebie.

– Ona nie miała dziś żadnego terminu wizyty w szpitalu – odpowiedziała i zaczęła składać szycie. Fartuch, który uszyła na maszynie do szycia w czasie kursu krawieckiego, nie za bardzo się udał i już teraz był poplamiony, bo Helena stale kłuła się w palce. Nie była obdarzona zbyt wielkim talentem, jeśli chodzi o prace ręczne. – Mnie przynajmniej nic o tym nie mówiła. Ale miło z twojej strony, że nie chcesz jej wsypać. Poczekaj, odniosę to szycie i pójdę z tobą, żeby ci pomóc.

Helena wstała i weszła do ciemnego, wielkiego pomieszczenia, którego mrok rozjaśniały jedynie nieliczne otwory okienne pod sufitem. Musiała bardzo uważać, aby nie potknąć się o rzeczy, które należały do pozostałych mieszkańców i znajdowały się w ciasnych przejściach między pryzami. Barak był rozpaczliwie wręcz przepełniony, a wąskie pryzce stały tak blisko siebie, że przeszkadzało się sąsiadowi już w czasie przewracania się we śnie.

Helena budziła się kilkakrotnie niemal każdej nocy, bo Lucyna sypiała bardzo niespokojnie. Podobnie jak wielu polskich uchodźców, którzy znaleźli schronienie

w Persji po kilku latach spędzonych na Syberii, jej siostrę także prześladowały nocne koszmary. Wprawdzie wszyscy byli teraz bezpieczni, ale wspomnienia ponurej przeszłości dręczyły ich nadal. Ludzie ci wiedli w miarę beztrudne życie obywateli polskich aż do chwili zawarcia latem 1939 roku fatalnego w skutkach paktu między Stalinem a Hitlerem, co poprzedziło wejście Rosjan do ich kraju. Aby całkowicie zrusyfikować tereny wschodniej Polski, rosyjski<sup>1</sup> dyktator wydał rozkaz deportacji większej części mieszkającej tam ludności polskiej do syberyjskich obozów pracy. Jednak w czerwcu 1941 roku Niemcy nieoczekiwanie złamały pakt o nieagresji, który umożliwiał aneksję wschodniej Polski. W efekcie tego Stalin zmuszony był przyłączyć się do aliantów, aby wspólnie z nimi walczyć z Hitlerem, ci zaś postawili warunek, aby ten najpierw nawiązał stosunki dyplomatyczne z rządem polskim na uchodźstwie. I dzięki podjętym z nim rokowaniom Stalin zgodził się na amnestię Polaków przebywających na Syberii. Helena i Lucyna były wolne! Obie siostry dotarły do Persji wraz z nowo powstałą armią polską, której żołnierze rekrutowali się głównie z poprzednio deportowanych młodych Polaków. Kraj znajdował się pod nadzorem Brytyjczyków, a przybyli Polacy otrzymali status uchodźców. Nikt nie posądzałby Lucyny i Heleny o to, że będą chciały pozostać w kraju należącym do Azji Przedniej, jednak obie dziewczyny ciągle jeszcze nie mogły uporać się z traumą po przeżytych cierpieniach ubiegłych lat.

Helena weszła za przepierzenie, które dzieliła razem z siostrą. Tworzyła je zaimprovizowana zasłona z koców oddzielająca ich pryncz od wspólnej sypialni w baraku, tworząc coś w rodzaju małej komórki, dającej choćby nikłe pozory prywatności. Dziewczyna rzuciła robótkę na swoje łóżko i wyszła. Razem z Adamem pośpiesznie udała się do kuchni. Słońce stało już wysoko nad pokrytymi śniegiem górami, dochodziło południe i jedzenie było gotowe. Uchodźcy na pewno czekali z niecierpliwością. Tu, w Persji, otrzymywali trzy obfite posiłki dziennie, co wszystkim ciągle jeszcze wydawało się cudem, bo na Syberii głodowali latami.

Kuchnia polowa oddalona była o mniej więcej sto metrów od baraków, w których umieszczono ludzi. Adam i Helena dotarli do niej, idąc po szerokiej, dobrze utwardzonej drodze. Obóz uchodźców miał być właściwie koszarami perskiego lotnictwa – znajdujące się w jego centrum ceglane budowle wykonane były o wiele solidniej niż baraki. Otaczał je równie solidny, pomalowany na żółto mur, a nie okropny płot z drutu kolczastego, wzniesiony naprędce wokół baraków. Cztery budynki nie mogły jednak pomieścić kilku fal uchodźców, dlatego ludzie zamieszkali najpierw w namiotach, a potem w szybko powstających barakach. We właściwych koszarach znajdowały się teraz głównie pomieszczenia przeznaczone dla różnego rodzaju instytucji publicznych, jak szpital, szkoła i warsztaty.

Wojsko oddało też do dyspozycji uciekinierów dwie kuchnie polowe i duży namiot kuchenny, co teraz, w czasie ciepłego perskiego lata, było czymś bardzo przyjemnym dla pomocników kucharzy. Chłopcy lubili siedzieć w słońcu przed namiotem albo w cieniu pod jego zadaszeniem, gdzie obierali ziemniaki i przygotowywali wszystkie składniki posiłków. Po latach spędzonych na syberyjskim mrozie ludzie cieszyli się każdą chwilą w promieniach słońca. Oczywiście jeszcze ładniej byłoby, gdyby dookoła rosło kilka drzew albo gdyby było tam choćby kilka kolorowych grządek. Zaniechano jednak takich

przedsięwzięć. Wszystkim wystarczał wspaniały widok odległych szczytów gór Elbrus, u stóp których znajdował się obóz.

– A gdzie to jest mała Lucyna? – spytał nieco złośliwie jeden z pomocników kucharzy, kiedy Adam i Helena zaczęli przygotowywać wydawanie jedzenia. Dwóch młodych mężczyzn załadowało na ręczny wózek ciężkie kotły z gulaszem i makaronem, przeznaczone także dla innych osób roznoszących jedzenie do pozostałych baraków. – Czy to nie ona ma dzisiaj dyżur w kuchni?

Helena zeszywniała i zacisnęła wargi z niechęcią.

– Moja siostra musiała iść do lekarza – odparła.

Drugi pomocnik roześmiał się głośno.

– Akurat, do lekarza! – zakpił. – Widziałem ją z Kasprem z tyłu za remizą. A może pomyliła szpital z warsztatem?

Osiemnastoletni Kasper należał do zespołu mężczyzn zajmujących się konserwacją samochodów ciężarowych, które służyły do transportu zaopatrzenia dla obozu, a także przywożenia kolejnych uchodźców. Chłopak lubił to zajęcie, w przeciwieństwie do Lucyny, która nie znosiła pracy w kuchni. Nie zgłosiła się do niej dobrowolnie, lecz z największą niechęcią uległa naciskom starszej siostry. I teraz Lucyna unikała tej pracy, jak mogła, a Helena żałowała, że ją do niej zmusiła, choć upierała się przy swoim zdaniu, że szesnastolatka powinna jednak coś robić, jeśli już nie chce chodzić do szkoły i nie interesuje jej zdobycie kwalifikacji szwaczki, co zaczęła robić Helena, co prawda zgrzytając zębami ze złości. Lucyna ani nie chciała pracować nad swoją znajomością języka angielskiego, ani też nauczyć się francuskiego czy perskiego. Najwyraźniej była zdecydowana nie robić po prostu nic, lecz poddać się biernie losowi i rozkoszować się pozornym rajem, w którym znaleźli się wszyscy polscy uchodźcy.

Helena rozejrzała się uważnie, zanim zaczęła pchać ręczny wózek, który już ciągnął Adam. Ona sama nie odbierała obozu uchodźców jako raj, choć bez wątpienia było to najlepsze miejsce, w jakim znalazła się od chwili deportacji z Polski. Rzadziej spoglądała na imponujący, pokryty śniegiem górski szczyt, który wznosił się nad zielonymi wzgórzami i zboczami porośniętymi drzewami migdałowymi – przesłaniał go widok ponurych obozowych baraków i ciągnących się między nimi wąskich uliczek, teraz pełnych przygnębionych ludzi, wypędzonych przed laty ze swoich domów. I mimo że Helenę cieszyły wycieczki do oddalonego zaledwie o cztery kilometry Teheranu, to jednak czuła się obco w ruchliwej metropolii. Przerazał ją panujący na ulicach chaos, krzyki kierowców taksówek, samochodów ciężarowych i woźniców poganiających osły i woły zaprzęgnięte do wozów, nie lubiła też i bała się głośnego targowania się na bazarach, hałaśliwej muzyki, nawoływań muezzinów w meczetach i ludzi w obszernych spodniach, długich szatach i osobliwych nakryciach głowy.

I choć podziwem napełniał ją widok wspaniałego pałacu szacha, to nie zachwycił jej eleganckie sklepy w bardziej europejskich dzielnicach miasta ani spacerujące tam kobiety o wyrafinowanym makijażu. Helena wstydziła się z powodu swych własnych, spranych bawełnianych sukienek, kiedy szła którąś z takich ulic. Wszyscy uchodźcy otrzymali nową odzież po odswawianiu w obozie przejściowym w portowym mieście Pahlavi, jednak większość swetrów, sukienek i płaszczy albo na nich nie pasowała, albo

była po prostu za ciepła na upalne, perskie lato. I w porównaniu do kobiet z Teheranu Helena czuła się jak brzydkie kaczątko – w przeciwieństwie do Lucyny, która nawet w worku wyglądałaby jak księżniczka. Helena wiedziała doskonale, że jej siostra już teraz była skończoną pięknoscią, w dodatku doskonale zdawała sobie z tego sprawę i była przekonana, że kiedyś będzie miała u swych stóp cały świat. W niczym nie przypominała teraz małego, szlochającego biedactwa, które rozpaczliwie czepiało się Heleny, kiedy rosyjscy żołnierze wyrzucili całą rodzinę z obszernego mieszkania we Lwowie, pobili ojca i ordynarnie zwymyślali matkę.

Helena do dziś nie mogła zrozumieć, dlaczego Stalin tak brutalnie wygnał niemal wszystkich Polaków ze wschodniej Polski, kiedy porozumiał się z Hitlerem co do podziału kraju. Współżycie z Ukraińcami i Białorusinami, którzy stanowili w tych rejonach większość, układało się przecież aż do tamtej chwili dobrze. Ojciec Heleny, który był dentystą, traktował wszystkich tak samo, a matka udzielała lekcji angielskiego i francuskiego dzieciom rosyjskim i ukraińskim. Ale Rosjanie uznali tysiące polskich obywateli za wrogów klasowych i w rezultacie niemal wszyscy zostali wyrzuceni z domów i przewiezieni w bydłowych wagonach na północ.

Helena wraz z siostrą i rodziną spędziła kolejne dwa lata w syberyjskiej Workucie – dziewczyna miała wówczas czternaście lat i harowała z rodzicami w lesie, czasami także w kopalni. Jakoś udało im się mimo skąpych racji żywnościowych wyżywić także Lucynę. W pamięci Heleny Syberia zachowała się jako istne piekło zimna – temperatury spadały poniżej minus pięćdziesięciu stopni. Nocami cała rodzina tuliła się do siebie, aby się choć trochę rozgrzać, a oprócz przenikliwego zimna towarzyszyło im robactwo i głód. Ojciec Heleny pół roku później zginął w wypadku w kopalni, matka mimo wszystko nie poddawała się i rozpaczliwie czepiała się życia – walcząc z kaszlem i gorączką i z trudem trzymając się na nogach, szła z siekierą w rękę do ciężkiej pracy w lesie. Zmarła kilka miesięcy przed odzyskaniem wolności. Helena pamiętała doskonale, jak ona i Lucyna tuliły się do niej na wąskiej, twardej pryczy, chcąc ją choć trochę ogrzać. Wyczerpana Lucyna zasnęła w którymś momencie, ale Helena trzymała matkę w ramionach, nasłuchiwała jej ciężkiego oddechu i wreszcie także ostatnich słów: „Uważaj na Lucynę, Helena! Musisz się teraz zatroszczyć o swoją siostrę. Obiecuj mi, że nie zostawisz jej samej... Lucyna zasłużyła na coś lepszego, ona musi żyć... moje małe słońce, moje światło...”.

Helena obiecała wszystko posłusznie, walcząc z dawnym, tyle razy odczuwanym bólem. Znowu była mowa tylko o Lucynie. Lucyna, ten porywający aniołek o złotych włosach i lazurowo błękitnych oczach, ulubienica całej rodziny. A przecież Helena nie mogła zarzucić swoim rodzicom, że ją samą zaniedbywali. Wręcz przeciwnie, Maria i Jan Grabowscy zawsze i stale poświęcali obu swoim córkom wiele uwagi. Zainteresowania Heleny literaturą i językami były tak samo wspierane jak upodobanie Lucyny do tańca i muzyki. Helena pamiętała liczne godziny, w czasie których studiowała z matką angielski i francuski albo czytała wraz z ojcem jego ulubione książki. Ale pamiętała też rozjaśnioną nagle twarz ojca, kiedy do pokoju wpadała Lucyna, skacząc jak mały urwis, aby coś opowiedzieć albo pokazać. I ta дума w spojrzeniu matki, kiedy patrzyła na Lucynę występującą po raz pierwszy w szkole muzycznej – w wieku dziesięciu lat dziewczynka

była już dobrze zapowiadającą się pianistką. A potem wszyscy gratulowali Grabowskiemu pięknej i uzdolnionej córki.

Nigdy nikt nie gratulował rodzicom z powodu Heleny. Nie była dziewczyną pozbawioną wszelkiego uroku, ale nie rzucała się w oczy. Helena Grabowska miała proste, brązowe włosy, które należało codziennie myć, jeśli miały być puszyste. Jej twarz była bardzo proporcjonalna, o regularnych rysach i dużych oczach, niemal tak niebieskich jak porcelana. W przeciwieństwie do swojej młodszej siostry, która zwracała uwagę wszystkich, Helena była spokojna, grzeczna i zawsze gotowa dostosować się do każdej sytuacji.

Po śmierci matki robiła wszystko, co tylko mogła, aby dotrzymać danej obietnicy. Wydzielała jeszcze więcej jedzenia dla Lucyny ze swoich skąpych racji żywnościowych i pracowała ponad siły, aby wyżywić siostrę. I gdyby nie zostały uwolnione, to z pewnością zmarłyby także. Persja była dla obu siostr prawdziwym ratunkiem, a Lucyna długo jeszcze opowiadała z zachwytem o obozie przejściowym na plaży w Pahlavi. Wreszcie było wystarczająco dużo jedzenia, dzieci mogły się bawić w ciepłym piasku i pływać w wodach Morza Kaspijskiego. Ale myśli Heleny nie były niezmacone i pełne radości. Rozpaczała, kiedy resztki dobytku rodziców przepadły – wszystko zostało spalone na plaży w ramach obowiązkowej kwarantanny. A były to także listy i fotografie, które stanowiły bezcenne pamiątki, teraz bezpowrotnie stracone. Helena szlochając, patrzyła, jak wiatr rozwiewał popiół nad plażą. Może dla Lucyny Persja była rajem – dla niej samej ten kraj był jedynie kolejną częścią koszmaru, który zaczął się wraz z chwilą wypędzenia ich ze Lwowa.

Pchała teraz ręczny wózek z całych sił – ciągle jeszcze była o wiele za chuda i za słaba – i próbowała nie myśleć o przyszłości. Wszyscy mówili, że wojna się niedługo skończy. Może będą mogli wówczas wrócić do Polski i do dawnego życia.

Przed barakiem czekali już jego mieszkańcy – większość była cierpliwa i apatyczna. Wszyscy dorośli uchodźcy sprawiali wrażenie ludzi starych i zniszczonych życiem, choć większość z nich była w średnim wieku. Kto nie trafił na Syberię jako człowiek młody i silny, nie przeżył pobytu, zaś wielu przybyłych do Persji już w chwili przyjazdu było chorych. Tysiące uciekinierów zmarło w szpitalach w Teheranie i Pahlavi – mimo wysiłków perskich, indyjskich i angielskich lekarzy. Helena uważała, że powinna dziękować niebu za to, iż udało jej się uratować siebie i Lucynę, ale jednocześnie dziewczynie brakowało właściwej pokory – nie była w stanie uwierzyć w dobroć boskich intencji. Przecież Bóg nie powinien był dopuścić do masowych i okrutnych deportacji.

Adam zaczął już rozdzielać porcje jedzenia, a Helena starała się powiedzieć kilka życzliwych słów do każdego z mieszkańców baraku, napełniając aluminiową czy też blaszaną menażkę gulaszem z makaronem. Na końcu długiej kolejki stała także Lucyna i obdarzyła siostrę swym zniewalającym uśmiechem, mówiąc:

– Jak miło, że byłaś tak dobra i mnie zastąpiłaś!

Lucyna miała czysty, miękki głos, ale Helena skrzywiła się niechętnie.

– Nie zrobiłam tego dla ciebie, ale dla tych ludzi, którzy musieliby za długo czekać na swoje jedzenie! – powiedziała z wyrzutem. – Gdzie byłaś, Lucyna? Bo przecież nie u lekarza, prawda? Te twoje kłamstewka i wieczne miganie się od pracy... Ja już tego nie



mogę znieść! Czy nie myślisz o tym, co powiedzieliby nasi rodzice? Wiesz przecież, jak sumienna i odpowiedzialna była nasza matka! I ojciec także! Dziś oboje wstydziłiby się za twoje zachowanie!

Lucyna w odpowiedzi wzruszyła tylko ramionami, co u niej było gestem pełnym wdzięku i gracji. Bujne, mocno kręcone włosy miała związane na karku, jej sukienka była stara i znoszona, ale dziewczyna mimo to wyglądała świetnie. Wystarczyło dokonanie jakiejś małej poprawki i wszystkie ubrania sprawiały na niej wrażenie niemal szytych na miarę. Teraz pod cienką muślinową sukienką wyraźnie można było dostrzec okrągłe, kobiece kształty – Helena z zazdrością stwierdziła, że jej siostra już teraz miała o wiele pełniejsze piersi niż ona, w wieku prawie dziewiętnastu lat.

– Matka i ojciec już nie żyją – odparła Lucyna cynicznie. – Nie mogą się wstydzić. A gdyby nawet żyli, to też mieliby co innego do roboty.

Helena skinęła głową z powagą.

– Bez wątpienia – powiedziała. – Ojciec pracowałby jako dentysta w obozie, a matka jako nauczycielka. Z pewnością nie siedzieliby i nie objali się beczynniami, żeby tylko...

– ...korzystać z życia i cieszyć się nim? – dokończyła Lucyna przekornie. – A co jest w tym złego? Dostyc się nagłodowaliśmy i napracowaliśmy. To dlaczego teraz po prostu nie możemy żyć z dnia na dzień?

– A co będzie potem? – spytała Helena. – Przecież nie zostaniemy w tym obozie na wieczność, nikt nie będzie nam stale dawał jeść za darmo. Później...

– ...później może wszyscy będziemy martwi! – odparła Lucyna opryskliwie, wzięła do ręki chochlę i sama napełniła swoją menażkę, po czym odwróciła się, chcąc odejść. – Ciągle jeszcze trwa wojna i kto wie, kiedy się skończy. Żołnierze mówią, że Amerykanie budują jakąś broń, za pomocą której będą mogli spalić cały świat. A Niemcy robią to samo. Jak zdążą zrobić to prędzej, to... Bum! – dorzuciła.

Lucyna wykonała wiele mówiący ruch ręką, zanim odeszła. Zapewne w kierunku remizy albo baraku Kaspra, aby zjeść wspólnie z młodym mężczyzną.

Helena patrzyła za nią z rozpaczą. Rzeczywiście nie za bardzo mogła się przeciwstawić jej słowom, a Lucyna nie była odosobniona w swoim przekonaniu. Niemal nikt w obozie nie robił planów na przyszłość.

## ROZDZIAŁ 2

Kiedy wszyscy otrzymali już swoje porcje, Helena i Adam zaciągnęli wózek z kotłem z powrotem do kuchni. Tam oboje pomogli jeszcze przy zmywaniu i sprzątaniu. Należało to właściwie do zadań Lucyny, ale ona oczywiście się nie pokazała.

– Obraziła się – stwierdził Adam, kiedy Helena znów zaczęła narzekać z tego powodu. – Jak się miga od pracy rankiem, to zawsze pojawia się w południe. Choćby z powodu dodatkowego jedzenia.

Personel kuchenny otrzymywał swoje porcje dopiero, kiedy zakończył pracę. Kucharze i ich pomocnicy jedli wtedy razem w namiocie i zwykle udawało się dostać coś ekstra. Tego dnia na deser były owoce.

– To ona robi tak nie pierwszy raz? – spytała Helena z rezygnacją. – Ta praca nie sprawia jej żadnej przyjemności – broniła siostry. – Ona... ona nie nadaje się na podkuchenną. Mówi, że chce być pianistką... Pewnie kiedyś będzie, jest taka śliczna.

– Ja też nie jestem jakąś podkuchenną! – zaprotestowała Sonia, młoda kobieta, która pomagała kucharce. – Chciałam być lekarką. Pewnie teraz nic z tego nie będzie... Choć można jeszcze studiować, mając dwadzieścia lat. Nie straciłam tak całkiem nadziei. Ale kariera pianistki... Czarno to widzę. Przecież trzeba zacząć naprawdę wcześniej się uczyć grać i ćwiczyć, ćwiczyć, ćwiczyć. I to każdego dnia, przez wiele godzin. Jakoś nie widzę takiego zapału do pracy u naszej kochanej Lucynki i nie bardzo mogę to sobie wyobrazić.

– Ona dawniej ćwiczyła bardzo dużo – odpowiedziała Helena i poczuła złość na siebie samą, że broniła swojej siostry. Bo tak naprawdę musiała przyznać rację młodej kobiecie. Może Lucyna rzeczywiście marzyła kiedyś o karierze pianistki, ale z pewnością nie myślała o długich, pełnych intensywnej pracy studiach. – Po prostu została wyrzucona za burtę...

Wszyscy roześmiali się głośno, słysząc to wyjaśnienie.

– Kochanie, wszystkich nas to spotkało! – oświadczyła kucharka. – I dla większości z nas zaczynanie wszystkiego od nowa jest o wiele trudniejsze niż dla was, młodych ludzi. Wy jeszcze macie jakieś możliwości... Kiedy wojna się skończy... Możecie być kimś...

Helena uniosła w górę brwi w grymasie powątpiewania.

– Gdzie? Tu, w Persji? Nawet nie znamy dobrze miejscowego języka. Próbuję się go nauczyć, ale jest niesłychanie trudny. I próbuję zdobyć kwalifikacje krawcowej, chociaż nie mam do tego choćby odrobiny talentu. Wątpię, czy będę mogła dzięki temu się utrzymać. A Lucyna... – Opuściła głowę i ukradkiem wytarła łzy, które napłynęły jej do oczu. Wszystko wskazywało na to, że Lucyna nie miała zamiaru jej w niczym wspierać. Wręcz przeciwnie, w najbliższym czasie to raczej ona, Helena, będzie musiała utrzymywać siostrę.

– Lucyna chce wracać do Polski – powiedział Adam, który chyba najlepiej znał młodą dziewczynę. – I to zaraz, jak tylko wojna się skończy.

– Tak, bo jej się zdaje, że tam wszystko będzie tak jak dawniej – potwierdziła bezradnie Helena. – Ale zgodnie z tym, co mówią, w Europie wszystko jest zniszczone... A nawet jeśli nasz dom ocalał, to teraz mieszkają w nim Rosjanie. Nie sądzę, że będziemy

mogły po prostu ich stamtąd wyrzucić.

Sonia, która marzyła o studiach medycznych, odezwała się po chwili ciszy stęsknionym głosem:

– Gdybym była młodsza... pojechałabym do Nowej Zelandii.

– Dokąd? – spytali jednocześnie Helena i Adam, ale podczas kiedy pytanie chłopca brzmiało tak, jak gdyby nigdy nie słyszał o tym kraju, to w głosie Heleny zabrzmiała ciekawość.

Nowa Zelandia? Nazwa tego wyspiarskiego kraju w Polinezji nie pojawiła się jeszcze nigdy w związku z toczącą się wojną i ich ucieczką do Persji.

– Tak, Nowa Zelandia. To coś w rodzaju angielskiej kolonii – wyjaśniła Sonia. – Leży gdzieś koło Australii. Bardzo, bardzo daleko. A ludzie, którzy tam mieszkają, gotowi są przyjąć polskich uciekinierów. Moja mała siostra jest teraz w sierocińcu w Isfahanie. I to ona mi o tym napisała.

W Isfahanie polski rząd na uchodźstwie zorganizował dobrze wyposażony sierociniec dla dzieci zmarłych uchodźców. Były tam znakomite szkoły, a dzieci miały świetną opiekę. Ale Helena była już za stara w chwili przyjazdu do Persji, aby ją tam przyjęto, a z kolei Lucyna nie chciała znaleźć się tam sama.

– Oczywiście są ograniczenia wiekowe – mówiła dalej Sonia. – Ale wy dwoje... – wskazała na Adama i Helenę – ...wy dwoje na pewno moglibyście jechać. I Lucyna też. Dowiedzcie się po prostu wszystkiego.

Helena była bardzo podekscytowana, kiedy ruszyła w drogę do swojego baraku. Nowa Zelandia... W przeciwieństwie do Soni i Adama wiedziała o tym kraju bardzo wiele, bo doskonale pamiętała obiecująco wyglądające paczki z kolorowymi znaczkami i listy pisane po angielsku, które jej matka tłumaczyła razem z nią. Przyjaciel ojca, niemiecki dentysta, uciekł do Nowej Zelandii zaraz po dojściu Hitlera do władzy. Jako Żyd nie widział dla siebie żadnej przyszłości w Niemczech i, jak się okazało, miał rację. Pozostali w Europie przyjaciele poniekąd brali udział w jego przeżyciach po wyjeździe do nowego świata. Grabowscy także czytali z wielkim zaciekawieniem otrzymywane listy, a po wybuchu wojny, kiedy zaopatrzenie w sklepach znacznie się pogorszyło, czekali z niecierpliwością na wysyłane przez przyjaciela paczki zawierające konserwy, suszone mięso i ryby oraz słodczyce dla dzieci. Matka Heleny upierała się, aby dziewczęta dziękowały za to same – i była to dobra okazja, aby poćwiczyć znajomość angielskiego. Helena pamiętała nawet mniej więcej adres: Elizabeth Street, Wellington. Miasto Wellington, jak pisał Werner Neumann, było stolicą jego nowej ojczyzny i chyba mniej niż Teheran różniło się od Lwowa czy też Düsseldorfu. Werner pisał też o spektaklach teatralnych i operowych, o domach towarowych i budynku parlamentu.

Oczywiście kontakt urwał się po deportacji Grabowskich, ale teraz, w Persji, gdzie ci uchodźcy, którzy znali język, mogli słuchać angielskich stacji radiowych, Helena stale zwracała uwagę, kiedy była mowa o tym kraju. I wiedziała, że Nowa Zelandia wysłała wprawdzie dwa oddziały wojska do Europy, ale na ten kraj nie spadły żadne bomby. Najwyraźniej panował tam pokój. Kiedy Helena myślała o Nowej Zelandii, miała przed oczami stada owiec na zielonych łąkach, kolorowe drewniane domy i sympatycznych ludzi. Jej przyszywany wujek Werner oraz jego rodzina szybko stanęli tam na nogi.

Musieli się nauczyć angielskiego, ale Helena знаła ten język naprawdę dobrze. O wiele łatwiej niż w Persji byłoby znaleźć jakąś pracę w Nowej Zelandii albo nawet podjąć tam studia uniwersyteckie.

Serce Heleny zabiło teraz szybciej już na samą myśl o tym, że mogłaby też odwiedzić Neumannów, gdyby rzeczywiście udało się jej zdobyć miejsce dla siebie i Lucyny na statku wiozącym uchodźców. Postanowiła zapytać o wszystko kierownictwo obozu zaraz następnego dnia – od razu po rozmowie z Lucyną.

I choć Helena przygotowała się wręcz na ciężką walkę, spotkało ją przyjemne zaskoczenie. Lucyna jako pierwsza poruszyła ten temat.

– Kasper i ja pojedziemy do Nowej Zelandii! – oświadczyła siostrze, kiedy wieczorem zawijały się w koce na swoich pryczach. – Kasper otworzy tam warsztat samochodowy, bo nie ma ich zbyt wiele w tym kraju, wszędzie tylko pełno krów i owiec. Wujek Werner też o tym pisał.

Helena zmarszczyła czoło. Nie za bardzo mogła sobie wyobrazić, że tak rozległy i chyba nowoczesny kraj jak Nowa Zelandia nie miałby być jeszcze zmotoryzowany. W dodatku nie sądziła też, że ten kraj czekał na Kaspra jako mechanika samochodowego, bo chłopak zaledwie kilka miesięcy pomagał przy konserwacji obozowych samochodów i nie miał zbyt wielkiego doświadczenia. Ale to akurat było jej obojętne. Lucyna była pozytywnie nastawiona do kwestii emigracji.

– I wiecie już, jak to wszystko zrobić? – spytała ostrożnie.

Lucyna z zapalem przytaknęła głową.

– Jasne. Kasper słyszał, że Nowa Zelandia chce przyjąć siedemset dzieci i młodocianych. Muszą to być sieroty i to chyba jedyny warunek. Większość z nich to będą dzieci z sierocińca w Isfahanie, ale my też możemy się zgłosić. Trzeba iść do pani doktor Virchow, bo to ona przygotowuje listę.

Doktor Virchow, lekarka zatrudniona przez rząd polski na uchodźstwie, była odpowiedzialna za zdrowie dzieci i młodzieży we wszystkich obozach wokół Teheranu. Organizowała opiekę medyczną, troszczyła się też o szkoły i możliwości kształcenia młodzieży. Helena zetknęła się z nią już kilka razy, między innymi także przy okazji zgłaszania się na kurs krawiecki i lekcje języka perskiego. Starła się także o posadę nauczycielki języka angielskiego, ale z powodu młodego wieku jej kandydatura została odrzucona. Dr Virchow argumentowała przyjaźnie, że dziewczyna powinna najpierw dojść do siebie po trudach przymusowego pobytu na Syberii i podróży do Persji. I dodała, że za rok być może będzie to możliwe.

Helena nie obawiała się lekarki – choć nie sądziła, że wystarczy „po prostu się zgłosić”, aby znaleźć się na liście uchodźców jadących do Polinezji. Na pewno konieczna będzie dokładna kontrola zdrowia i być może także znajomość angielskiego odegra jakąś rolę. Jeśli więc chodziło o nią samą i Lucynę, to Helena była mimo wszystko dobrej myśli. Wprawdzie jej siostra nie mówiła tak dobrze po angielsku jak ona, ale jednak o wiele lepiej niż większość uchodźców w obozie. I obie były zdrowe, co potwierdzono już kilkakrotnie.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym jechała z tobą? – spytała w końcu Helena siostrę, kiedy ta skończyła malować przed nią perspektywy różowej przyszłości swojej

i Kaspra na drugim końcu świata. Lucyna uśmiechnęła się do niej i objęła ją mocno.

– Bez ciebie, Heleno – oświadczyła – nie wyjechałabym nigdzie!

Czy Lucyna mówiła szczerze, czy też nie – Helena poczuła ciepło w sercu, słysząc te słowa.

Następnego ranka obie siostry spotkały się z Kasprem przed budynkiem biura kierownictwa obozu. Lucyna z tej okazji znów nie poszła do pracy w kuchni – tym razem za aprobatą Heleny. Za to Kasper, który nie mógł wymknąć się niepostrzeżenie z warsztatu, musiał poprosić o wolne kierownika obozowego taboru samochodowego. Chudy, wysoki młody mężczyzna o brązowych włosach witał teraz Lucynę z taką czułością, jak gdyby nie widział jej od miesiący. Helena czuła się mocno skrępowana, kiedy musiała patrzeć, jak oboje obejmowali się i całowali, zupełnie nie zwracając uwagi na otoczenie. Ale nieliczni młodzi ludzie, którzy także czekali na rozmowę z doktor Virchow, nie patrzyli na parę. Najwyraźniej za bardzo absorbowały ich własne sprawy. Helena dostrzegła, że byli to trzej chłopcy i dwie dziewczyny i oceniła, że mogli mieć od czternastu do siedemnastu lat. Dziewczęta trzymały za ręce młodsze rodzeństwo – i tylko te dzieci patrzyły wielkimi, zdumionym oczami na Lucynę i Kaspra. Jedna z dziewczynek zachichotała w pewnym momencie, co Kasper skwitował kwaśną uwagą:

– No, nie masz się na co gapić?

Chłopak był często opryskliwy i niemiły wobec innych, o czym Helena miała okazję przekonać się nie raz. Inaczej zachowywał się jedynie w stosunku do Lucyny.

A teraz wystraszona mała dziewczynka szybko opuściła wzrok. Jej starsza siostra najwyraźniej miała ochotę coś powiedzieć, ale właśnie wezwano ją do środka, pociągnęła więc za sobą rodzeństwo i weszła do biura doktor Virchow. Zanim wszyscy troje wyszli, upłynęło około dziesięciu minut i zaraz potem lekarka wezwała do siebie Lucynę, która weszła spokojnie do środka i już po kilku chwilach była z powrotem.

– Chciała wiedzieć, czy słyszałam już coś na temat Nowej Zelandii i jak wyobrażam sobie ten kraj. I czy jestem na kursie angielskiego. Powiedziałam, że znam już angielski i że mamy krewnych w Nowej Zelandii...

Helena zaniemówiła wręcz, słysząc tak oczywiste kłamstwo, ale musiała przyznać, że szanse Lucyny dzięki niemu znacznie wzrosły.

– No, i potem spytała jeszcze, czy moi rodzice rzeczywiście nie żyją i czy na pewno o tym wiem. Bo kiedy rodzice uważani są za zaginionych, to oni niezbyt chętnie wysyłają dzieci tak daleko. No tak... – Lucyna wycisnęła łzę z oka – ...ale u nas nie ma co do tego żadnych wątpliwości...

W kolejce było teraz dwóch chłopców, po czym do gabinetu lekarki weszła Helena. Kobieta uśmiechnęła się do niej przyjaźnie.

– Myślę, że my się już znamy, prawda? – powitała ją doktor Virchow. – Bierzesz udział w różnych kursach i... Czy nie jesteś tą dziewczyną, która mówi płynnie po angielsku?

Helena skinęła głową.

– Moja matka była nauczycielką angielskiego – wyjaśniła. – Moja siostra zapewne mówiła już o tym pani. To Lucyna Grabowska, która właśnie stąd wyszła.

Doktor Virchow zerknęła do swoich akt.

– Ach, prawda, to ta mała blondynka... Nie wiedziałam, że jest twoją siostrą, bo nazwisko Grabowska jest dość popularne. Lucyna zrobiła na mnie dobre wrażenie. I ty także byłabyś brana pod uwagę. Obawiam się tylko... Obawiam się, że jednak nie będziemy mogli tego zrobić... Jest pewien problem...

Helena poczuła się tak, jak gdyby ktoś nagle strącił ją z chmur wprost na ziemię.

– Ale... ale dlaczego nie? – wyjąkała. – To... Jest przecież aż siedemset miejsc.

Doktor Virchow skinęła głową.

– Tak, dla dzieci i młodocianych między szóstym a siedemnastym rokiem życia. Twoja siostra akurat mieści się w tych granicach, Heleno. I gdybyś miała teraz siedemnaście lat... Próbowałabym się za tobą wstawić, już choćby dlatego, żeby nie rozdzielać sióstr. Ale masz prawie dziewiętnaście lat... Naprawdę przykro mi, Heleno...

Dziewczyna zagryzła nerwowo wargi.

– Ale... Zabrałaby pani Lucynę? – spytała zduszonym głosem.

– Tak, twoją siostrę chętnie wpiszę na listę – odparła lekarka. – Ona spełnia wszystkie kryteria, a poza tym to na pewno będzie dla niej duża szansa. Oczywiście musi się na to zgodzić, nikogo nie zmuszamy do wyjazdu. Jeśli dobrze jej życzysz, to poradź jej, aby jednak się zdecydowała. Tam czeka na dzieci zupełnie inne życie, Heleno.

Doktor Virchow bawiła się machinalnie trzymaną w rękę obsadką do pióra.

– Niemal zazdroszczę tym dzieciom – dodała cicho. – Uciekają przed wojną i trudnymi czasami, jakie nas wszystkich czekają. Będziemy musieli na nowo zbudować Europę niemal od podstaw i obawiam się, że Rosja i alianci po prostu podzielą ją między siebie. I jeśli nie dojdą do porozumienia, to możliwe, że wybuchnie kolejna wojna. A w Nowej Zelandii nie ma żadnych zniszczeń ani niebezpieczeństw, za to akurat dla młodych dziewcząt są fantastyczne możliwości. Uniwersytety zawsze były tam otwarte dla kobiet, kobiety mają też prawa wyborcze już od pięćdziesięciu lat... I choć z pewnością nie jest to raj, Heleno, jednak jest to najlepsze, co może spotkać twoją siostrę.

Helena przełknęła ślinę. Pamiętała i niemal słyszała teraz słowa matki: „*Lucyna zasłużyła na coś lepszego...*”. A teraz wszystko wskazywało na to, że marzenia Marii Grabowskiej o lepszym życiu dla młodszej córki miały się spełnić.

– Na pewno będę potrafiła jej coś doradzić – powiedziała sztywno. – Dziękuję bardzo, doktor Virchow. Ach, prawda... A jeśli Kasper Jabłoński też będzie chciał jechać... Choć bardzo pani zależy, aby Lucyna znalazła się na liście, to proszę nie mówić mu od razu, że jako osiemnastolatek jest za stary i nie ma żadnych szans. Proszę pozwolić im wierzyć, że będą mogli być razem. Lucyna jest teraz tak zakochana, że mogłaby zrezygnować ze wszystkiego.

I rzeczywiście Lucyna dowiedziała się o fakcie odrzucenia Heleny dopiero wtedy, kiedy nie dało się już tego uniknąć. Aż do tej chwili Helena ukrywała przed siostrą swoje zmartwienie i jedynie płakała po kryjomu na pryczy, kiedy Lucyna już spała, albo też zalewała łzami swoje szycie. Bądź co bądź, myślała gorzko, będzie musiała ze swego krawiectwa utrzymać teraz tylko siebie, bo właśnie odebrano jej obowiązek odpowiedzialności za Lucynę. Helena miała poczucie winy, że czuła też coś na kształt ulgi.

Wreszcie wywieszono listę z nazwiskami wybranych dzieci i młodocianych i choć

Helena w głębi ducha ciągle wierzyła w cud, to nie było na niej ani jej nazwiska, ani też Kaspra. Jedynie Lucyna należała do grupy piętnastu sierot z obozu koło Teheranu, które miały opuścić kraj dziesięć dni później. Reakcja Lucyny była zgodna z tym, czego spodziewała się Helena.

– Przyznaj się, że o tym wiedziałaś! – krzyczała dziewczyna do siostry, kiedy Helena nie za bardzo potrafiła udąć zaskoczenie. – Wiedziałaś dokładnie, że nie zabiorą Kaspra, ale nic nie powiedziałaś, bo chcesz się mnie pozbyć!

Fakt, że Helena także nie znalazła się na liście, wydawał się przeszkadzać siostrze o wiele mniej, wbrew jej poprzednim zapewnieniom. Helena poczuła się urażona, nie dała jednak po sobie niczego poznać. Musiała teraz zdobyć się na dyplomację i ukryć żal. Najważniejsze było powstrzymanie Lucyny, aby ta nie pobiegła natychmiast do kierownictwa obozu z żądaniem wykreślenia jej z listy. To oznaczało, że nie można było odbierać jej nadziei na spotkanie z Kasprem w Nowej Zelandii.

– Tak, wiedziałam o tym – przyznała Helena. – Ale ograniczenie wiekowe dotyczy tylko podróży, a nie samej emigracji. Kasper i ja dołączymy później. Pani doktor Virchow podkreślała to bardzo wyraźnie. I dodawała nam odwagi...

Rzeczywiście Kasper po wyjściu z biura lekarki był pełen optymizmu. Doktor Virchow zapewniła go, że w Nowej Zelandii są duże szanse na lepsze życie dla ludzi młodych i przedsiębiorczych, którzy zdecydują się tam przyjechać. I bez względu na to, czy Kasper będzie należał do grupy wyjeżdżających wkrótce dzieci i młodzieży, czy też nie, to ten kraj zawsze będzie dla niego otwarty.

– I o ile dobrze zrozumiałam doktor Virchow, to nawet gdyby Kasper pojechał teraz z tobą, i tak nie moglibyście od razu wprowadzić w życie swoich planów – mówiła Helena. – Nie wysadzono by was po prostu w porcie w Wellington na nabrzeżu, lecz musielibyście pójść do obozu przejściowego, zacząć uczęszczać do szkoły...

– Ja nie chcę iść do szkoły! – krzyknęła Lucyna. – I Kasper też nie!

Helena z trudem zmusiła się do cierpliwości i skinęła głową.

– Właśnie! – odpowiedziała. – A przecież on nie będzie mógł tak od razu otworzyć warsztatu samochodowego. I nie będziecie mogli się od razu pobrać, na to jesteś za młoda...

– Można wyjść za mąż, mając szesnaście lat! – zatriumfowała Lucyna, bo w Persji przynajmniej słyszała, że żeniono się już nawet z małymi dziewczynkami.

– Ale nie w Nowej Zelandii.

Helena dowiedziała się o tym dzięki uprzejmości doktor Virchow.

– Tam możliwe jest to dopiero w wieku lat siedemnastu, a i to za zezwoleniem prawnego opiekuna. Musiałby to być ktoś z kierownictwa obozu w Pahiatua, czy jak się nazywa ta miejscowość. A taki ktoś się nie znajdzie. Przecież nie jedziesz do Nowej Zelandii jako narzeczona, tylko w ramach programu dla sierot wojennych. Twój nowy opiekun nie zna cię, a już zwłaszcza Kaspra. Nie zgodziłby się na małżeństwo nigdy w życiu. Zrozum, Lucyno, nie wszystko będzie tak, jak sobie wyobrażacie. Pojedziesz tam jako pierwsza, przed Kasprem. On wkrótce dołączy do ciebie, zbuduje sobie najpierw jakąś egzystencję, co bez rodziny jest łatwiejsze, i dopiero wtedy zabierze cię z Pahiatua.

Lucyna, nieco już udobruchana, przestała szlochać i pociągnęła nosem.

– Ale on najpierw musi mi to obiecać! – powiedziała.

Helena objęła ją ramionami.

– Na pewno to zrobi – zapewniła siostrę. – Jeśli naprawdę cię kocha...

– Oczywiście, że mnie kocha!

Płacz Lucyny znów momentalnie zamienił się w gniew, bo wydało jej się, że Helena nie bierze poważnie jej słów.

– Zobaczysz, Kasper dotrze tam prędzej niż ja! – uspokajała siostrę Helena, starając się, aby brzmiało to wiarygodnie.

Bo najprawdopodobniej Kasper nawet byłby skłonny Lucynie to obiecać, choć Helena była przekonana, że chłopak jak na razie nie za bardzo wiedział, gdzie właściwie leży Nowa Zelandia. Nie mówił też w ogóle po angielsku ani nie miał żadnych oszczędności. Poza programem dla sierot wojennych Kasper Jabłoński z pewnością nie będzie mógł dotrzeć do Nowej Zelandii. Helena musiała tylko zrobić wszystko, aby w ciągu najbliższych dziesięciu dni nie dowiedzieli się o tym ani on, ani jej siostra.



## ROZDZIAŁ 3

W czasie ostatnich dni przed podróżą Helena walczyła ze zdenerwowaniem i rosnącym niepokojem. Lucyna zaś była tak spokojna, jak gdyby czekała ją wycieczka do leżącego nieopodal Teheranu. Nie zamierzała zabrać się za pakowanie czy też porządkowanie wszystkich swoich spraw i śmiała się, kiedy pytała ją o to siostra.

– Heleno, ja mam dokładnie dwie sukienki i dwa komplety bielizny. Poza tym ręcznik, kawałek mydła, szczoteczkę do zębów i proszek oraz wełniany koc. Tyle spakuję w ciągu pięciu minut!

– A może wolałabyś wziąć jedną z moich sukienek? – podsunęła jej Helena. – Ta ciemnoczerwona nie jest tak sprana jak twoja niebieska.

Lucyna przewróciła oczami w odpowiedzi.

– Przecież to jest twoja niedzielna suknia! – stwierdziła. – Nie możesz mi jej dać. Prawdopodobnie i tak dadzą nam w obozie nowe ubrania.

– Ale ja nie potrzebuję niedzielnej sukni! – oburzyła się Helena. – Za to ty powinnaś być porządnie ubrana, także w czasie podróży. Może będziemy mogły coś wymienić na jakiś szal, abyś mogła go zarzucić na ramiona i nie marznąć. Przecież to będzie głównie podróż morską, a wiesz, jak zimno było na statku z Krasnowodska do Pahlavi...

Podróż przez Morze Kaspijskie rzeczywiście była kolejnym koszmarem.

– Ale wtedy płynęliśmy z Syberii – roześmiała się Lucyna. – Za to teraz popłyniemy na południe, o ile dobrze zrozumiałam doktor Virchow.

Pełna energii lekarka zapraszała młodych emigrantów każdego wieczoru do jednej z klas w szkole na wykład o kraju, który będzie wkrótce ich gościł, opowiadała o Nowej Zelandii, pokazywała też fotografie i przeźrocza. Lucyna nie za bardzo była tym zainteresowana, a Helena nie wiedziała, czy jej siostra rzeczywiście zjawiałaby się każdego wieczoru na tych spotkaniach, gdyby doktor Virchow nie pozwoliła jej przychodzić tam wraz z siostrą i przyjacielem. Kasper Jabłoński chętnie uczęszczał na te wykłady – choć Helenę irytował fakt, że interesowała go przede wszystkim budowa projektora, za pomocą którego wyświetlano na ekranie kolorowe zdjęcia. Kasper zachwycał się tym małym cudem techniki i już drugiego dnia został ulubieńcem doktor Virchow, zwalnając ją z konieczności obsługi aparatu.

To, co lekarka opowiadała o wyświetlanych obrazach, najwyraźniej interesowało go mniej – a Helena myślała, że może to dobrze się składa. W przeciwnym razie młody mężczyzna szybko dowiedziałby się, jak daleko stąd leży Nowa Zelandia i jak trudno będzie zorganizować podróż do tego kraju. Bo w żadnym wypadku nie można było po prostu wsiąść na statek i popłynąć do Wellingtonu – cała grupa miała być najpierw przetransportowana do Indii drogą lądową. Im więcej Helena słyszała na ten temat, tym bardziej nikła jej nadzieja na to, że kiedyś będzie mogła dołączyć do Lucyny. Droga prowadziła przez kilka krajów, a podróż pociągami i autobusami kosztowała majątek. Jednocześnie jednak z każdym kolejnym wykładem doktor Virchow i z każdym obejrzanym przeźroczem, które Kasper wyświetlał na ekranie, rosła tęsknota Heleny. Projektor szybko stał się jego ulubioną zabawką. Helena zaś podziwiała cuda przyrody w nowej ojczyźnie Lucyny: olbrzymie lasy paproci, wulkany i gorące źródła, pokryte

śniegiem góry i porośnięte palmami zbocza, potoki i jeziora pełne ryb, bezkresne łąki oraz znajdujące się tam wielkie farmy. Miasta nie były zniszczone, sprawiały wrażenie czystych i spokojnych, młodzi emigranci mieli otrzymać możliwość pracy w jednej z fabryk, aby wszyscy mogli odłożyć trochę pieniędzy i potem podjąć naukę w jakiejś dobrej szkole albo może nawet na którymś z renomowanych uniwersytetów.

Helena rozmarzyła się nieraz wobec takich perspektyw, zmuszała się jednak do realnego spojrzenia na świat. Skłoniła Lucynę, aby ta przymierzyła jej suknie i próbowała je poprawić za pomocą dodatkowych zaszewek i zmarszczek, aby były choć trochę ładniejsze i bardziej dopasowane. Walcząc z wyrzutami sumienia, ukradła po prostu ze szwalni kawałek materiału i zamieniła go w szal, dzięki któremu siostrze miało być ciepło i który znakomicie pasował do podarowanej Lucynie ciemnoczerwonej sukni. Gdy tylko przebywała z siostrą, rozmawiała z nią po angielsku i była przerażona, słysząc, jak wiele dziewczyna zapomniała w czasie pobytu na Syberii. Helena próbowała jakoś poprawić jej znajomość języka i zmusiła Lucynę, aby ta nauczyła się na pamięć adresu Neumannów. Była raczej pewna, że dobrze zapamiętała miasto i ulicę, nie mogła sobie jedynie przypomnieć numeru domu. Mimo to zdecydowała się napisać do dawnego przyjaciela ojca. Opowiedziała przyszywanemu wujkowi, jaki los spotkał jej rodzinę, i poprosiła go, aby zapytał w Pahiatua o Lucynę i zatroszczył się o nią. Gdzieś głęboko w sercu Heleny zrodziła się nieśmiała nadzieja, że Neumannowie będą bardzo poruszeni losem Grabowskich i wyślą jej niezwłocznie pieniądze na podróż, aby siostry mogły być razem.

Podczas przygotowań do podróży Helena oraz pozostali uchodźcy z napięciem śledzili rozwój wydarzeń w odległej Europie. Alianci, którym udało się wreszcie przełamać niemiecki front zachodni, mieli teraz nadzieję, że szybko wejdą do północnej Francji. Celem był Paryż i ostatecznie Berlin. Klęska Niemiec była już jedynie kwestią czasu.

Wreszcie nadszedł dzień wyczekiwanej podróży. Młodym emigrantom polecono stawić się o dziesiątej rano na dawnym placu ćwiczeń w samym środku obozu. Samochód ciężarowy miał zabrać wszystkich do Isfahanu, skąd po spędzeniu jednej nocy w sierocińcu dzieci i młodzież wyruszą następnego dnia w daleką podróż: najpierw samochodem ciężarowym, potem pociągami do Bombaju w Indiach, a stamtąd statkiem do Wellingtonu.

Helena była już o wpół do dziesiątej z całym niewielkim dobytkiem Lucyny na miejscu, jej siostra zaś chciała w spokoju pożegnać się z Kasprem. Na placu stopniowo pojawiało się coraz więcej dzieci i młodzieży – wszyscy byli mocno zdenerwowani i przejęci i oczywiście przyszli, podobnie jak Helena, o wiele za wcześnie. Słońce nad masywem Elbrusu było już wysoko, zrobiło się bardzo ciepło i oczekiwanie stało się wręcz przyjemne. Młodsze dzieci bawiły się spokojnie, nastolatki rozmawiały i plotkowały beztrudnie, uważając przy tym, aby młodsze rodzeństwo nigdzie się nie zgubiło. Jedynie Helena czuła się tak, jak gdyby stała na rozżarzonych węglach. Gdzie, na miłość boską, była Lucyna? Helena raz po raz spoglądała na zegar mieszczący się na głównym budynku obozu i coraz trudniej przychodziło jej zachowanie spokoju. Było jeszcze wcześniej – Lucyna miała całe dwadzieścia pięć minut czasu. Za chwilę niemal było to dwadzieścia minut, potem piętnaście... Za pięć dziesiątą na miejscu były już

wszystkie wybrane dzieci, a młoda kobieta, której Helena nie znała, zaczęła sprawdzać obecność na liście i wywoływać nazwiska. O dziesiątej na plac wjechał samochód ciężarowy.

Helena rozmyślała gorączkowo. Lucyna i Kasper prawdopodobnie wymieniali ostatnie pocałunki i zapewniali się po raz setny, że to tylko krótkie rozstanie. Lucyna zapewne zupełnie straciła poczucie czasu i zapomniała, która była godzina – albo może liczyła na to, że Helena po prostu odpowiednio wcześniej po nią przyjdzie. I Helena musiałaby to zrobić dokładnie w tej chwili. Wiedziała, gdzie było miejsce spotkań obojga: w przepierzeniu za remizą, gdzie oboje mogli się schronić przed ciekawskimi spojrzeniami. Ale droga tam i z powrotem zajęłaby z pewnością około pięciu minut, jeśli nawet nie dziesięć... A młoda kobieta właśnie wyczytała nazwisko Lucyny, podczas kiedy pozostali emigranci już wdrapywali się na platformę samochodu. Helena musiałaby więc podejść teraz do kierowcy i tak czy owak poprosić go, aby zaczekał na Lucynę.

Chwyliła węzełek z rzeczami siostry i ruszyła w stronę samochodu. Czuła, że jej serce bije gwałtownie. Kochała Lucynę, ale nienawidziła tego ciągłego usprawiedliwiania jej i tłumaczenia się za nią, proszenia o wyjątek i wymyślania kolejnych małych kłamstw, aby ukryć jej winę.

I nagle niechęć i uczucie przesyty ustąpiły miejsca wściekłości. Tak niemiło i przykro było ciągle poświęcać się za tę młodą dziewczynę, która w dodatku zupełnie nie potrafiła tego docenić! To, co Helena robiła dla Lucyny, było dla niej samej oczywiste i teraz siostra z pewnością nie będzie miała zamiaru podziękować za to, że to właśnie dzięki Helenie pojawiła się tak niezwykle, niepowtarzalna szansa. A ona była gotowa tak lekkomyślnie ją zaprzepaścić! Helenie wydało się, że widzi przed sobą jej skrzywioną, pełną niechęci twarz i słyszy jej słowa: „No przestań, zaraz idę, już idę...”. Pewnie dreptałaby za Heleną niechętnie, a potem uśmiechała się przeprasząco i w mgnieniu oka owinęłaby sobie wokół palca i tę kobietę z kierownictwa obozu, i zaraz potem kierowcę...

Helena zacisnęła zęby. Za chwilę dotarła do samochodu, a młoda kobieta z kierownictwa obozu rzuciła na nią krótkie spojrzenie.

– Lucyna Grabowska? – spytała rzeczowo i podniosła swoje pióro, aby zaznaczyć nazwisko. Helena otworzyła już usta, szukając w myśli słów usprawiedliwienia. – Lucyna Grabowska? – powtórzyła kobieta ze zniecierpliwieniem i nakazała Helenie ruchem ręki wspiąć się na platformę ciężarówki. Dziewczyna przełknęła ślinę. Przez głowę przelatywały jej różne myśli.

– Tak – odpowiedziała schrypniętym głosem. Słyszała szum własnej krwi w uszach. – Tak!

Wspinała się na platformę jak w transie. Jakiś chłopak podał jej rękę i pomógł wejść do góry – najwyraźniej nikt nic nie zauważył. Helena nie sądziła, że ktoś z tych młodych ludzi znał Lucynę, ale może też nikt nie słuchał, kiedy było wywoływane jej nazwisko. Albo po prostu nigdy nie interesowało ich nazwisko ślicznej dziewczyny wiszącej stale na ramieniu Kaspra. Na korzyść Heleny przemawiał też fakt, że jej siostra nie uczęszczała ani do szkoły, ani też na żadne kursy, w związku z czym nikt jej nie znał.

Jedna z dziewcząt uśmiechnęła się do Heleny – widziały się, co prawda, wówczas w korytarzu przed biurem doktor Virchow, ale nie przedstawiły się sobie. Pozostali

młodzi emigranci także nie znali Heleny po imieniu. Nie było tu nikogo z uczestników kursu krawieckiego ani języka perskiego.

– Jestem Natalia – powiedziała dziewczyna, a Helena chrząknęła, zanim odpowiedziała:

– Lu... Lucyna.

Ciężki samochód ciężarowy zadygotał, kiedy kierowca uruchomił silnik. Helena raz jeszcze spojrzała na plac. Jej serce biło gwałtownie. Gdyby Lucyna pojawiła się właśnie teraz, można byłoby wszystko naprawić. Ale siostry nadal nie było nigdzie widać. I nawet kiedy samochód ruszył i dzieci zaczęły machać rękami do tych, którzy przyszli ich pożegnać, Helena nigdzie nie mogła dostrzec swojej siostry. Jednak za chwilę samochód miał wjechać na główną drogę obozu i minąć remizę – i rzeczywiście właśnie w tym momencie Lucyna i Kasper zza niej wybiegli. Zapewne zorientowali się, że zegar dawno już wybił godzinę dziesiątą. Lucyna spojrzała z przerażeniem na platformę ciężarówki, kiedy samochód ją mijał. Machała gwałtownie ręką – a Kasper próbował zatrzymać pojazd. Ale kierowca wziął to za gesty pożegnania i zatrąbił, a dzieci zaczęły coś głośno wołać. Głos Lucyny zagłuszył hałas silnika i krzyki dzieci, ale Helena widziała, że siostra wołała ją po imieniu. Rozpoznała ją więc i zorientowała się, że Helena po prostu zajęła jej miejsce. Wyraz jej twarzy był nie do opisanego. Było to i zdziwienie, i oburzenie, także niedowierzanie – wobec zdrady, niedotrzymanych obietnic... Helena przez chwilę poczuła nagłą radość. Zemściła się i teraz Lucynie dane było zasmakować tego, co ona tyle razy musiała odczuwać, kiedy była przez nią lekceważona i pozostawiana samej sobie! Jednak po chwili opanowała się szybko i poczuła nagłe przerażenie. Co robić? Była przecież odpowiedzialna za Lucynę! To był jej obowiązek: znosić wszystkie humory i kaprysy siostry, poświęcać się dla niej, bo przecież zasłużyła na coś lepszego... Helena nie mogła jej zostawić samej! Co powiedziałyby jej matka?

Helena wstała i spróbowała precyzyjnie się do przodu.

– Zatrzymać się, musimy się zatrzymać, my...

– Hej, oszalałaś? Siadaj, bo spadniesz z samochodu! – Natalia zdecydowanie pociągnęła ją, tak że dziewczyna usiadła koło niej.

– Nie... Ja muszę... Musimy... Moja siostra...

Helena zaczęła walić pięścią w dach szoferki. Młody Pers, który był kierowcą, niczego jednak nie usłyszał ani nie zauważył.

– Przestań, teraz już się nie zatrzymamy – powiedział jakiś chłopak i energicznie szarpnął ją za ramię. – Jak czegoś zapomniałaś, to musisz powiedzieć o tym w Isfahanie. Tam są ponoć bardzo mili ludzie i na pewno ci pomogą...

Szloch Heleny zginął wśród ogólnych śmiechów.

Samochód przedzierał się mozolnie przez kręte i zakurzone górskie drogi, a potem nabrał prędkości, jadąc przez szerokie ulice wśród plantacji migdałowców i wzgórz porośniętych drzewami oliwkowymi, a Helena próbowała się uspokoić. Na pewno będzie można wszystko naprawić. Jeszcze w czasie pokonywania pierwszych kilometrów w każdej chwili spodziewała się, że za ciężarówką zobaczy doganiający ją samochód. Wiedziała, że Lucyna nie zawaha się opowiedzieć komuś z kierownictwa obozu o jej oszustwie i pomóc zorganizować pościg. Także Kasper mógł z pewnością kogoś

zmobilizować, może nawet przekona kierownika taboru samochodowego, aby ten dał mu jakiś pojazd.

Po dwóch godzinach jazdy taki scenariusz był jednak mało prawdopodobny. Ciężarówka wioząca młodzież i dzieci jechała bardzo powoli i zwykły samochód dogoniłby ją dawno. Helena zakładała, że wszystko wyjaśni się w Isfahanie. Kierownictwo obozu spod Teheranu na pewno zadzwoni do sierocińca i Helena będzie odesłana z powrotem. Ale czy transport dzieci zostanie przesunięty o jeden dzień, aby dowieźć na jej miejsce Lucynę? Helena miała taką nadzieję, ale jednocześnie wątpiła, że to będzie możliwe. Sama doprowadziła do tego, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia, a w dodatku zaprzepaściła szansę Lucyny.

Jednak wieczorem nic się nie wydarzyło. Młodzi ludzie, kompletnie wycieńczeni długą jazdą po nierównych drogach, dotarli wreszcie do Isfahanu, a sam widok domu, w którym mieścił się sierociniec, wrócił im niemal wszystkie siły. Bo był to rzeczywiście mały raj. Budynki mieszkalne i szkolne znajdowały się w pięknych ogrodach o tropikalnej roślinności i Helena od razu poczuła się tak, jak gdyby przeniesiono ją do jakiejś baśni z tysiąca i jednej nocy. Dom, do którego ich zaprowadzono, robił przyjemne wrażenie, a jego mali mieszkańcy powitali przybyszów piosenką śpiewaną po polsku. Dzieci sprawiały wrażenie dobrze odżywionych i miały na sobie czyste mundurki szkolne.

Na placu przed szkołą powiewały polskie i perskie flagi, a opiekunowie osobiście witali młodych emigrantów. Tym razem jakiś młody mężczyzna zaznaczał na liście nazwiska i nie zareagował, kiedy Helena znów podała się za Lucynę. Za chwilę dziewczynie pokazano pokój, który miała dzielić z Natalią i jej młodszym rodzeństwem. Helenę na ten widok znów ogarnęły wyrzuty sumienia. Lucyna nie opowiedziała o jej oszustwie, a więc to ona, Helena, powinna była teraz wyjaśnić sprawę.

I choć była bardzo głodna, prawie nie ruszyła smacznego posiłku, który podano im w jadalni. Żałowała tego, co zrobiła, ale czy powinna była to zgłosić? Myśli, które nurtowały ją w czasie podróży, znów ją pochłonęły. Czy pomoże Lucynie, jeśli opowie o swoim oszustwie? Na następny dzień zaplanowany był dalszy transport wyjeżdżających dzieci. Czy będzie można wszystko przesunąć z powodu jednej dziewczyny? I czy Lucyna rzeczywiście chciała wyjeżdżać? Tak, była oburzona, że Helena zostawiła ją samą, ale z drugiej strony nie pragnęła przecież niczego innego, jak zostać ze swoim Kasprem.

Helena zdecydowanie przywołała się do porządku. To, czego chciała Lucyna, nie miało już żadnego znaczenia, teraz Helena musiała zrobić to, co było najlepsze dla młodszej siostry. I Helena obiecała matce, że się o to zatroszczy. A ten za wczesny związek z takim głuptasem jak Kasper Jabłoński z pewnością nie był niczym dobrym dla młodej dziewczyny.

Natalia powiedziała coś, a Helena przeprosiła – w ogóle nie słuchała, a przecież powinna była wreszcie zacząć zachowywać się normalnie, o ile nie chciała, aby ktoś nabrał jakichś podejrzeń... Przez głowę znów przelatowały jej przeróżne myśli. Z jednej strony chciała powiedzieć o tym, co zrobiła, a z drugiej nie chciała, aby to ktoś odkrył. Z jednej strony rozumiała swoje zobowiązania wobec Lucyny, a z drugiej czuła

nieodparte pragnienie, aby zostawić wszystko za sobą. Nowy kraj... Nowe życie...

– A ja cieszę się na Nową Zelandię! – powiedziała właśnie Natalia. Helena zmusiła się do uśmiechu i po prostu powiedziała coś, co także było prawdą:

– Ja też!

## ROZDZIAŁ 4

Następnego dnia, choć poczucie winy Heleny nie zmalowało, to ustąpił przynajmniej strach przed tym, że ktoś się o wszystkim dowie. Nocą przybyły kolejne ciężarówki z dziećmi i młodzieżą z okolic Teheranu – te pojazdy musiały wyruszyć znacznie później niż samochód wiozący grupę z obozu Heleny i Lucyny. Gdyby więc Lucyna wszczyła alarm, to na pewno znalazłaby się możliwość podwózki i wymiany dziewcząt. Helena była teraz pewna, że Lucyna jej nie zdradziła, a prawdopodobieństwo wykrycia wszystkiego przy okazji jakiejś kontroli było także coraz mniejsze. Teraz, kiedy tak liczna grupa dzieci i młodzieży wraz z trzydziestoma opiekunami wsiadała powoli do dwudziestu podstawionych autobusów, nikt nie porównywał twarzy ze zdjęciami w paszportach. A przynajmniej nikt nie robił tego dokładnie. Helena mogła zakończyć swoją podróż, mówiąc po prostu, kim jest naprawdę, ale mimo ogromnych wyrzutów sumienia nie była w stanie tego zrobić.

Usiłowała więc zapomnieć o mrocznych myślach i poszukała miejsca w autobusie obok Natalii. I za chwilę obie młode dziewczyny z ciekawością wyglądały przez okno. Autobusy najpierw minęły żyzną dolinę rzeki Zayandeh Rud i rozciągający się wokół pełen zieleni krajobraz. Pobliskie miasto Isfahan leżało u stóp gór Zagros, a dzieci mieszkające w leżącym nieopodal sierocińcu mogły je często zwiedzać i opowiadały, że było tam naprawdę pięknie. Ale Helenie nie żał było wspaniałych meczetów ani ogromnych parków. Zapewne Isfahan wydawałby się jej równie obcy i przerażający jak Teheran. Osobliwe były jej zdaniem także wioski, przez które przejeżdżał konwój albo które można było dostrzec z drogi. Składały się one z niskich chat wykonanych z gliny, a między nimi swobodnie biegały kury, kozy, woły i osły. Mężczyźni z turbanami na głowach nosili obszerne spodnie i długie koszule, co przypominało piżamy, a kobiety były dokładnie owinięte w dziwne suknie podobne do welonów. Helena przypuszczała, że tu od czasów średniowiecza zmieniło się bardzo niewiele. A Persja, choć piękna, z pewnością nie była jej światem. Bo kiedy Helena myślała o wsiach, miała przed oczami chałupy w zagrodach, z oborami i stajniami znajdującymi się tuż obok, i ogródkami, w których uprawiano warzywa.

Tego samego zdania była Natalia i opowiedziała, że jej rodzina mieszkała w takim właśnie domu na wsi w Polsce i z niego została wypędzona. Ona sama jako dziecko chętnie pomagała przy karmieniu zwierząt i miała teraz nadzieję, że w Nowej Zelandii też zamieszka na jakiejś farmie. Dziewczynka nie mówiła zbyt dobrze po angielsku – w obozie właśnie skończyła pierwszy kurs i była bardzo podekscytowana, kiedy dowiedziała się, że Helena dawno opanowała ten język i mówiła niemal płynnie. W czasie dalszej podróży stale prosiła Helenę, aby ta ćwiczyła z nią angielski i w ten sposób czas mijał bardzo szybko. Wszystkie dzieci cieszyły się, że trasa podróży przebiegała po dobrych, równych drogach. Jazda przez góry leżące przed portowym miastem Pahlavi do Teheranu i Isfahanu była wprost piekłem.

Tylko malutka siostra Natalii Katarzyna nie czuła się dobrze i bardzo cierpiała z powodu choroby lokomocyjnej. Sprawy nie ułatwiał także fakt, że pomieszczenia dla dzieci i młodzieży były prymitywne i przepełnione. W dodatku robiło się coraz cieplej,

im bardziej samochody posuwały się na południe. W autobusach było tak gorąco, że z trudem można było oddychać. Nikt nie zadawał sobie trudu, aby powiedzieć małym pasażerom, gdzie właściwie znajdowały się autobusy i jak daleko było do końca podróży. Wiele dzieci sądziło, że będą jechać w ten sposób aż do samej Nowej Zelandii. Helena wiedziała, że z Bombaju dalsza podróż odbędzie się statkiem. Doktor Virchow tłumaczyła swoim podopiecznym, że w czasie podróży do Indii autobusy będą jechać przez kilka prowincji, a Helena zastanawiała się, czy za każdym razem będą kontrole graniczne. W rzeczywistości zatrzymano autobusy tylko raz przy przekraczaniu granicy i wjeździe do brytyjskich Indii, a celnicy, w większości Anglicy, nie mieli ochoty przeglądać dokładnie siedmiuset paszportów. Wyrazili jedynie swoją sympatię wobec uchodźców, życzyli dzieciom dużo szczęścia w Nowej Zelandii, która przecież także należała do British Commonwealth, i przepuścili konwój.

Żyzne równiny Persji ustąpiły wkrótce miejsca pustyni i podróż autobusem zakończyła się wreszcie na zakurzonej dworcu w ogromnym mieście Karaczi kontrolowanym przez wojska brytyjskie.

Katarzyna w pociągu czuła się całkiem dobrze. Helena za to wołała jechać autobusem. Przedziały w pociągu, w których wskazano im miejsca, były przepełnione, brudne i duszne, a pociąg nie zatrzymywał się nawet nocą. Wyżywienie na czas podróży składało się z tłustych kanapek, które rozdawali opiekunowie, w nocy wszyscy musieli spać na swoich miejscach albo kłaść się na podłogę w przedziałach lub w korytarzach. Helenie przypominało to nieznośny tłok na statku płynącym z Krasnowodska do Pahlawi – wtedy co prawda wszyscy strasznie marzli, za to teraz pocili się wręcz niesłychanie. Powietrze w wagonach było jeszcze gorsze – smród niemytych ciał i ludzkich wydzielin stał się trudny do wytrzymania, a toalety już po pierwszym dniu drogi były pozatykane i brudne.

Po długiej podróży emigranci dotarli wreszcie do granicy indyjskiej i musieli przesiąść się do innego pociągu. Była noc i także tutaj nikt nikogo nie kontrolował. Młodzi ludzie z obozu byli właściwie pozostawieni samym sobie, większość z nich miała od trzynastu do szesnastu lat. Nieliczne wyjątki, jak na przykład mała siostra Natalii, musiały być pod ciągłą opieką starszego rodzeństwa. Do grup młodzieży z obozów w Isfahanie i Teheranie dołączono zaś dzieci z sierocińców. Na podróż wybrano dzieci od szóstego do dwunastego roku życia i przydzielono im dorosłych opiekunów – mężczyźni i kobiety stale liczyli swoich małych podopiecznych i byli bardzo przeciążeni swą pracą.

Helena była zbyt wyczerpana, aby odczuwać wyrzuty sumienia, kiedy pociąg wjechał wreszcie na dworzec w Bombaju. Także to miasto należało do brytyjskiego imperium kolonialnego, a autobusy, które czekały na dzieci, były podstawione przez brytyjskie wojsko. Helena i pozostali młodzi ludzie byli tak zmęczeni i wyczerpani nowymi wrażeniami, że prawie nie dostrzegali ogromnych domów i zatłoczonych ulic ani też nie czuli osobliwych, egzotycznych zapachów miasta. Jedynie Natalia podziwiała palmy, a podekscytowana Katarzyna pokazywała pomalowane wozy ciągnięte przez woły. Wszystko tu było bardzo kolorowe, a w świątyniach czczono dziwnych bogów. Helenie przypominały się urywki opowiadań doktor Virchow. Ale o ile wszystko w Persji wydawało się dziewczynie ciekawe i intrygujące, to tu marzyła tylko o łóżku. Pomyślała,



że może na statku płynącym do Nowej Zelandii nie będzie tak koszmarnego tłoku.

I rzeczywiście czekała ją niespodzianka. Autobusy tego wieczoru zawiozły młodych podróżnych nie bezpośrednio do portu, lecz do brytyjskich koszar wojskowych. Tu czekały na nich pożywna zupa, prysznic i polowe łóżka, na których wreszcie można było się wyciągnąć i odpocząć. Dzieci były tak wyczerpane, że zasnęły niemal natychmiast, jeszcze zanim zawołano je na kolację. Helena i Natalia zmusiły się jednak do uprzedniego dokładnego umycia się. Helena dawno już nie czuła się tak dobrze jak wtedy, kiedy wreszcie mogła zawinąć się w koc na swoim łóżku. Zасыpiając, pomyślała, że Lucynie ta podróż zupełnie by się nie podobała. Może dobrze się stało, że Helena jej tego oszczędziła... Po raz pierwszy od początku podróży dziewczyna spała bez dręczących ją koszmarów.

Wypoczęta i szczęśliwa obudziła się następnego ranka i wraz ze wszystkimi z przyjemnością pochłonęła śniadanie, składające się z płatków owsianych na mleku zwanych z angielska *porridge* i herbaty. Czekala ją jeszcze podróż autobusem przez ekscytujący i kolorowy Bombaj, a potem będzie wreszcie w drodze do Polinezji. Nie sądziła, że kiedykolwiek dogoni ją jej własna przeszłość.

Jednak kiedy młodzi emigranci znaleźli się na nabrzeżu, znów zastali tam kobiety i mężczyźni, którzy na listach sprawdzali ich nazwiska. Młody mężczyzna o brązowych włosach i okrągłej twarzy wydał się Helenie znajomy. I właśnie on wywołał dziewczynę.

– Lucyna Grabowska?

Mężczyzna podniósł głowę znad listy i wyczekująco popatrzył na grupę emigrantów.

– Tutaj!

Helena zgłosiła się, starając się, aby jej głos brzmiał głośno i zdecydowanie. Stopniowo zaczynała przyzwyczajać się do reagowania na imię swojej siostry. Wyszła przed grupę i poparzyła w czujne, brązowe oczy mężczyzny.

– Ty nie jesteś Lucyna! – syknął mężczyzna.

Helena zbladła.

– Oczywiście, że jestem. Kim... kim miałabym być? Ja...

Spojrzenie mężczyzny stało się jeszcze bardziej podejrzliwe.

– Nie opowiadaj bajek, ty nie jesteś Lucyna. Ty... Tak, teraz sobie przypominam, ty jesteś jej siostrą! Tą kwoką, która na statku stale za nią chodziła!

– Na... na jakim statku? – Helena roześmiała się nerwowo. Ostrożnie popatrzyła na prawo i na lewo. Na razie jej rozmowa z opiekunem nie zwróciła niczyjej uwagi. Natalia zajęta była młodszym rodzeństwem, a pozostali podziwiali ogromny statek, na pokładzie którego mieli się niebawem znaleźć. General Randall był amerykańskim transportowcem wojskowym.

– Na frachtowcu oczywiście! – młody mężczyzna mówił bardzo szybko i cicho, a Helena dzięki temu nabrała nadziei. Może nie będzie chciał jej zdradzić. – Wiesz doskonale, na tym, który płynął z Krasnowodsk do Pahlavi. Nie pamiętasz mnie? Byliśmy razem w Workucie... Ale ty nie zwracałaś uwagi na nikogo, tylko na swoją siostrę... Nigdy nie patrzyłaś na lewo ani na prawo... A teraz? Co się stało z Lucyną? Dlaczego podróżujesz z jej papierami? Czy ona nie żyje?

Helena potrząsnęła głową.

– Nie... nie, u niej wszystko w porządku. Ona... ona nie chciała jechać do Nowej Zelandii, a ja bardzo chciałam. Tylko ja... ja jestem już za stara i ja... Proszę... Nie znam pana nazwiska... ja... Proszę mnie nie zdradzić, ja... było teraz już za późno dla Lucyny, ja...

Popatrzyła na niego błagalnie, ale w jego wzroku nie dostrzegła ani współczucia, ani też zrozumienia, jedynie przeblysł jakiegoś dziwnego triumfu.

– Witold – przedstawił się mężczyzna. – Witold Obłoński. Należę do personelu opiekunów. Jestem nauczycielem. No, to się jeszcze zobaczymy... Na statku... – W jego głosie zabrzmiała niemal groźba... A może zakłęcie?

Helena znów poczuła nadzieję.

– A więc nie doniesie pan na mnie? – wyszeptała.

Obłoński wyszczerzył zęby w uśmiechu i przesunął spojrzeniem po całej postaci Heleny.

– Możesz mówić do mnie Witold... *Lucyna*... – kpiącym głosem podkreślił imię. – Ależ nie, na razie cię nie zdradzę. Jak tylko dasz się trochę lepiej poznać...

Helena zmarszczyła czoło. Nie rozumiała słów mężczyzny.

– Dać się poznać? Co... co ma pan na myśli?

– No pomyśl trochę, Lucy – Witold roześmiał się szyderczo. – Muszę przyznać, że prawdziwa Lucyna nie była tak mało pojętna.

Helena zagryzła wargi, bo wreszcie zrozumiała.

– Czy było coś między panem a... *Lucyną*? Ale to przecież niemożliwe, Lucyna w czasie podróży do Persji miała dopiero czternaście lat.

Witold znów uśmiechnął się szeroko.

– Jak mówiłem, zobaczymy się jeszcze... – powiedział i zaznaczył nazwisko Lucyny na liście. – Już ja cię znajdę... Lucy.

Helena odetchnęła, kiedy weszła po trapie na pokład. Udało jej się tam dostać, mimo że znów musiała walczyć ze strachem i wątpliwościami.

Kiedy szła za Natalią i dziećmi korytarzami, szukając wyznaczonej kajuty, próbowała przypomnieć sobie Syberię. Rzeczywiście rzadko patrzyła w twarz ludziom, którzy pracowali wraz z nią i rodzicami na jednej zmianie. Bo po co? Przy takim mrozie wszyscy byli pozawijani tak, że trudno było kogokolwiek rozpoznać, a poza tym ci więźniowie, którzy mieli w obozie rodziny, nie byli zainteresowani zawieraniem przyjaźni. I tak było ciężko oglądać umierających członków rodziny...

Po chwili przypomniawszy sobie jednak, skąd знаła Witolda Obłońskiego. Rzeczywiście to nazwisko padało w czasie rzadkich rozmów między deportowanymi – i przeważnie było to jednocześnie ostrzeżenie. Ten młody mężczyzna nie wahał się ani przed zdradą, ani też przed kłamstwem, jeśli tylko mógł się w ten sposób przypodobać nadzorcom obozu. I nader często donosił o rzekomych naruszeniach obozowej dyscypliny przez więźniów. Był to zły, niesympatyczny człowiek, który teraz dzięki zajmowanej pozycji mógł w każdej chwili zdradzić Helenę. Dziewczyna zadrżała na samą myśl, czego mógł od niej żądać, ale mimo to jedno było dla niej jasne: nie mogła odmówić.

General Randall okazał się być bardziej komfortowym statkiem niż pływająca

trumna, którą swego czasu podróżowali z Syberii do Persji. Amerykański transportowiec miał kilka pokładów i wystarczającą liczbę toalet i urządzeń sanitarnych, także kuchni i pomieszczeń niezbędnych żołnierzom przewożonym na miejsca akcji. Helena dzieliła kabinę z Natalią i jej rodzeństwem oraz dwiema dziewczynkami. W sześcioro było co prawda ciasno, ale bądź co bądź każde z dzieci miało swoją własną koję z czystą pościelą, a za dnia można było iść na górny pokład, jeśli tylko miało się na to ochotę. Także już w czasie wypływania z portu wolno było stać przy relingu i patrzeć na oddalający się Bombaj – Helena wtedy dopiero uświadomiła sobie, jak ogromne było to miasto, wznoszące się na wzgórzach wyspy Salsette. Pierwotnie miasto od lądu dzieliła laguna, ale później zbudowano zaporę i lagunę osuszono. Salsette stała się miejscem zamieszkania milionów ludzi.

Helena przeklinała swój los. Właśnie tutaj, gdzie anonimowość wszystkich była niemal zagwarantowana, musiała spotkać tak podłego typa, który ją w dodatku znał. Dziewczyna stwierdziła z goryczą, że przecież General Randall był ogromnym statkiem. I gdyby akurat Obłoński nie został wyznaczony do sprawdzania listy, nie spotkałaby go tu, podobnie jak w czasie poprzedniej podróży autobusem i pociągiem. I zapewne miało upłynąć niewiele czasu, zanim zażąda swojej „opłaty”. Nie ulegało wątpliwości, że doskonale wiedział też, kto w której kajucie mieszka. I rzeczywiście – mężczyzna czekał na Helenę, kiedy po posiłku odnosiła naczynia do kuchni – na tym statku pasażerowie sami przynosili sobie posiłki do kajut i tam je spożywali. A w dodatku dziewczyna tego dnia poczuła się nieco spokojniejsza, a już zwłaszcza teraz, kiedy nadchodziła pora snu.

Helena cofnęła się wystraszona, kiedy Witold zastąpił jej drogę w jednym z wąskich korytarzy między kuchnią a kajutami.

– Dobry wieczór, Lucy...

Zagryzła nerwowo wargi i spytała ostro:

– Czego chcesz?

Chciała, aby zabrzmiało to tak, jak gdyby była rozzłoszczona, tymczasem w jej głosie słyhać było raczej strach.

Witold nie odpowiedział, lecz uśmiechnął się i ruchem ręki nakazał, aby poszła za nim na pokład. O tej porze panował tam spokój. Żołnierze, którzy odbywali służbę na statku, jedli właśnie kolację, a opiekunowie nie zezwalali polskim dzieciom na opuszczanie kajut po zapadnięciu ciemności.

– Zaraz zobaczysz, kochana Lucynko – odparł Witold nienaturalnie słodkim głosem i pociągnął dziewczynę w cień jednej z łodzi ratunkowych.

– Helena – poprawiła zduszonym głosem dziewczyna. – Mam na imię Helena. I... i... jest mi bardzo przykro... Ja... właściwie nie miałam zamiaru oszukiwać, ja...

Witold wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Oczywiście, że nie. Jesteś przecież przyzwoitą dziewczyną. O tym wiem jeszcze z naszej poprzedniej podróży. No to nawet z tobą nie zaczynałem, ale czy taki Oleg też nie próbował?

Helena zmarszczyła czoło i po chwili przypomniała sobie chudego, pryszczatego chłopaka z twarzą podobną nieco do szczurzego pyszczka, któremu w czasie podróży z Syberii do Persji w jakiś niezbadany sposób udało się zdobyć posadę pomocnika

kucharza. I rzeczywiście chłopak zaproponował, że ukroi jej nieco większy kawałek chleba, jeśli będzie dla niego trochę miłsza. Helena nie wzięła tego poważnie.

– Mała Lucynka miała mniej oporów wobec mnie – oświadczył Witold.

Helena spojrzała na niego z przerażeniem.

– Czy to ma znaczyć, że ty... że ją wykorzystałeś? I że Lucyna... oddała ci się za kawałek chleba?

Witold roześmiał się.

– No, no, nie przesadzaj od razu. I nie denerwuj się. Bo przynajmniej ze mną twoja wspaniała siostrzyczka nie straciła swego dziewictwa. Była wtedy jeszcze mała. A my, chłopcy, też nie byliśmy w dobrej formie po pobycie w obozie. Ale buziak od czasu do czasu... Zabawa za pomocą zręcznych rączek... – Wymownym ruchem dotknął swojego krocza – ...jeśli o to chodzi, to mała Lucyna nie była aż tak święta...

Helena poczuła odrazę. Prawdopodobnie Lucyna w ogóle nie wiedziała, o co chodzi.

– A więc mam cię teraz pocałować? – spytała niemal z uniżeniem.

Witold prychnął pogardliwie, wyraźnie ubawiony.

– Pocałować? O nie, Heleno, tak łatwo mi się nie wywiniesz. W końcu jesteś już dużą dziewczynką, prawda? Kobieta, nie dzieckiem. A ja jestem mężczyzną.

– Jak ci się w ogóle udało dostać to stanowisko? – spytała Helena w nadziei, że zdoła sprowadzić rozmowę na inny temat. – Taki facet jak ty... Jakim cudem jesteś tu opiekunem?

Witold uśmiechnął się.

– Ja jestem nauczycielem, Helenko, myszko. Uczyłem w Białymstoku w szkole średniej matematyki i geografii. Akurat skończyłem studia, kiedy zjawili się Rosjanie. Szkoda... Bo przecież całe liceum było pełne ślicznych dziewcząt, które chętnie zawarłyby bliższą znajomość za nieco lepszy stopień z matematyki...

– Ty... ty jesteś... – Helena chciała go zwymyślać, ale nie potrafiła wydobyć z siebie słowa.

– ...jestem świnią, to chciałaś powiedzieć? – ze śmiechem pomógł jej Witold. – Słyszałem to już parę razy. Wy, dziewczyny, nie jesteście zbyt pomysłowe. Ale dziękuję, traktuję to jako komplement. Dziki knur... Komuż by to nie pochlebiło? Ale teraz szybko, słodziutka. Rozbieraj się! – Jego głos stał się nieoczekiwanie twardy.

Helena popatrzyła na niego z przerażeniem.

– Mam się rozebrać? Tutaj?

Witold skinął głową.

– To miejsce wydaje mi się całkiem niezłe – odpowiedział z całym spokojem. – A ja lubię popatrzeć na to, co dostanę. Te szybkie numery z podciągniętą spódnicą na szkolnych korytarzach już mnie nie bawią. Wolę, żeby było przytulnie i miło i dla ciebie też będzie przyjemniej. Wejdziemy do jednej z tych łodzi ratunkowych i nikt nas nie zobaczy. Pośpiesz się, Heleno, zanim twoje małe przyjaciółki zauważą twoją nieobecność i zaczną być ciekawe...

Helena była zeszywniała z przerażenia, ale pozwoliła, aby Witold zmusił ją do wejścia do jednej z łodzi. Oddychał teraz szybko i nerwowymi ruchami rozpiął spodnie.

Dziewczyna musiała szybko zdjąć sukienkę, aby Witold jej nie „pomógł” i nie rozerwał materiału. Miała nadzieję, że mu wystarczy, kiedy będzie stała przed nim w bieliźnie i pończochach, ale Witold uparł się – chciał ją zobaczyć całkiem naga. Kiedy Helena ściągała koszulę przez głowę, z jej oczu popłynęły łzy. Nie dość, że się bała i czuła się teraz brudna, to nie mogła oprzeć się uczuciu, że ma za swoje i że to jakiś rodzaj kary. Przypomniała jej się chwila, kiedy po raz ostatni widziała Lucynę i jej przerażone, pełne rozczarowania i żalu oczy. I to wspomnienie było niemal gorsze niż pożądliwe, szklane oczy Witolda, kiedy ten taksującym wzrokiem patrzył na jej nagie ciało.

– Trochę chuda – skonstatował i zażądał, aby się położyła.

Helena próbowała znaleźć jakąś w miarę wygodną pozycję między ławkami, co jej się nie udało – drewniane deski były zbyt twarde. Poczła bolesne ukłucia na plecach, kiedy Witold dosłownie się na nią rzucił. Sam nie rozebrał się całkowicie, opuścił jedynie spodnie. Helena zobaczyła w świetle księżyca jego wzwiedzonego penisa – wydał jej się monstrualną, obrzydliwą pałką. Już na sam widok była bliska wymiotów, ale za chwilę zapomniała o obrzydzeniu, czując jedynie ból. Prawie krzyknęła, kiedy Witold bez żadnych wstępów zaczął wbijać się w nią rytmicznie, ale ten zamknął jej usta brutalnym pocałunkiem. Piekielny ból w podbrzuszu dorównywał niemal upokorzeniu, a za chwilę dziewczyna poczuła jakąś wilgoć między nogami. Czy to była krew? Ból ustał, kiedy Witold przestał się ruszać. Helena walczyła z obrzydzeniem i mdłościami, czując ciepłą ciecz spływającą do jej wnętrza, a potem ciekącą jej po nogach, kiedy Witold wreszcie się cofnął. W dodatku bolały ją plecy – następnego dnia z pewnością będzie miała liczne siniaki. Niemal nie była w stanie się poruszyć, kiedy mężczyzna po chwili, która wydała jej się wiecznością, wreszcie wstał. Ciało wprost paliło ją z bólu i ponizenia. Witold rzucił krótkie spojrzenie na jej obtarte plecy, kiedy z trudem wkładała koszulę.

– Następnym razem przynieś ze sobą koc – powiedział, po czym odwrócił się i zniknął w ciemnościach.

## ROZDZIAŁ 5

Podróż z Bombaju do Wellingtonu stała się dla Heleny pasmem udręki. Witold żądał swojej „zapłaty” każdego dnia i dziewczyna praktycznie nie miała żadnej możliwości ucieczki. Oczywiście próbowała unikać publicznych pomieszczeń po zapadnięciu ciemności, ale uwagę innych zwracał fakt, że ciągle nie chciała odnosić do kuchni talerzy po jedzeniu. A poza tym Witold lubił odnajdywać ją na statku także za dnia i do uczucia bólu i wstydu dołączył także strach, że ktoś ją zobaczy. I kiedy rzeczywiście udało jej się raz uciec mu za dnia, to wieczorem kazał zawołać ją z kabiny i wówczas musiała znaleźć jakieś wiarygodne wyjaśnienie, czego chciał od niej opiekun. Raz i drugi udało jej się wymyślić jakąś w miarę przekonującą wymówkę, ale potem nie chciała już ryzykować swojej reputacji i wzbudzać zainteresowania.

Oczywiście były inne chwile – szczególnie za dnia, kiedy całe otoczenie sprawiało wrażenie bezpiecznego i przyjaznego, dzieci szalały na pokładzie, a Natalia nie mogła się napatrzeć na skaczące wokół statku delfiny – wówczas Helena była w stanie logicznie myśleć, zamiast wpadać w panikę, która i tak opanowywała jej myśli nocami. I wtedy dziewczyna zadawała sobie pytanie, czy rzeczywiście należało brać groźby Witolda na tyle poważnie, aby to, co przeżywała, było uzasadnione. W końcu przecież byli już w drodze do Nowej Zelandii. Odesłanie jednej młodej kobiety było już niemożliwe, a poza tym sprawdzenie ewentualnych zeznań Witolda wymagałoby niesłychanego zaangażowania i ogromnego nakładu pracy. I czy w ogóle ktokolwiek podjąłby się ustalenia tego, czy ta młoda dziewczyna nazywała się Lucyna czy Helena i czy rzeczywiście miała szesnaście lat?

Witold zaśmiał się kpiąco, kiedy wreszcie zebrała się na odwagę i w emocjach wykrzyczała mu to wszystko.

– Jeszcze nie jesteś w Nowej Zelandii, moja droga Lucy! – drwił. – Wjazd będzie miał miejsce dopiero w Wellingtonie, i to po mniej lub bardziej dokładnej kontroli paszportowej. Pamiętaj o tym, słodziutka! Czy naprawdę jesteś tak podobna do swojej siostry, że żaden pogranicznik nie będzie miał ani cienia wątpliwości? Taaa... A wtedy, słodka Lucy, wtedy wylądujesz w nowozelandzkim więzieniu! Ale tylko do chwili, kiedy z portu wypłynie najbliższy statek. Takie coś nazywa się aresztem deportacyjnym. A jak myślisz, dokąd popłynie ten statek? Może do Chin? I może tam będą pytać o twoje papiery? Obudź się, Heleno! Żadne państwo tego świata nie zezwoli ci na wjazd z fałszywymi papierami! Daruj sobie te protesty i rozbieraj się!

I Helena znów nie śmiała się sprzeciwić. Tego wieczoru Witold wszedł w nią wyjątkowo brutalnie i dziewczyna płakała bezgłośnie, kiedy tylko była w stanie pomyśleć o swojej przyszłości. Jeśli rzeczywiście było tak, jak mówił Witold, to będzie mógł dowolnie dysponować jej ciałem także w nowym obozie w Nowej Zelandii. Miał ją w garści. Jej jedyną szansą była ucieczka z obozu i samodzielna próba stanięcia na nogi w nowym kraju.

Ale oczywiście następnego dnia w promieniach słońca ta perspektywa wyglądała zupełnie inaczej. Teoretycznie takie zagrożenie po wjeździe do Nowej Zelandii istniało, ale w praktyce Witold sam miałby tym bardziej poważne kłopoty, gdyby dłużej zwlekał

z wyjawieniem całej sprawy. Miejscowe władze oraz kierownictwo obozu z pewnością zadawałyby liczne pytania i choć Helena musiałaby przyznać się do oszustwa, to z kolei nie potrzebowałaby milczeć na temat szantażu Witolda. W końcu dziewczyna doszła do wniosku, że będzie bezpieczna dopiero wtedy, kiedy będzie miała za sobą wszystkie formalności związane z wjazdem do Nowej Zelandii. I w milczeniu znosiła codzienne gwałty, jakich dopuszczał się wobec niej Witold. Zbyt wiele sił kosztowałoby ją drażnienie i prowokowanie go.

1 listopada 1944 roku był słonecznym, wiosennym dniem, kiedy General Randall zawinął wreszcie do Wellingtonu. Helena wiedziała już z listów rodziny Neumannów, że pory roku po tej stronie świata następują dokładnie w odwrotnej kolejności – kiedy w Nowej Zelandii było lato, to w Polsce panowała zima. Jednak mimo wszystko to, co zobaczyła, było tak niewiarygodne, że graniczyło wręcz z cudem: miasto otaczały wzgórza o wyjątkowo intensywnym odcieniu zieleni, a drzewa rosnące wzdłuż przybrzeżnej promenady były wprost obsypane kwiatami. Wellington, miasto właściwie niewielkie jak na stolicę kraju, otaczało morską zatokę o lazurowych wodach, tworząc barwny półokrąg. Błękit morza dorównywał właściwie kolorowi nieba.

– To naturalny port – powiedział jeden z amerykańskich marynarzy, z którym Helena w czasie podróży ćwiczyła czasami swój angielski.

To pierwsze wrażenie wydało się dziewczynie bardzo obiecujące. Wiał lekki wiatr, powietrze było niezwykle przejrzyste i na horyzoncie dało się dostrzec zarys odległych gór. Helena miała wrażenie, że choć czekały ją formalności wjazdowe, to na widok nowego kraju znikają gdzieś jej wszelkie zmartwienia i troski. Nic nie wskazywało na to, że na lądzie należy spodziewać się surowych straży ochrony pogranicza – wręcz przeciwnie, statki znajdujące się w porcie pozdrowiały General Randall radosnym buczeniem syren, a z jednego z parowców dobiegały nawet wołania w języku polskim – był to polski statek Narwik, który stał na kotwicy w porcie, a kapitan słyszał zapewne o przyjeździe polskich dzieci.

Także komitet powitalny zgromadzony na nabrzeżu składał się częściowo z Polaków. W otoczeniu grupy nowozelandzkich uczniów, którzy śpiewali i trzymali polskie i nowozelandzkie flagi, czekał już polski przedstawiciel dyplomatyczny Kazimierz Wodzicki wraz żoną Marią. Przybył także sam Peter Fraser, premier Nowej Zelandii, i od razu wszedł na statek, aby powitać dzieci. Wygłosił przemówienie po angielsku, a zaraz po nim głos zabrał Wodzicki – dzieci usłyszały kilka wzruszających słów w ojczystym języku. Jego żona Maria zrezygnowała z długiej przemowy – od razu chwyciła w ramiona kilkoro pierwszych dzieci, które właśnie zeszyły na ląd.

– Wiem, że macie za sobą ciężkie przeżycia – powiedziała. – Ale tu nie może stać się wam nic złego. To piękny kraj, nastawiony przyjaźnie do wszystkich. Zobaczycie, teraz już wszystko będzie dobrze!

Natalia uśmiechnęła się do Heleny, a dziewczyna odpowiedziała także uśmiechem. Była niemal szczęśliwa, kiedy szła po trapie na ląd – w nowe życie. Gdyby była z nią Lucyna... Poczucie winy wobec siostry zakłócało radość i świadomość faktu, że wreszcie wszystko było za nią.

I oczywiście nikt nie myślał o surowych kontrolach paszportowych – sprawdzono

wprawdzie listy dzieci, ale tym razem za grupę Heleny odpowiadała młoda kobieta. Nie należała ona do polskich opiekunów, lecz była Nowozelandką i mówiła po angielsku. Helenie od razu wydała się bardzo sympatyczna – była drobna, delikatna, o malutkim, piegowatym nosie, a jej rude, mocno kręcone włosy były luźno związane wstążką na karku. Dziewczyna nie nosiła kapelusza, lecz rodzaj zabawnego beretu, który wydawał się tańczyć na jej niesfornych włosach i znakomicie pasował do marynarskiego stroju.

– Jestem Miranda – przedstawiła się i popatrzyła uważnie na młodych emigrantów.  
– Miranda Biller. Czy ktoś z was mówi po angielsku? Albo po francusku? Ja też... ehm... mówię po francusku. Choć niezbyt dobrze.

Mrugnęła porozumiewawczo, nieco skonsternowana. Prawdopodobnie otrzymała tę pracę głównie z powodu domniemanej znajomości języka francuskiego. W Polsce język francuski był bardziej znany niż angielski.

Helena nie chciała zwracać na siebie ogólnej uwagi, ale Natalia energicznie popchnęła ją do przodu.

– Jazda! – wyszeptała.

Onieśmielona Helena dygnęła.

– Ja znam dobrze język angielski – powiedziała i dodała uprzejme: – Miss Biller.

Miranda Biller popatrzyła na nią rozpromieniona. Musiała być mniej więcej w wieku Heleny.

– Miranda – poprawiła Helenę. – My wszyscy zwracamy się tu do siebie po imieniu. O ile nie są to osoby, które należy darzyć szczególnym szacunkiem. Do majora Foxleya nie zwrócę się... Hm, jak on właściwie ma na imię? No tak, i do Mr Śledzińskiego też nie...

Miranda mówiła bardzo szybko i Helena musiała zadać sobie sporo trudu, aby zrozumieć potok jej słów – oczywiście nie miała pojęcia, kim jest major Foxley ani też Mr Śledziński, którego nazwisko Miranda wymówiła całkiem nieprawidłowo. Dopiero znacznie później Helena dowiedziała się, że chodziło o amerykańskiego komendanta obozu uchodźców, jak też o delegata polskiego rządu na uchodźstwie, któremu podlegał polski personel obozu.

– Miranda... – Helena powtórzyła powoli imię młodej opiekunki, starając się o poprawną wymowę. Miranda poprawiła ją z rozbawieniem.

– Wiem, to nie jest łatwe – powiedziała. – Śmieszne imię. Ale mój brat ma jeszcze gorzej, bo on nazywa się Galahad... A ty? Jak ty masz na imię? – spytała, patrząc z zaciekawieniem na Helenę.

– He... Lucyna – odpowiedziała Helena, czerwieniąc się. Powitanie było tak miłe i serdeczne, że omal nie wymknęło jej się prawdziwe imię.

– Lucyna... Ładne! Choć też niełatwe. Nieważne, powiedz teraz dzieciom, Lucyno, że witamy je wszystkie bardzo, bardzo serdecznie! Pojedziemy pociągiem dalej do Pahiatua, dworzec jest tu zaraz obok, więc pójdziemy do niego pieszo. Bagaż... Nie macie zbyt wiele rzeczy, prawda? Tylko to, co ze sobą? Dobrze, to poniesiecie to sami. I jeszcze raz... Cieszymy się, że tu jesteście!

Helena przetłumaczyła, a Miranda od razu ruszyła przodem w kierunku peronu. Z daleka było widać czekające tam dwa pociągi i maszerujących uczniów miejscowych



szkół, którzy śpiewali, machając chorągiewkami. Stopniowo pojawiały się kolejne klasy prowadzone przez nauczycieli, którzy także witali i pozdrawiali dzieci z Polski. Na peronie przed wejściem do pociągu wszystkim rozdano kanapki i napoje i mała Katarzyna, chichocząc, spróbowała pierwszy raz w życiu perlającej się lemoniady.

– Nie będzie... żadnej kontroli paszportowej? – spytała Helena z lękiem, kiedy Miranda porozumiała się już z innymi opiekunkami i wskazała swojej grupie jeden z wagonów. Dziewczyna rozglądała się z niepokojem, wypatrując Witolda, ale nie mogła go nigdzie dostrzec, co w ogólnym chaosie i panującym dookoła rozgardiaszu było zrozumiałe. Czy mężczyzna nie zdradzi jej teraz z czystej złośliwości, widząc, że nie ma już nad nią żadnej władzy?

Miranda w odpowiedzi obojętnie wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Jakies pieczątki pewnie przybiją... A w ogóle macie swoje paszporty ze sobą, czy zostały zebrane?

– Zostały zebrane – odpowiedziała Helena, która rzeczywiście oddała swój paszport jeszcze w Persji.

– To nie musicie się o nic martwić – oświadczyła Nowozelandka beztrąsko. – Prędzej czy później na pewno dostaniecie je z powrotem. A może dadzą wam nowe... A czemu to jest takie ważne? Chcesz wyjść za mąż? – zachichotała, dodając po chwili: – Moja matka w wieku siedemnastu lat uciekła z domu z moim ojcem, a historia jego paszportu jest dość dramatyczna. Muszę ci ją kiedyś koniecznie opowiedzieć!

Miranda najwyraźniej chciała, aby Helena prędzej czy później została jej przyjaciółką. I chyba nie miała pojęcia o tym, że w niszczonej kolejną wojną Europie posiadanie ważnego paszportu było często sprawą życia lub śmierci. A teraz podzieliła swoją grupę, ustawiając młodzież i dzieci w osobnych rzędach, nie przestając przy tym mówić w śmiesznej mieszance angielskiego i francuskiego i oczywiście pomagając sobie rękami. Wszyscy otrzymali osobne przedziały.

– Wasz obóz znajduje się w Pahiatua, to niecałe sto mil stąd – powiedziała do Heleny i poprosiła o przetłumaczenie. – Pahiatua to słowo w języku maoryskim i oznacza „obozowisko bogów”. Ale to nie jest tak, że tam duchy położyły się spać. Ta nazwa pochodzi od imienia pewnego wodza Maorysów, który uciekał przed swoimi wrogami. Jego bóg wojny wskazał mu właśnie to miejsce. Tam wódz mógł się ukryć i potem uciekł.

– A teraz też Bóg prowadzi nas na to miejsce – powiedziała Natalia w zamyśleniu.

Helena zauważyła już wcześniej, że dziewczynka była bardzo wierząca. Przetłumaczyła jej uwagę na angielski dla Mirandy, a ona w odpowiedzi uśmiechnęła się.

– To piękna myśl – stwierdziła. – Możecie ją potem omówić z polskim księdzem, bo mamy takiego w obozie. Jest tam też kościół albo kaplica, nie wiem, jak to się u was nazywa. Wy wszyscy jesteście katolikami, prawda? Ich prawie tu nie ma, tylko nieliczni mieszkają dalej na północy, gdzie osiedlili się Francuzi...

Wszystko wskazywało na to, że Miranda zdecydowała się możliwie szybko zaprezentować swoim nowym podopiecznym całą historię Nowej Zelandii. Trudno było powstrzymać potok jej słów i kiedy tylko pociąg ruszył, zaczęła opowiadać słuchającej w skupieniu Helenie o mieście Wellington.

– Miasto należy do najstarszych osad Nowej Zelandii. Pierwsi Anglicy przyjechali

tu w 1840 roku i nazwali miasto na cześć księcia Wellington. Z początku była to dość mała osada, o wiele mniejsza niż Auckland, a mimo to dwadzieścia lat później została stolicą kraju. A to ze względu na jej centralne położenie...

Miranda nie przestawała mówić także wtedy, kiedy pociąg wreszcie opuścił miasto, za oknami pojawił się najpierw wyżyny, potem surowy krajobraz górski. Dziewczyna opowiadała z zapałem o budowie torów kolejowych, a odcinek Rimutaka Incline, przez który właśnie przejeżdżali, był jej zdaniem cudem sztuki inżynierskiej. Helena nie mogła się z nią nie zgodzić. Widoki były coraz bardziej spektakularne, mijane mosty sprawiały wrażenie kruchych, delikatnych i niebezpiecznych, a tunele były coraz dłuższe. Pociąg od czasu do czasu zatrzymywał się w miejscowościach takich jak Upper Hutt czy też Greytown – i na peronach zawsze stały dzieci witające grupę.

– Przecież widzieliśmy już te dzieci – dziwiła się Helena.

– Bo to rzeczywiście są te same dzieci – zdradziła Miranda. – W każdym razie tak było do tej pory, do Masterton już chyba nie dotrą dorożkami. One jadą autobusami z jednego dworca na drugi i potem śpiewają dla was na peronach. Trochę szalony pomysł, ale bardzo sympatyczny, prawda? Chcemy, abyście się naprawdę dobrze czuli!

– To bardzo, bardzo miłe!

Helena chyba nigdy nie czuła się szczęśliwsza. Choć zapał i potok słów Mirandy powodował, że była wręcz wycieńczona. I kiedy pociąg miał już za sobą lasy i góry i pędził przez jednostajny, rolniczy krajobraz, dziewczyna zdrzemnęła się. Kiedy się ocknęła, było już dobrze po południu.

– Zaraz będziemy na miejscu! – oświadczyła Miranda. – Pahiatua to następna stacja. Ciekawa jestem tego obozu, bo też jeszcze w nim nie byłam.

W ciągu następnej półgodziny zabawiła Helenę, opowiadając jej historię swojej rodziny, a Natalia z rozjaśnioną twarzą wyglądała przez okno i próbowała policzyć owce, które pasły się po obu stronach toru. Od czasu do czasu można było też dostrzec wiejskie zabudowania, przeważnie drewniane domy, przed którymi zwykle stały zaparkowane pick-upy, a na łąkach pasły się konie.

– Moja rodzina i ja mieszkamy w Wellingtonie – nie przestawała mówić Miranda. – Mój *dad* jest profesorem na uniwersytecie, a moja *mom* pisze książki. Poważnie, ona pisze głównie powieści o miłości. Mój *dad* uważa, że są koszmarnie, a już zwłaszcza mój brat... Ale to właściwie są całkiem dobre książki, i jakie romantyczne! A ludzie za nimi wprost szaleją!

– A twój brat jest teraz w wojsku? – spytała Helena, zakładając, że tak musi być, bo w Europie każdy młody mężczyzna odbywał służbę wojskową.

Miranda potrząsnęła głową przecząco.

– Nie, mój brat jest w Greymouth, to miasto na Wyspie Południowej. Nasi dziadkowie mają tam kilka kopalń, a Gal studiował górnictwo. I teraz tam pracuje, a ponieważ górnictwo węgla kamiennego jest przemysłem ważnym dla celów wojennych, to Gal nie został powołany do wojska. Nie wiem dokładnie, co Gal sądzi na ten temat – ale mój dziadek w każdym razie mówi, że nie można powołać do wojska kogoś, kto nazywa się Galahad, czego z kolei nie rozumie moja matka, bo przecież Galahad był słynnym rycerzem za czasów króla Artura... Ale mimo wszystko ona oczywiście cieszy

się, że Gal nie musi iść na wojnę. Wystarczy, że mój kuzyn James na nią poszedł. Choć co prawda on też nie musiał, bo jego rodzice mają wielką farmę na Canterbury, a to jest ważne dla celów wojennych. I jego ojciec nie chciał w żadnym wypadku, aby James szedł na wojnę, bo sam walczył pod Gallipoli, wiesz?

Helena nigdy nie słyszała o bitwie pod Gallipoli, jednym z wielu dramatów pierwszej wojny światowej. Zbyt świeże były dla niej przeżycia i okropności związane z drugą wojną światową.

– I dziadek twierdzi, że w ogóle nie ma żadnego powodu, aby prowadzić jakąkolwiek wojnę. Mówi, że wojna zawsze jest jednym pasmem zbrodni i w ogóle czymś bardzo złym i... A James jest innego zdania i uważa, że nie można tak po prostu pozwolić temu Hitlerowi robić tego, co on chce. Ale ja sądzę, że Jamesowi chodzi bardziej o latanie. James szaleje wprost za samolotami i zakładamy, że pewnie jest w Air Force...

– Zakładacie? – spytała Helena, która coraz mniej rozumiała z potoku słów Mirandy. Bo zgodnie z jej wyobrażeniami w Europie istniały numery poczty polowej, dzięki którym można było skontaktować się z żołnierzami na froncie.

– James kilka miesięcy temu po prostu uciekł z domu. Nocą, kiedy była gęsta mgła, a on akurat skończył dziewiętnaście lat i zgłosił się do wojska na ochotnika. A teraz nie daje żadnego znaku życia, bo boi się, że jego ojciec sprowadzi go do domu. I słusznie, bo wujek Jack uruchamia już wszystkie swoje znajomości i będzie go ścigać...

– Następnym przystanek i stacja końcowa: Pahiatua! – Barwną opowieść Mirandy przerwał donośny głos konduktora. Dziewczyna zerwała się z miejsca.

– Słyszycie? Jesteśmy na miejscu! – zawołała radośnie. – Zbierajcie swoje rzeczy i niczego nie zapomnijcie! Ostatni kawałek drogi pojedziemy samochodem ciężarowym. To nie jest daleko, obóz leży milę na południe od miasta, tak nam powiedziano. I bez pośpiechu przy wysiadaniu, wszyscy zdążą spokojnie wysiąść!

I rzeczywiście na emigrantów czekała nie tylko grupa uczniów powiewających chorągiewkami, lecz także konwój wojskowych samochodów ciężarowych. Miranda oraz pozostali opiekunowie pilnowali, aby dla wszystkich znalazło się miejsce, a Helena tłumaczyła wskazówki i polecenia Mirandy. W trakcie tego zajęcia nagle dostrzegła Witolda – i znów aż znieruchomiała z przerażenia. Jej prześladowca uśmiechnął się do niej, kiedy przejeżdżał obok ciężarówką wraz z grupą swoich dzieci.

– Zobaczmy się jeszcze, Lucy... – Helena nie tyle usłyszała, co domyśliła się tak dobrze znanych słów z ruchu jego warg.

## ROZDZIAŁ 6

Helena i Natalia wsiadły wreszcie wraz z nowozelandzkimi opiekunkami do ostatniej ciężarówki i podczas kiedy Miranda i pozostałe dziewczęta plotkowały radośnie, mała Katarzyna uczyła się pierwszych słów po angielsku. Helena dowiedziała się, że Miranda i inne opiekunki to bardzo młode kobiety, przeważnie uczennice i studentki, które zgłosiły się jako ochotniczki do służby wojskowej, aby wesprzeć naród.

– Właściwie to chciałam jeździć tramwajem – stwierdziła Miranda – bo w Europie robią to chyba tylko kobiety. Zasiąść w tramwaju linowym w Auckland, to dopiero byłoby coś! Ale wszystko wskazuje na to, że żaden konduktor nie poszedł do wojska...

W Nowej Zelandii, jak dowiedziały się dziewczęta z Polski, do wojska szli tylko ochotnicy. Najwyraźniej można było zdecydować samemu, czy chce się wziąć udział w wojnie, a jeśli tak, to w jakim stopniu. I przynajmniej Miranda oraz jej przyjaciółki nie traktowały swojej służby zbyt poważnie. Helena pomyślała w pierwszej chwili, że to oburzające i że niedostatek oraz liczne cierpienia, które musieli znosić ludzie w efekcie działań wojennych, były dla tych młodych, rozpieszczonych kobiet tylko czymś w rodzaju opowieści z dreszczykiem o dalekiej, nieznannej wojnie. Ale mimo wszystko poczuła ulgę. Miała niemal nadzieję, że gdyby nie zdradziła Lucyny, to w tym spokojnym kraju byłaby w stanie zapomnieć o swoich przeżyciach.

Po kilku minutach jazdy drogą ciągnącą się przez wyżyny, zielony krajobraz konwój ciężarówek dotarł do obozu. Samochody przejechały przez otwartą bramę, udekorowaną napisem w języku polskim: „Polski obóz dla dzieci” i młodzi emigranci od razu poczuli się jak w Polsce. Helena z uśmiechem zauważyła, że uliczki między drewnianymi domkami nosiły polskie nazwy. A same domki, w których miały mieszkać w rodzinnych grupach dzieci i młodzież, zupełnie nie przypominały baraków czy też koszarowych zabudowań, tak dobrze wszystkim znanych z okresu pobytu na Syberii i w Persji. Nie było tu ogromnych, wspólnych sal sypialnych. Między domami znajdowały się place zabaw i trawniki, a otaczający je płot był tak niski, że nie miało się poczucia zagrożenia. Drewniane bramy miały proste mechanizmy zamykające i Helena nie mogła sobie wyobrazić, że ktokolwiek mógłby ich pilnować.

– Dawniej był tu obóz dla internowanych – powiedziała Miranda, najwyraźniej nie mając pojęcia, kto i dlaczego tu wtedy przebywał. – A jeszcze przedtem tor wyścigów konnych...

– To wszystko przypomina bardziej wieś, a nie jakiś obóz – cieszyła się Natalia.

Helena przytaknęła, dziwiąc się radosnemu przyjęciu. W domkach czekały na dzieci czteroosobowe pokoje i łóżka ze świeżo powleczonej pościelą – w obozach, w których przyszło im dotychczas żyć, co najwyżej wręczano im pościel, a i to bardzo rzadko – a na stołach ustawiono dzbanki z kwiatami.

– To wszystko przygotowały kobiety z Pahiatua – oświadczyła Miranda, która zamieszkała w podobnym pokoju wraz z innymi wolontariuszkami. – Nawet założyły specjalny komitet, aby to wszystko dla was zorganizować. Rozpakujcie się teraz, a niedługo będzie kolacja w jadalni.

W obozie rzeczywiście było kilka domów mieszczących kuchnie, w których

przygotowywano posiłki dla dzieci i młodzieży. Helena zauważyła z ulgą, że grupa Witolda znalazła się w innej sali niż ona sama. Nie będzie mu więc łatwo się do niej zbliżyć. Odetchnęła uspokojona i stwierdziła, że tego dnia po kolei ubywało jej zmartwień i trosk. Dopiero wieczorem, kładąc się spać, znów pomyślała o Lucynie i wróciło palące poczucie winy. W czasie podróży jej siostra marudziłaby z pewnością i narzekała, ale tu podobałoby się jej na pewno...

Pahiatua była małą, wiejską gminą. Zabudowania farm były od siebie oddalone, w samym centrum znajdował się tylko jeden sklep z towarami mieszanymi, kawiarnia i stacja benzynowa. Dzieci i nastolatki z Polski mogły tu przychodzić w czasie wolnym od zajęć, ale wszyscy woleli spacerować po okolicy. Otoczenie obozu było, zwłaszcza dla młodszych dzieci, wspaniałym placem zabaw. Można było swobodnie chodzić po łąkach i niewielkich lasach, brodzić w strumykach i próbować swoich sił w łowieniu ryb. Nikt im tego nie zabraniał, jeśli tylko nie opuszczały szkoły. Pahiatua była też miejscem bezpiecznym – dzieci ani nie mogły się tu zgubić, ani też nie czyhały na nie żadne niebezpieczeństwa. Natalia była wprost zafascynowana krajobrazem i próbowała ustalić nazwy osobliwych w jej pojęciu krzewów, drzew i ptaków. Dziewczynka ciągle marzyła o życiu na wsi. Za to dla Heleny szkoła była cudem nieporównanie większym niż przyroda nowego kraju. W obozie zorganizowano szkoły podstawowe, średnie oraz licea, a lekcje odbywały się po polsku! Helena po zdaniu krótkiego testu znalazła się w ósmej klasie, gdzie było bardzo niewielu uczniów, bo edukacja szkolna dla wszystkich zakończyła się wraz z deportacją. Niektóre dzieci wprawdzie mieszkały w Rosji w obozach rodzinnych, gdzie mogły uczęszczać do szkoły, ale niewiele się tam nauczyły. Helena należała więc do najlepszych uczennic. Interesowały ją przede wszystkim przedmioty przyrodnicze – tu brakowało jej podstawowej wiedzy, za to jej znajomość angielskiego była bardzo dobra, francuskiego zaś lepsza niż Mirandy Biller. Helena dowiedziała się, że Miranda ukończyła *high school* w Wellingtonie, ale nie wiedziała jeszcze, co zamierza studiować.

– A ty wiesz już, kim chciałabyś być? – spytała naiwnie Helenę.

Ale dziewczyna tylko potrząsnęła głową przecząco. Dotychczas jej życiowym celem było jedynie przetrwanie, ale teraz zastanawiała się, czy ma zostać nauczycielką jak jej matka i nawet zapytała w kierownictwie obozu, czy nie potrzebują pomocy przy pracy z małymi dziećmi.

Mr Śledziński jednak odmówił, podobnie jak w Persji zrobiła to doktor Virchow.

– Rozumiem, Lucyno, że masz jak najlepsze intencje, ale naprawdę nie musisz tu pracować. Odpocznij po wszystkim, uczęszczaj do szkoły, ucz się. Jesteś tak wychudzona i blada... Może powinien zbadać cię lekarz. Zajrzyj jutro do pielęgniarki.

Ta uwaga zaskoczyła Helenę. Czowała, że w ciągu czterech tygodni pobytu w obozie raczej nieco przytyła, a suknia na jej piersiach zrobiła się bardziej opięta. A oprócz tego rzeczywiście była często zmęczona, ale przypisywała to nowym wrażeniom i nocnym koszmarom, które znów ją dręczyły. Niemal każdej nocy miała przed sobą twarz Lucyny patrzącą z przerażeniem na odjeżdżającą ciężarówkę, a zaraz potem czuła obecność Witolda – na sobie i w sobie, i słyszała jego złośliwy śmiech. A przecież ten epizod jej życia był ostatecznie zamknięty.

Witolda spotkała w Nowej Zelandii tylko raz – w rogu boiska, gdzie jako

nauczyciel pełnił na zmianę z innymi dyżur.

– Chętnie spotkałbym się z tobą znowu, Lucy... – powiedział mężczyzna, uśmiechając się. – Co ty na to? Pójdiesz ze mną na spacer... wieczorem, do lasu? To przecież byłoby takie romantyczne, nie sądzisz?

Helena poczuła gwałtowne bicie serca. Ale w tym momencie przypomniała sobie zachowanie Mirandy i jej pewność siebie – ta dziewczyna nie pozwoliłaby na takie traktowanie. Natychmiast przywołałaby Witolda do porządku... Helena odetchnęła głęboko.

– Nie, to nie byłoby romantyczne, lecz tak samo wstrętne jak każde z naszych spotkań – odparła ostro. – Odejdź, Witoldzie, ja już odpokutowałam za swoją winę! I nie próbuj mi grozić! Nikt tu cię nie wysłucha ani ci nie uwierzy, jeśli zaczniesz bredzić coś o zamienionych siostrach. I nie dotykaj mnie!

Cofnęła się zdecydowanie, kiedy on wyciągnął rękę w jej kierunku. A potem nagle przyszedł jej do głowy pomysł godny Mirandy Biller. Aby pozbyć się Witolda, należało po prostu napędzić mu stracha!

– Bo zaatakuję cię twoją własną bronią, Witoldzie! – powiedziała twardo. – Jeśli teraz zacznę krzyczeć i powiem, że próbowałeś wsadzić mi rękę pod spódnicę... Jak myślisz, komu uwierzą, mnie czy tobie? No, panie profesorze?!

Witold rzeczywiście przestał ją potem prześladować. A ostatnio Helena dowiedziała się, że zaczął się zalecać do nowozelandzkiej nauczycielki angielskiego. Było to dziwne, zdaniem Heleny, bo Miss Sherman na pierwszy rzut oka zupełnie nie była w typie Witolda. Była to niewysoka, krępa dziewczyna, nosząca okulary, co sprawiało, że jej nieco nalana twarz stawała się jeszcze mniej atrakcyjna. Ale była oczywiście sympatyczna. Jednak ani Witold, ani ona nie znali żadnego wspólnego języka. Helena nie mogła sobie wyobrazić, że zakochał się w nauczycielce z powodu jej wewnętrznych wartości. Sprawa wyjaśniła się, kiedy jakiś czas potem po wspólnym obiedzie Miranda wręczyła paszporty wszystkim dzieciom ze swojej grupy.

– Trochę to trwało i powiedziano mi w kierownictwie obozu, że mam was przeprosić – oświadczyła. – Teraz wszyscy macie już wizy.

Natalia z rozczarowaniem obejrzała swój paszport.

– To on nie jest nowy? – spytała, próbując swoich świeżo nabytych umiejętności angielskiego. – Nie Nowa Zelandia?

Miranda zmarszczyła czoło w odpowiedzi.

– A myśleliście, że od razu otrzymacie obywatelstwo? – spytała. – O ile wiem, nikt czegoś takiego nie planował. Bo przecież w takim wypadku nikt nie zadawałby sobie tyle trudu z organizacją polskich szkół i sprowadzeniem polskich nauczycieli. I zasadniczą sprawą byłaby wówczas nauka angielskiego.

– Czy to znaczy, że kiedyś nas stąd odeślą? – spytała Helena zduszonym głosem. Po rozmowach z doktor Virchow była przekonana, że wszyscy będą mogli zostać na stałe w Nowej Zelandii.

– W żadnym wypadku nikt nie będzie was wypędzał z tego kraju – wmieszał się do rozmowy major Foxley. Kierownik obozu często przychodził do jadalni w czasie posiłków, aby zamienić z dziećmi kilka słów i upewnić się, że wszyscy byli zadowoleni.

– Kiedy osiągniecie pełnoletność i będziecie chcieli zostać tutaj i może poślubić jakiegoś Nowozelandczyka... – major mrugnął do dziewcząt – ...to otrzymacie obywatelstwo. Ale najpierw powinniście mieć choćby możliwość powrotu po wojnie do waszej ojczyzny. Może odnajdą się tam wasi krewni, którzy będą chcieli was przyjąć. Nie chcemy uprzedzać wypadków, na razie macie się tu czuć bezpiecznie. A więc nie martwcie się niepotrzebnie na zapas!

Jeśli jednak chodziło o Witolda, Helena miała tu swoje podejrzenia. Mężczyzna pracował jako opiekun, nie był kimś z grupy uchodźców. Prawdopodobnie rząd polski na uchodźstwie wypłacał mu teraz pensję jako nauczycielowi i zaoferuje mu posadę w Polsce, kiedy nie będzie tu już potrzebny. A to mogło nastąpić bardzo szybko. Młodsze dzieci uczyły się angielskiego błyskawicznie. Miranda i pozostałe nowozelandzkie opiekunki towarzyszyły dzieciom w grupach w czasie zabaw, a wtedy także mówiono wyłącznie po angielsku. Katarzyna paplała wraz z innymi dziećmi całkiem swobodnie zaledwie po kilku tygodniach. Ani ona, ani pozostałe dzieci nie potrzebowały polskiego nauczyciela geografii i matematyki i to samo dotyczyło wszystkich jej rówieśników. Jeśli więc Witold zamierzał zagwarantować sobie pobyt w Nowej Zelandii, to najlepszą drogą było małżeństwo z którąś z miejscowych kobiet – a Miss Sherman najwyraźniej mu sprzyjała. Helenie wprawdzie było żal tej młodej kobiety, czuła jednak ogromną ulgę, widząc, że jej prześladowca skierował swoją uwagę na kogoś innego.

Helena wzięła sobie do serca słowa Mr Śledzińskiego i postanowiła spędzać jak najwięcej czasu na świeżym powietrzu. W Nowej Zelandii właśnie zaczęło się lato. Młodsze dzieci grały w piłkę nożną i w rugby, co było czymś w rodzaju sportu narodowego, Miranda i jej przyjaciółki zaangażowały się zaś w organizację grup skautowskich. Kierownictwo obozu zachęcało starszych chłopców i dziewczęta do zakładania ogródków warzywnych, co miało przyczynić się do lepszego zaopatrzenia obozu w artykuły spożywcze. Tu Natalia była w swoim żywiole. Dziewczynka siała fasolę, groszek i marchew i z zapałem eksperymentowała z egzotycznymi dla niej odmianami warzyw, jak kumara.

– Słodkie ziemniaki nie są tu przecież niczym nadzwyczajnym – droczyła się z nią żartobliwie Miranda. – Wręcz przeciwnie, rosły tu na długo przed przybyciem Anglików, bo Maorysi przywieźli je wraz z innymi warzywami z Polinezji. Ale kumara była jedynym warzywem, które tu się przyjęło, dla pozostałych rodzajów warzyw z Południowego Pacyfiku było za zimno. Stało się to prawdziwym problemem dla Maorysów. Chcąc nie chcąc, musieli zająć się polowaniem, aby mieć co jeść. I w ciągu pierwszych stuleci wytępilli wiele gatunków zwierząt, a w efekcie wypalania lasów wyjałowili ziemię. Wyciągnęli wnioski z tej nauki. Teraz Maorysi są bardzo ostrożni, jeśli chodzi o ziemię, zwierzęta i rośliny. Na przykład w czasie zbioru upraw śpiewają *karakia* – to takie połączenie modlitwy i czarodziejskiego zaklęcia – aby przeprosić ziemię za to, że coś jej zabierają. Mój ojciec mógłby opowiadać o tym godzinami...

Ojciec Mirandy był wykładowcą na wydziale studiów kultury maoryskiej na uniwersytecie. Zajmował się historią i kulturą miejscowego ludu, a Miranda mówiła o Maorysach tak jak o bliskich krewnych. Ale Helena i pozostali młodzi ludzie nie widzieli jeszcze ani jednego krajowca.

– Dzieci już próbują pokazać, jak oni wyglądają. – Miranda roześmiała się i wskazała na drużynę grającą w rugby. Członkowie drużyn skakali dookoła, uderzając stopami w ziemię w rytm pieśni, i starali się robić jak najbardziej przerażające grymasy.

– Co oni robią? – spytała Helena.

– Tańczą *haka* – wyjaśniła Miranda. – W ten sposób wojownicy nabierali odwagi przed walką. A w drużynach skautowskich ćwiczymy kulturę i zwyczaje maoryskie. Ja na przykład pokazuję dzieciom z mojej grupy, jak rozpalać ogień i jak skonstruować wędzarnię do łowienia ryb.

Wszystko wskazywało na to, że w Nowej Zelandii krajowcy i koloniści współżyli ze sobą bardzo pokojowo. Helena słyszała jednak wiele negatywnych opinii na temat innych kolonii. Ona i Natalia chciały się dowiedzieć, jak wyglądali i żyli Maorysi i na ich prośby Miranda zaproponowała w kierownictwie obozu, aby zorganizować dla dzieci wycieczkę do maoryskiej wsi.

– Ale nie znajdziemy już typowego *marae* – dodała z żalem dziewczyna, opowiadając o planach wycieczki. – Mój ojciec mówi, że ich już praktycznie nie ma, ludzie żyją według zwyczajów *pakeha* – tak Maorysi nazywają przybyszów z Europy. Częściowo robią to dobrowolnie, częściowo są do tego zmuszani, choćby poprzez przymus wysyłania dzieci do angielskich szkół. Mój ojciec to potępia...

Helena była tym ogromnie zaintrygowana i jej nazwisko jako jedno z pierwszych znalazło się na liście, kiedy ostatecznie zaproponowano emigrantom wycieczkę do Palmerstonu, gdzie wszyscy mieli zwiedzać osiedle Ngati Rangitane. Choć musiała się do tego rodzaju aktywności nieco zmusić – ostatnio zrobienie czegokolwiek przychodziło jej z jakimś dziwnym trudem. Kiedy po powrocie ze szkoły miała już za sobą wszystkie codzienne obowiązki – dzieci musiały same sprzątać swoje mieszkania – była przeważnie zbyt zmęczona, aby jeszcze cokolwiek robić. A poza tym coraz częściej cierpiała z powodu mdłości. Postanowiła po wycieczce do Palmerston zajrzeć do izby chorych – prawdopodobnie brakowało jej jakichś witamin...



## ROZDZIAŁ 7

Palmerston, wieś znacznie większa od Pahiatua, położone było zaledwie kilka mil dalej. Młody nauczyciel, który towarzyszył emigrantom podczas wycieczki do siedziby krajowców, oświadczył, że pierwsi osadnicy przed laty odkupili tam ziemię od plemienia Ngati Rangitane.

– Doszło przy tym do sporu, bo nie było do końca jasne, czy ta ziemia rzeczywiście należała do tego plemienia, czy też do Ngati Raukawa – dodał nauczyciel. – Na szczęście oba szczepy szybko się pogodziły. W ogóle temu regionowi oszczędzone były walki plemienne, także w czasie późniejszych wojen. Mimo to w okolicy nie ma już zbyt wielu Maorysów.

– Miranda opowiadała nam, że większość potomków plemion mieszka w miastach białych ludzi, a nie w swoich *marae* – powiedziała Helena i odetchnęła głęboko.

Choć porządna, równa droga nie obfitowała w zakręty, młoda kobieta nie czuła się dobrze. Znów miała mdłości – sądziła, że złapała jakieś przeziębienie. Ostatnio w „Małej Polsce” – tak dzieci żartobliwie nazywały obóz – grasowała grypa. Jej pierwszą ofiarą była Miranda Biller, która z tego powodu nie pojechała na wycieczkę. Podobnie jak Natalia, która nie chciała zostawić w domu zakatarzonej i kaszlącej Katarzyny.

Nauczyciel, Mr Tucker, delikatny, młody mężczyzna, który nie mógł z powodu wady serca służyć na froncie i bardzo z tego powodu ubolewał, przytaknął Helenie.

– Tak, a ich domy są – albo też były – bardzo piękne. Kolorowe, ozdobione rzeźbami i posągami bogów. W ostatnich latach wiele z tych budowli niszczeje, bo ludzie już się o nie nie troszczą. We wsiach zostają tylko starcy, a młodszy idą do miast i pracują w fabrykach. Dziś zobaczymy *marae* nad Matawatu – to rzeka, od której pochodzi nazwa tego regionu. *Marae* leży w pobliżu Palmerston, co daje członkom plemienia możliwość pracy w mieście i mieszkania mimo wszystko wśród swoich. Dzięki temu mogą żyć zgodnie ze swoimi zwyczajami i zarobić trochę pieniędzy. Ludzie ci chętnie śpiewają i tańczą dla odwiedzających oraz prezentują swoje tradycyjne *haka*.

Helena skinęła głową. Także o tym opowiedziała im już Miranda, choć zaznaczyła, że ta muzyka i tańce tylko w niewielkim stopniu są zgodne z tradycjami plemienia.

– Brakuje tutaj komponentów spirytualnych, jak mówi mój *dad* – wyjaśniła Miranda, zabawnie przy tym marszcząc twarz i udając surową minę profesora uniwersytetu. – Kiedy dawniej wykonywano *powhiri*, miał miejsce związek między duszami odwiedzających i członków plemienia. A teraz Maorysi prezentują mało spektakularną ceremonię powitania. Mój *dad* uważa, że to budzi poważne obawy, kiedy tak bardzo zaniedbuje się duchowość.

Autobus z młodymi polskimi uchodźcami przejechał właśnie przez ozdobioną pięknymi rzeźbami bramę.

– Figury bogów, które widać na słupach bramy, zwane są *tiki* – mówił Mr Tucker. – To bogowie, których zadaniem jest chronić. Tu czuwają nad *marae*.

Wieś otaczał rodzaj ogrodzenia uplecionego z trzciny, które wymagało pilnej naprawy. Płotek był miejscami połamany czy też zdeptany. Z pewnością nie stanowiłby żadnej obrony przed wrogiem. Choć nic nie wskazywało na to, że szczep miał jakichś

wrogów, ale też nie było właściwie czego kraść. Helena dostrzegła znajdujący się naprzeciw wejścia duży dom, którego ściana szczytowa także ozdobiona była rzeźbami, dzięki czemu sprawiał bardziej reprezentacyjne wrażenie. Bo poza tym widziała tylko prymitywne, drewniane domki z werandami i okiennicami – podobne do domków w Pahiatua, lecz mocno zaniedbane. *Marae* wyglądało tak, jak gdyby jego mieszkańcy naśladowali architekturę białych ludzi, ale nie mieli wiedzy na temat konserwacji domów. Między budynkami bawiły się dzieci, a starsi ludzie siedzieli na wyniesionych krzesłach i fotelach, co sprawiało wrażenie, jak gdyby spędzanie dnia we wnętrzu było dla nich nieprzyjemne. Wyniesione meble też były zniszczone i zaniedbane, podobnie jak ubrania dzieci i starców.

Za to ludzie, których zobaczyła Helena, wcale nie wydali jej się dziwni czy też w jakiś sposób inni. Wprawdzie mieli czarne włosy, ale też tylko nieznacznie ciemniejszą skórę niż wielu *pakeha*. Niektórzy byli krępej budowy ciała, ale wśród starszych ludzi można było dostrzec również mężczyzn wręcz chudych i bardzo umięśnionych, o skórze mocno wysuszonej przez słońce. Na kilku twarzach Helena zobaczyła tatuaże, o czym kiedyś opowiadała Miranda. Każdy ze szczepów miał swoje własne, specjalne *moko*, które wojownicy nie tylko malowali na twarzach, lecz także tatuowali, aby wyglądać groźnie i przerazić wrogów. Przynależność do danego szczepu można było też rozpoznać dzięki wzorom tkanym na tradycyjnych strojach – tego jednak tutaj nie było widać. Mieszkańcy *marae* nie byli ubrani inaczej niż biali ludzie w miastach.

Coś jednak działo się przed dużym, pomalowanym kolorowymi farbami domem, przed którym właśnie zatrzymał się autobus. Jedna z kobiet zaczęła śpiewać, a z grupy ludzi wystąpiło kilka młodych osób, które rzeczywiście wyglądały bardzo egzotycznie. Mężczyźni mieli włosy związane w osobliwe węzły, a *moko* na ich twarzach było wyraźnie świeże, jaskrawoniebieskiego koloru. Torsy mężczyzn były nagie, podobnie jak stopy, wszyscy ubrani byli w rodzaj spódniczek wykonanych z twardego lnu i sięgających do kolan. Wojownicy trzymali w rękach dzidy, a przy pasach mieli zawieszono noże i różnorodną broń. Młode kobiety były ubrane bardziej kolorowo. Ich długie, rozpuszczone włosy przytrzymywane były na czole szerokimi opaskami, a spódnice odpowiednio dobrane do ręcznie tkanych obcisłych bluzek w kolorach czarnym, czerwonym i żółtym. Podczas śpiewu i tańca na powitanie gości kobiety wirowały długimi taśmami, na końcu których przymocowano małe piłeczki z lnu. Efektem był towarzyszący melodii osobliwy, świszczący dźwięk.

Podopieczni Mr Tuckera jeszcze w czasie tego przedstawienia wysiadali z autobusu. Maorysi uśmiechali się do nich przyjaźnie, a kiedy pieśń skończyła się, z grupy wystąpiła młoda kobieta, której wiek Helena oceniła na mniej więcej dwadzieścia lat.

– *Haere mai!* – powitała wszystkich i dodała: – To znaczy: witajcie. Mam na imię Kaewa i cieszę się, że będę mogła dziś opowiedzieć wam o moim ludzie. Będziecie wraz z nami śpiewać, tańczyć, jeść i pracować – i dzięki temu może uda wam się zajrzeć w głąb naszych dusz i być choć przez chwilę z naszymi duchami...

Kilku chłopców zawołało w odpowiedzi: huuuu, ale ich uwagę zaraz przykuła grupa mężczyzn prezentujących wojenny taniec *haka*, co bardzo przypominało te tańce,

które w obozie chłopcy ćwiczyli wraz z zawodnikami grającymi w rugby. Helenie nie za bardzo to się podobało. Wprawdzie grymasy i miny tańczących nie przerażały jej, jednak mimo wszystko budziły u niej uczucie jakiegoś zagrożenia. Głośne tupanie w rytm muzyki powodowało, że zaczęła boleć ją głowa. Pomyślała, że na pewno będzie chora.

Po tańcach Kaewa opowiadała trochę o języku Maorysów i ćwiczyła z gośćmi prawidłową wymowę kilku zwrotów grzecznościowych. *Kia ora* oznaczało dzień dobry, *haere ra* – do widzenia, a *aroha mai* – przepraszam. Kaewa opowiedziała też o osobliwych instrumentach muzycznych, głównie fletach towarzyszących tancerzom, i wyjaśniła, że z niektórych dźwięków wydobywa się dzięki dmuchaniu w nie nosem. Maorysi nie mieli nic przeciwko temu, aby goście dotknęli instrumentów i spróbowali na nich zagrać. Takie ćwiczenia szybko przełamały lody między nimi a gospodarzami. Wkrótce słychać było śmiechy i chichotanie, dziewczęta próbowały wirować małymi piłeczkami z lnu zwanymi *poi-poi* i naśladowały kroki tancerzy. Chłopców interesowała broń wojowników, a starsi z nich przy okazji stwierdzili, że przerażające tatuaże młodych mężczyzn i bardziej delikatne u dziewcząt były jedynie namalowane niebieską farbą.

– My, Maorysi, dziś już prawie się nie tatuujemy – wyjaśniła Kaewa, choć ona sama miała na twarzy prawdziwe *moko*. Jej usta otaczało kilka subtelnych linii, co sprawiało, że twarz dziewczyny miała osobliwy wyraz, choć właściwie nie była zniekształcona.

– Łatwiej jest nam żyć obok *pakeha*, kiedy nie wyglądamy tak dziwnie. Gdy na przykład mężczyzna ma bardzo bogate *moko* na twarzy, nie dostanie tak łatwo pracy w mieście, bo jego wygląd budzi strach. Z naszego punktu widzenia jest to dość dziwaczne, bo akurat duże *moko* oznacza wielkie *mana*, czyli poważanie w szczepie. My raczej dalibyśmy pracę właśnie mocno wytatuowanemu mężczyźnie, niż takiemu, który nie ma tatuaży.

Kaewa opowiedziała, że swój tatuaż zawdzięcza babce. Stara Akona jest *tohunga*, czyli kimś w rodzaju kapłanki w szczepie, i to ona upierała się, aby wychowywać wnuczkę w zgodzie z tradycjami własnego ludu.

– Czy kobiety tatuuje się tylko wokół ust? – spytała Helena.

– Tak – odpowiedziała Kaewa. – I jest to znak tego, że bogowie tchnęli w nas ducha życia. Co prawda *pakeha* mówią, że jest dokładnie odwrotnie, to znaczy że Bóg powołał do życia za pomocą swojego oddechu Adama, a nie Ewę. – Dziewczyna mrugnęła żartobliwie. – Ale my, Maorysi, uważamy to za pomyłkę. Dla nas bóstwem jest Papatuanuku, matka ziemia i zarazem pierwsze żeńskie bóstwo. A Tane, jej syn, stworzył z kolei pierwszą kobietę z gliny. Później spłodził z nią córki. Synów oczywiście też. Ale pierwszy człowiek na ziemi był płci żeńskiej, tego my, Maorysi, jesteśmy pewni!

Tu Kaewa znów się uśmiechnęła.

– Jeśli zainteresowała was ta historia i chcielibyście usłyszeć inne legendy naszego ludu, a także dowiedzieć się więcej o naszych bogach i duchach, możecie odwiedzić moją babkę. Akona bardzo lubi rozmawiać ze swoimi gośćmi, choć co prawda tylko z tymi, którzy rzeczywiście interesują się naszą historią. Denerwuje ją, kiedy przychodzą do niej całe klasy, a połowa uczniów nudzi się albo robi głupstwa w czasie jej opowiadań. Dlatego proponuję, abyśmy podzielili się na grupy.

– Kto chciałby dowiedzieć się czegoś o naszym rolnictwie i tradycyjnej kuchni,

niech idzie ze mną – powiedziała druga młoda kobieta, która poprzednio grała na flecie, dmuchając w niego nosem, a potem objaśniała, jak to robić. – Mam na imię Emere. Poprowadzę was przez nasze pola, a potem nauczycie się, jak przyrządzać *hangi*. To taki specjalny sposób gotowania w ziemnym piecu, a duszenie potraw trwa całymi godzinami. Wykorzystujemy w tym celu aktywność wulkaniczną. Będziecie mogli potem spróbować upieczonego w ten sposób mięsa. A na koniec wszyscy razem zjemy smaczny posiłek.

– A kto jest zainteresowany tym, co robimy z lnem i jak na przykład robimy z niego spódniczki *piupiu*, ten idzie z Aku – powiedziała Kaewa, wskazując na kolejną młodą kobietę, która właśnie wystąpiła z grupy. – Ona pokaże wam też tradycyjne sposoby tkania lnu.

Kaewa popatrzyła na swoich młodych gości i uśmiechnęła się, widząc rozczarowane twarze chłopców. Miała dla nich inną propozycję.

– No, a jeśli ktoś z was chciałby poczuć się jak maoryski wojownik, ten dołączy do Hoani... – Z grupy wystąpił jeden z młodych mężczyzn i uśmiechnął się. – Hoani i jego przyjaciele nauczą was używania dzidy i maczugi wojennej, mamy też kanu, na którym będziecie mogli popływać. A na koniec wojownicy namalują wam *moko*. Oczywiście jeśli na to zasłużycie i będziecie odpowiednio dzielni i odważni w walce! – Kaewa roześmiała się.

– A czy ja mogę też dołączyć do wojowników? – spytała drobna, delikatna dziewczynka w wieku około dwunastu lat, o czarnych, mocno kręconych włosach, którą Helena na pierwszy rzut oka widziała raczej w grupie interesującej się tradycyjnym tkactwem. Ku jej zdziwieniu Kaewa zgodziła się natychmiast.

– Nasze kobiety często walczyły wraz ze swoimi mężczyznami. Są też specjalne rodzaje broni, zaprojektowane i wykonane specjalnie z myślą o ich dłoniach, Hoani pokaże ci je. Zanim zjawili się tu *pakeha*, wiele szczepów miało nawet żeńskich wodzów. Anglicy ich jednak nie uznali i odesłali kobiety do domów przed podpisaniem traktatu w Waitangi. Właściwie jest to zupełnie niezrozumiałe, przecież w tym czasie sami mieli w Anglii królową... Wiktorię, prawda? – Kaewa zwróciła się z tym pytaniem do Mr Tuckera i nie czekając na odpowiedź, dokończyła: – W każdym razie oni nie traktowali naszych kobiet poważnie, a nasi mężczyźni od razu wykorzystali tę sposobność, aby pozbawić żeńskich *ariki* władzy.

Kaewa pogardliwie się skrzywiła.

– A ci później odebrali kobietom własność ziemską, ponieważ *pakeha* nie uznawali też kobiet jako właścicielek ziemi. Tak, jeśli chodzi o kwestię kobiet, to Anglicy i Maorysi dogadali się bardzo szybko – zakończyła gorzko.

– Nauczę się teraz, jak z nimi walczyć – oświadczyła czarnowłosa dziewczynka zdecydowanie i ruszyła za wojownikami i ich grupą.

Helena nie za bardzo wiedziała, do której grupy ma się przyłączyć. Interesowało ją wszystko oprócz tego, co oferowali wojownicy. Miała wrażenie, że dostanie torsji, jeśli tylko poczuje zapach jedzenia. A z kolei czuła się zbyt słaba, aby wziąć udział w warsztatach tkania czy też wyplatania. Za to zawsze bardzo lubiła słuchać opowieści i za chwilę znalazła się tylko z Kaewą koło ogniska jej babki. Akona rozpałała je tuż przed swoją chatą, niezbyt dużą i sprawiającą wrażenie jeszcze bardziej prymitywnej niż

pozostałe domostwa. *Tohunga* zrezygnowała z wyniesienia przed nią krzesel czy ławy, tak jak robili to pozostali starcy we wsi. Oczywiście zaprosiła Helenę, aby ta usiadła na ziemi pod olbrzymim drzewem o rozłożystych konarach. Kaewa usiadła obok i Helena nagle miała wrażenie zanurzenia się w życiu Maorysów. Także dzięki strojowi Akony. Staruszka nie miała na sobie odzieży *pakeha*, lecz długą tkaną spódnicę i górną część w tradycyjnych kolorach szczepu. Na ramiona zarzuciła koc, choć było raczej ciepło – jak wiele starych kobiet łatwo marzła.

– Przyprowadziłaś tylko jednego gościa? – spytała Kaewę, nie kryjąc rozczarowania. Mówiła łamanym angielskim.

Kaewa odpowiedziała coś w języku Maorysów, a potem zwróciła się do Heleny.

– Powiedziała jej, że Polacy są nowymi, zupełnie nieznanymi gośćmi w Aotearoa – Aotearoa znaczy wielka, biała chmura i jest to maoryska nazwa Nowej Zelandii – i że być może nie zostaniecie tutaj, lecz wróćcie do Europy. I dlatego normalne jest, że nie interesujecie się tak bardzo naszą historią. Niestety, jeśli chodzi o naszych pozostałych gości, jest podobnie. Interesuje ich jedynie nasza broń i może jedzenie. Ale słuchać nas przez dłuższy czas, próbować nas zrozumieć... Tego zwykle chce tylko dwoje, może troje z naszych gości...

Ale Helena była bardzo ciekawa opowieści Akony, jedynie zapach ziół, które staruszka wrzucała do ognia, co miało pokojowo nastawić duchy, potęgował jeszcze jej ból głowy. A poza tym niełatwo było zrozumieć legendy, opowiadane przez Akonę cichym głosem. Stara kobieta od czasu do czasu przechodziła też na język swojego ludu i wówczas Kaewa musiała tłumaczyć.

Mimo wszystko Helena w ciągu następnej godziny usłyszała sporo na temat samych Maorysów, którzy swego czasu też byli imigrantami w nowym kraju. Przybyli do Nowej Zelandii siedemset lat wcześniej niż *pakeha* – z legendarnego wyspiarskiego raju zwanego Hawaiki. Akona opowiadała o Kupe – człowieku, który jako pierwszy przed laty postawił stopę na ziemi Nowej Zelandii. Kupe musiał uciekać ze swojej ojczyzny, bo uprowadził kobietę. A potem staruszka opowiedziała legendę o powstaniu świata w efekcie rozdzielenia kochającej się pary: ojca nieba i matki ziemi, do czego doprowadził Maui, półbóg, który najpierw schwytał księżyc, a potem próbował przechytrzyć śmierć. A na koniec Helena wysłuchiwała legend opowiadanych w okolicy *marae* Ngati Rangitane.

– Pewnego wojownika imieniem Hau opuściła żona, odchodząc z innym mężczyzną. Hau śledził oboje, idąc za nimi przez góry i lasy. Kiedy jednak zobaczył naszą rzekę, wydała mu się ona zbyt szeroka, aby można ją było przekroczyć. Sądził, że jego serce z rozpaczy musi się zatrzymać. Nazwał więc rzekę Manawatu – słowo *manawa* oznacza serce, a *tu* – zatrzymać się.

– I co było dalej? – spytała Helena. – Odnalazł swoją żonę?

Kaewa skinęła głową.

– Tak – powiedziała. – Odnalazł ją w Paekakariki. Najpierw chciał ją rzucić do morza, ale na to nie zgodziło się jego serce. Zamienił ją więc w skałę. I ona do dziś czuwa na południu Pukerua Bay.

– Smutna historia – powiedziała Helena... – Czy Maorysi mają też piękne legendy?

Takie, które się dobrze kończą? O ludziach, którzy kochają się do końca swoich dni?

Chciała wstać, sądząc, że mdłości i zmęczenie ustąpią, jeśli zacznie się ruszać. Ale w tym momencie wszystko zaczęło wirować przed jej oczami... Oparła się o drzewo, pod którym siedziały. Akona powiedziała, że to manuka, drzewo herbaciane... I że jego olejki pomagają na wszelkie dolegliwości. Drzewo manuka jest bardzo silne, chroni przed wiatrem i zimnem, także ogniem, w jego cieniu wzrastają inne rośliny. Stara kobieta opowiedziała też, że drzewa manuka przez wiele pokoleń chronią *marae* ludzi. Stare drzewa umierają, a z ich prochów powstają nowe...

Helena miała wrażenie, że czuje troskliwe objęcia duchów drzewa – a potem ogarnęła ją ciemność.

– Masz, wypij to!

Zamrugła oczami, czując w ustach gorzki smak osobliwego wywaru. Wokół niej ciągle jeszcze panowała ciemność i dziewczyna przeraziła się, sądząc, że oślepla. Za chwilę dostrzegła jednak, że leży w chacie Akony. Zatrokana Kaewa pochylała się nad nią, próbując wlać jej do ust napój o dziwnym smaku. Helena dostrzegła przez otwarte drzwi, że jej babka siedziała przy ognisku i mieszała coś w zawieszonym nad ogniem garnku. Stara kobieta śpiewała *karakia* – wyglądało to tak, jak gdyby przygotowywała jakiś czarodziejski napój.

Helena łykała posłusznie wywar, choć jego smak wydawał jej się wstrętny.

– Co to jest? – spytała słabym głosem. – I co się... co się ze mną stało?

– Straciłaś przytomność – odpowiedziała krótko Kaewa. – Może za dużo byłaś na słońcu. Akona zrobiła dla ciebie herbatę, po której poczujesz się lepiej. Ona jest zielarką, nie obawiaj się więc. Na pewno cię nie otruje.

Helena tego akurat się nie obawiała. Myślała o czymś innym.

– Ja jeszcze nigdy nie zemdlałam – powiedziała cicho. – Nigdy. Nawet na Syberii w czasie ciężkiej pracy na strasznym mrozie... Także mimo głodu. Ja... Ja pewnie jestem chora...

Akona, która akurat weszła do środka i podała Helenie porcelanową filiżankę z jakimś innym, równie dziwnie pachnącym wywarem, potrząsnęła głową i powiedziała kilka słów w swoim języku. Kiedy Kaewa je usłyszała, wyraz jej twarzy zmienił się. Popatrzyła uważnie na Helenę. W jej spojrzeniu można było dostrzec raczej troskę, a nie pytanie.

– Nie jesteś chora – przetłumaczyła słowa starej kobiety. – Akona mówi, że jesteś w ciąży. Czy to możliwe?

Przed oczami Heleny znów wszystko zaczęło się kręcić.

– Nie!

Jej pierwszą reakcją było zaprzeczenie. Ale za chwilę musiała pomyśleć realnie. Oczywiście, że to było możliwe! Helena wprawdzie nigdy o tym nie pomyślała – jej menstruacje zawsze były bardzo nieregularne, a na Syberii nie występowały całymi miesiącami, kiedy ciężkiej pracy towarzyszyło nędzne wyżywienie. W ogóle na Syberii żadna z kobiet nie zachodziła w ciążę, choć Helena wiedziała, że młode dziewczyny były niejednokrotnie gwałcone przez strażników. Ona sama nie postrzegала siebie jako kobiety, która mogłaby mieć dzieci, a jej spotkania z Witoldem zawsze związane były ze strachem,

bólem i odrazą. Nigdy nie myślała, że w takich okolicznościach możliwe jest poczęcie dziecka!

Ale przecież od chwili powrotu z Syberii zmieniło się wszystko. Helena od dawna już nie była niedożywiona i od kilku miesięcy miała też regularne menstruacje. I wtedy Witold zostawiał w jej wnętrzu swoje wstrętne nasienie – raz po raz, przez kilka tygodni. W żadnym wypadku nie było niemożliwe to, że ona nosiła w sobie dziecko!

– Akona mówi, że nie ma żadnych wątpliwości – przetłumaczyła Kaewa i pogładziła łagodnie czoło dziewczyny. – Ale widzę, że się nie cieszysz...

– Cieszysz się?! – oburzyła się Helena. – Jak mogłabym się z tego powodu cieszyć? Jeśli naprawdę jestem w ciąży... to... to wszystko będzie zniszczone! Myślałam, że się z tym uporałam... Że mi się udało... Nowy kraj, szkoła... Chciałam studiować... A teraz... To nie może być prawdą, po prostu nie może...

– Ty go nie kochałaś? – spytała Kaewa.

Helena gwałtownie potrząsnęła głową.

– Ja go nienawidzę! – wyszeptała cicho, potem trochę głośniej, aż wreszcie zaczęła krzyczeć: – Ja go nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę!

Po chwili wybuchnęła łzami. Szlochała pierwszy raz od chwili, w której Witold zmusił ją do współżycia, płakała głośno i z rozpaczą. Dawała upust swoim lękom i bólowi, co dotychczas znosiła bez słowa – w domu tych dwóch obcych kobiet, które być może nawet nie rozumiały tego, co ją dręczyło. Kaewa opowiadała przecież, że u Maorysów dzieci należą do całego szczepu i zawsze są mile widziane. Z pewnością krajowcy nie odrzuciliby jednej ze swoich kobiet, gdyby była w ciąży i nie miała męża. Za to w Polsce...

Rodacy Heleny byli surowymi katolikami. W obozie dziewczęta i chłopcy mieszkali osobno i mimo że wszyscy byli traktowani bardzo przyjaźnie, to jasne było, że romanse nie będą tolerowane. Jeśli któraś z dziewcząt z Małej Polski miałaby być w ciąży... Helena była pewna, że taka dziewczyna będzie natychmiast wypędzona. Nikt nie uwierzyłby w gwałt. Witold na pewno zaprzeczyłby wszystkiemu, a świadków przecież nie było. Jak taka kobieta miałaby dalej żyć w obcym kraju, bez krewnych i przyjaciół, z małym dzieckiem?

Kaewa objęła dziewczynę ramionami i głaskała ją po włosach.

– Spokojnie... Spokojnie... – mówiła cicho.

– On wszystko zniszczył – szlochała Helena. – Wszystko, o co tak walczyłam... Ale być może dobrze mi tak, może... Bo to wszystko od początku było jednym wielkim kłamstwem. Nie powinnam tu być. Tu miała przyjechać moja siostra Lucyna. Ja... Ja już nie chcę żyć.

Akona wskazała na porcelanową filiżankę.

– Wypij to! – powiedziała energicznie, choć przyjaźnie. – I nie mów o umieraniu, bo tylko wystraszysz swoje dziecko. Jesteś młoda i będziesz żyć. Będziecie żyć oboje.

Akona położyła obie ręce na brzuchu Heleny, jak gdyby mogła już wyczuć przyszłe życie.

– Zaśpiewam dla ciebie i dla twojego dziecka *karakia*.

Z tymi słowami wyszła z chaty, a za chwilę Kaewa i Helena usłyszały, jak jej

wysoki, starczy głos łączy się z trzaskaniem ognia.

Helena piła powoli wywar.

– Lepiej się już czujesz? – spytała Kaewa, kiedy dziewczyna odstawiała pusty kubek. – Musimy niedługo iść do twoich przyjaciół. Zjemy razem z wami, a potem pojedziecie do Pahiatua.

Helena skinęła głową. Powoli zaczęła się uspokajać. Wprawdzie ustąpił dotkliwy ból głowy, ale czuła się tak, jak gdyby ktoś owinął ją warstwą waty. Nie chciała i nie była w stanie teraz myśleć.

– Chyba powinnam umyć twarz – wymamrotała.

Kaewa wskazała wyjście z chaty.

– Tam niedaleko płynie rzeka – odpowiedziała.

Helena chwiejąc się nieco, wyszła z chaty i umyła twarz wodą z rzeki, której wojownik Hau obawiał się niegdyś tak bardzo, sądząc, iż jego serce przestanie bić. Helena pomyślała, że chciałaby teraz zamienić się w skałę, tak jak Hau zrobił to ze swoją niewierną żoną.

Ale oczywiście nie stało się nic. Za to Helena powoli zaczęła odczuwać głód, kiedy szła z Kaewą na plac zebrania. Pozostali goście byli już zajęci rozdzielaniem jedzenia. Wszyscy bardzo podekscytowani i dobrej myśli – dziewczęta wywijają piłeczkami *poi-poi*, które z niewielką pomocą same uplotły z lnu, a chłopcy z dumą pokazywali swoje *moko*.

Dziewczynka o czarnych, mocno kręconych włosach – Helena przypomniała sobie, że miała na imię Karolina – miała w ręce maczugę wojenną wykonaną z twardego drewna. Na jej twarzy widać było namalowane wzory budzących grozę tatuaży, jakie zwykle nosili tylko mężczyźni. Karolina zapewne uparła się, aby namalowano jej *moko* wojowników.

– To jest *mere rakau* – powiedziała zachwycona, pokazując Helenie maczugę. – Można tym kogoś zabić!

Helena spróbowała się uśmiechnąć.

– Pożyczysz mi ją, kiedy będę jej potrzebować, dobrze? – spytała cicho.

Twarcz Karoliny była poważna.

– Chcesz być wojowniczką jak ja? – spytała sceptycznie, zwracając w stronę Heleny swoją pomalowaną w niebieskie wzory twarz.

– Ona już nią jest – włączyła się do rozmowy Kaewa, która właśnie podeszła do Heleny, przynosząc jej miskę z ryżem i warzywami. Patrzyła z zadowoleniem, jak dziewczyna wzięła łyżkę potrawy do ust. Jedzenie było zaskakująco dobre, a zioła Akony najwyraźniej przywróciły jej apetyt. Kaewa po chwili wcisnęła jej do ręki woreczek.

– Masz, tu są zioła, z których musisz sobie ugotować herbatę i pić ją wtedy, kiedy będzie ci niedobrze – tak mówi moja babka. A to tutaj... – Kaewa wyciągnęła z torby małą figurkę zawieszoną na cienkim, rzemyku – ...to zrobiła Akona. Ta figurka będzie cię chronić.

Helena popatrzyła zdumiona na drewnianą, rzeźbioną figurkę z drzewa manuka.

– To jest Hineahuone, bogini płodności. Pierwsza kobieta, która powstała z gliny. Pamiętasz? Tane, bóg lasu, obudził ją do życia...

Helena miała nagle wrażenie, że znów czuje ducha drzewa manuka. Może



rzeczywiście coś w tym kraju będzie ją chronić. Zanim wsiadła do autobusu, wymieniła z Kaewą *hongī*, tradycyjne pozdrowienie Maorysów, i poczuła jakąś otuchę, kiedy dotknęła delikatnie nosa i czoła maoryskiej dziewczyny.

– *Haere ra, taina!* – powiedziała Kaewa. – Wszystkiego dobrego, mała siostró. Życzę ci wiele szczęścia!

A Helena znów pomyślała o Lucynie.

## ROZDZIAŁ 8

Helena potrzebowała kilku dni, aby uporać się ze świadomością swojej ciąży. Z początku łudziła się, że stara Maoryska mogła się pomylić, ale szybko zrozumiała, że wszystko przemawiało przeciwko temu. Nie była przeziębiona – wręcz przeciwnie, kiedy inni w jej domu walczyli z bólami gardła i zatkanymi nosami, Helena z każdym dniem czuła się lepiej. Dzięki herbacie Akony ustąpiły mdłości oraz problemy z krążeniem i dziewczyna dostrzegła także inne zmiany zachodzące w jej ciele, których dotychczas usiłowała nie widzieć. Cały czas przybierała na wadze, jej piersi były napięte, a brzuch coraz twardszy. Bez wątplenia była w ciąży i wiedziała, że nie będzie w stanie tego długo ukrywać. Helena sądziła, że to mniej więcej trzeci miesiąc.

Nie wiedziała, kiedy zacznie być widoczny jej brzuch, ale z pewnością miało to nastąpić niebawem. Trudno było już teraz nie dawać niczego po sobie poznać. Panująca w obozie grypa była wprawdzie z początku istnym darem nieba, bo współmieszkanki Heleny, chcąc nie chcąc, musiały więcej uwagi poświęcać sobie i młodszemu rodzeństwu i nie dostrzegały jej porannych mdłości oraz wyraźnego przygnębienia. Ale kiedy Natalia wyzdrowieje, zacznie z pewnością zadawać pytania, podobnie jak Miranda. Helena rozmyślała gorączkowo, co powinna była zrobić. W pierwszym odruchu chciała wtajemniczyć we wszystko Mirandę i miała nadzieję, że dziewczyna nie będzie zszokowana, a może nawet znajdzie jakieś rozwiązanie, czego właściwie można było oczekiwać od tej młodej, świadomej swej wartości kobiety. Ale nie mogła przecież prosić Mirandy, aby zachowała tę wiadomość dla siebie. Jako opiekunka dziewczyna będzie musiała zgłosić w kierownictwie obozu fakt ciąży, a wówczas być może Helena będzie stąd wydalona. Instykt przeżycia dziewczyny nakazywał jej korzystać tak długo, jak to tylko było możliwe z bezpiecznego bytu, jedzenia i schronienia, jakie dawał obóz. Może uda się nawet ukrywać ciążę aż do samego porodu. W każdym razie warto było próbować.

Warto też było spróbować porozmawiać z Witoldem. Choć sama myśl o tym była już odstręczająca, to rozsądek mówił, że to dziecko, które w niej rosło, miało tylko jedną szansę na normalne życie: Witold musiał je uznać i ożenić się z nią. Helena czuła, że jest winna takiej ofiary dla dziecka. Alternatywą było życie na ulicy. Możliwe nawet, że Helena wraz ze swoim bękartem będzie odesłana do Polski, jak tylko kraj będzie wolny.

Nocami, kiedy nie mogła spać, przed jej oczami pojawiały się kolejne koszarne scenariusze. Widziała samą siebie zebrzącą z dzieckiem na zaśnieżonych ulicach Lwowa albo Warszawy, słyszała, jak mała dziewczynka płacze z głodu. Wyobrażała sobie, jak z rozpaczą prosi o możliwość uszycia czegoś polskie gospodynie, które po wojnie też przecież niczego nie posiadały. A co będzie, kiedy nie uda jej się znaleźć żadnej uczciwej pracy? Będzie musiała sprzedać swoje ciało, robić dobrowolnie to, do czego zmuszał ją Witold. Już małżeństwo z Witoldem będzie lepsze od tego. Razem mogliby przynajmniej starać się o uzyskanie obywatelstwa Nowej Zelandii.

Z ogromną niechęcią tydzień po powrocie z wycieczki do Palmerston udała się w drogę do ojca swojego dziecka. Znalazła Witolda w bibliotece szkolnej – było to miejsce doskonale nadające się do rozmowy. Helena uznała to za dobry znak i starała się powitać swojego dawnego prześladowcę możliwie przyjaźnie, choć już na sam jego

widok ogarnęło ją obrzydzenie. Witold także nie sprawiał wrażenia zachwyconego.

– Czego tu szukasz? – spytał obcesowo. – Przyszłaś się przede mną ukorzyć? A więc brakuje ci naszych zabaw... Szkoda tylko, że nie będę ci mógł służyć – wyprostował się dumnie. – Jestem zaręczony, moja słodka Lucyno, i wkrótce będę uczciwym obywatelem Nowej Zelandii. I nie zaryzykuję tego dla twojej przyjemności!

Helena osłupiała. Nie sądziła, że Witold mówi poważnie.

– To... nie była dla mnie żadna przyjemność – odpowiedziała sztywno. – I wcale nie pragnęłabym, aby to się powtórzyło. Mimo to nie będziesz mógł się ożenić z twoją Miss Sherman, bo musisz ożenić się ze mną. Jestem w ciąży, Witoldzie, i to za twoją przyczyną!

Witold popatrzył z niedowierzaniem w jej bladą twarz, a potem objął spojrzeniem jej ciągle szczupłą postać.

– Tak, to prawda – dodała Helena.

Po chwili Witold najwyraźniej opanował się. Wyraz przerażenia i zaskoczenia na jego twarzy ustąpił obojętności, a jego pełne wargi rozciągnęły się w złośliwym uśmiechu.

– Ja mam się ożenić z tobą? – syknął przyciszonym głosem. – Nie do wiary! I tego dziecka też nie dam sobie wmówić! Kto wie, z iloma jeszcze się zabawiałaś! Ostrzegam cię, Lu-cy-no! Nie próbuj mi zszargać opinii! Nadal mogę opowiedzieć komu trzeba, jak się tu zakradłaś. Wymyślę już odpowiednią historię. Współczuję ci, bo uważałem cię za uczciwą dziewczynę... do chwili, kiedy mnie do tego zmusiłaś i zaczęłaś twierdzić, że cię w ogóle dotknąłem... A jak zaczniesz chodzić z brzuchem, to wszyscy zobaczą, coś ty za jedna!

Helena zagryzła wargi. Czy ludzie z kierownictwa obozu rzeczywiście będą tak na to patrzeć? Czy Witold będzie mógł tak przedstawić sprawę, że oficjalnie to jej będzie przypisane nadużycie? Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Za to Witoldowi nie zabrakło słów.

– Wynoś się więc, Lucy, i poszukaj sobie innego głupiego na ojca dla twojego bachora. A najlepiej pozbądź się go. O ile będziesz w stanie zdobyć na to pieniądze...

– P... pieniądze? – wyjąkała Helena.

– W każdym razie ode mnie ich nie dostaniesz! – oświadczył Witold. – A jeśli znów zaczniesz mnie nachodzić, to cię wydam!

Witold rzucił na stół książkę, którą właśnie kartkował, po czym odwrócił się i wyszedł. Helena przez chwilę pomyślała o maczudze małej Karoliny. Miała w uszach jej pełne dziwnej radości słowa: *tym można kogoś zabić*... Nie wiedziała, co zrobiono tej dziewczynce, ale teraz ona sama też nie miałaby żadnych skrępowań. W tym momencie była zdolna zmiażdżyć czaszkę Witolda twardym drewnem!

Pełna wściekłości oddawała się w myślach przeróżnym fantazjom, idąc powoli do domu. Ale za chwilę znów ogarnęło ją poczucie beznadziei i rozpacz. I jak gdyby nie było dość na ten dzień podłości Witolda, to poczta przyniosła jej kolejne rozczarowanie. Helena już w czasie pierwszych dni w Małej Polsce napisała list do Lucyny, walcząc z nieczystym sumieniem, chęcią podzielenia się własnymi przeżyciami oraz pragnieniem pojednania. Siostra z pewnością była na nią wściekła i w odpowiedzi list byłby pełen

pretensji i wyrzutów, ale powinna była przynajmniej wiedzieć, że Helena miała się dobrze. Bo Helena była wówczas pełna optymizmu, jeśli chodziło o jej dalsze życie w obozie. Jeśli będzie uczyć się i studiować – to może rzeczywiście za parę lat uda jej się znaleźć pracę i zarabiać na tyle dobrze, aby móc ściągnąć tu Lucynę. W liście prosiła więc siostrę o wybaczenie, zapewniała ją o swojej miłości i liczyła na odpowiedź.

Tego dnia poczta zwróciła zapieczętowany list. Na kopercie znajdowała się uwaga urzędu pocztowego obozu w Teheranie o treści: DORECZENIE NIEMOŻLIWE. HELENA GRABOWSKA OPUŚCIŁA OBÓZ 3 NA WŁASNE ŻYCZENIE.

Helena poczuła napływające do oczu łzy. Lucyna najprawdopodobniej postanowiła nie tracić ani chwili. Zgodnie z dokumentami starszej siostry była pełnoletnia, miała już nawet dziewiętnaście lat i mogła chyba wyjść za mąż. Najprawdopodobniej wyjechała wraz z Kaspem – w przyszłość, której w żadnym wypadku nie pragnęliby dla niej rodzice...

Helena płakała tej nocy i przynajmniej nie musiała niczego ukrywać. Opowiedziała Natalii o liście i o zniknięciu siostry.

Dziewczyna w odpowiedzi oburzyła się.

– Najwyraźniej twój los był zupełnie obojętny Helenie! – stwierdziła. – Bo w przeciwnym razie zostawiłaby przynajmniej swój adres. Albo przedtem dowiedziałaby się o twój. Przecież kierownictwo obozu w Teheranie wie, gdzie jesteś.

Ale potok łez Heleny nie ustawał. Doskonale wiedziała, dlaczego Lucyna zrezygnowała z wszelkich poszukiwań siostry. Przede wszystkim naraziłaby się na niebezpieczeństwo zetknięcia się z doktor Virchow. Lekarka rozpoznałaby siostrę i wykryła oszustwo. A przecież bez wątpienia były też inne możliwości odnalezienia Heleny w Nowej Zelandii. Miejsce pobytu dzieci polskich uchodźców było znane władzom obozu w Teheranie. Natalia miała rację. Ale bez względu na to, czy Helenę oburzyło zniknięcie Lucyny, czy też nie – dziewczyna zrozumiała w tym momencie, że była na świecie zupełnie sama. Jedyłą istotą, która do niej należała, było to niechciane dziecko w jej łonie.

W końcu udało jej się wreszcie zasnąć – ale wcześniej rano obudziła się, dygocąc ze strachu, i znów zaczęła rozmyślać – i nagle przyszło jej coś do głowy. Może nie była aż tak sama w Nowej Zelandii? Przecież Neumannowie, czyli wujek Werner wraz z rodziną, mieszkali w Wellingtonie. A Helena dotychczas nie próbowała się z nimi skontaktować. Życie w Małej Polsce było pełne wrażeń i tak dokładnie wypełniało czas, że ani nie miała czasu, ani też nie odczuwała potrzeby napisania do starych znajomych rodziców, nie mówiąc już o odwiedzinach. Teraz jednak sytuacja wyglądała nieco inaczej. Serce Heleny biło szybko – czuła ogromną nadzieję, ale jednocześnie także wstyd. Czy szukanie u nich jakiegoś wsparcia nie będzie bezczelnością? Była przecież bez żadnych środków, w ciąży, a to hańba dla całej rodziny. A może powinna spróbować? To nie musi oznaczać, że wujek Werner ją do siebie przyjmie, ale może mógł chwilowo wspomóc ją finansowo, aż ona znajdzie jakąś pracę. Tylko... co wtedy zrobić z dzieckiem?

Znowu do jej myśli wkradły się słowa Witolda: *najlepiej pozbyć się tego*. Czy rzeczywiście była jakaś możliwość zakończenia tej ciąży wcześniej? A jeśli tak – czy to

nie będzie czyn niegodziwy? Jej dziecko umrze, bo ona tego będzie chciała. Mimo wszystko Helena zdała sobie sprawę, że poczułaby ulgę, gdyby w obecnej sytuacji nie musiała troszczyć się o dziecko. A może dałoby się wywołać poronienie? Wówczas nie dręczyłoby jej takie poczucie winy.

Spróbowała do tego doprowadzić poprzez intensywne bieganie wokół Małej Polski, ale jedynym efektem było klucie w boku. Czy w takim razie powinna była zrobić to, co podpowiadał jej Witold? „Pozbyć się tego”? Zgodnie z jego słowami było to możliwe. Helena zastanawiała się, gdzie mogłaby się czegoś na ten temat dowiedzieć. Ale za chwilę porzuciła te myśli. Nie dysponowała przecież żadnymi środkami finansowymi. Miała tylko adres Wernera Neumanna...

Po południu poszła na dworzec i zapytała o cenę biletu do Wellingtonu. Młodzi emigranci otrzymywali niewielkie kieszonkowe, aby w czasie wycieczek mogli kupić sobie słodycze czy lody. Helena dotychczas nie zrobiła tego nigdy i jej oszczędności wynosiły teraz kilka funtów. To mogło wystarczyć na bilet trzeciej klasy.

– Ale tylko w jedną stronę – poinformowała ją młoda kobieta w okienku kasy, policzywszy pieniądze, które podsunęła jej Helena. – Na bilet tam i z powrotem potrzebuje pani jeden funt więcej.

Helena zagryzła wargi. Czy powinna była podejmować takie ryzyko? Po chwili skinęła głową.

– Poproszę więc bilet w jedną stronę do Wellingtonu. Na najbliższą niedzielę.

Neumannowie z pewnością pomogą jej, jeśli chodzi o ten funt. Nawet jeśli jej sprawa miałaby spotkać się tylko z pogardą.

WYJŚCIE

HIGH WYCOMBE, ANGLIA

WELLINGTON, LOWER HUTT, NOWA ZELANDIA

(WYSPA PÓŁNOCNA)

CANTERBURY PLAINS, NOWA ZELANDIA

(WYSPA POŁUDNIOWA)

STYCZEŃ 1945

## ROZDZIAŁ 1

– Coś jeszcze?

Arthur Harris, naczelny dowódca Royal Air Force Bomber Command, w tej chwili z wielką chęcią udałby się na zasłużony odpoczynek. Zakończył właśnie omawianie akcji w bunkrze, a wszyscy jego oficerowie otrzymali odpowiednie rozkazy. Tej nocy kolejne niemieckie miasta miały być objęte zasięgiem nalotów dywanowych. W płomieniach staną kolejne ulice, zginą tysiące ludzi. Harris zawsze bronił sensowności i popierał konieczność tych bombardowań. Służyły one demoralizacji niemieckiej ludności cywilnej, a poprzez to także wojska. Od chwili wylądowania Amerykanów i Brytyjczyków w Normandii, co miało miejsce ubiegłego lata, wojska aliantów napotykały już tylko niewielki opór Wehrmachtu. Dowództwo aliantów przypisywało to właśnie bombardowaniom miast. Ludzie, bez względu na to, czy byli cywilami, czy też żołnierzami, mieli już po prostu dość wojny. Hitler i jego siepacze będą to kiedyś wreszcie musieli zrozumieć, a do tej chwili Brytyjczycy i Amerykanie chcieli kontynuować bombardowania.

Ale mimo to i Harris, i jego podwładni czuli się podobnie, kiedy stale musieli brać na siebie odpowiedzialność za śmierć tysięcy ludzi w miastach Zagłębia Ruhry i innych niemieckich aglomeracji. Kiedy Harris po raz kolejny lakonicznie wyznaczał cele najbliższej nocy – przeważnie wystarczało wymienić jedynie nazwy miast – to potem chciał być zupełnie sam. A poza tym było też zawsze dużo papierkowej roboty.

Harris wszedł więc do swojego biura i najchętniej zamknąłby za sobą drzwi na klucz. Ale wokół biurka chodził już wyraźnie niespokojny adiutant. Wilsonowi widocznie leżało coś na sercu, jednak nie ważył się tego powiedzieć od razu.

– Jest taka sprawa, sir – zaczął wreszcie. – Mamy tu... hm... pewien problem. Młody mężczyzna, pewien pilot. Jeden z tych Nowozelandczyków...

Harris, silnie zbudowany blondyn o jasnych oczach, z owalną twarzą i starannie podciętymi wąsami, skinął głową z uznaniem.

– Bardzo dzielni chłopcy. To, jak oni latają, graniczy wprost z szaleństwem!

– Tak... – westchnął Wilson. Wyraz jego twarzy był wręcz nieszczęśliwy. – No i tu pojawia się problem. To, co robi ten właśnie chłopak, to... wariactwo. On lata na mosquito.

Harris znów skinął głową.

De havilland mosquito należały do najbardziej wszechstronnych samolotów bojowych, jakimi dysponowała Air Force. Jeden lub dwa z nich były przydzielane zawsze grupie pilotów, których Harris wysyłał do Niemiec. W ostatnich miesiącach wojny wykorzystywano je głównie jako samoloty myśliwsko-bombowe. Na ich wyposażenie składały się bomby i karabiny maszynowe, a ich celami były pociągi, dworce i niemieckie konwoje zaopatrzeniowe. Te małe, zwinne maszyny w Belgii zaatakowały nawet główną kwaterę gestapo. Ich obsługa wymagała wyjątkowych zdolności i umiejętności lotnika. Tylko najlepszym wolno było zasiąść za sterami de havillanda mosquito...

– ...no i on lata jak diabeł po prostu – Wilson kontynuował próbę przedstawienia swojego problemu. – Lata każdą maszyną, którą dostanie. Szkolenie jako pilot zrobił

w Air Force, ale chyba umiał latać już przedtem. Jego nauczyciele nie mogli się go nachwalić w każdym razie.

– No i co dalej? – przerwał Harris niecierpliwie. Rozwlekłość jego adiutanta działała mu czasami na nerwy. – Proszę przejść do sprawy, Wilson!

– Ten mężczyzna wystartował już trzy razy do bombardowania. Dwa razy miał ostrzelać dworce i raz konwój wojskowy. Ale nigdy nie zrzucił bomb. Za pierwszym razem zdetonował je nad polem, za drugim nad kanałem...

– Co takiego? – Harris odwrócił się gwałtownie. – Odmowa wykonania rozkazu. Tchórzostwo przed wrogiem! Jego przełożeni powinni go aresztować i zagrozić mu karą śmierci...

Wilson zagryzł nerwowo wargi.

– Ale nie tu leży sedno sprawy, sir. Bo on nie jest tchórzem, wręcz przeciwnie. W czasie tych trzech akcji zestrzelił osiem myśliwców wroga. Jak tylko ktoś go atakuje, to on rzuca się do walki, leci za Niemcami i strzela ze wszystkich luf... Dokładnie tak, jak pozostali kiwi.

Określenie „kiwi” było przydomkiem Nowozelandczyków.

– Oni nie boją się śmierci i za każdym razem ryzykują życie...

Harris zmarszczył czoło i podparł brodę na rękach.

– Osiem zestrzelonych myśliwców w czasie trzech akcji? To nadaje się do odznaczenia Krzyżem Wiktorii.

– Właśnie – odpowiedział Wilson. – Ten chłopak za swoje wyczyny nadaje się do odznaczenia Krzyżem Wiktorii i jednocześnie powinien stanąć przed sądem wojennym. Może zechce pan z nim porozmawiać? Przyprowadził go podpułkownik Beasley. On czeka na dworze.

Harris podniósł się z rezygnacją. Wyglądał imponująco w swoim ciemnoniebieskim mundurze, ze złotymi dystynkcjami służbowymi na lewej piersi.

– No to w imię Boga, proszę go wpuścić...

Młody mężczyzna był wysoki, bardzo szczupły i miał dryblasowate, długie nogi. Miał też rudobrązowe, mocno kręcone włosy i uważne, piwne oczy, które teraz były mocno zatroskane. Zaraz po wejściu stanął przepisowo na baczność, zsalutował i zameldował się:

– Starszy sierżant James McKenzie, 5 regiment bombowców.

Harris popatrzył na niego surowo.

– Spocznij, sierżancie! – wydał rozkaz. – Wiadomo panu, dlaczego się pan tu znalazł?

McKenzie skinął głową z wyraźnym poczuciem winy.

– Tak, sir! – odpowiedział. – Ja... wrzuciłem swoje bomby do wody... – dokończył z zakłopotaniem.

– I co ma pan na swoją obronę? O czym pan wtedy myślał?

Młody mężczyzna nerwowo przygryzł wargę.

– O niczym nie myślałem, sir – przyznał. – W każdym razie nie planowałem tego. Naprawdę chciałem zrzucić bomby nad celem. Ja... Tylko ja nie mogłem tego zrobić.

Harris stęknął.



– Nie mógł pan znaleźć dźwigni? – spytał ironicznie.

McKenzie podniósł odruchowo rękę, jak gdyby chciał przeczesać włosy.

– Sir... – powiedział z wyraźnym udręczeniem. – Miałem zrzucić bomby nad dworcem, w środku miasta pełnego ludzi. Tam na dole były dzieci, kobiety, starzy ludzie... I ten... ten domniemany konwój militarny... Rzeczywiście było tam kilka czołgów. Ale głównie wozy ciągnięte przez konie i samochody ciężarowe pełne cywilów, uciekinierów...

Harris przewrócił wymownie oczami.

– Nawet gdyby to była prawda – zastrzegł, bo samoloty typu Mosquito zwykle były wysyłane tylko w celu bombardowania celów wojskowych – to gdzie tu jest problem? Nasza strategia polega na doprowadzeniu do demoralizacji niemieckiej ludności cywilnej. Chodzi o to, aby osłabić ich morale. Bo jeśli ludność przestanie popierać Hitlera, to on nie będzie mógł robić tego, co robił i do tej pory robi.

James tym razem rzeczywiście przeczesał palcami włosy.

– Myślałem... – wymamrotał. – Myślałem, że Hitler każe rozstrzeliwać ludzi. To znaczy tych, którzy go nie popierają...

Harris popatrzył na niego ze złością.

– A więc jest pan zdania, że bombardowania są błędem? Wątpi pan w słuszność strategii aliantów? Ośmiela się pan być mądrzejszy od wszystkich naszych generałów?

Młody mężczyzna potrząsnął głową.

– Nie odważyłbym się nawet tego oceniać – odpowiedział szybko. – Tylko że... ja nie mogę... Nie jestem w stanie tego robić. Kiedy lecę nad miastami i mam zrzucić bomby, jestem po prostu jak sparaliżowany. Mam przed oczami te dzieci i te... – W ostatniej chwili powstrzymał się i nie powiedział: zwierzęta. Byłoby to zbyt niezręczne i prawdopodobnie Harris oceniłby to jako coś w rodzaju pogardy dla ludzi, gdyby McKenzie powiedział, że miał przed oczami nie tylko dzieci, kobiety w ciąży i starców, kiedy sięgał ręką do dźwigni opuszczającej klapę. Myślał wtedy także o sympatycznych pyskach owczarków z Kiward Stadion, o kotach, które przeciągały się na sianie w szopie i koniach ciągnących wyładowane fury uchodźców. Dzieci i zwierzęta nie rozumiały, dlaczego ich miasta zamieniały się w płonące piekło niosące śmierć – podobnie chyba jak wielu dorosłych. I nawet jeśli ci ludzie na dole mieliby czuć się winni za bombardowanie Londynu i Coventry – to i tak nie mogli niczego zmienić. James, od kiedy zaczął brać udział w tego rodzaju akcjach, zrozumiał, dlaczego jego ojciec, weteran pierwszej wojny światowej, stał się zagorzałym pacyfistą. Wiedział też, co czuł Jack McKenzie, kiedy wysłano go na pewną plażę na drugim końcu świata po to tylko, aby tam zabijał ludzi, którzy nie zrobili mu nic złego. I którzy prawdopodobnie tak samo jak on nie chcieli wojny.

– Ja po prostu nie mogę tego robić – powtarzał James, teraz już wyraźnie przybity. Harris skrzywił usta.

– A co z załogami zestrzelonych przez pana ośmiu myśliwców? – zakpił. – Chyba jest pan świadomy tego, że ci ludzie nie mogli przeżyć upadku z tej wysokości?

James zagryzł wargi.

– Ja nie jestem pacyfistą, sir – uściślił. – Zgłosiłem się ochotniczo do wojska i chcę

walczyć za British Empire. Ale nie... z kobietami i dziećmi.

– Ale jest pan świadom także tego, że w efekcie zestrzelenia ośmiu wrogich myśliwców umożliwił pan swoim angielskim kolegom zrzuć bomb na wspomniane kobiety i dzieci? – egzaminował dalej Harris, nie nawiązując do odpowiedzi Jamesa.

Młody mężczyzna przełknął ślinę.

– Tak, sir. I ja... ja mówiłem już, że... że nie mam żadnego planu. To wszystko nie jest ani mądre, ani logiczne... i ja... nie podważam sensu pańskiej strategii. Jeśli te bombardowania mają się odbyć, to wtedy... wtedy... Ja po prostu nie mogę – opuścił wzrok przy ostatnich słowach.

Marszałek Harris westchnął.

– To proszę się na razie odmeldować – rozkazał. – Zobaczymy, co z panem zrobić. Wilson!

Adiutant zjawił się natychmiast. Prawdopodobnie stał pod drzwiami. I pewnie podsłuchiwał. Harris poczekał, aż McKenzie opuścił pokój.

– Proszę przenieść tego człowieka do oddziału myśliwców – nakazał adiutantowi. – Niech mu tam dadzą spitfire'a i skierują go do wsparcia jednostek lądowych i pancernych. Jeśli będzie to wymagało dodatkowego szkolenia, to trzeba go na nie wysłać. I zachowajmy milczenie na temat tej wpadki ze zrzucaniem bomb – chłopak jest trochę dziwny, ale uczciwy. Bardziej nam się przyda w kokpicie niż w więzieniu.

Wilson skinął głową, sprawiając jednak wrażenie mocno zakłopotanego.

– Jest jeszcze jedna sprawa, sir – powiedział i wyciągnął jakiś papier z teczki dokumentów przygotowanych do podpisania. – I to też dotyczy sierżanta McKenziego. Proszę... – Podał przełożonemu kartkę papieru. Harris natychmiast rozpoznał nagłówek.

– Premier Nowej Zelandii? A co obchodzi Mr Frasera nasz zwariowany lotnik?

Harris zacisnął wargi.

– No, ten młody mężczyzna... hm... jego rodzina wydaje się być bardzo ustosunkowana. W każdym razie Mr Fraser prosi nas uprzejmie, o ile tak w ogóle można określić żądanie, aby zwolnić ze służby na wojnie sierżanta McKenziego. Ponoć na tego młodego człowieka czekają obowiązki w kopalniach i fabrykach jego rodziny i są to obowiązki bardzo ważne także dla tej wojny. Sierżant McKenzie zdołał się od nich wywinąć, zgłaszając się ochotniczo do wojska. Nie jest tchórzem, jak już ustaliliśmy. Ponoć jednak w Greymouth bez niego sobie nie poradzą – zakończył adiutant.

Harris zmarszczył czoło.

– Czy naprawdę chce pan twierdzić, że górnictwo węgla kamiennego oraz przemysł stalowy całego kraju zależą od tego, czy taki młody chłopak będzie siedział w biurze w Greymouth zamiast u nas w samolocie? Zwłaszcza że w moim przekonaniu nie wygląda na rasowego urzędasza. Zakładałbym raczej, że wychował się na farmie...

Wilson wzruszył ramionami.

– Ja niczego nie twierdzę, sir – odparł sztywno. – Przekazuję panu tylko treść tego pisma. Z którego wynika choćby to, że rodziny McKenziech i Lambertów – pismo sporządził niejaki Ruben Lambert z firmy Lambert Coal and Steel – posiadają znaczne wpływy w Nowej Zelandii. Mr Fraser nie chce ich rozgniewać. A więc, co z tym zrobimy?

Harris podniósł w górę obie ręce w geście rezygnacji i przeszedł się kilka razy po swoim biurze.

– Proszę odesłać tego chłopaka z powrotem – zdecydował w końcu. – Zmieniam zdanie. Więcej z nim kłopotu, niż sam jest wart. Ach, prawda, i proszę przekazać mu to raczej ogłędnie. Wygląda na to, że po prostu uciekł, aby zgłosić się na ochotnika do wojska, a te kombinacje jego rodziny... Sierżant McKenzie przypuszczalnie będzie miał po raz pierwszy w życiu ochotę zrzucić bomby na osoby cywilne...

James McKenzie czekał na wyrok w swojej sprawie w mesie oficerskiej, której wygląd sprawiał wrażenie cywilnego pomieszczenia. Kwatera główna Air Force w High Wycombe była doskonale zamaskowana, a budynki znajdujące się na powierzchni ziemi miały wyglądać jak domy mieszkalne. Mesa oficerska przypominała piękny, otoczony starymi drzewami budynek farmy, zaś wieżę strażniczą można było wziąć za wiejski kościółek. Większość pomieszczeń konferencyjnych i centrala głównodowodzącego sztabu znajdowały się w bunkrach.

James mieszał nerwowo herbatę w swoim kubku – angielską kawę uważał za wstrętą – do chwili, kiedy podszedł do niego podpułkownik Beasley. Oficer machnął ręką, kiedy James chciał poderwać się i zsalutować.

– Niech pan siedzi, McKenzie. I tak to już wszystko jedno...

James zmarszczył czoło.

– Co jest wszystko jedno? – spytał. – Czy to znaczy, że zostałem zdegradowany? Czy też... Czy też stanę przed sądem wojennym? Wiem, że popełniłem błąd, ja...

– Niech pan już nie zaczyna – powiedział wyraźnie znużony Beasley. – Już pan wszystko dokładnie opowiedział i przedstawił pan swoją sprawę marszałkowi Harrisowi zgodnie z regulaminem. On by pana tylko przeniósł. Ale nastąpiła interwencja wyższych czynników...

James McKenzie wpadł we wściekłość, kiedy Beasley opowiedział mu o czekających go zadaniach, ponoć bardzo ważnych dla celów toczącej się wojny, i o jego odwołaniu do Nowej Zelandii.

– To kompletna bzdura, sir! I paskudna sztuczka! W dodatku bardzo stara, wykorzystano ją już w czasie pierwszej wojny światowej, aby ściągnąć z frontu służącego tam mojego wuja! Mój ojciec opowiada o tym do dzisiaj! A teraz robi to samo ze mną! Ja w ogóle nie mam nic wspólnego z górnictwem! Jestem z Canterbury Plains. Mamy tam farmę owczą.

Przy tych słowach oczy McKenziego błysnęły.

Beasley wzruszył ramionami.

– I to zapewne bardzo dużą farmę – zauważył. – W przeciwnym wypadku pańscy rodzice nie mieliby aż takich wpływów. Co pański ojciec ma przeciwko temu, że służy pan w wojsku? Musiał poruszyć niebo i ziemię, skoro wmieszano w to aż premiera.

– Mój ojciec jest pacyfistą – odparł gniewnie James. – Jego zdaniem w żadnych okolicznościach nie wolno prowadzić wojny. Trzeba pertraktować za wszelką cenę i nie dopuszczać do konfliktu zbrojnego. Ale co należałoby zrobić w przypadku Adolfa Hitlera, to on też za bardzo nie wie, jednak upiera się przy takim rozwiązaniu. Mówi, że jest farmerem, a nie politykiem. Wojna jest niedopuszczalną opcją...

Podpułkownik Beasley potarł czoło.

– Czy jest bardzo religijny? – spytał.

James potrząsnął głową.

– Nie, nie jest. I nie zawsze był taki jak teraz. Walczył w czasie pierwszej wojny światowej, i to bardzo odważnie, dostał nawet jakiś order. Nie wiem jaki, nigdy o tym nie opowiadał, a ten order komuś podarował.

Beasley uniósł brwi w zdumieniu. Jeszcze nie słyszał o tym, że ktoś darował komuś swój medal otrzymany na froncie za odwagę.

– Może to było odznaczenie honorowe dla rannych w czasie wojny – zastanawiał się James. – Bo mój ojciec był ciężko ranny. W czasie ostatniej ofensywy pod Gallipoli.

– Och... – Beasley zrozumiał. Oblężenie pod Gallipoli było jedną z największych tragedii pierwszej wojny światowej. ANZAC, czyli połączone armie Nowej Zelandii i Australii, próbowały wówczas zająć turecki półwysep Gallipoli, aby wykorzystać go jako bazę wypadową konieczną do zajęcia osmańskiej stolicy – Konstantynopola. Turcy i żołnierze ANZAC leżeli naprzeciw siebie w okopach całymi miesiącami. Co chwilę dochodziło do ataków po jednej i po drugiej stronie, w efekcie czego na idyllicznej plaży życie straciło ponad sto tysięcy żołnierzy. Zakładanych celów nie osiągnięto. Stanowiska Turków były niemożliwe do zdobycia. W końcowej fazie bitwy pod osłoną nocy i mgły ewakuowano ostatnich czternaście dywizji ANZAC. Dramat ojca, który James McKenzie przeżył od początku do końca dzięki opowieściom, doskonale tłumaczył jego postawę wobec wojny.

– Przykro mi, chłopcze – powiedział Beasley zrezygnowany. – Czytałem o Gallipoli. To musiało być coś potwornego, i bezsensownego. Tylko Bóg dziś wie, kto wydał taki rozkaz. Bo w gruncie rzeczy wystarczyło jedno spojrzenie na tę plażę, aby zrozumieć, że należy zaniechać wszelkich prób zajęcia jej...

James skinął głową.

– Mój ojciec powtarza to stale. Gallipoli było nie do zdobycia, bo zbyt łatwo można było je obronić. Jeśli tylko Turkom wystarczało amunicji, można było kazać biec na ich pozycje milionom ludzi. I tak byłoby to zupełnie bezcelowe. Ale dziś... Dziś to co innego! Dziś decyzje podejmują ludzie rozsądni. Strategie aliantów... – urwał i zagryzł wargi. Czy te naloty i tysiące zrzuconych bomb też będzie się oceniać za kilkadziesiąt lat jako bezsensowne zbrodnie przeciwko ludzkości? Podobnie jak teraz ocenia się Gallipoli?

– Ale my wygramy przecież tę wojnę, prawda? – spytał cicho. – Także jeśli wrócę do Nowej Zelandii?

Beasley poklepał go po ramieniu.

– Chłopcze, my już wygraliśmy tę wojnę! – powiedział krzepiącym głosem. – Tylko ten szaleniec w Berlinie musi to wreszcie pojąć. Być może potrwa to jeszcze kilka miesięcy, ale koniec jest bliski. Czy to z pańskim udziałem, czy też bez. Obiecuję to panu, McKenzie. Niech pan więc wraca do domu i pozdrowi ode mnie swojego ojca, który właściwie ma rację. Kiedy to się wszystko skończy, nikt już nie będzie chciał wojny!

## ROZDZIAŁ 2

Helena w czasie tej podróży nie dostrzegła urody krajobrazu, przez który pędził pociąg, choć nie obawiała się już tak bardzo przy przejeżdżaniu przez kolejne tunele i mosty na Rimutaka Incline, jak wtedy w czasie jazdy z Wellingtonu do Małej Polski. Pograżyła się w niewesołych rozmyślaniach i rozpaczliwie próbowała zapanować nad najczarniejszymi przewidywaniami co do swojej przyszłości. Choć jak na razie wszystko szło dobrze. Rankiem odmeldowała się w kierownictwie obozu i oświadczyła, że chce spędzić dzień ze znajomymi z Palmerstonu. Nikt nie zadawał dodatkowych pytań – w takim wypadku odpowiadałaby, że chce odwiedzić Kaewę. Powiedziała prawdę jedynie Natalii – nie chciała zniknąć tak całkiem bez śladu. Ktoś musiał wiedzieć, dokąd się naprawdę udała, na wypadek gdyby w drodze stało się jej coś złego. Oczywiście przyjaciółka była podekscytowana, słysząc, że „Lucyna” ma znajomych w Wellingtonie, i zapytała od razu, dlaczego nie nawiązała z nimi najpierw kontaktu korespondencyjnego. Ale Helena odpowiedziała, że próbowała to zrobić, jednak listy wróciły nierozpieczętowane.

– Prawdopodobnie nie zgadza się numer domu – stwierdziła pozornie spokojnym głosem. – Ale wujek Werner jest dentystą. Na tej ulicy na pewno ktoś będzie go znał.

Natalii na szczęście nie przyszło do głowy, że w takim razie listonosz także powinien wiedzieć, gdzie znajduje się gabinet dentysty. Dziewczyna życzyła Helenie szczęścia i udanej podróży.

Miranda, która w międzyczasie już wyzdrowiała, zadałaby z pewnością parę bardziej dociekliwych pytań, ale tej niedzieli także jej nie było w obozie. Spędzała weekend ze swoją rodziną i planowała pojechać do portu po krewniaka, który właśnie wracał z wojny. Helena znów zaczęła mieć wątpliwości – może jednak należało wtajemniczyć we wszystko młodą kobietę albo choćby powiedzieć jej o Neumannach. Miranda na pewno pożyczylaby jej pieniądze na podróż powrotną. Teraz jednak niczego nie można było już zmienić. Helena musiała zrobić wszystko, aby jej pomysł miał jak najwięcej sensu. Łudziła się tylko, że Elizabeth Street, na której Neumannowie mieszkali przed wojną, nie jest ani zbyt długa, ani też nie znajduje się zbyt daleko od dworca.

I jeśli chodziło o to ostatnie, to miała szczęście. Spytała w kiosku z gazetami o ulicę, a sympatyczny sprzedawca od razu pokazał ją jej na planie miasta.

– To nie jest wprawdzie tuż za rogiem, ale może pani iść tam na piechotę – stwierdził. – To mniej więcej dwie mile stąd i raczej nie można zabłądzić. Proszę iść po prostu wzdłuż portu aż do Kent Terrace, potem w prawo i w lewo.

Helena podziękowała i ruszyła w drogę. Pogoda była bardzo odpowiednia do jej nastroju: z nieba padała drobna mżawka. Dziewczyna zawinęła się w chustę – nie miała nieprzemakalnej kurtki. Wiedziała, że zanim dotrze do Elizabeth Street, to wprawdzie nie przemoknie całkiem, ale na pewno trochę zmarznie.

Z niewielkim zainteresowaniem stwierdziła, że tego dnia do portu w Wellingtonie zawiązał właśnie duży transportowiec wojskowy. Jednak z jego pokładu nie schodzili uchodźcy, lecz głównie ranni żołnierze. Im więc także udało się uciec przed wojną – i prawdopodobnie mieli przed sobą mniej mroczne perspektywy na przyszłość niż Helena.

Dziewczyna przestała o tym myśleć i skoncentrowała się na poszukiwaniach.

Elizabeth Street była spokojną ulicą, przy której wznosiły się głównie domy mieszkalne. Wprawdzie rzeczywiście nie znajdowała się w centrum miasta, ale też szybko można było do niej stamtąd dotrzeć. Było to idealne miejsce, jeśli chodzi o gabinet dentystyczny. Przy ulicy znajdowało się cztery czy pięć kompleksów budynków. Helena sądziła, że szybko uda jej się znaleźć dom Neumannów, którego numer, co zapamiętała, był dwucyfrowy. Rozpoczęła poszukiwania od domu numer dziesięć i powoli szła ulicą, czytając nazwiska na tabliczkach przy drzwiach albo na skrzynkach na listy. Po krótkim czasie zwróciło to uwagę mieszkańców. Starsza kobieta otworzyła drzwi, kiedy Helena czytała napis na jej skrzynce na listy.

– Czy mogę pani jakoś pomóc? – spytała przyjaźnie.

Helena uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Tak, ja... ja szukam państwa Neumannów. Doktor Werner Neumann, dentysta. On mieszka na tej ulicy, tylko nie znam numeru jego domu.

Kobieta skinęła głową.

– Neumannowie mieszkali tam naprzeciw – wyjaśniła bez wahania i wskazała na śliczny drewniany dom w stylu kolonialnym, znajdujący się po drugiej stronie ulicy. – To byli bardzo mili ludzie.

Helena zagryzła wargi. Nie brzmiało to dobrze.

– Czy oni... przeprowadzili się? – spytała, nie kryjąc rozczarowania. – Może wie pani, gdzie teraz mieszkają?

Kobieta znów skinęła głową, ale jej twarz zachmurzyła się.

– Są teraz na Somes Island, dziecko, w obozie dla internowanych. Przecież to Niemcy... W każdym razie tak ich potraktowano. To niesprawiedliwość wołająca o pomstę do nieba! Mrs Neumann tak gorzko płakała. Bała się strasznie, bo oni są przecież Żydami. A mieli ją uwięzić razem z Niemcami...

– Jak to uwięzić?

Helena czuła, że świat znów kręci się wokół niej. Miała nadzieję, że jej krążenie nie zacznie znowu wariować – powinna była jednak pomyśleć o tym, aby zabrać z obozu coś do jedzenia.

Kobieta popatrzyła na nią uważnie i chyba nie uszło jej uwagi wrażenie, jakie ta wiadomość zrobiła na Helenie.

– Dziecko, niechże pani wejdzie do środka – zaprosiła Helenę. – Zbladła pani. Jest pani ich krewną? I Niemką? Ależ nie, bo wówczas też byłaby pani przecież na Somes Island... Zrobię pani herbaty.

Chwilę potem Helena siedziała w ciepłej, przytulnej kuchni Mrs Deavers, sączyła z przyjemnością herbatę i słuchała, co przytrafiło się Neumannom w Nowej Zelandii.

– Ta rodzina zaraz po przejściu władzy przez nazistów uciekła z Niemiec. Doktor Neumann kupił dom naprzeciwko i otworzył tam gabinet. W gazetach co prawda psioczyli na uchodźców z Niemiec – że niby nasz rynek zaleją tłumy lekarzy i dentystów, kiedy przyjmiemy wszystkich Żydów – ale to była bzdura, bo aż tylu ich nie było. Neumannowie w każdym razie dobrze się tu odnaleźli, jego żona była bardzo miła, dzieci chodziły do szkoły razem z naszymi. Z początku miały trochę kłopotów z językiem, ale

kiedy jest się młodym, nauka przychodzi szybko i łatwo. I wkrótce potem, jeśli chodzi o język, praktycznie nie było różnic między dziećmi Neumannów a naszymi. I wszystko było dobrze do chwili, kiedy wybuchła wojna i komuś w rządzie przyszło do głowy, że mieszkający tu Niemcy są potencjalnymi szpiegami, zamachowcami, zdrajcami, czy ja wiem, co jeszcze. I że dlatego muszą być koniecznie internowani. Doktor Neumann próbował protestować, w końcu miał już od dawna obywatelstwo, a Niemcy przecież nie chcieli Żydów u siebie. Ale to nic nie dało. Neumannów wysłano najpierw do Palmerstonu, a potem na Somes Island. A teraz docierają tu wieści o okropnych rzeczach i o tym, co Niemcy robią z Żydami w Europie... Dlaczego więc Żyd miałby dla nich szpiegować? I o czym miałby wiedzieć doktor Neumann? Adolfa Hitlera nie interesują przecież zęby cywilnej ludności Nowej Zelandii.

Mrs Deavers umilkła, widząc znieruchomiałe oczy Heleny.

– Niechże pani tak nie rozpacza, Miss Lucyna, powodzi im się dobrze. Mrs Nails z sąsiedztwa jest przyjaciółką Irene Neumann i utrzymuje z nią kontakt. Na pewno będzie mogła dać pani ich adres. A my wszyscy mamy oko na ich dom. Neumannowie będą mogli się natychmiast wprowadzić, kiedy to szaleństwo się skończy...

Helena potarła ręką czoło – znów bolała ją głowa. Neumannom mogło powodzić się dobrze mimo pobytu w obozie dla internowanych, ale jej te informacje niewiele dały. Zmusiła się do zjedzenia kilku ciastek, które postawiła przed nią Mrs Deavers. Nie miała wprawdzie pojęcia, jak wróci do Pahiatua, ale przynajmniej nie chciała stracić przytomności na ulicy.

Spędziła jeszcze pół godziny z sympatyczną, choć nieco ciekawską sąsiadką Neumannów i opowiedziała trochę o sobie, o swoim pochodzeniu i o Małej Polsce. Przez chwilę zastanawiała się, czy ma poprosić Mrs Deavers o brakujące pieniądze na bilet, ale nie potrafiła przezwyciężyć własnej nieśmiałości.

Pożegnała się, wyszła i policzyła z rozpaczą te szylingi, które jej pozostały. Musiała spróbować pojechać jak najdalej w kierunku Palmerston. Albo od razu zostać w Wellingtonie...

Helena zastanawiała się, jakie miała szanse zdobycia jakiejś pracy w Wellingtonie. Jak długo nie było widać ciąży, było to bardziej możliwe niż później, może więc lepiej nie czekać, aż wyrzucą ją z Małej Polski. Dziewczyna zajrzała już do gazety w Pahiatua, szukając ogłoszeń o wolnych posadach. W dużej gazecie w Wellingtonie będzie ich z pewnością o wiele więcej, należało tylko taką gazetę zdobyć.

Dziewczyna ruszyła więc w drogę na dworzec. Może sympatyczny sprzedawca z kiosku z gazetami, którego pytała przedtem o drogę, pozwoli jej za darmo zerknąć na ogłoszenia, a ona mogłaby zapamiętać kilka adresów albo zanotować. Było już jednak późne popołudnie. Czy wystarczy jej pieniędzy na jakiś tani hotel, aby rankiem mogła udać się na poszukiwanie pracy? Z pewnością nie. A może choć na schronisko młodzieżowe? Ale tu Helena z przerażeniem uświadomiła sobie, że nie miała przy sobie żadnych dokumentów. Jej paszport leżał w szafie w pokoju w Pahiatua.

Znów poczuła nagły atak mdłości. Rozumiała już, że jej na pierwszy rzut oka dobry plan właśnie spalił na panewce. Może mogłaby jakoś przetrwać sama w Wellingtonie, ale z pewnością nie nielegalnie.

Na dworcu czekało ją kolejne rozczarowanie. Podróż na północ w jedną stronę była droższa niż tam i z powrotem. W żadnym wypadku nie mogła więc dotrzeć do Greytown czy też jeszcze dalej, jak miała nadzieję. Kilka monet wystarczyło zaledwie na dojazd do Upper Hutt, małej miejscowości oddalonej o mniej więcej dwadzieścia mil od Wellingtonu. Nie stanowiło to nawet jednej czwartej drogi do Pahiatua. Helena mimo wszystko kupiła bilet. Najważniejsze wydało jej się teraz opuszczenie Wellingtonu. Miała nadzieję, że w wiejskiej okolicy Upper Hutt znajdzie jakąś możliwość podwózki na samochodzie ciężarowym jadącym na północ.

Na razie nie chciała o tym w ogóle myśleć. Właściwie nie chciała o niczym myśleć, musiała jednak przyznać, że zawały się jej wszystkie dotychczasowe plany i nie było już żadnej nadziei. Mogła jedynie próbować ukryć ciążę do samego końca, urodzić dziecko gdzieś w obozie i potem podrzucić je na izbę chorych... Czy było to możliwe?

Usiadła w kącie przedziału i z przygnębieniem wpatrywała się w mijany krajobraz. Nie chciała już ani myśleć, ani planować. Najchętniej po prostu umarłaby.

– Musi pani zaraz wysiadać...

Konduktor, który skontrolował bilet Heleny, wyrwał dziewczynę z apatii, wskazując zbliżającą się stację z napisem: Upper Hutt.

Skinęła głową. W międzyczasie dochodziła już piąta, zrobiło się zimno, a z nieba znów padała drobna mżawka. Za jej welonem Helena zobaczyła senne, opustoszałe miasteczko – i nie był to krzepiący widok. Wyszła z pociągu i ruszyła w kierunku Main Street. Ulica była zupełnie pusta, nie było widać ani jednego przechodnia, pojazdu, nie mówiąc już o samochodzie ciężarowym, który jechałby w kierunku Pahiatua czy Palmerstonu. Helena westchnęła, zawinęła się ciasniej w swoją chustę i ruszyła w drogę na północ. Od chwili śmierci swojej matki jeszcze nigdy nie czuła się tak samotna i opuszczona przez wszystkich.

Szła powoli i coraz częściej rozmyślała o tym, że najlepiej byłoby, gdyby zakończyła życie swoje i dziecka. Przypomniały jej się powieści, które czytała dawno temu – w nich kobiety będące w niechcianej ciąży rzucały się pod pociąg albo topiły się w rzece. Na to ostatnie Helena nie miała ochoty zupełnie – wystarczała jej wilgoć lecąca z nieba. A od torów kolejowych też zdążyła się oddalić. Roześmiała się gorzko. Nawet tu zaprzepaszczona szansa...

Na chwilę wróciły dawne wyrzuty sumienia. To oczywiste, że przeżyła pobyt w obozie na Syberii nie po to, aby się teraz zabić. Czepiała się życia ze wszystkich sił, aby ratować Lucynę. To było jej zadanie, tego oczekiwała od niej jej matka i może także Bóg. W tym momencie, w którym zdradziła swoją siostrę, opuściło ją szczęście...

Wdepnęła w kolejną kałużę – jej buty były już zupełnie przemoczone, a stopy powoli zamieniały się w sople lodu. A może ten marsz wbrew wszelkiemu rozsądkowi był jakimś rozwiązaniem – bo kiedy będzie szła aż do kompletnego wyczerpania i przemarznie, to z pewnością straci dziecko. Albo kiedy zacznie pościć, jak tylko znajdzie się w obozie. Z pewnością płód umrze wcześniej, niż ona sama... Poronienie, i to jak najszybciej, kiedy można było jeszcze wszystko ukryć, było jej jedyną, ostatnią szansą. Nagle przypomniała jej się pewna sąsiadka ze Lwowa. Dora Chomska straciła swoje dziecko, kiedy potracił ją przejeżdżający samochód! A taki wypadek można było



spowodować z łatwością. Oczywiście ryzykując przy tym własne życie. Dora wówczas też omal nie zginęła.

Helena wlokła się z trudem dalej. Było już prawie całkiem ciemno. Im bardziej była wyczerpana i zubożniała, tym bardziej chciała mieć już za sobą wszystko, ale na tej opuszczonej przez Boga i ludzi drodze właściwie nie było ruchu samochodowego!

Jednak Bóg chyba wysłuchał jej rozpaczliwych modłów. Usłyszała szum silnika nadjeżdżającego samochodu. Obejrzała się. Za nią był zakręt, a więc kierowca mógł ją zauważyć dopiero w ostatniej chwili. Chwyliła małą figurkę bogini płodności, którą tego ranka zawiesiła na szyi. Miała nadzieję, że Hineahuone przyniesie jej szczęście – jej i jej dziecku.

Odwiedziny u Neumannów mogły jeszcze odwrócić kartę. Teraz jednak należały do przeszłości. Cienki rzemyk pękł, kiedy Helena szarpnęła go z wściekłością. Zacisnęła w pięści *hei-tiki*, słysząc coraz głośniejszy hałas nadjeżdżającego samochodu. A potem osunęła się na drogę.

## ROZDZIAŁ 3

Miranda Biller jeździła swoim autem mniej więcej tak, jak jej kuzyn James latał samolotami – ryzykownie i zawsze z możliwie największą prędkością. James, który od godziny siedział obok niej w sportowym pojeździe marki Aston Martin Ulster, kurczowo trzymał się fotela.

Był zrozpaczony, kiedy statek zawinął do portu, a on jako jedyny młody i zdolny do służby mężczyzna schodził na ląd wśród rannych bohaterów. Wolałby zostać zestrzelony nad Niemcami, niż wracać do Nowej Zelandii w takim upokorzeniu i poczuciu klęski! Styl jazdy Mirandy spowodował, że James szybko zmienił zdanie. W żadnym wypadku nie chciał umierać, a już na pewno nie chciał, aby samochód kuzynki rozbił się o jedno z drzew na skraju wiejskiej drogi nieopodal Lower Hutt.

Ale Miranda najwyraźniej nie dostrzegała jego huśtawki uczuciowej. Ani nie zauważyła jego rozpaczy po zejściu z pokładu czy też jego obaw związanych ze stylem jej jazdy. Czekwała na statek w znakomitym nastroju i radośnie powitała kuzyna, kiedy ten zszedł z pokładu. Oznajmiła, że cała rodzina jest szczęśliwa, mogąc go widzieć zdrowego i żywego. Skwitowała wzruszeniem ramion gniew Jamesa na knowania jego ojca, dzięki którym syn znalazł się w Nowej Zelandii.

– Przecież zestrzeliłeś kilka samolotów wroga! Masz więc swój udział w tej wojnie. No i czyż nie dostałeś orderu?

James skrzywił się ze złością. Odznaczenie zwane szumnie Zaszczynym Krzyżem Lotniczym, przyznawane za odwagę na polu walki z wrogiem, traktował jako coś w rodzaju nagrody pocieszenia. Podpułkownik Beasley przyśpieszył procedurę nadania orderu, zanim młody lotnik ruszył w drogę powrotną. James stwierdził ponuro, że mógł dokonać o wiele więcej i bardziej przyczynić się do zwycięstwa aliantów, co Miranda skwitowała trzeźwą uwagą, że mógł także zginąć.

A potem zaprowadziła go do swojego ślicznego, nowego auta – jaskrawoczerwony sportowy samochód był prezentem od jej matki otrzymanym z okazji dwudziestych urodzin – i poinformowała kuzyna, że najpierw zabierze go do swojej rodziny.

– Do Christchurch w tym tygodniu i tak nie wypływa żaden statek. Co prawda możesz zapytać w Air Force, czy dadzą ci samolot, żebyś mógł tam dotrzeć wcześniej. Albo po prostu zostaniesz u nas kilka dni i odpoczniesz. Moi rodzice są akurat w Lower Hutt. Możesz pojeździć konno z moją matką albo pogrzebać w ziemi z ojcem...

Billerowie posiadali daczę w górach i jeśli jakaś gazeta dla kobiet pisała coś o Lilian Biller, to autor artykułu zawsze zachwycił się, że tamtejsze spektakularne krajobrazy wspaniale inspirują pisarkę Brendę Boleyn – tak brzmiał literacki pseudonim Lilian.

Matka Mirandy śmiała się z tego, bo tak naprawdę wcale nie potrzebowała żadnych inspiracji. Lilian mogłaby pisać swoje melodramatyczne powieści nawet w dworcowej poczekalni – kiedy zanurzała się w świecie swych marzeń, to i tak w ogóle nie dostrzegała tego, co ją otaczało. Dom w Lower Hutt kupiła, aby móc trzymać swoje dwa konie na wsi i mieć możliwość długich przejażdżek – o wiele lepszych niż w parku miejskim w Wellingtonie. Jednak głównym powodem kupna akurat tego domku były wykopaliska

archeologiczne. W tej okolicy budowniczy kolei natknęli się na *pa* – starą wieś maoryską otoczoną umocnieniami. Wieś nie była zniszczona, a jej mieszkańcy opuścili ją bez walki z nieznanymi powodami. Ben Biller aż płonął chęcią ustalenia, co było tego przyczyną, i miał nadzieję, że odnajdzie ukryte w ziemi spektakularne artefakty z wczesnego okresu zasiedlania Aotearoa. W czasie letnich wakacji przebywał tu stale wraz z dwójką lub trójką swoich studentów. Lilian uważała za zbyt ryzykowne, że jej mąż mieszka w namiocie gdzieś w dziczy, bo profesor Benjamin Biller był człowiekiem wysoce niepraktycznym. Matka Mirandy obawiała się nie bez racji, że jej mąż spowoduje pożar lasu w efekcie używania kochera albo doprowadzi do katastrofalnego osuwiska ziemnego podczas rozbijania namiotu na zboczu jakiejś góry. Dom, oddalony zaledwie o milę od wykopalisk, był więc rozsądną alternatywą. Ben sypiał w normalnym łóżku i każdego ranka zjadał porządne śniadanie, po czym ruszał ze swoimi narzędziami do *pa*.

– A moja mama w międzyczasie może wszystkiego doglądać i przypilnować, aby mój roztargniony ojciec nie wpadł do dołu, w którym Maorysi gotowali mięso, wykorzystując aktywność wulkaniczną ziemi, bo z pewnością by się w nim upiekł żywcem! – podsumowała Miranda bez cienia szacunku dla rodziców.

Czekał ich więc pobyt w Lower Hutt. James bez dalszych sprzeciwów dołączył do Mirandy w ten smutny, szary dzień swego powrotu do Nowej Zelandii. Ostatnie, co przyszło mu do głowy, to lot samolotem Air Force na Wyspę Południową. Jak miałby uzasadnić swoją obecność kolegom z eskadry lotniczej? W ostatniej, bardzo gorącej fazie wojny pilotów raczej nie wysyłano na urlop do domu.

Miranda zignorowała ponury nastrój kuzyna i radośnie paplała o wszystkim, co tylko przyszło jej do głowy – także o swojej pracy w polskim obozie dla sierot, bardzo istotnej jej zdaniem dla celów toczącej się wojny. Jednocześnie prowadziła samochód, nie za bardzo zwracając uwagę na drogę. James czuł skurcz żołądka przed każdym zakrętem i kiedy teraz na drodze tuż przed nimi zupełnie znieznana pojawiła się jakaś postać, skulił się gwałtownie, spodziewając się uderzenia. Ale Miranda nawet nie zdjęła nogi z gazu, widząc kogoś dokładnie przed sobą, lecz w ułamku sekundy gwałtownie skręciła kierownicę swego bardzo zwrotnego samochodu. Mimo że sprawiała wrażenie niedoświadczonej i delikatnej dziewczyny, była jednak znakomitym kierowcą. Samochód w trakcie tego manewru na chwilę stracił kontakt z podłożem, ale, co zaskakujące, spadł miękko na wszystkie cztery koła tuż obok balustrady na skraju drogi. Nie utracił prędkości i potoczył się w kierunku grupy drzew na poboczu. James miał wrażenie, że jego kuzynka nie panuje nad kierownicą, ale Miranda gwałtownie przycisnęła hamulec i pojazd zatrzymał się tuż przed drzewami.

– Och – powiedziała dziewczyna z całkowitym spokojem. – Co to było?

– Wszystko z tobą w porządku? – James na razie nie wierzył, że ani jej, ani jemu nic się nie stało. Oboje jednocześnie odwrócili się i popatrzyli na drogę, na której wyraźnie widzieli przykucniętą postać.

– To młoda kobieta! – dostrzegła Miranda. – Co jej się stało? Przecież jej nie przejechałam?

– Ona płacze – stwierdził James. – Tak, myślę, że ona płacze.

Helena szlochała rozpaczliwie. Była przygotowana na uderzenie, wręcz go

pragnęła – ale czerwone auto minęło ją dosłownie o włos. Dziewczyna, dygocząc ze strachu, zobaczyła, że kierowca i jakaś kobieta szli teraz w jej stronę. Spodziewała się wyrzutów – prawdopodobnie samochód był zniszczony i to ona była za to odpowiedzialna. Na domiar wszystkiego otrzyma więc jeszcze wysoki rachunek za naprawę.

Ale młody mężczyzna, który dotarł do niej pierwszy, ujął ją za ramiona i odwrócił ku sobie. Sprawiał raczej wrażenie bardziej zatroskanego jej stanem niż oburzonego. Helena miała przed sobą szczupłą twarz z piegami na spiczastym nosie. Ta twarz kogoś jej przypominała... A potem nagle miała wrażenie, że śni, bo kobieta, która szła za młodym mężczyzną, to była właśnie Miranda Biller, która rozpoznała dziewczynę i zawołała zaskoczona:

– To jest Lucyna! Co ty tu robisz, Lucyna? Lucyna to jedna z polskich sierot w Pahiatua – Miranda zwróciła się teraz do młodego mężczyzny, kiedy Helena nie odpowiedziała. – A to jest mój kuzyn James. – Miranda objęła Helenę ramionami. – Lucyno, powiedz coś wreszcie! Skąd się tu wzięłaś? Zupełnie sama i całkowicie przemoczona... Dokąd chciałaś iść?

– Pewnie do Pahiatua – wyraził swoje przypuszczenie James. – Kierunek w każdym razie się zgadza. Czy była pani... czy byłaś... w Wellington, miss... ehm... Lucyno?

James nie wiedział, jak miał się zwracać do dziewczyny. Miranda mówiła o sierocie, ale jej podopieczna z pewnością nie była dzieckiem. Kiedy Helena podniosła głowę, James zobaczył przed sobą zapłakaną, ale mimo to śliczną twarz może osiemnastolatki, otoczoną burzą brązowych włosów. Rankiem z pewnością je upięła, ale teraz warkocze się rozplotły, a jednemu brakowało wstążki. Wyraz twarzy młodej Polki i rozpacz w jej oczach poruszyły go. Dziewczyna sprawiała wrażenie zrezygnowanej, zaszczutej, przerażonej i odartej z wszelkiej nadziei... W dużych, niebieskich oczach można było niemal wyczytać całą jej historię.

– Nie Lucyna... – odpowiedziała, szlochając, a James wziął te słowa za próbę poprawienia nieprawidłowej wymowy imienia, ale po chwili usłyszał: – Ja nie jestem Lucyna. Ja jestem... Helena. Lucyna to moja siostra. A ja... ja...

James popatrzył bezradnie na kuzynkę.

– Rozumiesz coś z tego? – spytał.

Miranda potrząsnęła głową.

– Nie. Ale to bez wątplenia jest Lucyna albo przynajmniej dziewczyna, którą zarejestrowaliśmy w obozie jako Lucynę Grabowską. Sądzę, że w tym momencie nie ma to znaczenia, trzeba ją zabrać z tego deszczu i z ulicy. Potem może nam opowiedzieć, co to wszystko znaczy. Lucyno, to wyglądało tak, jakbyś umyślnie chciała rzucić się pod mój samochód! Czy tak było? – spytała z naciskiem Miranda.

Helena w odpowiedzi rozsłochała się jeszcze bardziej.

– Zabierzemy cię więc teraz do wiejskiego domu moich rodziców – zdecydowała Miranda, chcąc podnieść rozdygotaną Helenę, ale wyręczył ją kuzyn, którego poprosiła o pomoc.

– Pomóż jej wstać, James, a ja przyprowadzę samochód. Mam nadzieję, że uda mi

się wyjechać nim z powrotem na ulicę.

– Powiedz mi jeszcze raz, jak się nazywasz – zwrócił się do niej James, podając jej rękę. – I nie martw się. Bez względu na to, skąd jesteś, jak się nazywasz i dokąd chciałaś jechać – wszystko na pewno będzie dobrze.

Helena popatrzyła w jego brązowe, sympatyczne oczy – ten młody człowiek wierzył w to, co mówił. Ona sama nie. Nie chciała ująć podanej ręki, nie chciała nigdy więcej dotknąć mężczyzny.

– Skąd pan wie? – spytała niespodziewanie gniewnie i spróbowała sama wstać. – Nie zna mnie pan przecież. W ogóle nie wie pan, co zrobiłam i co mnie spotkało... – Zachwiała się nagle i chcąc nie chcąc, musiała pozwolić, aby kuzyn Mirandy objął ją i podtrzymał. Wyprostowała się i cofnęła gwałtownie.

Jamesowi jej bliskość wydała się przyjemna. Chciał odgarnąć włosy z jej twarzy – była tak delikatna, krucha i poczuł to, kiedy objął ją ramieniem, pomagając jej wstać. Nie chciała tego, ale przecież tak bardzo potrzebowała pomocy. Popatrzył w jej oczy i postarał się, aby jego głos brzmiał naprawdę ciepło.

– Helena... – zaczął. Wymówił jej imię powoli i na pewno zgodnie z wymową angielską. – Być może spotkało cię coś strasznego i może ty także zrobiłaś coś złego, ale to wojna – i łatwo o jedno i drugie. Czasami nie należy i nie można tego oceniać. Ktoś na przykład mówi, że słuszne jest zrzucanie bomb na miasta, bo dzięki temu wojna będzie trwała krócej, a ktoś inny stwierdzi, że to zbrodnia i nie ma żadnego wpływu na przebieg wojny. I kto ma rację? Możesz opowiedzieć mi czy też Mirandzie albo jej rodzicom, co zrobiłaś czy też co się stało. Ale nie musisz tego robić i pozostać po prostu Lu... Heleną. Mnie osobiście imię Helena podoba się o wiele bardziej...

James poczuł bicie serca, widząc nieśmiały uśmiech na zalanej łzami twarzy Heleny.

– I mogę cię zapewnić – mówił dalej – że dziś jesteś całkowicie bezpieczna... Nic ci nie zrobię, tylko pomogłem ci wstać.

– Kiedy w obozie dowiedzą się o wszystkim, wyrzucą mnie – wyszeptwała Helena. – Byłoby lepiej, gdybym umarła...

James potrząsnął głową.

– Na pewno nie! – oświadczył. – A jeśli chodzi o to drugie... Może nie będzie tak źle, jak ci się wydaje – uśmiechnął się. Dostrzegł, że Mirandzie udało się wjechać na ulicę samochodem. Zatrzymała się tuż koło nich. Ujął Helenę za rękę.

– Co ty tu masz? – spytał, kiedy poczuł pod palcami małą figurkę, którą kurczowo trzymała Helena. Dziewczyna instynktownie zacisnęła dłoń, jak gdyby w obawie, że James zabierze figurkę, ale on zdążył ją dostrzec i rozpoznać.

– Och, to *hei-tiki!* – powiedział. – No to widzisz teraz, dlaczego udało ci się uniknąć wypadku. To dzięki temu talizmanowi! – mrugnął do Heleny. – Ja też mam podobny – dodał i wyciągnął zza koszuli swoją figurkę boga. – To prezent od pewnej przyjaciółki...

Helena zobaczyła misterną figurkę z jodeitu ze skrzydłami jak u ptaka.

– To *manu*, czyli latawiec i zwany *birdman* – człowiek ptak – wyjaśnił James. – Właściwie te figurki są o wiele większe i wykonuje się je z kory albo z liści. Maorysi puszczają je z wiatrem, aby zносиły bogom jakieś przesłania. A ten latał ze mną i strzegł

mnie...

Helena pomyślała, że kuzyn Mirandy czeka teraz, aż ona opowie mu o swoim *heiki*. Poczula zakłopotanie i milczała. Ten młody człowiek najwyraźniej znał się na maoryskich bogach. I gdyby zaczęła mówić o Hineahuone, to być może domyśliłby się wszystkiego...

– Chodź teraz, Heleno – powiedział James, po czym zwrócił się do kuzynki: – A ty, Miranda, jedź w bardziej cywilizowany sposób! Helena jest i tak przerażona, a i mnie wystarczy na dziś wrażeń...

Miranda z pewnością nie potraktowałaby zbyt poważnie tego upomnienia, ale na szczęście nie było już okazji do jazdy w dotychczasowym stylu. Zjazd do domu Billerów pojawił się w zasięgu wzroku zaledwie po przejechaniu niecałej mili, a droga nie była już utwardzona. Miranda musiała bardzo uważać, aby jej sportowy samochód o niskim zawieszeniu gdzieś nie utknął, jechała więc ostrożnie.

Do posiadłości dotarli po przejechaniu kolejnej mili – składał się na nią pomalowany na niebiesko-biało drewniany dom z werandą i balkonem na pierwszym piętrze, biegnącym wokół budynku. Balkon był ozdobiony drewnianymi płaskorzeźbami. Obok domu znajdowały się stajnie, a w zapadającym zmroku można było dostrzec dwa małe, silne konie, pasące się na łące. Spektakularne tło tworzył ciągnący się na horyzoncie łańcuch górski.

– Macie konie... – powiedziała Helena cicho. Przed laty we Lwowie malowała je w szkolnych zeszytach i marzyła, aby kiedyś nauczyć się na nich jeździć.

Miranda skinęła głową.

– To jest Vince i Vallery – powiedziała. – Lubisz konie? Jeśli chcesz, możemy jutro pojeździć, zanim wyruszymy do Pahiatua. One są bardzo spokojne.

Helena poczuła coś na kształt tęsknoty, zanim przyszło jej do głowy, że upadek z konia też mógłby spowodować poronienie. Vince i Vallery, kasztanek i gniady, nie sprawiały jednak wrażenia koni lubiących zrzucać jeźdźców z grzbietu.

– Mirando, może Helena pochodzi z miasta i w ogóle nie umie jeździć – zauważył James. Odwrócił się do dziewczyny siedzącej na tylnym siedzeniu i uśmiechnął się. – To prawda, przecież nic o tobie nie wiemy...

Ale Helena nie odwzajemniła jego uśmiechu. Dopiero co miała ochotę powiedzieć o wszystkim, co ją dręczyło, ale teraz jednak postanowiła milczeć. Czuła ogromne zmęczenie.

– Wejdźcie najpierw do środka! – stwierdziła Miranda, kiedy już zaparkowała samochód koło stajni i wszyscy wysiedli. – Moja matka już czeka. Na pewno się nas spodziewała.

James zastanawiał się, czy jego ciotka w ogóle mogła choć przez chwilę być spokojna, kiedy Miranda była w drodze, porzucił jednak te rozważania, widząc, że drzwi domu otworzyły się gwałtownie i wybiegła z nich Lilian Biller.

– Wreszcie jesteście! James, chłopcze, dopiero teraz mogę uwierzyć, że w końcu wróciłeś! Twoja matka dzwoniła już trzy razy! Też jest niespokojna!

Lilian Biller nie pozwoliła Jamesowi dojść do głosu, lecz zbiegła na dół po schodach werandy i chwyciła go w ramiona. Helena widząc ją, pomyślała, że jest bardzo

podobna do Mirandy – Lilian wyglądała właściwie jak jej starsza siostra. Była także szczupła, rudowłosa i pełna wdzięku – choć nieco niższa od Mirandy. James przewyższał ją o głowę.

– Jak podróż, wszystko w porządku? Myślałam, że przyjedziecie wcześniej, ale przy tej pogodzie nie można oczywiście jechać szybko. Mirando, to dobrze, że jeździsz ostrożnie!

James w odpowiedzi wykrzywił twarz w grymasie, ale nie powiedział ani słowa.

– A kto to jest? – Lilian dopiero teraz dostrzegła Helenę, uśmiechnęła się do niej i wyciągnęła rękę na przywitanie. – James, chyba nie poszukałeś sobie dziewczyny od razu na nabrzeżu, co? Wiem, że wy, chłopcy z Air Force, jesteście szybcy, ale Miranda miała cię odebrać wprost ze statku, żebyś nam znów nie uciekł! – mówiąc to, Lilian żartobliwie pogroziła Jamesowi palcem. Helena zaczerwieniła się.

Miranda właśnie zamierzała przedstawić dziewczynę, ale James ją ubiegł.

– To jest Helena, ciociu Lily – wyjaśnił. – Należy do grupy polskich uchodźców, którymi opiekuje się Miranda. Pozbieraliśmy ją z drogi.

Lilian Biller zmarszczyła czoło. Z pewnością była osobą spontaniczną i serdeczną, potrafiła jednak także szybko myśleć.

– Pozbieraliście? Tak daleko od Pahiatua? – Lilian przyjrzała się uważnie Helenie. – Dziecko, ależ ty jesteś mokra jak kot! – zauważyła. – Chodź, najpierw cię wysuszymy i ogrzejemy, a potem opowiesz nam, co cię tu sprowadza.

– Powinniśmy przede wszystkim zadzwonić do Pahiatua i powiedzieć, że Lucyna... że Helena jest u nas – zauważyła rozsądnie Miranda. – Nie wiem, czy powiedziałaś opiekunom, dokąd się wybierasz, Lu... Heleno, ale o siódmej powinnaś była być w obozie i wiesz o tym. Jeśli zauważą twoją nieobecność, będą kłopoty.

Helena apatycznie wzruszyła ramionami.

– I tak będę mieć kłopoty – powiedziała cicho, ale nie protestowała, kiedy Miranda od razu poszła do telefonu, gdy tylko wszyscy weszli do domu.

Miranda w krótkich słowach i bez zbędnych szczegółów poinformowała kierownictwo obozu, że Lucyna Grabowska spędzi noc u jej rodziny. Być może sekretarka w Pahiatua nie miała pojęcia, gdzie znajdował się letni dom Billerów. Miranda opowiedziała o przypadkowym spotkaniu i zaproszeniu Heleny do jej rodziców z taką swobodą, jak gdyby rzecz miała miejsce w Palmerstonie.

Helena poczuła pewną ulgę i poszła za matką Mirandy do wielkiego salonu, który zajmował niemal cały parter domu. Obok salonu znajdowała się jedynie obszerna kuchnia. Mimo lata, tego deszczowego i chłodnego dnia w wielkim kominie buzował ogień, w salonie było więc ciepło i przyjemnie. Helena dowiedziała się później, że domem i kołmi w czasie nieobecności Billerów opiekowało się pewne starsze małżeństwo. Umeblowanie przytulnego salonu stanowiły masywne, drewniane meble, pomieszczenie sprawiałoby więc wrażenie zwykłego pokoju na farmie, gdyby nie maoryskie artefakty, stojące w każdym możliwym miejscu. Helena dostrzegła posągi bogów, instrumenty muzyczne i broń. Na ścianie wisały wyroby tkackie i latawiec, podobny do *hei-tiki* Jamesa.

– Mój ojciec zbiera te rzeczy – wyjaśniła Miranda, a Lilian roześmiała się,

oświadczając melodramatycznie:

– A mnie wolno je odkurzać! – po czym zwróciła się do Heleny: – Heleno, usiądź przy kominku, a ja przygotuję ci kąpiel. Nie ma nic lepszego niż gorąca kąpiel w taki niemiły dzień. A ty, James, idź do telefonu i zadzwoń do twojej matki! Gloria i Jack siedzą jak na rozżarzonych węglach.

James zamierzał coś odpowiedzieć, ale Lilian nie dopuściła go do głosu.

– Tak, wiem, że jesteś na nich zły. Jeśli o mnie chodzi, to możesz nakrzyczeć na ojca przez telefon, ale najważniejsze, że jesteś bezpieczny!



## ROZDZIAŁ 4

Helena miała wrażenie, że znalazła się w jakimś pięknym śnie, kiedy weszła do łazienki Lilian Biller i zanurzyła się w wannie pełnej wody i pachnącej piany. Już samo to, że matka Mirandy miała do dyspozycji własną łazienkę, wydawało się Helenie wręcz niewiarygodne. Lilian wyraźnie nazwała to luksusowe pomieszczenie „moja łazienka” i można było do niego wejść tylko z jej sypialni, która także przypominała senne marzenie. Helena czytała o łóżach z baldachimami, nigdy jednak czegoś takiego nie widziała. Tu takie łóżko stało po prostu na środku pokoju, przykryte ciemnoniebieską kapą, pełne leżących na nim poduszek, a osłaniały je grube, jasnoniebieskie zasłony.

Helena leżała w ciepłej wodzie, rozkoszowała się pachnącą różami pianą i patrzyła na kolejne elementy pomieszczenia, zanurzonego w przytłumionym świetle eleganckich lamp ze szkła Tiffany’ego. Na podłodze przed wanną i umywalką leżały puszyste ciemnożółte dywaniki, na wieszakach wisiały grube ręczniki w tym samym kolorze. Umywalka była z pewnością marmurowa, a na toaletce stały liczne flakoniki z drogimi perfumami. Rodzina Mirandy musiała być zamożna, skoro mogła sobie pozwolić na kupno takiego domu. Czy profesor uniwersytetu w Nowej Zelandii zarabiał aż tak dużo? Ale Helena przypominała sobie, że matka Mirandy pisała powieści, które cieszyły się dużym uznaniem czytelników. A więc to było prawdopodobnie źródłem dobrobytu rodziny, a Lilian – jak widać – nie miała żadnych oporów, aby dzięki zarabianym pieniądзом pozwolić sobie na luksus dla siebie samej. Matka Mirandy wydała się Helenie sympatyczna, choć trochę dziwna. Lilian Biller zachowywała się w stosunku do swojej córki jak gdyby była jej starszą siostrą, a nie osobą z jakimś autorytetem. Sprawiała wrażenie o wiele młodszej i bardziej swobodnej niż matka Heleny. Maria Grabowska była jeszcze przed deportacją osobą bardzo poważną. Na żarty pozwalała sobie tylko z Lucyną, a ciepła i serdeczna była wyłącznie w stosunku do najbliższych. A Lilian Biller traktowała Helenę już teraz jak członka rodziny. Dziewczyna poczuła się trochę nieswojo, kiedy popatrzyła na miękki szlafrok z grubej flaneli, który matka Mirandy zostawiła dla niej na małym stolku obok wanny. „Twoja sukienka jest mokra i brudna, trzeba będzie ją uprać” – powiedziała z uśmiechem, zanim zostawiła Helenę samą w łazience. „A rzeczy moje i Mirandy nie będą na ciebie pasować. Ubierz się więc w to, co do spania, jesteśmy przecież w rodzinie”. Helena zastanawiała się, czy wypada zjawić się wśród zupełnie obcych ludzi w nocnej bieliźnie, ale z drugiej strony puszysty szlafrok był kuszący i z pewnością na tyle duży, że osłoni ją lepiej niż każda sukienka.

Dziewczyna nie wahała się więc skorzystać z pachnącego mydła i szamponu i czuła, że w ciepłej wodzie z każdą chwilą wracały jej siły. Była też w stanie rozsądnie pomyśleć – ale teraz wróciły do niej troski i poczucie winy. Bez względu na wszystko musiała zastanowić się, jaką część swojej historii opowiedzieć Billerom. I na pewno należało powierzyć im najgorszą tajemnicę – o dziecku rosnącym w jej łonie. Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że wyznała Mirandzie i jej kuzynowi swoje prawdziwe imię... Będzie musiała opowiedzieć także, że przyjechała z grupą uchodźców zamiast swojej siostry. Nie miała pojęcia, jak uporać się z przyznaniem się do zdrady wobec Lucyny. Już sama myśl o tym, że ci tak życzliwi ludzie będą na nią patrzeć, kiedy przyzna się do

opuszczenia siostry, sprawiła, że jej serce zaczęło bić szybciej.

Z zalem wyszła ze stygnącej już wody, zawinęła się w gruby ręcznik i wyszczotkowała włosy, stojąc przed lustrem ozdobionym po bokach kwiatami z kolorowego szkła. A kiedy włożyła piżamę i biały szlafrok, wiedziała już, co chce powiedzieć, a co przemilczeć, choć bólem napełniała ją myśl, że nie będzie mogła odpowiedzieć całkowitym zaufaniem na serdeczność tych ludzi.

Helena założyła przygotowane przez Lilian nieco za małe pantofle i ruszyła na dół. Kręcone schody z jasnego drewna prowadziły na korytarz i do salonu Billerów. Dziewczyna weszła tam niezauważona. W pomieszczeniu zapalono już kilka lamp, których światło padało na duży stół, fotele i kanapy. Przed kominkiem siedział James ze starszym mężczyzną. Helena pomyślała, że był to zapewne ojciec Mirandy. Obaj mężczyźni pili whiskey, a Miranda nakrywała do stołu. Przez otwarte drzwi Helena dostrzegła Lilian, która właśnie wyjmowała z pieca pachnącą zapiekankę, i usłyszała jej słowa:

– Mam nadzieję, że jej nie przypaliłam. Mrs Backer trzy razy mi tłumaczyła, jak długo to ma się piec. Że też ona uważa mnie za tak mało zdolną, jeśli chodzi o gotowanie...

Helena dowiedziała się później, że Mrs Backer była gospodynią Lilian i że to ona przygotowała zapiekankę, zanim poszła gdzieś ze swoim mężem w wolny wieczór, ale najwyraźniej niezbyt chętnie zostawiała swoją pracodawczynię samą w jej własnej kuchni.

– A przecież ja potrafię gotować – mówiła Lilian, umieszczając zapiekankę na środku stołu. – Kiedy jeszcze mieszkałam z Benem w Auckland, zawsze gotowałam sama. Prawda, Ben? I moje dania zawsze były dobre!

Ben Biller, wysoki, szczupły mężczyzna o blond włosach, teraz już nieco przyprószonej siwizną, i sympatycznej twarzy, spojrzał ciepło na żonę.

– Byliśmy wtedy bardzo zakochani – powiedział zamiast odpowiedzi.

Miranda zachichotała.

Lilian udała obrażoną, popatrzyła na córkę i męża, po czym rzekła:

– Jeszcze jedno słowo, Ben, i przypomnę wiersze, które wtedy dla mnie pisałeś!

Teraz roześmiał się także James. Sztuka pisania wierszy przez Bena Billera musiała cieszyć się w tej rodzinie niezbyt dobrą sławą i była zapewne powodem wielu żartów.

W tym momencie Lilian dostrzegła Helenę.

– Helena, dobrze, że już jesteś! I wyglądasz teraz o wiele lepiej. Ben, to nasz młody gość z Polski. Przyjaciółka Mirandy z obozu uchodźców, która w jakiś sposób dziś wylądowała u nas. Ale o tym opowiesz nam później, Heleno. Teraz zjedzmy, siadajcie wszyscy do stołu. James, usiądź naprzeciw Heleny...

Helena znów poczuła zakłopotanie, zwłaszcza że James McKenzie rycersko przysunął jej krzesło, zanim sam usiadł, jak gdyby była jakąś królową. Uśmiechnął się do niej – i tym razem w jego spojrzeniu Helena oprócz sympatii dostrzegła coś jakby podziw. Opuściła szybko wzrok, ale sprawiło jej to przyjemność. Czy ten młody mężczyzna rzeczywiście mógł uważać ją za piękną? Nerwowym ruchem spróbowała odgarnąć do tyłu rozpuszczone włosy i jakoś pośpiesznie je zapleść. James dostrzegł to, mrugnął do niej

i z porozumiewawczym uśmiechem podał jej serwetnik.

– Ale możesz zostawić włosy rozpuszczone – powiedział tym swoim miłym, spokojnym głosem, a Helena wbrew wszelkiemu rozsądkowi uwierzyła, że to prawda. – Bo wyglądają naprawdę pięknie, a poza tym przypominasz dziewczynę z pewnego obrazu...

Miranda spojrzała na kuzyna z irytacją, ale Lilian przytaknęła z ożywieniem.

– On ma rację – powiedziała. – Popatrz na nią uważnie, Mirando, ona rzeczywiście wygląda jak Mona Liza.

Helena zaczerwieniła się.

– Albo jak Madonna na starych obrazach w chrześcijańskich kościołach – dodał Ben Biller, przyjrzawszy się uważnie Helenie, która teraz nie wiedziała, gdzie ma podziąć oczy. Jednak profesor Biller patrzył na nią z takim samym pogodnym zainteresowaniem, jakim najwyraźniej obdarzał każdą istotę. I z pewnością tylko na swoją Lilian patrzył tak, jak mężczyzna na kobietę. A w oczach Jamesa McKenziego Helena z pewnością dostrzegłaby zdradziecki błysk – gdyby miała odwagę podnieść wzrok.

– Teraz pozwólcie jej spokojnie zjeść! – Miranda zakończyła dyskusję na temat wyglądu Heleny. – To jest krępujące, kiedy porównujecie ją z kobietą z tak starego obrazu. A ona jest przecież nowoczesną dziewczyną. I na pewno bardzo głodną...

Spojrzała na Helenę porozumiewawczo i nałożyła jej porcję zapiekanki na talerz. Helenie już na sam ten widok pociekła ślinka – dopiero teraz poczuła, jak bardzo była głodna. Musiała się zmusić, aby nie jeść zbyt łapczywie.

Billerowie pozwolili jej spokojnie jeść i zupełnie nie zwrócili uwagi na to, że nałożyła sobie drugą i trzecią porcję. James jadł z podobnym apetytem. Wyżywienie w Air Force i na statku chyba niezbyt przypadło mu do gustu.

Dopiero później, kiedy talerze były już sprzątnięte, Miranda postanowiła zaspokoić swoją ciekawość. Mężczyźni znów zasiedli przed kominkiem, Helena przycupnęła w kącie kanapy, a Miranda i Lilian zajęły miejsce na fotelach. Miranda popatrzyła na Helenę uważnie.

– A teraz opowiadaj! – zachęciła ją. – Skąd się wzięłaś z obozu w Pahiatua na tej wiejskiej drodze do Lower Hutt, dlaczego nagle nie nazywasz się Lucyna, tylko Helena, i co było tak straszne, że aż chciałaś... – Miranda urwała w ostatniej chwili, zanim wygadała się przed całą rodziną o samobójczej próbie Heleny – ...że tak strasznie płakałaś – dokończyła zdanie.

Helena odetchnęła głęboko.

– Rzeczywiście nazywam się Helena – powiedziała. – Lucyna to moja młodsza siostra.

I zgodnie z prawdą opowiedziała o możliwości wyjazdu do Nowej Zelandii i o tym, że mając ukończone osiemnaście lat, była już na taki wyjazd za stara.

– Tak bardzo marzyłam o nowym życiu, gdzieś daleko, podczas kiedy Lucyna nie chciała wyjeżdżać...

– I po prostu zamieniłyście paszporty! – wyraziła swoje przypuszczenie Miranda. – Sprytne! O ile wszyscy, którzy was znali, będą milczeć!

Helena skinęła głową, ciesząc się, że dzięki Mirandzie nie musiała kłamać.

A potem cicho i często przerywając, opowiedziała o Witoldzie, o tym, co stało się na statku, czując przy tym piekący wstyd. Nigdy nie wyobrażała sobie, że będzie mogła o tym mówić, a już zwłaszcza w obecności mężczyzn. Prawie nie ważyła się podnieść głowy i na jej twarzy co chwilę pojawiał się rumieniec. I tym bardziej zaskoczył ją fakt, że Billerowie w ogóle nie byli zszokowani jej opowieścią. Oburzyła ich podłość Witolda, ale jednocześnie bardzo współczuli Helenie.

I tylko Miranda dziwiła się jej naiwności.

– Heleno! – jęknęła. – Przecież wtedy byliście już w Bombaju! Ten typ mógł gadać, co chciał, w żadnym wypadku nie odesłano by cię z powrotem ani też nikt nie próbowałby sprawdzić, czy on mówił prawdę. Ja spokojnie odprawiłabym go z kwitkiem! Albo nawet doniosłabym na niego, kiedy tylko złożył ci tak niemoralną propozycję. I możesz mi wierzyć, że od razu by spokorniał!

W oczach Heleny zabłyśły łzy, a Lilian położyła jej rękę na ramieniu.

– Helena wpadła w panikę, Mirando! – zganiła córkę. – Nie możesz tego zrozumieć, bo nigdy nie byłaś w podobnej sytuacji. My także nie... Ale pomyśl, co miała za sobą Helena! Deportacja, Syberia, przymusowa praca, utrata rodziców, przyjazd do Persji, znów obóz... To zupełnie normalne, że się bałaś, Heleno! Nie daj sobie wmówić, że jesteś czemukolwiek winna!

Po policzkach dziewczyny mimo to płynęły łzy.

– Staram się, aby tak było – szlochała. – Ja... chciałam o wszystkim zapomnieć. I tak by się stało. On w końcu zostawił mnie w spokoju, kiedy znaleźliśmy się w Małej Polsce. Chce teraz ożenić się z Nowozelandką, żeby dostać obywatelstwo. I wszystko byłoby w porządku, gdyby...

– Gdyby co? – spytał naiwnie, ale ze szczerym współczuciem James.

Lilian popatrzyła uważnie na sylwetkę Heleny.

– Od kiedy o tym wiesz? – spytała łagodnie.

– Od dwóch tygodni – wyszeptwała Helena. – Od dwóch tygodni wiem, że będę miała dziecko.

Oboje Billerowie i James zareagowali na tę wiadomość z całkowitym spokojem. Jedynie temperament Mirandy nie pozwolił jej milczeć.

– Ja doniosłabym na tego typa! – wykrzyknęła, kiedy Helena opowiedziała o reakcji Witolda na wiadomość o ciąży. – To po prostu skandal, że zostawił cię samą!

Lilian uniosła brwi w górę.

– A czego się spodziewałaś? – zakpiła. – Że nagle ni stąd, ni zowąd rozwiną się w nim ojcowskie uczucia? Albo poczucie odpowiedzialności? A przecież to błogosławieństwo dla Heleny, że tak się nie stało. Bo ty naprawdę chciałaś za niego wyjść! Ale jeśli chodzi o złożenie doniesienia... Moje poczucie sprawiedliwości też mówi, że to byłoby słuszne. Tobie, Heleno, nic by się nie stało, ty...

– Ale to na pewno skomplikowałoby całą sytuację – wtrącił Ben Biller, który zapalił fajkę i w zamyśleniu wypuszczał z ust kłęby wonnego dymu. – Bo musiałabyś powiedzieć, jak on to na tobie wymusił. I sprawa ze sfałszowanymi dokumentami wyszłaby na jaw.

– No i co z tego? – zaatakowała go Lilian. – Nie napędzaj jej stracha! Jak gdyby

ktoś mógł ją odesłać z powrotem...

– Ale nie mogłaby też opuścić obozu – mówił dalej Ben, na którym słowa żony najwyraźniej nie zrobiły żadnego wrażenia. – Oczywiście dostałaby dokumenty, prawdopodobnie od razu nowozelandzkie...

– Czy to pewne? – spytała Helena i przetarła oczy. – To brzmi tak, jak gdyby nowy paszport można było dostać bardzo łatwo. W Europie... W Europie ludzie umierają tylko dlatego, że mają fałszywy paszport. Albo nie mają żadnego... I stale się jest kontrolowanym. I trzeba...

– ...trzeba mieć akt urodzenia – dokończył Ben, ciągle z takim samym spokojem. – I tu widzę problemy. Jeśli Helena, właściwie powinniśmy mówić Miss Grabowska, bo ta młoda dama skończyła już osiemnaście lat...

– Dziewiętnaście – wymamrotała Helena. – Pod koniec roku skończyłam dziewiętnaście lat.

Jej urodziny minęły bez echa.

– ...gdyby więc Miss Grabowska w ogóle miała akt urodzenia, to byłby to akt jej siostry. Ale aby dostać właściwy, należałoby pisać do Persji, skontaktować się z Lucyną i prosić ją, aby przysłała właściwy akt... A to trwałoby miesiącami.

A przede wszystkim byłoby niemożliwe. Helena znów miała takie uczucie, jak gdyby ziemia usuwała jej się spod stóp. Lucyny i Kaspra nie było już w Teheranie. Wytropienie ich było niemożliwe.

– To prawda – zgodziła się z ojcem Miranda. – A w tym czasie Helena nie mogłaby opuścić Małej Polski. Musiałaby tam urodzić dziecko.

– I wszyscy by się dowiedzieli – wyszeptała Helena. – O mnie i o Witoldzie. A... a co będzie, jeśli mi nie uwierzą? Witold przecież wszystkiemu zaprzeczy...

– Ten typ mógłby nawet twierdzić, że Helena wymyśliła tę historię, aby go oczernić – pisarka Lilian nie mogła się oprzeć chęci puszczenia wodzy fantazji. Nie zauważyła, jak bardzo przeraziła Helenę. – I aby w ten sposób wyjaśnić ciążę i zdobyć opiekuna dla dziecka. Heleno, wystarczyłoby, że on tylko wspomniałby o „propozycji małżeństwa”, z którą do niego przysłaś, i już byłaby to odpowiedź na twoje słowa. Dowodem byłoby zdjęcie w twoim paszporcie. Mam nadzieję, że Lucyna nie jest do ciebie podobna.

Helena nagle miała przed oczami twarz Lucyny i zaczęła gwałtownie szlochać.

– Najlepiej byłoby zostawić wszystko tak, jak jest w tej chwili – wtrącił się znów Ben ze swoim zwykłym spokojem. – Miss Grabowska zatrzyma tożsamość swojej siostry, będzie na razie milczeć o tym, co zrobił ów Witold, oraz opuści polski obóz, zanim ciąża zacznie być widoczna.

– Ale dokąd miałabym pójść? – spytała Helena cicho. – Ja... ja oczywiście poszukałabym sobie jakiejś pracy. W Wellingtonie czy gdzieś. Jeśli... jeśli tylko otrzymam zezwolenie na pracę... Tylko... tylko co ja zrobię, kiedy dziecko przyjdzie na świat?

– Nie będziesz szukać żadnej pracy. Pojedziesz ze mną na Kiward Station – włączył się do dyskusji James i było to tak zaskakujące, że wszyscy spojrzeli na niego zdumieni. – Kiward Station to farma moich rodziców – wyjaśnił James Helenie, nie zwracając na nic uwagi. – Na Wyspie Południowej, a więc daleko stąd. Tam nikt cię nie zna. Nikogo

nie będzie obchodziło, czy nazywasz się Lucyna czy Helena. A jeśli chodzi o ciążę... – James zastanawiał się przez chwilę, po czym zwrócił się do wszystkich: – Przecież ona może powiedzieć, że była mężatką, jej mąż został ranny w czasie wojny, a potem zmarł. Moi rodzice oczywiście będą musieli znać prawdę, ale oni są raczej wyrozumiali – o ile tylko nie chodzi o obronę ojczyzny...

James spodziewał się głośnego aplauzu i patrzył po kolei na wszystkich, zwłaszcza na Helenę, której łzy wyschły niemal momentalnie. Czy uda jej się ująć cało z opresji? Szeroko otwarte oczy dziewczyny wpatrywały się w kuzyna Mirandy, jak gdyby był on jej zbawcą.

– A jak ja będę mogła... opuścić Małą Polskę? – spytała. – Jeśli... to znaczy gdybym przyjęła to wszystko... Czy to mogłoby... – Helena potarła czoło.

– Zwolnienie z obozu to najmniejszy problem – oświadczyła Lilian. – Jutro mogę tam z tobą pojechać i wyjaśnimy to. Powiemy, że zaoferowaliśmy ci posadę pokojówki czy coś takiego...

Helena i Miranda jednocześnie potrząsnęły głowami.

– My nie musimy pracować – wyjaśniła Helena. – Mamy chodzić do szkoły tak długo, jak to tylko jest możliwe. Chciałam ukończyć *high school*...

– Powinnaś to zrobić – zgodził się z nią James. – To znaczy... w Christchurch na pewno byłyby jakieś możliwości...

Miranda ostentacyjnie przewróciła oczami.

– James, nie chodzi teraz o zapewnienie jej wykształcenia, tylko bardziej o to, aby wydobyć ją z obozu – dziewczyna zachichotała jak uczeń, mówiąc te słowa. – A jeśli już na sam jej widok tak całkiem straciłeś zdolność myślenia, to czemu nie powiesz po prostu, że chcesz się z nią ożenić?

Helenie dosłownie odebrało mowę.

– Jeśli nie da się inaczej, to owszem – odparł James przekornie i zaczerwienił się natychmiast, kiedy zdał sobie sprawę, co takiego powiedział.

Lilian zareagowała, śmiejąc się nerwowo, a Ben zmarszczył czoło.

– Zakochany, zakochany, wiedziałam, on jest zakochany! – zaintonowała nieco głupekowato Miranda, chichocząc głośno.

– Bzdura! – odparł opryskliwie James. – To oczywiste, że nie jestem zakochany. Chciałem tylko pomóc. Chciałem coś zrobić, Mirando. Zrobić coś dla ludzi na tej przeklętej wojnie, a nie bawić się jak ty. Opieka nad dziećmi w Małej Polsce... To miłe, ale nie wpłynie na losy wojny...

– A osoba Heleny wpłynie na losy tej wojny? – spytał Ben z wyraźną irytacją.

Lilian przewróciła oczami w odpowiedzi.

– Jeśli więc nie mogę dalej walczyć – mówił zapalczywie James – to chciałbym przynajmniej zrobić coś, co mogę, ja...

– Nie musi się pan poświęcać dla mnie – powiedziała cicho Helena.

Tego wieczoru musiała stawić czoła prawdziwej lawinie najrozmaitszych uczuć. James dopiero co był dla niej zaskakująco miły, ale teraz najwyraźniej wcale nie chodziło o jej osobę, lecz o jakieś wyższe cele.

– I chętnie bym to zrobił! – upierał się dalej James, cały czas wpatrując się

w Mirandę.

Helena poczuła gwałtowne bicie serca. Najwyraźniej była to zwykła sprzeczka między kuzynostwem – i to jej kosztem. Dziewczyna spuściła oczy.

Lilian dostrzegła to i położyła jej uspokajająco rękę na ramieniu.

– Skończcie oboje z tą kłótnią! – zwróciła się energicznie do Jamesa i Mirandy. – Helena jest zakłopotana. Heleno, nie bierz poważnie tego, co oni mówią! Nikt tu nie zamierza się poświęcać i nikogo nie powinno obchodzić, czy ktoś jest zakochany – oprócz nich samych oczywiście. Nie martw się, Heleno. Jutro pojedę z tobą do Pahiatua i porozmawiam z kierownictwem obozu. To oczywiście, że pozwolą ci odejść, także bez aktu małżeństwa. – Uśmiechnęła się krzepiąco do Heleny, ale dziewczyna była ciągle przygnębiona. Nie podobało jej się, że znów ktoś decydował o jej życiu. A James... Nie wiedziała już, co ma o nim myśleć. Ludzie w Nowej Zelandii byli tak inni od tych w Europie. O wiele bardziej otwarci, a jednocześnie... powierzchowni? Zastanawiała się, co z nią będzie na owej farmie.

## ROZDZIAŁ 5

Oczywiście nie było potrzeby organizowania wesela, aby rozpocząć starania o zwolnienie Heleny z obozu w Pahiatua. Lilian Biller następnego ranka towarzyszyła Mirandzie i Helenie w czasie wizyty w obozie i poprosiła o osobistą rozmowę z majorem Foxleyem i Mr Śledzińskim. Kazała Helenie czekać w korytarzu przed biurem i uśmiechała się do niej krzepiąco, zanim poproszono ją do środka. Matka Mirandy wyglądała tego ranka wyjątkowo elegancko. Miała na sobie kostium w czarno-białe wzory firmy Paisley składający się z wąskiej, czarnej spódnicy i wciętego żakietu, podkreślającego linię ramion. Całości dopełniały jedwabne pończochy i czarne pantofle na obcasach, zaś na rudych, upiętych włosach Lilian miała prześliczny kapelusz, będący czymś w rodzaju połączenia czapki baskijskiej i doktorskiego biretu.

Mr Śledziński nie spuszczał matki Mirandy z oczu. Co dokładnie Lilian Biller omawiała z polskim i nowozelandzkim kierownictwem obozu, tego Helena nie miała się nigdy dowiedzieć. Dziewczyna siedziała długie pół godziny jak na rozżarzonych węglach – i nie miała pojęcia, dlaczego Foxley i Śledziński z uśmiechem wyszli na korytarz wraz z Lilian Biller i na pożegnanie podali ręce zarówno jej, jak i Helenie. Obaj panowie życzyli „Lucynie” wiele szczęścia na dalszej drodze życia. O ile w słowach majora Foxleya słyhać było sympatię, to Śledziński sprawiał raczej wrażenie zakłopotanego. Helenie wydawało się też, że Polak karcącym spojrzeniem obrzucił jej szczupłą figurę – było całkiem możliwe, że matka Mirandy wspomniała coś na temat dziecka. Jednak najwyraźniej nie miała też zamiaru wyjaśniać czegokolwiek Helenie.

– A więc, załatwione! – stwierdziła z zadowoleniem i położyła dziewczynie rękę na ramieniu. – Zabierz swoje rzeczy, Heleno, i pożegnaj się z przyjaciółmi.

Helena wyszła z budynku zarządu obozu jak w transie i pobiegła do swego domku. Była tu tylko Natalia, która niemal umierała z ciekawości. Helena opowiedziała jej tylko część prawdy. Wspomniała o Neumannach i dodała, że spotkała Mirandę i Jamesa w porcie w Wellingtonie, oni zaś zabrali ją do Billerów i po dłuższych rozmowach stwierdzono, że Lucyna w przyszłości będzie mieszkać u McKenziech jako ktoś w rodzaju rezydentki. Oczywiście cała historia zawierała wiele logicznych braków, co było podstawą do szalonych spekulacji Natalii.

– To ten chłopak, jak tylko cię zobaczył, od razu chciał cię zabrać ze sobą do domu? Lucyno, to aż niewiarygodne! I jego rodzice są bogaci i mają farmę? Och, dlaczego mnie nigdy nie spotyka coś podobnego? Czy on jest przystojny? A ty też jesteś zakochana?

Helena zaczerwieniła się.

– To w ogóle nie ma nic wspólnego z zakochaniem – oświadczyła. – To tylko...

– Lucyna przypomina jego zmarłą siostrę – wtrąciła Miranda, która właśnie weszła do domku, aby zobaczyć, czy Helena skończyła pakowanie. Helena potarła niecierpliwym gestem czoło. Miranda chciała jej pomóc, ale tylko pogorszyła sprawę. – I on jest zdania, że obecność Heleny będzie jakąś pociechą dla jego matki... – fantazjowała niczym niezrażona Miranda. – Bo kiedy matka zobaczy koło siebie kogoś, kto przypomina... eee... Ellen, to...

Natalia zmarszczyła czoło i zwróciła się do Heleny:



– To ty masz być, że tak powiem, kimś w rodzaju namiastki zmarłej dziewczyny? Co ten facet sobie myśli? Nawet jeśli Lucyna wygląda jak ta Ellen, to ona dzięki temu nie zmartwychwstanie! Jego matka będzie jeszcze bardziej przygnębiona, kiedy ty... Nie, nie możesz tego zrobić, Lucyno! Zostań, proszę!

– Chyba musimy już iść – wymamrotała Helena. Szybko pozbierała swoje rzeczy i spakowała je w wężelek. – I to nie jest tak, jak myślisz, Natalio. To jest... Ach, nie mogę ci tego teraz wyjaśnić. W każdym razie wszystko jest w porządku!

Mówiąc to, Helena objęła przyjaciółkę spontanicznie i wyszła szybko, zanim ta zdążyła coś powiedzieć. – Napiszę do ciebie! – zawołała, idąc.

– Moja matka z pewnością wymyśliłaby lepszą historię – wymamrotała Miranda przepaszającym głosem. Helena westchnęła cicho, ale szybko zapomniała o nieprzyjemnym zajściu. Myślała o Lilian Biller, która czekała na nią w samochodzie. Miranda miała zostać w obozie i zająć się swoimi obowiązkami. Z całą pewnością Natalia zasypie ją pytaniami, ale Helenie było już wszystko jedno. Wsiadła do samochodu Lilian i po chwili opuściła Małą Polskę. Znow miał się zacząć nowy rozdział jej życia. I znow nie było wiadomo, co przyniesie przyszłość. Jednak w głębi serca dziewczyna miała jakiś cień nadziei na szczęście.

James McKenzie w ciągu kolejnych kilku dni robił wszystko, aby Helena nie była tak przerażona i zakłopotana. Statek do Lyttelton Harbour, na którym Lilian telefonicznie zabukowała dla nich podróż, wypływał dopiero w piątek, oboje mieli więc spędzić w Lower Hutt niecały tydzień. Helena pochłaniała w tym czasie powieści Lilian Biller, które uważała za nadzwyczaj zajmujące, choć niekiedy nieco zbyt swobodne obyczajowo. Ale też uległa namowom Jamesa, aby zwiedzić najbliższą okolicę. Miejscowość Lower Hutt leżała u ujścia rzeki Hutt River do Pacyfiku i od niej otrzymała swą nazwę. Dom Billerów zbudowany był w głębi lądu, w pobliżu wąwozu Taita – na jego dnie znajdowały się liczne wzniesienia, które musiała pokonać rzeka, aby móc dotrzeć do oceanu. Tu okolica porośnięta była gęstym lasem, drogi wąskie i nie za bardzo nadające się do spacerów. James osiodłał więc oba konie Lilian i zabrał Helenę na wycieczkę.

– To nawet w połowie nie jest tak niebezpieczne, jak podróż samochodem z Mirandą za kierownicą – skwitował obawy Heleny. – A poza lataniem przejażdżka konna jest najprzyjemniejszym sposobem zwiedzenia okolicy.

Rzeczywiście walech Vince spokojnie człapał za swoją towarzyszką ze stajni Vallery, a Helenę tak bardzo zafascynował krajobraz, że w ogóle nie rozmyślała o upadku i możliwości poronienia będącego jego efektem. Bardziej niepokoił ją fakt samotnego spędzania czasu z Jamesem. Ale młody mężczyzna szybko rozproszył jej obawy poprzez swój sympatyczny, ale pełen dystansu sposób bycia. James traktował Helenę jak siostrę czy też kuzynkę i nie próbował się do niej w jakikolwiek sposób zbliżyć. Dziewczyna, jadąc na koniu, uspokoiła się zupełnie. Młody mężczyzna opowiadał jej o florze Nowej Zelandii i sprawiał wrażenie człowieka zupełnie niegroźnego. A tutejszy las znacznie różnił się od bukowych i jodłowych lasów Polski, a już zwłaszcza od iglastych krzewów syberyjskiej tajgi. W Nowej Zelandii Helena zobaczyła rośliny, których nie było jej dane widzieć nigdy przedtem. Dziwiły ją olbrzymie paprocie i kwitnące na czerwono drzewa rata, które występowały na przemian z palmami, porostami i bukami południowymi. Były

tu także drzewa, z których zwieszały się długie liany, a na brzegach rzeki rosły też rośliny z gatunku trzciny zwane raupo, z których Maorysi wyplatali swoje maty i *poi-poi*. To właśnie suszone liście raupo, służące do wyrobu strojów do tańca, szeleściły głośno, kiedy dziewczęta poruszały się w takt muzyki. Helena z dumą rozpoznała drzewa manuka, a James potwierdził, że pozyskiwany z nich olejek herbaciany ma działanie lecznicze i dezynfekujące.

– W armii australijskiej buteleczka tego oleju była częścią podstawowego wyposażenia każdego z żołnierzy – wyjaśnił. – Tak przynajmniej było w czasie pierwszej wojny światowej, opowiadał mi o tym mój ojciec. Chyba nie za bardzo się przydało w czasie walk pod Gallipoli, ale z pewnością pomagało na pęcherze na stopach i małe zranienia w czasie długich marszów.

Helena opowiedziała, że jej *hei-tiki* także zostało wykonane z drewna drzewa manuka. James był tym trochę zaskoczony.

– Zwykle *hei-tiki* robi się z jadeitu zwanego *pounamu*, tak jak mój, albo z kości – powiedział. – Nigdy jeszcze nie słyszałem o wisiorach z drewna manuka. Czy ta stara kobieta wykonała go specjalnie dla ciebie?

Helena przytaknęła.

– To był bardzo miły gest z jej strony, prawda? – spytała.

James skinął głową.

– To prawdopodobnie ma jakieś znaczenie – wyraził swoje przypuszczenie. – Takiego *hei-tiki* nie wiesz się na szyi tak po prostu, bo ładnie wyglądają. Zgodnie z tradycją *tohunga* przywiązuje wielkie znaczenie do jego wykonania. I nie robi tego ot, tak sobie. Ona śpiewa przy tym różne *karakia*, wzywa bogów na pomoc... Ktoś, kto potem nosi takie *hei-tiki*, jest w szczególnie sposób chroniony przez bogów.

– To coś w rodzaju krzyżyka, który się poświęca? – spytała Helena. Taki krzyżyk miała jej matka i któregoś dnia na Syberii wymieniła go na chleb.

– Prawdopodobnie tak – odparł James. – W każdym razie musisz odnosić się do swojej małej bogini z wielką czcią. A jeśli chodzi o drewno manuka, to spytaj kiedyś o to Bena... – Helena skinęła głową, sięgnęła do małej figurki przy szyi, po czym dotknęła też drzewa manuka, kiedy przejeżdżała koło jednego z nich. Miała wrażenie, że szorstka kora drzewa przylegała przez chwilę do jej ręki, jak gdyby dziewczynę znów pozdrawiał duch, którego obecność czuła w *marae* Ngati Rangitane.

– A teraz pokażę ci drzewo kauri – powiedział James, dodając, że były to święte drzewa Maorysów. Dlatego też Maorysi niechętnie zdradzali białym, gdzie one rosną. Jednak Ben Biller odkrył jedno z takich drzew w pobliżu *pa* – James prowadził więc dziewczynę przez prawie niewidoczne ścieżki w gęstwinie paproci, lian i gałęzi pokrywających ziemię dziewiczego lasu. Jazda trwała godzinami i Helena czuła się już bardzo zmęczona. Jednak uznała, że wysiłek się opłacił. Na środku polany rosło drzewo kauri.

– Ależ ono jest olbrzymie! – Dziewczynie z podziwu zabrakło słów. Obwód pnia u podstawy z pewnością wynosił około ośmiu metrów.

– Tak. Drzewa kauri osiągają wysokość pięćdziesięciu metrów, mają jednak sporo czasu do wzrastania. Wiek najstarszych szacuje się na ponad dwa tysiące lat...

Helena z trudem mogła sobie wyobrazić tak długi czas. Sama sobie wydawała się mała i niepozorna w pobliżu ogromnego drzewa, które emanowało jakąś dziwną siłą.

– Człowiek czuje się mały także wtedy, kiedy lata – zwierzył jej się James, kiedy próbowała wyrazić swoje myśli. – Wtedy widać, jak olbrzymia jest ziemia. I widać też, że wprawdzie można nad nią latać, ale nie można uczynić jej sobie „poddaną”, jak to jest napisane w Biblii. Maorysi mają słuszość, traktując przyrodę z o wiele większą czcią niż my.

Helena przytaknęła w zamyśleniu i wieczorem słuchała z ciekawością i zainteresowaniem opowiadań gospodarza na temat kultury maoryskiej. Bena tego wieczoru odwiedziło dwóch studentów, którzy mieli pomagać mu w pracy przy wykopaliskach, dlatego też profesor poświęcał każdą wolną chwilę na wykłady. I także na temat *hei-tiki* Heleny miał sporo do powiedzenia.

– *Tohunga* musiała dostrzegać w tobie nie tylko siłę, ale i wielkoduszność tego drzewa. Jego duchy to duchy obronne, które strzegą, chronią i leczą...

– Może drzewo ma chronić także osobę noszącą to *hei-tiki*... – zauważył jeden ze studentów, a Ben przytaknął.

– To zawsze jest dawanie i branie – powiedział. – Maorysi od dawna dostrzegali wzajemne oddziaływanie między człowiekiem a przyrodą, między tym, czego można dotknąć, a duchem...

Lilian Biller była mniej uduchowiona. Myślała raczej praktycznie i w trzecim dniu pobytu zaprosiła Helenę na spacer połączony z zakupami do Lower Hutt. Helena w duchu zadawała sobie pytanie, co takiego można tam kupić, została jednak przyjemnie zaskoczona. Lower Hutt, jeśli tylko nie przyjechało się tu w deszczowy, niedzielny wieczór, okazało się być przyjemnym, pełnym życia miasteczkiem. Lilian zaprosiła Helenę i Jamesa, który pojechał z nimi, na obiad do restauracji z widokiem na ujście rzeki i wyznała, że zamierza kupić Helenie kilka sztuk odzieży.

– Nie martw się, to nie będzie nic drogiego – dodała, kiedy zakłopotana Helena zaczęła protestować. – Po coś drogiego musiałybyśmy jechać do Wellington. Ale tak nie mogę cię puścić do Kiward Station. Gloria mogłaby pomyśleć, że zrobiłam się skąpa...

Lilian zawiadomiła telefonicznie Glorię i Jacka, rodziców Jamesa, o przyjeździe Heleny. Matka Mirandy zapewniała, że jej krewni cieszą się z tej wizyty, jednak dziewczyna bardzo obawiała się tego spotkania. Oby oboje państwo McKenzie nie wyciągnęli ze wspólnej podróży jej i Jamesa takich samych wniosków, jak Natalia! Helenie było nieprzyjemnie na samą myśl o tym, że mogliby odnieść wrażenie, iż James pomaga jej z powodu jej kobiecych wdzięków...

Lilian zaprowadziła więc Helenę do miejscowego domu towarowego, wabiącego reklamą mody damskiej. Kupiły prosty, ciemnoniebieski kostium oraz dwie pasujące do niego bluzki i filuterny kapelusz. Ten ostatni pasował także do jasnoniebieskiej sukni z wysoko umieszczoną talią. Suknia ta, którą Lilian wyszukała dla Heleny, była luźna, dziewczęca i z pewnością przez najbliższe dwa lub trzy miesiące nie będzie widać pod nią ciąży. Do tego Lilian kupiła dziewczynie ciepły płaszcz. Wprawdzie w Nowej Zelandii trwało lato, ale zdaniem Lilian na Wyspie Południowej zimą mogło zrobić się naprawdę chłodno.

– Ale nie tak jak na Syberii... – powiedziała Helena cicho.

Lilian objęła ją z uśmiechem.

– Na szczęście nie! – przyznała. – Ale mimo wszystko to nie powód, aby nie ubierać się ciepło! A teraz potrzebujemy kilka kompletów bielizny i walizkę, aby to wszystko spakować. A potem udamy się na poszukiwanie Jamesa. A może wiesz, gdzie on może być?

James rozstał się z obiema kobietami przed zakupami, co Helena przyjęła z ulgą. Drobne komplementy, które dziewczyna usłyszała od niego, kiedy ładnie upięła włosy lub siedziała w siodle w starej sukni do jazdy konnej Mirandy, wprawiały ją w zakłopotanie, bo po prostu nie wiedziała, jak ma je traktować. Ale jeszcze nigdy nie była tak zakłopotana jak teraz w małej kawiarni, gdzie spotkały Jamesa.

– Proszę – powiedział młody mężczyzna i podał jej małe pudełeczko. – Przyszło mi do głowy, że ciocia Lilian o tym nie pomyśli, a mojej matki też nie chciałbym o to prosić, kiedy przyjedzie po nas do Lyttelton. No, a z Kiward Station trzeba jechać do Haldon na zakupy, a w porównaniu z nim Lower Hutt to światowa metropolia. Tam każdy zna każdego. I wtedy...

Zawiłe wyjaśnienia Jamesa wydały się Helenie dziwne. Z zaciekawieniem otworzyła pudełeczko, sądząc, że dowie się wszystkiego. Krew uderzyła jej do twarzy, kiedy zobaczyła złotą obrączkę.

– To jest... to jest...

– ...obráczka – potwierdził James. – Uzgodniliśmy przecież, że chciałaś, aby wszyscy odnieśli wrażenie, że byłaś już mężatką w Polsce...

– Kiedy wyjechałam z Polski, miałam czternaście lat... – wyszeptała Helena.

Lilian uśmiechnęła się.

– To przecież nie ma znaczenia – oświadczyła. – Nie musisz opowiadać szczegółów. James ma zupełną rację. To uprości twoją sytuację w małym mieście, jakim jest Haldon, kiedy ludzie będą myśleć, że jesteś w ciąży z bohaterem wojennym. Dobry pomysł, James. Ile to kosztowało? Zwrócę ci pieniądze.

James, słysząc ostatnie słowa, także się zaczerwienił.

– Nie... nie musisz tego robić, ja... to był mój pomysł. A obrączka nie była aż tak droga, choć także nie całkiem tania. Ale przecież powinna jakoś wyglądać...

Lilian roześmiała się.

– Pewnie, to nie powinno sprawiać wrażenia, jak gdyby Helena była w związku z jakimś skąpcem czy też biedakiem. Wszystko wskazuje na to, że wymyśliłaś już dla niej odpowiedniego męża! – dokuczała Jamesowi. – Musisz nam go... a przede wszystkim Helenie, dokładnie opisać!

Helena nie wiedziała, gdzie ma podziąć oczy. A zaledwie przed chwilą cieszyła się, że będzie mogła pokazać się Jamesowi w nowym kostiumie – Lilian uparła się, aby dziewczyna po przymiarce od razu w nim została.

– Ta stara sukienka nadaje się do pracy w kuchni – stwierdziła – albo do stajni. Kiedy Gloria weźmie cię pod swoje skrzydła, rzadko będziesz oglądała kuchnię od środka. Mam więc nadzieję, że lubisz owce nie tylko w postaci pieczonej baraniny.

Helena nie była pewna, czy lubi owce, czy nie, bo nigdy jeszcze nie miała do

czynienia ze zwierzętami. Ale domyślała się już, że rodzina Jamesa posiadała bardzo wiele owiec, a także około stu sztuk bydła oraz hodowlę psów i koni. Dziewczyna cieszyła się, że zobaczy konie – niechętnie żegnała się z Vince'em i Vallery.

– Ale tam spotkasz też ich krewniaków – pocieszała ją Lilian, która była zachwycona tym, że Helena tak polubiła jej konie. – Vicky, matka Vallery, pochodziła właśnie z Kiward Station, a Vince to jej syn. James, ja właściwie potrzebuję konia z nowego pokolenia. Powiedz Glorii i Jackowi, żeby wyszukali mi jakąś śliczną kobyłkę. Najchętniej wśród potomków Princess.

Princess, matka Vicky, urodziła na Kiward Station jeszcze kilka źrebaków. Był to pierwszy koń Glorii McKenzie i z pewnością na farmie były jeszcze jej dzieci i wnuki.

Miranda nie mogła odmówić sobie przyjemności odwiedzenia Jamesa i Heleny na statek. W tym celu poprosiła w obozie o dzień wolny od pracy. I tu Helena musiała przyznać rację Jamesowi: przejażdżka na łagodnym koniu była niczym wobec tej strasznej jazdy.

– To poczekaj, aż polecisz kiedyś z Jamesem! – powiedziała obrażona Miranda, kiedy Helena w trakcie brawurowego pokonywania wyjątkowo ostrego zakrętu nie mogła powstrzymać okrzyku przerażenia. – W porównaniu z tym, jak on lata nad górami, to ja jestem tylko niezdarną kaczką.

Helena popatrzyła na nią zdumiona i dowiedziała się, że rodzina McKenzie dysponowała na Kiward Station prywatnym samolotem marki Piper J-3, jak z dumą objaśnił James, który pieszczotliwie nazywał go Pippa.

– Własny samolot na farmach owczych to nic nadzwyczajnego – dowodził, kiedy zobaczył wyraz twarzy Heleny. Młoda kobieta wiedziała wprawdzie, że rodzina McKenzie nie należała do biednych, ale to, że mogła pozwolić sobie na prywatny samolot, wydało jej się niesłychaną ekstrawagancją.

– Po prostu mamy bardzo dużo ziemi, na której pasą się owce – James najwyraźniej próbował się usprawiedliwić. – Łatwiej jest mieć je na oku, będąc w powietrzu, podobnie jak spędzać je na zimę czy też na strzyżę. Dawniej robiono to, siedząc w siodle na końskim grzbiecie – i oznaczało to ciężką, codzienną pracę, zanim zwierzęta wreszcie znalazły się na wyżynie na pastwiskach, a potem należało wszystko powtórzyć, aby jesienią znaleźć je w górach i sprowadzić przed zimą na farmę. I nie było to bezpieczne. W Alpach często występują nagłe ataki zimy, niespodziewane sztormy i opady śniegu. A moją Pippą przeprowadzam spęd praktycznie sam i ginie mi o wiele mniej owiec niż całej grupie jeźdźców.

– I tam nauczyłeś się latać? – spytała Helena z niedowierzaniem. Ciągle nie mogła oswoić się z myślą, że dla tego młodego człowieka latanie samolotem było tak oczywiste, jak jazda tramwajem dla innych.

James skinął głową.

– Tak. Mój *dad* też lata, ale nie potrafi odpowiednio rozpędzić tego ptaka. I zwłaszcza przy lądowaniu *dad* traci nad nim kontrolę. Jeśli chcesz, to też będziesz mogła kiedyś polatać. To wcale nie jest takie trudne...

Helena skinęła głową bez przekonania. Już w czasie jazdy samochodem walczyła z mdłościami i miała nadzieję, że było to związane ze stylem jazdy Mirandy, a nie

z nadwrażliwością spowodowaną ciążą. Bo gdyby tak miało być, to podróż statkiem też nie będzie przyjemna.

Ale rejs na Wyspę Południową z Północnej okazał się dla Heleny najwspanialszą z podróży morskich, które miała za sobą. Morze w Cieśninie Cooka było wprawdzie mocno wzburzone i Helena dostała torsji podobnie jak wielu pasażerów, ale potem statek płynął spokojnie wzdłuż wybrzeża Wyspy Południowej i wszyscy mogli cieszyć się widokiem zielonych wzgórz oraz jasnych i ciemnych plaż. Helena z zafascynowaniem obserwowała grupę delfinów, które otoczyły statek, i z przerażeniem kurczowo chwyciła za reling, kiedy w okolicy Kaikoura przed dziobem wynurzył się ogromny kaszalot.

– Ależ one są olbrzymie – powiedziała zaskoczona, kiedy pojawił się także długopłetwiec, a potem narwał. – Czy one naprawdę nie pożerają ludzi?

James roześmiał się.

– Nie, są zupełnie łagodne, a większość z nich nie ma nawet zębów. One są tylko ciekawskie. Popatrz, jak blisko podpływają.

Helenie ta podróż wydała się piękna jak marzenie – choć znów gnębiła ją myśl, że to właściwie Lucyna powinna być na jej miejscu. Jakież wspaniałe możliwości miałyby jej śliczna siostra w tym kraju! Bo kiedy Helena w myślach zestawiała osobę sympatycznego, obytego w świecie Jamesa z nieokrzesanym, trochę głupkowskim Kaspem... Natychmiast miała przed oczami obraz szczęśliwej, młodej pary i życia w dobrobycie, także obraz szanowanej i kochanej kobiety... James z pewnością mógłby pokochać Lucynę...

Bo Helena nie pozwalała sobie na myśl o tym, że James mógłby ją samą uważać za pociągającą, mimo że przecież był dla niej wyjątkowo miły. Młody mężczyzna rozmawiał z nią w ciągu dnia, kiedy byli na pokładzie, a wieczorem zaprosił ją do pokładowej restauracji na kolację. Helena rozkoszowała się smakiem rybnych potraw, a później, kiedy zespół zagrał jakąś melodię do tańca, po raz pierwszy usłyszała jazz – porywający gatunek muzyczny, który wręcz zapraszał do kołysania się w tańcu. I rzeczywiście James od razu poprosił ją do tańca – ale Helena odmówiła. Ciągłe przerażał ją dotyk mężczyzny, nie mówiąc już o tym, że jeszcze nigdy nie tańczyła. Sądziła, że się ośmiesz i ludzie będą na nią patrzeć i plotkować. Znów do jej myśli zakradł się obraz jej siostry. Lucyna nie miałaby żadnych zahamowań na parkiecie i prawdopodobnie nawet tutaj znalazłaby się w centrum uwagi. Helena uśmiechnęła się na samą myśl o tym, a potem uświadomiła sobie, kto właściwie jest winny temu, że to doświadczenie będzie Lucynie oszczędzone. Przygnębiło ją to – nie zauważyła nawet, że James próbował odwzajemnić jej uśmiech.

## ROZDZIAŁ 6

Po podróży trwającej dwa dni statek zawinął do Lyttelton, które z nabrzeża prezentowało się jako idylliczne miasteczko, położone na wzgórzach otaczających zatokę. Zatoka ta tworzyła naturalny port, do którego mogły zawijać i rzucać kotwicę nawet wielkie statki.

– Większym i ważniejszym miastem jest Christchurch – wyjaśnił James, kiedy Helena dziwiła się, że ten tak ważny port jest małym miasteczkiem. – A Christchurch jest oddalone stąd na północ o mniej więcej siedem mil i nie ma portu. Statki zmierzające tam właśnie zawijają do Lyttelton. W przyszłości Christchurch i Lyttelton pewnie się połączą, już teraz kupowanych i zasiedlanych jest coraz więcej połaci kraju między nimi. Dawniej oba miasta łączyła jedynie trudna droga prowadząca przez góry. Nazywano ją Bridle Path, bo nie pozwalano ludziom jechać nią samotnie. Każdemu koniowi bądź mułowi przydzielano przewodnika, który prowadził zwierzę za wodze. Co prawda nasza prababka Gwyneira tego nie zrobiła, kiedy przyjechała tu w poprzednim stuleciu. Osiodłała swojego konia, który miał za sobą trzymiesięczną podróż statkiem, i przejechała przez przełęcz. A jej suka Cleo spędzała potem samodzielnie dwadzieścia albo nawet czterdzieści owiec, które były posagiem Gwyneiry. Gwyneira przyjechała do Nowej Zelandii po to, aby wyjść za mąż – za Lucasa Wardena, dziedzica Kiward Station. Nigdy przedtem nie widziała tego mężczyzny i niestety nie była z nim szczęśliwa... A jej jazda przez Bridle Path to jedna z naszych najstarszych i najbarwniejszych historii rodzinnych. Miss Gwyn w ogóle jest legendą. Niestety, nie pamiętam jej. Zmarła, kiedy miałem trzy lata – w biblijnym wieku ponad dziewięćdziesięciu lat.

James umilkł i zaczął wpatrywać się w nieodległy port, do którego właśnie wpływał statek, po czym wskazał kobietę, która czekała obok zaparkowanego na nabrzeżu pick-upa.

– Popatrz, to moja matka!

Na podstawie ogromnego podobieństwa rodzinnego między Mirandą a jej matką Helena spodziewała się, że Gloria McKenzie będzie podobnym rudowłosym stworzeniem o szczupłej talii i cienkim nosie. Ale kiedy po raz pierwszy zobaczyła matkę Jamesa, nie przypuszczałyby, że między Glorią i Lilian istnieje jakieś pokrewieństwo. Gloria musiała pochodzić z zupełnie innej gałęzi rodu. Była raczej silnie zbudowana, a nie filigranowa i krucha, i choć na widok syna jej twarz rozpromieniła się, to jej rysy zdradzały pewną surowość. Nie sprawiała wrażenia kogoś tak otwartego i przystępnego jak Miranda czy Lilian. Niebieskie oczy Glorii były osadzone dość blisko siebie, jej wargi wąskie, o ostrym rysunku, a gęste, jasnobrązowe włosy krótko obcięte. Ta fryzura doskonale pasowała do jej stroju – Gloria miała na sobie dżinsy i koszulę w kratkę, a do tego skórzaną kurtkę, i z pewnej odległości można było wziąć ją za mężczyznę. Jednak matka Jamesa nie była nieatrakcyjna – miała ten rodzaj surowej urody, którą dostrzegało się dopiero po dłuższej chwili. Helena po pewnym czasie zauważyła też, że Gloria nie była sama – obok niej siedział pies – czarno-białe zwierzę o długiej sierści, które wpatrywało się w nią uważnie. A przynajmniej do chwili, w której usłyszało głos Jamesa.

– Ainné!

To wołanie przypominało głośny okrzyk radości. Młody mężczyzna cieszył się chyba bardziej ze spotkania z suką, niż ze swoją matką. A zwierzę także przestało się interesować Gloria McKenzie i pobiegło w stronę Jamesa, który właśnie szedł w jego kierunku po trapie. Kiedy się spotkali, Ainné skomląc, skoczyła mu na pierś, a James nie przestawał wołać jej po imieniu i czochrać jej sierści. Oboje sprawiali wrażenie szczęśliwych, przy czym nie tylko James miał twarz pełną uśmiechów, ale także suka uniosła w górę fagle, prezentując przy okazji wspaniałe uzębienie, co sprawiało wrażenie, jak gdyby się śmiała.

Helena wzięła swoją walizkę i zarzuciła sobie na ramię marynarski worek Jamesa, który on po prostu upuścił, widząc Ainné. Ruszyła powoli w dół, zaciekawiona, ale i nieco wystraszona perspektywą pierwszego spotkania z matką Jamesa. Gloria McKenzie szła w stronę syna. Sprawiała wrażenie uradowanej, ale i bardzo spokojnej – impulsywność Lilian czy Mirandy była jej raczej obca – i najwyraźniej nie miała zamiaru przerywać radosnego powitania Jamesa i suki. Uśmiechnęła się do Heleny i podała jej rękę – zapewne widziała dziewczynę wraz z Jamesem, kiedy oboje stali przy relingu.

– Oni oboje na chwilę przepadli – stwierdziła teraz, wskazując na Jamesa i jego sukę, po czym przedstawiła ją. – To jest Ainné, ukochany pies Jamesa. Sam ją układał. Zanim stąd uciekł, aby prowadzić wojnę w interesie obcych ludzi, praktycznie się nie rozstawali. Jestem Gloria McKenzie. A pani jest miss... Graebauska? – wymówiła polskie nazwisko tak źle, jak to tylko było możliwe.

Zakłopotana Helena uściśniła podaną jej rękę.

– Grabowska – poprawiła. – Ale proszę mówić Helena.

Matka Jamesa uśmiechnęła się i wzięła marynarski worek syna.

– Dobrze. I jak miło, że mówisz po angielsku. Obawiałam się już, że będę musiała odkurzyć mój francuski, bo ktoś mi powiedział, że w Polsce to najczęściej używany język obcy.

Helena przytaknęła i opowiedziała krótko, że jej matka pracowała jako nauczycielka i uczyła angielskiego. A James wreszcie objął swoją matkę, choć jego radość była nieco powściągliwa.

– A to jest Helena – powiedział. – Należy do ludzi, którzy niestety nie mogą prowadzić swojej wojny.

James był najwyraźniej gotów od razu zacząć kłótnię.

Gloria westchnęła.

– Dyskutuj na ten temat ze swoim ojcem – powiedziała ostrożnie. – Ja tego nie potrafię ocenić, cieszę się tylko, że znów cię mam. A ciebie, Heleno, też serdecznie witam. Jesteś mile widziana w naszym domu i cieszymy się, że będziesz miała potomka. Może dzięki temu też będziemy mogli przyczynić się do tego, aby świat stał się nieco lepszy, a nasz syn nie będzie musiał z tego powodu ginać.

– Helena nie miała żadnego wyboru – odpowiedział James, cały czas w nastroju do kłótni. – Jej rodzice nie żyją...

Helenie było bardzo nieprzyjemnie, że jest powodem dyskusji między matką i synem. W zakłopotaniu pochyliła się i zaczęła głaskać psa.

– Czy ona... też lata twoim samolotem? – spytała, chcąc skierować rozmowę na



inny temat. – To znaczy... Mówiłeś, że spędzasz samolotem owce... A ona to przecież *sheep dog*...

Gloria McKenzie uśmiechnęła się, wyraźnie wdzięczna za zmianę tematu.

– Ona pomaga je posortować – wyjaśnił James, także nie mogąc powstrzymać uśmiechu. – Ale nie cierpi na lęk wysokości. I rzeczywiście zabieram ją ze sobą, kiedy lecę.

– Co mi bardzo odpowiada – dodała Gloria z nieco krzywym uśmiechem. – Bo z Ainné w kokpicie James lata ostrożniej. Nie chce przecież, aby stało się jej coś złego. Ach, James, wiem, że jesteś na nas zły, ale mimo to cieszę się, że jesteś z nami! Jesteście głodni? Chcecie teraz coś zjeść, czy dopiero w Christchurch? Heleno, gdybyś chciała zrobić jakieś zakupy...

Helena potrząsnęła głową.

– Zjedliśmy na statku smaczne i obfite śniadanie – powiedziała. – A ja... ja mam wszystko, czego potrzebuję – wskazała na swoją nową walizkę.

– Dobrze. – W głosie Glorii słychać było zadowolenie. Najwyraźniej zakupy nie należały do jej ulubionych zajęć. – To jedziemy od razu na Kiward Station, co będzie trwało kilka godzin, Heleno. Dawniej jechano nawet cały dzień z Haldon do Christchurch, już nie mówiąc o Lyttelton. Ale od kiedy pojawiły się samochody, odległości się skurczyły, na szczęście...

Matka Jamesa spokojnie usiadła za kierownicą swojego ciężkiego pick-upa, podobnie jak Lilian i Miranda wsiadały do swojego sportowego samochodu. Gloria także jechała szybko, ale bardzo rozważnie. Helena czuła się o wiele bezpieczniej, choć także i teraz musiała walczyć z mdłościami, bo w samochodzie czuć było intensywny zapach psiej sierści i może także trochę owczej. Droga z początku prowadziła przez góry i Helena cieszyła się, kiedy James kilkakrotnie poprosił o przerwę w jakimś ciekawym miejscu widokowym.

– Stąd imigranci po raz pierwszy patrzyli na Christchurch i Canterbury Plains – mówił. – Miasto sto lat temu było oczywiście o wiele mniejsze...

Christchurch, jak na nowozelandzkie warunki duże miasto, leżało nad brzegiem rzeki. Helena zobaczyła liczne reprezentacyjne budowle z kamienia i sądziła, że niektóre z nich były budynkami kościelnymi. Bo niby dlaczego miasto nazywało się Christchurch? James nie do końca potwierdził jej przypuszczenie.

– Pierwsi osadnicy rzeczywiście byli wierzącymi anglikanami i bardzo szybko zaczęto wznosić katedry, anglikańską, ale także katolicką. Możesz tam chodzić na nabożeństwa, jeśli jesteś wierząca. Jesteś katoliczką, prawda?

– Tak – przytaknęła Helena, choć nie chciała mówić na ten temat zbyt wiele.

– Nazwa tego miasta nie pochodzi od Chrystusa, lecz od Christ Church College w Oksfordzie. Nie mam pojęcia, kto wpadł na taki pomysł, ale zapewne musiał to być ktoś bardzo związany ze swoją Alma Mater – James uśmiechnął się. – Od razu zaczęto też tworzyć uniwersytet i na kampusie wszystko wygląda tak jak w Oksfordzie. To także musisz kiedyś zobaczyć – w ogóle spacer po Christchurch może właściwie zastąpić podróż do Anglii. Szczególnym zabytkiem jest tu także stary tramwaj! To u nas jest sensacja, przecież w Europie od dawna są metra...

James nie przerywając swej opowieści, chciał zaprowadzić Helenę do samochodu, ale ona potrzebowała nieco czasu, aby ogarnąć spojrzeniem rozciągający się za miastem krajobraz: rozległe połacie porośnięte trawą z górami pokrytymi śniegiem w tle. Teraz niebo było zachmurzone, a James twierdził, że widok w czasie dobrej pogody jest o wiele bardziej spektakularny.

– I gdzieś tam znajduje się wasza farma? – spytała dziewczyna, wskazując na wyżyny za miastem.

Gloria potwierdziła teraz z wyraźnym ożywieniem, choć do tej pory słuchała z pewnym znudzeniem opowieści Jamesa na temat Christchurch.

– Od około stu lat – dodała z dumą. – I zawsze była to posiadłość rodzinna, choć z bardzo zmienną historią. To właściwie hodowla owiec, bo ziemia nadaje się tylko do ekstensywnej gospodarki hodowlanej bydła. Pada tu zbyt mało deszczu, aby można było uprawiać rolę. Wszędzie rośnie trawa z gatunku tussock, tworząc charakterystyczne kępy. Kiedy więc darń jest w wyniku deszczu raz zniszczona, uprawa staje się trudna. Dlatego wypasa się tu owce – hoduje się je głównie w celu pozyskiwania wełny, ale mamy też rasy nadające się na mięso. Od kilkudziesięciu lat hodujemy także bydło. Akurat teraz, w czasie wojny, jest to doskonały interes, bo mięso jest eksportowane. A Kiward Station jest znana także dzięki swoim psom rasy collie – Gloria wskazała na Ainné. – To najbardziej cenione psy pasterskie w tym kraju. Ich przodkowie przyjechali tu wraz z prababką Gwyn z Walii. Do dziś krążą opowieści o Cleo i Friday... Może już wsiądziecie do auta? Przed nami jeszcze długa droga.

Punkty widokowe najwyraźniej nie interesowały Glorii aż tak bardzo. Za to zarówno ona, jak i James zabawiali swego gościa kolejnymi opowieściami o legendarnej Gwyneirze McKenzie, której pierwszy mąż, Lucas, dopiero po śmierci zasłynął jako znakomity malarz...

– Te zdolności odziedziczyła po nim jego prawnuczka – James wskazał na Glorię. – Moja matka potrafi znakomicie rysować. Ja niestety w ogóle.

– O ile to rzeczywiście był mój pradziadek... – uściśliła Gloria. – Prababka Gwyn napomknęła kiedyś, że Lucas rzeczywiście był dziadkiem przyrodniego brata Paula. A ojciec Lucasa był wściekły, że syn zawiódł jako mężczyzna, i sam wziął w swoje ręce kwestię poczęcia dziedzica...

– Masz na myśli to... że on i Miss Gwyn? – spytał James zdumiony. Ta część rodzinnej historii była mu chyba nieznana.

– To był gwałt – powiedziała Gloria, a Helenie zrobiło się nieprzyjemnie, choć mimo to poczuła jakąś ulgę. Nie była więc jedyną kobietą, która musiała żyć z taką hańbą. – A Lucas któregoś dnia po prostu zniknął – mówiła dalej Gloria. – I zginął na zachodnim wybrzeżu.

– A Gwyneira poślubiła swoją prawdziwą miłość! – James cieszył się wyraźnie, mogąc ogłosić happy end tej historii. – Jamesa McKenziego, w swoim czasie znanego jako Robin Hood Nowej Zelandii. Był to złodziej bydła. I mój dziadek ze strony ojca, po którym otrzymałem też imię. Dlatego też nie powinniście się dziwić, że nie jestem takim gołębiem pokoju, jak *dad*.

James najwyraźniej znów dążył do kontynuowania rodzinnej kłótni, ale Gloria

McKenzie nie dała się sprowokować. Miała bardzo pokojowe usposobienie.

– Opowiedz nam o swojej rodzinie, Heleno – zwróciła się do swego gościa.

Helena opowiedziała o Lwowie, o swoich rodzicach i trochę o Lucynie. Gloria, podobnie jak jej kuzynka Lilian, nie zadawała sobie pytania, czy można było pozwolić, aby szesnastolatka sama decydowała o swoim losie. Zaakceptowała po prostu fakt, że Lucyna wolała zostać w Persji. Choć oczywiście nie zdawała sobie sprawy, jakie szanse straciła Lucyna w efekcie oszustwa Heleny. Ta wolność, którą oferowała Nowa Zelandia kobietom, była czymś oczywistym dla Glorii, Lilian i Mirandy.

Kiedy Helena opowiadała, Gloria prowadziła pick-upa przez niekończące się połacie traw. I choć patrząc z Bridley Path, tak to nie wyglądało, to Canterbury Plains ciągnęło się całymi milami. Było to istne morze tańczących na wietrze traw, od czasu do czasu pojawiał się niewielki lasek, czasem potok, którego brzegi porośnięte były trzcinami, lub też skały, sprawiające wrażenie zupełnie przypadkowo osadzonych w krajobrazie. Rzadko można było dostrzec farmy czy też choćby jakieś drogowskazy, kierujące jadącego w ich stronę. James wyjaśnił, że prawie nie było tu małych gospodarstw. Z reguły znajdowały się tu ogromne, bogate farmy, leżące z dala od głównej drogi. Dojście do nich stanowiły utwardzone prywatne drogi dojazdowe.

Dotarli do Kiward Station po południu. Gloria skręciła w prywatną drogę, która najpierw prowadziła nad małym jeziorkiem, a potem wokół wzgórza. A potem... Helenie dosłownie zapało dech w piersi, kiedy już mogła dostrzec główny budynek. Kiward Station w niczym nie przypominało farmy, raczej angielski dwór, siedzibę jakiegoś lorda czy też barona opisywaną w angielskich powieściach. Jak Manderley z *Rebekki* czy też Thornfield Hall z *Jane Eyre*. Budynek zbudowany był z szarego piaskowca – Helena dostrzegła wykusze i ogromne okna, niektóre z małymi balkonami. Do dworu prowadził szeroki podjazd – bez wątpienia zaplanowany dla dorożek i zaprzęgów konnych – który otaczał okrągłą rabatę. Nietrudno było wyobrazić ją sobie obsadzoną różami. Ale najwyraźniej rodzina McKenzie nie przywiązywała do tego zbyt wielkiej wagi – na rabacie rosły jedynie krzewy rata.

– No i co ty na to? – uśmiechnął się James.

– To jest... przepiękne... – wymamrotała Helena.

– To jest pyszałkowate – poprawiła ją Gloria. – Nasz przodek Gerald Warden chciał koniecznie pokazać wszystkim, jaki jest bogaty, i dorównać angielskiej szlachcie. I stąd także wyswatanie syna z Gwyneirą. Ona była córką milorda Silkhamy... Pochodziła ze starej, walijskiej rodziny szlacheckiej. Jej ojciec chciał ją właściwie wydać za prawdziwego lorda, a nie za nowozelandzkiego owczego barona. A powodem tego, że zaręczono ją z Lucasem, była karciana gra blackjack. Warden i milord grali o rękę Gwyneiry. Jej ojciec chyba nie brał tego zbyt poważnie, bo Gwyneira przecież mogła powiedzieć „nie”. Ale ona w ogóle o tym nie myślała. Wyjazd z Walii był dla niej przygodą życia, a ona kochała przygody.

Gloria silnym pchnięciem otworzyła drzwi samochodu, które chyba trochę się zacinały. James wypuścił najpierw Ainné, po czym wysiadł i przytrzymał drzwi przed Heleną.

– No nie patrz z taką czcią, nie mamy przecież nad drzwiami szlacheckiego herbu

– dokuczał jej. – Ale za to chętnie zaniosę ci walizkę.

Helena, nieco zdenerwowana i mocno onieśmielona, poszła za nim, po kilku stopniach docierając do portalu wejściowego, za którym znajdowało się ogromne pomieszczenie służące do przyjmowania gości. Pierwotnie z pewnością przewidziane było jako komnata reprezentacyjna, teraz jednak panował tam nieporządek. Wszyscy z rodziny McKenzie odstawiali tu chyba swoje zakupy i zapominali o nich, jeśli nie było to coś, czego akurat potrzebowali.

– Przeważnie używamy wejścia przez stajnię – stwierdziła Gloria McKenzie przepraszającym głosem, po czym niedbale odwiesiła swoją skórzaną kurtkę w garderobie, gdzie wisiał już woskowany płaszcz i kilka innych kurtek. Prosto z wejścia wchodziło się do gabinetu, gdzie przy ścianach ustawiono regały z aktami. Na biurku obok maszyny do pisania leżały rachunki, dokumenty, kartki z notatkami, ołówki i puszka z herbatnikami.

– To był dawniej pokój przyjęć – wyjaśniła Gloria. – Babka Gwyn go potem przerobiła i zaczął pełnić inną funkcję. Bo komu potrzebny jest stolik do odkładania wizytówek? Wykorzystujemy to pomieszczenie jako gabinet, bo znajduje się blisko głównego wejścia, co jest bardzo praktyczne, kiedy przychodzi do płacenia dostawcom. I wynagrodzenia też tutaj wypłacamy. Bardzo oficjalna atmosfera jest potrzebna, kiedy trzeba zganić robotnika czy też wywalić go z pracy.

Gloria McKenzie uśmiechnęła się przepraszająco. Ganienie czy też wyrzucanie z pracy robotników chyba nie należało do jej ulubionych czynności i jakoś do niej nie pasowało.

Za gabinetem znajdował się salon, w którym stały ciężkie, angielskie meble. Z pewnością były to wytworne antyki, choć już nieco zniszczone. Stąd szerokie schody prowadziły na pierwsze piętro, a za drzwiami znajdowały się liczne pomieszczenia. Jedno z nich miało przejście do kuchni i służyło za jadalnię, inne zaś jako coś w rodzaju pokoju dziennego.

– To był dawniej pokój pana domu – powiedział James, który oprowadzał Helenę. Gloria w tym czasie zajrzała do kuchni, żeby zamienić kilka słów z kucharką. – Dziś wykorzystujemy to pomieszczenie jako pokój dzienny, przede wszystkim zimą, bo salonu niemal nie można ogrzać.

Także tutaj znajdowały się ciemne angielskie meble, w kącie stała narożna sofa, obok niej masywne fotele. Przed ogromnym kominkiem Helena dostrzegła bujany fotel, a obok niego dywaniki dla psów. Któraś z suk przeciągała się na sofie i zeskoczyła pełna poczucia winy dopiero wtedy, kiedy James i Helena weszli do środka.

– Wednesday! Wstydz się! – zrugął ją James, choć zrobił to bez przekonania. Chyba nie mógłby być zły na śliczną, trójkolorową sukę collie, która witała go tak radośnie jak poprzednio Ainné.

– Ona jest szczenna – wyjaśnił Helenie. – I dlatego wyobraża sobie, że jej wszystko wolno...

Helena natychmiast się zaczerwieniła, a James także sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Choć... ehm... oczywiście wolno jej... To znaczy, myślę, że przyszłe matki

można trochę rozpieszczać.

Helena, nieprzyjemnie dotknięta, machinalnie obracała złotą obrączkę, którą nosiła w poczuciu obowiązku od chwili wyjazdu z Wellingtonu.

– Pokażę ci teraz twój pokój – powiedział szybko James i poprowadził młodą kobietę po schodach do góry.

Z korytarza drzwi prowadziły do pojedynczych pokoi, ale także mieszkań. Helena odetchnęła głęboko, kiedy James otworzył przed nią drzwi prowadzące do przewidzianych dla niej pomieszczeń.

– To jest... to jest... – próbowała się uśmiechnąć. – To rzeczywiście można określić jako rozpieszczanie! – dokończyła wreszcie.

W dużym pokoju o ścianach oklejonych żółtą tapetą znajdowały się delikatne meble z jasnego drewna. W oknach wisiały jedwabne zasłony w kolorze jesienno-żółtego wrzosu – z pewnością bardzo stare, ale dobrze zachowane. Na łóżku, przykrytym żółtą kapą, leżały poduszki w tym samym kolorze. Na stoliku nocnym ktoś położył kilka książek – były to powieści Brendy Boleyn, ale także album o sztuce maoryskiej. Obok sypialni znajdowała się garderoba pełna luster i szaf na ubrania, a stąd przechodziło się do małej, ale bardzo eleganckiej łazienki. W mieszkaniu był także niewielki salon z wykuszem. Z foteli, stojących wokół stołu, rozciągał się widok na ogród, który teraz bardziej przypominał dżunglę niż park. Rosły w nim głównie miejscowe krzewy i drzewa. Niczym niezarośnięte drogi prowadziły przez ogród do budynków gospodarczych i stajni.

– I jak? Podoba ci się?

– To przepiękne mieszkanie – wyszeptwała zachwycona Helena. – Ale ja przecież... nie potrzebuję... takich dużych pokoi...

James wzruszył ramionami.

– To mieszkanie należało do babki Gwyn – powiedział. – To właśnie ona. – Wskazał na obraz wiszący na ścianie wykuszu. Portret przedstawiał rudowłosą, piękną kobietę o ciemnoniebieskich oczach – Miranda i Lilian były do niej niesłychanie podobne, nieco inny był tylko kolor ich oczu i odcień rudych włosów. Miranda była bardziej podobna do swojej prababki niż Lilian, Gwyneira musiała być mniej więcej w jej wieku, kiedy ją malowano. Siedziała na krześle, które można było dostrzec teraz w salonie, i sprawiała wrażenie zniecierpliwionej.

– To jej pierwszy portret, namalowany przez Lucasa Wardena. Bo wolała, aby ją fotografowano, wówczas nie musiała tak długo siedzieć bez ruchu. Dlatego też nie ma innych obrazów olejnych Miss Gwyn, wolała, aby malowano konie czy psy. Od kiedy nie żyje, moja rodzina wykorzystuje te pomieszczenia jako pokoje gościnne i jakoś... jakoś wszystkim to bardzo odpowiada, kiedy jej duch czuwa nad ludźmi. – James uśmiechnął się do Heleny przepaszająco.

– To rzeczywiście może być coś miłego – powiedziała szybko.

– Moi rodzice zajmują mieszkanie po drugiej stronie domu – wyjaśnił James. – Z widokiem na podjazd, pierwotnie były to pomieszczenia zajmowane przez pana domu Geralda Wardena. A ja mieszkam w pokojach Lucasa. Poza tym – dom jest pusty. To ogromna budowla, Heleno, prawdopodobnie stary Warden zaplanował ją jako mieszkanie dla dziesięcioosobowej rodziny. Ale nie myśl już o tym. Urządź się tutaj, żeby ci było

przyjemnie. O siódmej jest kolacja, mogę po ciebie przyjść, żebyś nie zabłądziła.

Helena nie podzielała jego obaw – miała od zawsze doskonały zmysł orientacji. Niepokoiło ją coś innego.

– Czy muszę się przebrać na kolację? – spytała. – To znaczy... skoro macie kucharkę...

Dom sprawiał wrażenie szlacheckiej posiadłości i dlatego Helena nie zdziwiłaby się, gdyby jego mieszkańcy zjawili się na kolacji ubrani w wieczorowe suknie i smokingi.

Ale James roześmiał się.

– Kucharce będzie wszystko jedno, co założysz – odpowiedział. – I moim rodzicom też. Przykro mi, jeśli trochę się boisz tego domu, ale my jesteśmy zupełnie normalnymi ludźmi. Oczywiście mamy personel – kucharkę i dwie pomocnice, wszystkie trzy Maoryski. Moja matka nie była w stanie zająć się tym ogromnym domem sama i nie chce też tego robić. Moja matka prowadzi farmę, Heleno. Oczywiście razem z moim ojcem, ale na papierze Kiward Station należy do niej. To jej matka była jej formalną dziedziczką, jednak zupełnie nie przywiązywała wagi do swego dziedzictwa ani też nie dbała o tę posiadłość. Była w tym czasie śpiewaczką o światowej sławie – myślę, że nawet dziś też jeszcze występuje. Kura-maró-tini Martyn, może o niej kiedyś słyszałaś. Choć było to dawno temu... Tak czy owak, ona mieszka teraz w Stanach Zjednoczonych. Całe życie bardzo dobrze zarabiała, bo gdyby było inaczej, z pewnością sprzedałaby Kiward Station. To przez całe lata był koszmar babki Gwyn, która się tego obawiała. Ale kiedy moi rodzice się pobrali, Kura-maró-tini przepisała farmę na Glorię. Od tego czasu nigdy o niej nie słyszeliśmy, może poza tym, co gazety pisały o jej występach. Zdaje mi się, że ona nie zareagowała nawet na wieść o moich narodzinach. Prawdopodobnie nie podobała jej się myśl, że została babką. Była kobietą niezwykle piękną i starzenie się nie pasowało do jej życiowego planu.

Helena potrafiła sobie wyobrazić, że Gloria McKenzie cierpiała jako dziewczyna, będąc ze swoją matką. Nie było łatwo żyć obok kogoś tak atrakcyjnego i obdarzonego tak licznymi zdolnościami. Helena znów pomyślała o Lucynie.

– Jak mówiłem, urządz się tu tak, żeby ci było przyjemnie! – przerwał jej rozmyślenia James i za chwilę zszedł na dół. Helena została sama.

Nie potrzebowała zbyt wiele czasu, aby ułożyć w szafie swoje nieliczne ubrania. Usiadła przy oknie w wykuszu, jednak nie patrzyła na ogród na dole, tylko na portret młodej kobiety wiszący na ścianie.

Gwyneira Warden także zaszła w ciążę w wyniku gwałtu. Czy czuła się tak samo brudna i zhańbiona jak ona? Czy rozmyślała całymi godzinami o swojej współwinie? I jak to w ogóle było możliwe, że jej drugi mąż mimo to ją kochał?

## ROZDZIAŁ 7

Punktualnie o siódmej James zapukał do drzwi Heleny, a dziewczyna dostrzegła natychmiast, że sprawiał wrażenie mocno rozgniewanego. Najwyraźniej pokłócił się z ojcem, jak tylko go zobaczył.

– Po prostu nie powinienem był przyjeżdżać do domu – mruknął, idąc z Heleną schodami na dół. – Powinienem był pojechać do Greymouth i przyjąć jakąś pracę w górnictwie. Wtedy oboje przekonaliby się, że to do niczego nie prowadzi!

Helena nie skomentowała jego słów. O ile zrozumiała Glorię McKenzie, rodzicom Jamesa było obojętne, czy syn spędzi ostatnie miesiące wojny na wybrzeżu zachodnim, na Wyspie Północnej, czy też w Australii. Najważniejsze, że nikt nie będzie do niego strzelał.

– Wówczas ta młoda *lady* byłaby bardzo smutna – powiedziała po chwili, wskazując na Ainné, która szła za swoim panem krok w krok i co chwilę patrzyła mu prosząco w oczy. Zacięty wyraz twarzy Jamesa natychmiast ustąpił – mężczyzna uśmiechnął się.

– Tu masz rzeczywiście rację! – stwierdził, a Helena od razu poczuła się lepiej. Dziewczynę zaniepokoiły porywcze słowa Jamesa, ale to, jak szybko minął jego gniew, utwierdziło ją w słuszności swej oceny młodego mężczyzny: James McKenzie łatwo wpadał w złość, ale ten stan nie trwał długo. Jego rodzice urazili go wprawdzie, ale z pewnością będzie skłonny szybko się z nimi pogodzić.

Jack i Gloria McKenzie siedzieli już przy stole, kiedy Helena i James zeszli na dół, jednak ojciec Jamesa wstał, aby raz jeszcze powitać gościa. Ten wysoki, szczupły mężczyzna o rudobrazowych, kręconych włosach i spokojnych, zielonobrazowych oczach wydał się Helenie bardzo sympatyczny. Jego cera była znacznie ciemniejsza niż cera syna, a twarz miała ostre rysy i liczne zmarszczki – i choć przyczyną wielu z nich był z pewnością śmiech, to Helena wiedziała już, że ten człowiek miał za sobą długie i trudne lata. Jednak Jack McKenzie sprawiał wrażenie człowieka łagodnego i spokojnego. Od razu wskazał Helenie miejsce obok Jamesa i zaczął rozmawiać z nią w czasie, kiedy podawano kolację. Wniosła ją młoda dziewczyna w ciemnej sukni i fartuszk, choć bez czepka na długich, czarnych włosach. Maorysi z pewnością byli jej przodkami, choć Helena nie była pewna, czy wśród nich nie było także białych.

– Dziękuję, Anno – powiedziała Gloria, kiedy dziewczyna podała zupę.

To z pewnością nie jest maoryskie imię, pomyślała Helena.

– A pani pochodzi z Polski, Heleno? – spytał Jack McKenzie. – A skąd dokładnie?

Helena odstawiła łyżkę. Jej gospodarz z pewnością chciał być miły, ale jej ciągle z trudem przychodziło opowiadanie o utraconym domu we Lwowie.

– Ze Lwowa – odpowiedziała po chwili. – Trochę trudno wymówić tę nazwę. – Helena zmusiła się do przełknięcia łyżki zupy. Poczowała słodkie ziemniaki, ale wspomnienia sprawiły, że ten smak nagle wydał jej się gorzki.

– Lwów należy do wschodniej Polski – powiedziała po chwili. – To od zawsze była istna mieszanka różnych ludów: Białorusinów, Ukraińców, Żydów, Polaków... Teraz prawdopodobnie mieszkają tam tylko Rosjanie, po... po tych... deportacjach... – Potarła

czoło. Straciła zupełnie apetyt, myśląc o tym. A rodzina McKenzie nie chciała przecież sprawiać jej przykrości. – Lwów to stare, piękne miasto – uciekła w opowieść o mieście, jego kulturze i architekturze, aby nie mówić już o doznanych okrucieństwach. – Jest tam wiele najróżniejszych kościołów, muzeów, także teatr i słynna opera. Moi... moi rodzice zawsze nas tam zabierali, kiedy byliśmy już na tyle duże, aby siedzieć spokojnie w czasie przedstawienia... – Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Czy miałaś dużą rodzinę? – spytała Gloria.

Helena przytaknęła.

– Miałam wiele ciotek i wujów – powiedziała cicho. – Także kuzynów i kuzynek. Ale nasza rodzina liczyła tylko cztery osoby, ojciec, matka, siostra i ja. My... mieliśmy piękny dom w centrum miasta. Zaraz obok znajdował się gabinet mojego ojca, a uczniowie mojej matki przychodzili do nas do domu. Lucyna i ja nigdy właściwie nie byliśmy... same.

Głos Heleny załamał się. A teraz także Gloria McKenzie zauważyła, że jej zainteresowanie rodzinnym miastem Heleny oraz związane z tym wspomnienia nie były powodem do radości młodej kobiety.

– Nie musisz o tym mówić, jeśli nie chcesz – powiedziała ciepło i zawołała Annę, aby sprzątnęła talerze po zupie. – Czasami nawet piękne wspomnienia sprawiają ból... A co u Billerów, James? Czy Miranda wie w końcu, co chce studiować? A Gal ciągle jeszcze jest zachwycony pracą w górnictwie?

James milczał dotychczas w czasie kolacji. Teraz odpowiadał cierpliwie, choć tylko monosylabami, na pytania Glorii o krewniaków z Wyspy Północnej, choć właściwie powinien był zauważyć, że były to jedynie próby przerwania nieznośnej ciszy. Lilian w ciągu ostatnich dni kilkakrotnie dzwoniła do kuzynki, Gloria była więc doskonale poinformowana, co słyhać u Lilian, Bena i Mirandy na Wyspie Północnej i u Galahada w Greymouth. W końcu Jack poruszył bardzo neutralny temat.

– Bardzo zimno zrobiło się w ostatnich dniach – skomentował pogodę. – Jesień zawita wcześniej na Wyspę Południową...

Ale i ta próba zawiodła. James wykorzystywał każdą szansę, aby poruszać temat wojny.

– Jeśli uważasz, że tu jest zimno – zauważył sarkastycznie – to spytaj Helenę o Syberię!

Helena w zakłopotaniu opuściła głowę. Jej rzeczywiście nie wydawało się, że na Canterbury Plains jest teraz zimno.

– Była tam pani internowana, prawda? – zwrócił się do niej Jack, a w jego głosie słyhać było przyjazną troskę. – W obozie pracy?

Helena skinęła głową.

– W górnictwie – odpowiedziała krótko. Niechętnie mówiła o swoim życiu we Lwowie, ale już zupełnie nie chciała opowiadać o latach spędzonych w Workucie. – Nas, dziewczęta, wysyłano tam często do lasu. Musiałyśmy ścinać gałęzie z pni drzew. To nie była... aż tak ciężka praca...

– Mnie wydaje się to aż nadto ciężkie dla nastolatków – odparł Jack poruszony. – A już zwłaszcza w śniegu i lodzie. I tam zginęli pani rodzice?



Helena znów przytaknęła. O tym to już zupełnie nie chciała mówić. A James nie omieszkiał wykorzystać kolejnej okazji.

– No to widzisz teraz, do czego dochodzi, jeśli nie będziemy walczyć z Hitlerem! – zatriumfował. – Trzeba kłaść kres działaniom takich typów. Powinien to robić każdy mężczyzna zdolny do noszenia broni!

Zabrzmiało to bardzo patetycznie, a na twarzy Jacka pojawił się natychmiast wyraz rozbawienia.

– Ale to Stalin panią deportował, Miss Helena, prawda? – spytał przyjaźnie. – O ile dobrze zrozumiałem, Hitler pojawił się dopiero wtedy, kiedy zerwał pakt o nieagresji z Rosją. A Stalin w odpowiedzi sprzymierzył się z aliantami i od tamtej chwili stoi po ich stronie, podobnie jak Royal Air Force...

James zaczerwienił się.

– Co oczywiście może się zmienić – mówił dalej Jack. – Niemcy będą wkrótce zwyciężeni, będziemy mogli więc dalej tępić zło na świecie, na przykład bombardując z kolei Moskwę. James, to zupełnie nowe trasy lotów. Na pewno będzie ciekawie...

James szykował się do kolejnej ostrej odpowiedzi, ale do dyskusji włączyła się Gloria i energicznie zmieniła temat.

– James poleci najpierw swoją Pippą w góry i pomoże przy spędzaniu owiec. Zdecydowałam się sprowadzić je wcześniej na dół, Jack. Wszystkie prognozy pogody mówią o wczesnej i surowej zimie. Sądzę, że zaczniemy spęd najpóźniej za cztery czy pięć tygodni. Jeśli będziemy czekać zbyt długo, stanie się to ryzykowne. A jutro pokażesz Helenie farmę, James. Lilian mówiła, że polubiłaś jazdę konną, Helena. Cieszę się. Wyszukamy dla ciebie spokojnego konia...

Helena zagryzła wargi. Przyjęcie tego wszystkiego wydawało jej się niemożliwe.

– Ja... ja nie chciałabym tutaj tylko jeździć konno i... czytać... i wypoczywać. Oczywiście cieszę się z mojego pięknego pokoju, Mrs McKenzie... – powiedziała cicho – ale chciałabym się do czegoś przydać. Gdyby dała mi pani jakąś pracę...

Gloria uśmiechnęła się.

– Coś się na pewno znajdzie – odpowiedziała. – Najpierw rozejrzyj się trochę, nigdy przecież nie byłaś na farmie. Na dłuższą metę nie będziesz tu bezrobotna, na to jest tu po prostu za dużo pracy!

I to była rzeczywiście prawda. Kiedy Helena następnego ranka wstała i wyszła przed dom – mimo zmęczenia spała bardzo niespokojnie, bo od czasów dzieciństwa we Lwowie nigdy nie miała pokoju tylko dla siebie i teraz wręcz brakowało jej odgłosów śpiących we wspólnej sali osób – stwierdziła, że Gloria McKenzie wobec panującego tu ruchu rzeczywiście nie mogła mieć czasu na zajęcie się gospodarstwem domowym. A przecież w tej chwili na dziedzińcu farmy i na pobliskich łąkach było tylko niewiele owiec, większość stad przebywała na wyżynach i w górach. Ale już samo bydło wymagało pracy trwającej wiele godzin. Zwierzęta musiały być nakarmione i napojone, a wyrzucanie gnoju ze stajni pochłaniało chyba najwięcej czasu. Jack McKenzie siedział już na traktorze, kiedy James i Helena zaczęli obchód farmy, Gloria zaś zajęta była spędzaniem owiec. Wielkie obory, w których latem trzymano tuczniaki, były teraz opróżnione i czekały na zwierzęta przebywające w górach. Helena z zafascynowaniem

obserwowała, jak bardzo pomocne były w pracy Glorii trzy psy. Wystarczały im krótkie rozkazy matki Jamesa, także Ainné przyłączyła się do pracy, słysząc gwizd swojego pana, i natychmiast popędziła za niesfornym trykiem, który postanowił opuścić stado.

– Możecie wyprowadzić konie na przydomową łąkę! – zawołała Gloria do Jamesa i Heleny. – Peter i Arama muszą wyrzucić gnój z obory. Pojedźcie na koniach do Kręgu Kamiennych Wojowników i zabierzcie od razu ze sobą owce...

Helena cieszyła się, że matka Jamesa także do niej kierowała swe rozkazy, choć nie sądziła, że będzie bardzo pomocna przy wypędzaniu owiec. I rzeczywiście nie musiała nic robić, James i jego Ainné oraz suka Wednesday wykonali zadanie sami. Helena znów dostała bardzo spokojnego konia, który nie czekając na jej rozkazy, szedł za silnym wałachem Jamesa. Dziewczyna mogła rozkoszować się spokojną jazdą. Natomiast James jechał za pilnowanymi i pędzonymi do przodu przez psy owcami. Helena zastanawiała się, jak psy znajdowały drogę. Nie było tu przecież krętych, wąskich ścieżek jak w Lower Hutt, lecz jedynie bezkresne łąki. Czy James orientował się po położeniu słońca?

– Ależ skąd, są tu przecież oznaczenia dróg – roześmiał się, kiedy go w końcu o to zapytała. – Na przykład ten las, nawiasem mówiąc są to buki południowe, które występują tu bardzo często. A tu i ówdzie widać też skały. Te przed nami zwane są Kręgiem Kamiennych Wojowników. – Wskazał na leżącą przed nimi osobliwą formację skalną i gwizdnięciem odwołał psy. Owce w tej okolicy mogły paść się same.

– Czy ktoś je tam ustawił? – spytała Helena. Potężne ostańce rzeczywiście tworzyły krąg, zupełnie jak gdyby gnomy ustawiły się do tańca i zastygły w bezruchu.

James potrząsnął głową.

– Nie, stoją tu od tysięcy lat.

Mężczyzna zsiadł z konia i pomógł Helenie.

– Nazwała je tak babka Gwyn, Maorysi nazywają te skały inaczej. Dla nich to jest święta ziemia, oni modlą się do swoich bogów pośród kamieni i rzek...

– A to jest ich cmentarz? – spytała Helena. W kręgu między kamieniami dostrzegła wyraźne kamienie nagrobne.

– Nie. – James wprowadził swego konia między ostańce i podszedł do grobów. – To raczej nasz cmentarz. Tu pogrzebani są Gwyneira i James McKenzie. Maorysi pozwolili wówczas babce Gwyn, aby pochowała tu swojego męża. On zawsze był ich dobrym przyjacielem, znał też ich język, co wówczas należało do rzadkości... Ten pogrzeb to była bardzo delikatna sprawa. Oczywiście mamy cmentarz rodzinny na Kiward Station, ale babka Gwyn nie chciała, aby jej James był pogrzebany obok Geralda Wardena, a sama chciała spocząć koło Jamesa. Dlatego moi rodzice znów poprosili Maorysów o pozwolenie na to, kiedy zmarła. I tym razem łatwiej było je otrzymać. Miss Gwyn przeżyła wodza Tongę, a Koua chciał za to tylko pieniędzy...

Helena zastanawiała się, kim mógł być Koua, ale zapomniała o tym, kiedy oboje podeszli bliżej do grobów. Odczuwała osobliwą bliskość z kobietą, która została tu pogrzebana, także z mężczyzną leżącym obok niej. Maorysi mieli rację, to rzeczywiście było magiczne miejsce. Helena jeszcze nigdy nie była tak poruszona w pobliżu miejsca czyjegoś pochówku. Nawet wtedy, kiedy chowano jej rodziców, doznawała jedynie uczucia rozpacz i pustki, a teraz wyraźnie towarzyszyła jej obecność jakiejś siły wyższej

czy też jakichś przyjaznych duchów.

– Czy owce tu niczego nie zniszczą? – spytała z troską, wskazując na zwierzęta, które rozproszyły się wokół kamiennego kręgu i spokojnie skubały trawę. – To znaczy... One mogłyby poprzewracać kamienie nagrobne, kiedy tu się będą paść...

– To właśnie jest osobliwe – odparł James, siadając na trawie. – Babka Gwyn nie wypasała tu owiec przez całe lata, ponieważ nie zgadzał się na to wódz miejscowego plemienia Maorysów. Tonga surowo przestrzegał tradycji, a Krąg Kamiennych Wojowników był ponoć *tapu*. Tak naprawdę była to walka o władzę, babka Gwyn i Tonga przez całe życie klócili się, kto ma więcej do powiedzenia na temat tego miejsca. I dopiero moi rodzice to uregulowali. Moja matka ma maoryskich przodków, mieszkała przez dłuższy czas u Ngai Tahu i dobrze zna ich obyczaje. Potrafiła udowodnić Tondze, że połowa jego świętości na Kiward Station nie jest w ogóle *tapu*. I od tego czasu ten teren jest używany do wypasu owiec. Ale trawy we wnętrzu kręgu zwierzęta nigdy nie ruszają. Nie mam pojęcia, jaka jest tego przyczyna – Moana twierdzi, że czuje tu jakąś duchowość, ale mnie to nie przekonuje. Prawdopodobnie są to miejsca, gdzie trawa po prostu nie smakuje zwierzętom. Na każdej łące występują takie fragmenty.

– Kim jest Moana? – spytała Helena, kiedy James przytrzymał jej konia, aby mogła wsiąść. Znalazła się w siodle od razu. Było to tym łatwiejsze, kiedy miało się na sobie bryczesy, podobnie jak Gloria. Ale Helena przed wojną nigdy nie widywała kobiet w spodniach, a już zwłaszcza w Persji i Indiach, podobnie zresztą jak w małym mieście Pahiatua. Dopiero w Wellingtonie zauważyła kilka bardzo nowoczesnie ubranych kobiet, które miały na sobie eleganckie, luźne spodnie.

– To przyjaciółka – odpowiedział James wymijająco. – Córka Koua.

– A kto to jest Koua? – dopytywała się Helena.

– Obecny wódz – odparł lakonicznie James. – To *ariki* miejscowego szczepu Maorysów. *Hapu* Ngai Tahu.

Helena skinęła głową. Zrozumiała, w końcu przez dobrych kilka dni słuchała opowieści Bena Billera. Ngai Tahu było nazwą szczepu, do którego należeli prawie wszyscy Maorysi na Wyspie Południowej, podczas kiedy na Wyspie Północnej było wiele różnych szczepów. Ich członkowie mieszkali przeważnie w jednym miejscu, a bardzo duże szczepy dzieliły się na kilka *hapu*. Pierwotnie do każdego *hapu* należało jedno *marae*. Dziś wielu członków szczepu mieszkało poza miejscem stałego pobytu ich szczepu.

– Czy w pobliżu jest jakieś *marae*? – Helena postanowiła wypróbować swoje umiejętności i wiedzę.

James skinął głową i gwizdnął na psy. Był już czas, aby ruszyć w drogę do domu.

– W bezpośrednim sąsiedztwie – odpowiedział. – Dawniej Ngai Tahu mieszkali nawet na terenach należących do Kiward Station, koło małego jeziora, niedaleko od drogi dojazdowej. Później przenieśli się na własną ziemię i mieszkają na terenie dawnej farmy O’Keefe, która graniczy z Kiward Station. I stamtąd nikt nie może ich przepędzić, bez względu na to, czego wciąż domagają się w Haldon...

– Dlaczego nikt ich tu nie chce? – spytała Helena z przerażeniem. Pamiętała jeszcze Maorysów poznanych w Palmerstonie. – To znaczy... przecież oni nikomu nie

przeszkadzają.

James wzruszył ramionami.

– Zależy, jak do tego podejść – odpowiedział. – Dla wielu stanowią kłopot. My natomiast zawsze dobrze się z nimi rozumieliśmy – mimo wielu różnic zdań z Tonga. Są też między nami stosunki pokrewieństwa. Moja prababka ze strony matki pochodziła z tego szczepu, po urodzeniu Kura-marō-tini miała jeszcze kilkoro innych dzieci. W *marae* mieszka więc kilka ciotek i wujów Glorii, a ja mam tylu kuzynów, że nie jestem w stanie ich zliczyć. Mój ojciec zawsze miał przyjaciół w szczepie, a moja matka – plotka głosi, że omal nie wyszła za mąż za Wiremu, starszego brata Koua... Mogę ci opowiedzieć jeszcze wiele podobnych historii, ale najpierw pojedziemy do hangaru i pokażę ci Pippe!

Helena, jeśli miała być szczerą wobec siebie samej, była zdania, że zawile powiązania rodzinne McKenziech są o wiele ciekawsze niż jednosilnikowa jaskrawożółta maszyna o napędzie śmigłowym, która czekała na swojego pilota w czymś w rodzaju garażu z blachy falistej. Ale James z zachwytem objaśniał Helenie wszystkie funkcje samolotu i najchętniej już teraz zabrałby ją na krótki lot nad farmą. Musieli jednak wracać do domu. Jack i Gloria oczekiwali, że syn pomoże im przy karmieniu i oporządzaniu zwierząt i James okazał się bardzo sumienny. Helena, mimo iż czuła wszystkie mięśnie po długiej jeździe na koniu, też starała się mu pomóc. Karmienie koni sianem szybko zaczęło sprawiać jej przyjemność i dziewczyna była szczęśliwa, że zwierzęta rżały radośnie na jej widok i niecierpliwie tupały, kiedy widziały, jak nadchodzi z wiadrem owsa.

– One naprawdę porozumiewają się z ludźmi! – opowiadała przy kolacji, nie kryjąc radości.

Rozmowa przy stole była tego wieczoru nie tak wymuszona jak poprzedniego dnia. Nawet James zrezygnował z ponurego milczenia i chętnie odpowiadał na pytania dotyczące owiec i farmy. Wkrótce podjęto też temat Maorysów.

– Gdzie właściwie jest Moana? – spytał James matkę, nakładając sobie słodkich ziemniaków na talerz. Podano do nich również pieczoną jagnięcinę. – Zawsze była tu niemal każdego popołudnia.

– W Dunedin – odpowiedziała Gloria. – W seminarium nauczycielskim. Wiesz przecież, że starała się tam o miejsce i zaraz potem, kiedy wyjechała, otrzymała zgodę na studia. Nie wiem, czy przyjechała tu na ferie semestralne. Może została u rodziny Wiremu...

– Ale... – Helena przypomniała sobie wykłady Bena Billera i książkę Lilian, której tematem było życie córki wodza. – Czy nie mówiłaś, że Moana jest córką *ariki*? – zwróciła się do Jamesa. – To jak mogła stąd odejść? Myślałam... To znaczy profesor Biller mówił, że córki wodzów są dla szczepów kimś w rodzaju kapłanek. I że mają... ehm... wielkie znaczenie spirytualne – Helena zająknęła się, wymawiając trudne nowe słowo.

Wszyscy przy stole roześmiali się.

– Ben żyje w nieco innym świecie – wyjaśnił Jack. – Mniej więcej takim, jaki był sto lat temu. Wówczas rodziny wodzów rzeczywiście podlegały bardzo surowym *tapu*

i było wiele rzeczy, których nie wolno im było robić, i równie wiele, które robić musiały... Ben może opowiadać o tym godzinami i jest to rzeczywiście bardzo interesujące. Jednak obyczajnie Ngai Tahu nieco się rozluźniły, i to jeszcze zanim powstała Kiward Station. Tutejsi Maorysi dopasowali się do europejskich imigrantów o wiele bardziej, niż ich pobratymcy ze szczepów Wyspy Północnej – po pierwsze dlatego, że ze względu na swą liczebność szybko się poddali, a po drugie, po prostu uważali to za praktyczniejsze. Kultura, którą przywieźli tu ze sobą z Polinezji, pod wieloma względami nie pasowała do życiowych warunków, jakie zastali w Nowej Zelandii, a już zwłaszcza na Wyspie Południowej. Ludzie marzli w swych tradycyjnych strojach, praktycznie nie mieli żadnych zwierząt hodowlanych, żyli wyłącznie z polowania i trochę także z uprawy ziemi, choć ich tradycyjne płody rolne z wyjątkiem kumary tutaj niezbyt się udawały. A nagle zjawili się biali, ze swoimi owcami i bydłem, z ciepłą odzieżą, kocami, sprzętami gospodarstwa domowego, nasionami... Ngai Tahu natychmiast zaczęli z nimi handlować. I oczywiście często byli przy tym oszukiwani, wielu z nich zamieniało tysiące hektarów ziemi na kilka koców i przedmiotów gospodarstwa domowego...

– Nie mów tak źle o naszych przodkach! – droczyła się z mężem Gloria. – Bo Gerald Warden należał właśnie do takich oszustów – wyjaśniła Helenie.

Jack uśmiechnął się szeroko.

– Ale nie do moich przodków – zauważył. – Tylko do twoich, kochanie.

Gloria uśmiechnęła się.

– Babcia Gwyn zrekompensowała potem szczepowi straty – opowiadała dalej Gloria. – Ale Jack ma rzeczywiście rację: tradycje dziewiczych córek wodzów, które mężczyźni szczepu zgodnie z krwawymi rytuałami posyłali na bitwy, nie istnieją już od dawna. O ile w ogóle Ngai Tahu mieli czas i energię na takie bzdury, bo zdobywanie żywności zajmowało im większość czasu. Moana w pewien sposób próbuje ożywić spirytualizm swojego ludu. Jej bardzo odpowiada tradycycja *ariki tapairu*... A nauczanie także należy do obowiązków *tohunga*.

– W europejskich domach królewskich dziś księżniczki naprawiają samochody...

– dodał Jack, robiąc w ten sposób aluzję do wojennych zajęć brytyjskiej następczyni tronu Elżbiety. – Dlaczego więc nasze córki wodzów nie miałyby też studiować?

Zarówno Helena, jak i Gloria zauważyły, że w ten sposób nawiązał do tematu wojny, a James tym razem nie wykorzystał szansy do ponownego wszczęcia rodzinnej kłótni. Matka Jamesa mrugnęła porozumiewawczo do młodej kobiety, kiedy się żegnały przed pójściem spać, i dodała:

– Dobranoc, Heleno. Miło, że tu jesteś.

# ZŁUDNE OBRAZY

CANTERBURY PLAINS, NOWA ZELANDIA  
(WYSPA POŁUDNIOWA)  
PAHIATUA (WYSPA PÓŁNOCNA)  
STYCZEŃ – CZERWIEC 1945

## ROZDZIAŁ 1

Helena nie przyznała, jak bardzo się bała, kiedy James kilka dni później uparł się, aby zabrać ją na lot po okolicy swoją Pippą. Gloria jednak najwyraźniej to widziała.

– Ogranicz się, proszę, tylko do lotu wokół farmy – upominała syna. – Nie spędzaj jeszcze owiec w dolinę, nawet jeśli będziesz miał na to wielką ochotę. Bo ta dziewczyna nigdy więcej nie wsiądzie z tobą do samolotu!

Helena zakładała więc, że do spędzania owiec z powietrza konieczne będą naprawdę trudne i śmiałe manewry. Wówczas chyba umarłaby ze strachu, ale Gloria po prostu pamiętała o jej żołądku. I rzeczywiście dziewczynie od razu po starcie zrobiło się niedobrze, kiedy tylko James wykonał pierwszy dość odważny zakręt. Mały samolot – kiedy leciała jeszcze jedna osoba, to musiała ona siedzieć na wąskim siedzeniu tuż za pilotem – mocno się wówczas przechylił. Helena była wciśnięta w siedzenie i musiała się opanować, aby nie krzyczeć. Potem jednak zmusiła się do skoncentrowania na widoku i przestała myśleć o ewentualnych niebezpieczeństwach związanych z lotem. Patrzyła na rozległe przestrzenie Canterbury Plains i na widoczny budynek farmy Kiward Station, który z tej wysokości sprawiał wrażenie domku dla lalek. James pokazał jej bieg rzek Waimakariri, Rakaia i Selwyn River, na brzegach których pasły się owce i bydło. Widać też było kilka innych farm – z powietrza można było rozpoznać szopy służące do strzyży – oraz grupy biednie wyglądających chat i domów.

– To były dawniej *marae* – skomentował James. – Dziś prawie nikt w nich nie mieszka. Stoją puste i niszczeją...

Helena miała wiele pytań na ten temat, jednak przy hałasie maszyny napędzanej śmigłem rozmowa była prawie niemożliwa. James krzyczał, chcąc coś powiedzieć. Kiedy przelatywali nad miasteczkiem Haldon, powiedział coś o znajdujących się tam kopalniach, czego Helena dobrze nie zrozumiała. Potem skierował samolot w stronę gór. Helena wstrzymała oddech, kiedy zobaczyła pierwsze wierzchołki Alp Południowych. Pokryte śniegiem szczyty były tuż przed nimi, dziewczyna widziała głębokie wąwozy i grzbiety górskie. James oczywiście nie potrafił się opanować, kiedy dostrzegł na przedgórzu pierwsze owce. Przeszedł do lotu nurkującego, aby spędzić zwierzęta ze zboczy, na których się pasły, w jeden z górskich kotłów. Przypomniał sobie o swoim wystraszonym pasażerze dopiero wtedy, kiedy Helena krzyknęła ze strachu.

– To nie jest niebezpieczne! – zawołał, zrezygnował jednak z tego manewru.

Górskie jeziora oraz spektakularne skalne krajobrazy, które Helena zobaczyła pod koniec lotu, pozwoliły jej szybko zapomnieć o strachu.

– No i czyż nie było pięknie? – triumfował James, kiedy wreszcie wylądowali.

Helena z zakłopotaniem skinęła głową. Uroda Alp oraz krajobrazu Wyspy Południowej oczarowały ją, jednak cieszyła się ogromnie, mogąc wreszcie stanąć na ziemi. Uwiązana koło hangaru Ainné także się cieszyła i witała Helenę już niemal jak członka rodziny. Młodej kobiecie zrobiło się ciepło na sercu na widok suki. Liczne zwierzęta na Kiward Station bardzo urozmaicały życie wszystkich mieszkańców farmy. Już po kilku dniach od chwili przyjazdu psy, koty i konie były znane i bardzo bliskie także Helenie. Jej własna rodzina nigdy nie miała zwierząt domowych, a biorąc pod uwagę

wojnę, dziewczyna mogła być za to tylko wdzięczna losowi. Po deportacji z pewnością zdechłyby z głodu w pustym mieszkaniu we Lwowie. A teraz Helenę cieszyło towarzystwo czworonogów – a poza tym dziewczyna czuła dumę i radość, że z każdym dniem była coraz bardziej przydatna w pracy na farmie.

Posiłki z rodziną McKenzie przebiegały także w coraz swobodniejszej atmosferze – tego dnia James opowiadał o locie nad farmą. Młody mężczyzna był pełen uznania dla dzielności Heleny, która słysząc to, czerwieniła się.

– Co mówiłeś przedtem o kopalniach w Haldon? – spytała, chcąc skierować rozmowę na inny temat. James miał następnego dnia jechać do miasta, aby zrobić zakupy i przede wszystkim odebrać materiały konieczne do różnych napraw. – Nie zrozumiałam cię w samolocie. Rzeczywiście są tutaj kopalnie?

– Było kilka – odparł James. – Ale jakiś czas temu. Od połowy dziewiętnastego wieku aż do jego końca w regionach Mount Hutt i Mount Somers otwarto kilka różnych kopalni. Wydobywano w nich głównie węgiel, choć kilku optymistów szukało także złota. Spodziewano się dużych pokładów węgla, podobnie jak na wybrzeżu zachodnim, i ze wszystkich stron napływali tu górnicy. W pobliżu Haldon także powstały kopalnie i przez pewien czas miasto szybko się rozwijało. Była praca, powstawały sklepy, Haldon się rozrastało. Ale pokłady węgla szybko się skończyły i kopalnie zamykano jedną po drugiej. W tej chwili działają tam tylko dwie albo trzy i one też wkrótce będą zamknięte. Po prostu nie opłaca się ich utrzymywać. Z tym samym nakładem kosztów na wybrzeżu zachodnim wydobywa się trzy razy więcej węgla.

– A złoto także nie występowało tutaj w opłacalnych ilościach – dodała Gloria.

– Ten krótki okres rozkwitu nie wyszedł na dobre okolicznym miejscowościom – mówił Jack. – Część robotników wyprowadziła się, kiedy zamknięto kopalnie, wielu z nich założyło jednak rodziny i zostało tutaj, bo w jakiś sposób poczuli się związani z tym regionem. Liczba mieszkańców Haldon jest dziś o wiele większa niż przed powstaniem kopalni. Następstwem zamknięcia kopalń jest jednak duże bezrobocie...

– Ale tak wcale nie musiało być! – wtrącił James. – W końcu jest wojna! Gdyby ci mężczyźni dobrowolnie się na nią zgłosili...

Jack McKenzie przewrócił oczami.

– To wówczas miasto miałoby problem z wdowami i sierotami wojennymi, o które musiałyby się troszczyć – zauważył.

– Mimo wszystko James ma rację – zaprotestowała Gloria, zanim syn zdążył zareagować i zanim znów rozgorzał spór między nim a ojcem. – Bo właściwie wcale nie musiało dojść do powstania takiego bezrobocia w Nowej Zelandii. Mężczyźni mogliby pójść do wielkich miast, gdzie jest przemysł. W fabrykach jest mnóstwo pracy, zwłaszcza od początku wojny. Kwitnie tam przetwórstwo mięsa i warzyw ze wsi, które potem są eksportowane do Europy. Dlatego nie do końca jest mi żal tych ludzi, którzy bezczynnie wałęsają się po Haldon. Przyczyną ich lamentów jest także ich własne lenistwo. Ale wina, jak zwykle, leży pośrodku...

Helena słysząc ostatnie słowa, zastanawiała się, co Gloria miała na myśli, wołała jednak zmienić temat. Ojciec i syn rozumieli się o wiele lepiej, kiedy chodziło o psy i konie.



W następnym tygodniu Helena towarzyszyła Jamesowi w wyjeździe do Haldon – Gloria dała im długą listę zakupów.

– Czy nie wolałaby pani jechać sama? – spytała Helena nieśmiało, widząc, że na liście figurowały także artykuły toaletowe i ubrania. Oczywiście wybór wełnianych swetrów w sklepie w małym miasteczku nie był tak duży, aby Helena nie trafiła w jej gust. Przecież kobiety wołały wybierać ubrania dla siebie same. A zwłaszcza dla Glorii McKenzie, mieszkającej na tak daleko położonej farmie, taka wycieczka powinna być właściwie przyjemnym wydarzeniem.

Gloria potrząsnęła jednak przecząco głową, stwierdziła, że ma za dużo pracy, po czym gwizdnęła na psy. Tylko suka Ainné wskoczyła do Jamesa na pick-upa.

– Moja matka nie lubi jeździć na zakupy – wyjaśnił młody mężczyzna, kiedy już ruszyli. – W ogóle niechętnie wyjeżdża z farmy dokądkolwiek. Fakt, że przyjechała po nas do Lyttelton, to już i tak wielki sukces. Normalnie przyjechałby po nas *dad*, ale chyba obawiała się, że się obaj pobijemy w drodze powrotnej. Uwierz mi, że ona woli mimo wszystko zostać na Kiward Station. Prawdopodobnie dziękuje teraz niebu za twoją obecność. W przeciwnym razie musiałaby sama udać się do jaskini lwa...

Helena zmarszczyła czoło.

– Ale co jest aż tak niebezpieczne w domu towarowym w Haldon? – spytała.

James wzruszył ramionami.

– Jeśli o mnie chodzi, to nic. Ale właścicielka jest straszną plotkarą i zaczęłaby wypytywać moją matkę – i pewnie patrzeć ze zdziwieniem, dlaczego ona nie może zdecydować się na założenie sukienki na podróż do miasta. A to wszystko dla mojej matki koszmar. Ona po prostu nie jest towarzyska. Pewnie ma to związek z jakimiś wspomnieniami z dzieciństwa. Matka była razem z ciotką Lilian w angielskim internacie, w którym Lilian świetnie się bawiła, podczas kiedy dla mojej *mom* pobyt tam był okropny. Wróciła na Kiward Station dopiero pod koniec pierwszej wojny światowej. Jej rodzice zabrali ją najpierw do Ameryki, gdzie wtedy mieszkali... Nie wiem dokładnie, co się stało, niechętnie o tym mówi, ale musiała poruszyć niebo i ziemię, aby móc wrócić do domu. A teraz nigdy nie chce stąd wyjeżdżać.

Helenie wydało się to osobliwe, ale nic nie powiedziała.

Ulice były tutaj tylko częściowo wyasfaltowane, jednak wkrótce dotarli do Haldon. Rzeczywiście było to niewielkie miasto. Znajdował się tam sklep z towarami żelaznymi i drewnem, poczta, warsztat stolarski i kuźnia. Wydawało się, że tak naprawdę kwitł jedynie handel spirytualiami. Helena naliczyła aż trzy puby i wszystkie były otwarte, mimo że było dopiero wczesne przedpołudnie.

– Ci mężczyźni nie mają nic do roboty – powiedział James pogardliwie, widząc zdziwioną twarz Heleny. Bez wątpienia podzielał zdanie swojej matki w kwestii bezrobocia w Haldon. A skutki tego widoczne były właśnie w pubach. Także przed sklepem z towarami żelaznymi, gdzie James zaparkował pick-upa, włóczyło się beczynnie kilku znudzonych młodych mężczyzn.

– Już z powrotem, McKenzie? – zagadnął jeden z nich Jamesa. – Wszyscy nasi zestrzeleni?

Pozostali roześmiali się głośno.

– A może tutaj jesteś bardziej potrzebny? – odezwał się drugi z mężczyzn. – Słyszałem, że to twój *daddy* cię sprowadził. Firma ważna dla celów wojennych, ta wasza Kiward Station!

Zabrzmiały kolejne śmiechy.

– A nie potrzebujecie kilku ludzi do roboty, jeśli wszystko tak dobrze wam idzie? – spytał pierwszy z mężczyzn.

James potrząsnął głową, wyraźnie zadowolony z możliwości rzeczowej odpowiedzi, która była oczywiście negatywna.

– Przykro mi, Jeb, mamy dość ludzi. Ale być może moja matka będzie potrzebowała kogoś przy spędzie owiec w następnym miesiącu, choć muszą to być ludzie z doświadczeniem. Tak czy owak, spytaj Miss Glorię.

Helenie ciągle wydawało się to dziwne, ale już prawie się przyzwyczaiła, że Gloria McKenzie przez wszystkich znajomych, także przez robotników, zwana była Miss Glorią – jako następczyni słynnej Miss Gwyn.

– Miss Gloria zatrudnia przecież tylko Maorysów – odezwał się drugi z mężczyzn, który dopiero co kpił z Kiward Station jako firmy ważnej dla celów wojennych. – Ona woli dzikich. Prawdopodobnie także dlatego, że są tańsi...

James chciał coś odpowiedzieć, ale tylko wykrzywił twarz w grymasie. Helenie przyszło do głowy, że dotychczas poznała bliżej tylko jednego z robotników zatrudnionych na Kiward Station: był to Maaka, brygadzysta. Rzeczywiście był Maorysem, do tego bardzo zaprzyjaźnionym z Jackiem. Pozostałych pasterzy Helena знаła tylko po imieniu, przypominała sobie jednego noszącego angielskie imię Peter i Aramę.

James przywitał właśnie Maorysa, pracownika sklepu z towarami żelaznymi, słowami *kia ora*. Obaj zamienili kilka słów w języku krajowców – Helena wiedziała już, że James mówił płynnie po maorysku.

– A to jest Mrs Grabowska – przedstawił ją, przechodząc na angielski, chyba także po to, aby powiadomić pozostałych klientów sklepu o nowej mieszkanke farmy. Helena zaczerwieniła się natychmiast i spojrzała niepewnie na obrączkę, którą tego dnia znów założyła na palec. James przypomniał jej o tym przed wyjazdem.

– Mrs Grabowska jest Polką, uciekinierką wojenną – mówił dalej James. – Jej mąż zginął na wojnie.

Helena zagryzła wargi. Miała nadzieję, że ludzie nie będą jej wypytywać

Młody Maorys uprzejmie skinął głową w jej stronę.

– *Haere mai*, madame. Mam na imię Kori. Przykro mi z powodu pani męża. Mam nadzieję, że podoba się pani w naszym kraju.

A potem znów zaczął swobodnie rozmawiać z Jamesem o gwoździach i śrubach. Kiedy zakupy dobiegły końca, James pomógł Helenie zanieść je do pick-upa. Kori nawet się nie ruszył, podobnie jak mężczyźni, z którymi przedtem rozmawiał James.

– Czy Maorysi też mogą zgłaszać się do wojska? – spytała Helena, kiedy już szli razem w stronę domu towarowego po drugiej stronie ulicy.

James przytaknął.

– Jasne, są przecież obywatelami tego kraju. Przynajmniej teoretycznie.

W praktyce nasze kultury mieszają się rzadko. Prawdopodobnie byłyby problemy, gdybyśmy w jednej jednostce mieli żołnierzy *pakeha* i Maorysów. Brytyjczycy rozwiązali to inaczej i po prostu utworzyli specjalne bataliony maoryskie. Mają znakomitą opinię, Maorysi są urodzonymi wojownikami. Walczą jak szaleni, kiedy są już w bitwie. Ale niewielu zgłasza się do wojska i jest to w jakiś sposób zrozumiałe. Tak, jak traktują ich biali...

James rzucił wiele mówiące spojrzenie na jeden z pubów, z którego właśnie wyrzucono dwóch Maorysów. Gospodarza wprawdzie nie było widać, ale goście krzyczeli i wyzywali Maorysów, aż ci pozbiali się i odeszli. W tym samym czasie inny Maorys zajmował się wyładowywaniem z samochodu dostawczego skrzynek z napojami, które wnosił do pubu przez tylne drzwi. W sklepie z towarami mieszanymi maoryska dziewczyna układała zaś towar na półkach.

– Trochę szybciej, Reka, bo zaraz zaśniesz! – rozległ się ostry głos właścicielki sklepu, kiedy już wymieniła z Jamesem powitanie *kia ora*. – Kiedy tylko tę dziewczynę spuszcze z oka, chodzi jak we śnie – oświadczyła kobieta przepraszającym tonem, zwracając się do Heleny i Jamesa. – Ona jest tak samo głupia i leniwa jak ta mała, którą miałam przedtem...

Kobieta specjalnie mówiła na tyle głośno, aby Reka mogła ją usłyszeć. Helenie zrobiło się nieprzyjemnie. Miała nadzieję, że James będzie bronić młodej kobiety, on jednak nie podjął rozmowy na ten temat, lecz zwrócił się rzeczowo do chudej i niesympatycznej właścicielki.

– Mrs Boysen, czy mogę pani przedstawić Mrs Grabowską?

Helena próbowała się nie zaczerwienić, kiedy James także tej kobiecie opowiedział historię o jej mężu, który poległ na wojnie.

– Mrs Grabowska będzie u nas mieszkać kilka miesięcy i pomagać mojej matce – mówił James. – Proszę jej pomóc zrobić zakupy zgodnie z listą, którą dała jej moja matka – uśmiechnął się zarówno do Mrs Boysen, jak i do Heleny. – I proszę wszystko zapisać na nasz rachunek.

Mrs Boysen natychmiast stała się niemal uosobieniem uprzejmości i zaprowadziła Helenę do działu tekstylnego, przy czym opryskliwym tonem nakazała Rece, aby ta przygotowała pozostałe zakupy. Maoryska dziewczyna bez słowa wzięła do ręki listę. Najwyraźniej umiała czytać, nie była więc aż tak głupia, jak twierdziła właścicielka sklepu.

– Ja pójdę w międzyczasie do kowala – pożegnał się James. – Kiedy tam wszystko załatwię, przyjdę po ciebie – zwrócił się do Heleny.

Mrs Boysen od razu wzięła na spytki „polskiego gościa zakwaterowanego u McKenziech”, jak się wyraziła. Helena szybko zrozumiała niechęć Glorii do składania wizyt w sklepie. Bo to nie była rozmowa, lecz przesłuchanie. Postanowiła po prostu udawać, że nie rozumie tych pytań, które wydawały jej się zbyt natrętne i wścibskie. Monosylabami odpowiadała na pytania dotyczące deportacji jej rodziny na Syberię, oświadczyła, że tam poznała swego męża, który po uwolnieniu natychmiast wstąpił do powstającego właśnie wojska polskiego.

– I wkrótce też zginął – zakończyła, dotykając przy tym swojej obrączki w nadziei,

że dzięki temu jej opowieść wyda się bardziej prawdopodobna.

– A więc nie jest pani... z Jamesem...? – dopytywała się Mrs Boysen i uważnie popatrzyła na brzuch Heleny.

Helena znów poczuła się nieprzyjemnie dotknięta. Jej ciąży nie było jeszcze widać, ale Mrs Boysen najwyraźniej miała przenikliwy wzrok.

Potrząsnęła głową.

– Nie, oczywiście, że nie. James był przecież w Anglii. Ja byłam w Persji. A potem w Pahiatua. Znam Jamesa dzięki Mirandzie Biller, która jest jego kuzynką.

To, jak się wydawało, zaspokoilo ciekawość właścicielki sklepu. Helena wybrała niebieski sweter dla Glorii i dwie robocze koszule w kratkę, które powinny jej odpowiadać. Mrs Boysen знаła oczywiście rozmiar Glorii. Helena zdecydowała się jeszcze na koszulę w swoim rozmiarze i odważyła się spytać o bryczesy.

Mrs Boysen pogardliwie ściągnęła wargi.

– Będzie pani w nich wyglądała bardzo nieatrakcyjnie, dziecko! – ostrzegła, po czym jednak pokazała Helenie kilka par szerokich spodni przewidzianych dla chłopców.

Helena poprosiła o możliwość przymierzenia spodni roboczych i koszuli w niebiesko-żółtą kratę i stanęła przed lustrem. Widok swojego odbicia wydał jej się osobliwy, zupełnie jak gdyby nie znała tej młodej kobiety, którą zobaczyła w lustrze. Od dawna już nie była chuda, wręcz przeciwnie, jej kształty nabrały kobiecych krągłości, czego przyczyną z pewnością była także ciąża. Heleny nie można już było wziąć za chłopca, jak kilka miesięcy temu, jednak w tym stroju nie sprawiała wrażenia ekscytującej. Dziewczyna uważnie popatrzyła na swą pełną twarz, błyszczące, związane w koński ogon włosy, na piersi, szczupłą talię i prawie płaski brzuch. Niemożliwe, że Mrs Boysen dostrzegła, iż dziewczyna jest w ciąży! Jej szczupłe nogi znakomicie prezentowały się w bryczesach... Helena uśmiechnęła się do swego odbicia i zobaczyła w tym samym momencie, że James wszedł do sklepu.

Nieco zmieszana dostrzegła błysk w jego oczach. Czy to możliwe, że mogła mu się podobać? Rzeczywiście teraz wręcz czekała na komplement. Ale James nie powiedział ani słowa na temat jej wyglądu.

– No, widzę, że chcesz wyglądać tak jak moja matka? – spytał bez większego zainteresowania. – W każdym razie na pewno te rzeczy będą bardziej praktyczne w czasie jazdy konnej.

– I w czasie pracy w stajni. Może mogłabym... – Helena nagle uświadomiła sobie, że wybrała te ubrania, nie pytając, czy może je kupić na rachunek McKenziech. Chciała zaproponować Jamesowi, że je odpracuje, ale zanim zdążyła się odezwać, młody mężczyzna uśmiechnął się do niej.

– Oczywiście możesz wziąć te rzeczy. Powinnaś je koniecznie kupić. Jak mówiłem, Mrs Boysen, proszę zapisać wszystko na nasz rachunek. Mój ojciec wyrówna wszystko jak zwykle pod koniec miesiąca. Jesteś gotowa, Heleno?

Helena zaczerwieniła się, kiedy była mowa o rachunku.

– Ja... muszę się najpierw przebrać...

James wzruszył ramionami.

– Jeśli o mnie chodzi, to możesz zostać w tym, co masz na sobie. Reka, zapakujesz

jeszcze jej sukienkę? Byłoby miłe z twojej strony.

Uśmiechnął się do maoryskiej dziewczyny i podpisał rachunek dla Mrs Boysen. Helena zakłopotana wyszła razem z nim na ulicę. Obawiała się, że mężczyźni przed pubem pozwolą sobie na złośliwe komentarze, ale wszyscy milczeli. Jedyne dwie matrony, które szły naprzeciw nich i powitały uprzejmie Jamesa, zwracając się do niego po imieniu, obrzuciły ją zaciekawionymi i nieco pogardliwymi spojrzeniami, po czym znikły za chwilę w domu towarowym.

– No, one na pewno nie zostawią na tobie suchej nitki – powiedział James, przytrzymując jej drzwi samochodu. I wtedy na jego pozornie obojętnej twarzy pojawił się wyraz uznania.

– Ależ wyglądasz... Myślę, że cię nie urażę, jeśli powiem, że wyglądasz fantastycznie!

## ROZDZIAŁ 2

– Dokąd teraz jedziemy? – spytała Helena, kiedy James nie skręcił z ulicy prowadzącej z Haldon do Christchurch w kierunku Kiward Station, lecz zjechał z niej wcześniej. Droga, po której teraz jechał pick-up, nie była wyasfaltowana, za to pełna dziur.

– Do maoryskiej wsi – odpowiedział James i zahamował przed potokiem, który przepływał w poprzek drogi. Auto przejechało ostrożnie przez wodę.

– Z powodu pomocników podczas spędu owiec? – spytała Helena przenikliwie. James uśmiechnął się.

– Zgadłaś – powiedział z uznaniem. – Rzeczywiście wolimy Maorysów niż takich złodziejasków jak Jeb Gardener.

– Wszyscy tak robią, prawda? – zauważyła. – Sklep z towarami żelaznymi... Mrs Boysen...

James spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Chyba nie chcesz wrzucić nas do jednego worka z takim smokiem jak Mrs Boysen!

Helena przerażona natychmiast zagryzła wargi.

– Oczywiście, że nie... – jąkała się. – Ja... ja tylko... Miałam na myśli to, że... Mrs Boysen niezbyt wysoko ceni swoich pracowników... To dlaczego nie zatrudni białych, jeśli nie lubi Maorysów?

– Bo oni, choć wcale nie pracują lepiej, żądają więcej pieniędzy i nie pozwalają się obrażać i źle traktować – odpowiedział James. – Ona traktuje tę biedną Rekę strasznie! A przecież to mądra dziewczyna, która była bardzo dobrą uczennicą w szkole. Moana ciągle jej mówiła, że powinna skończyć *high school* i studiować. A ona zamiast tego zaszła w ciążę. Jej mąż pije i Reka musi robić wszystko, żeby zarobić tyle pieniędzy, aby mogli przetrwać. Nie zwraca więc uwagi na złośliwości Mrs Boysen.

– Ona ma już dziecko? – zdziwiła się Helena. – Wygląda bardzo młodo, dałabym jej najwyżej szesnaście lat.

– Nie jest dużo starsza – odparł James. – Ale też nie jest wyjątkiem. Maoryskie dziewczyny wcześniej zachodzą w ciążę. Mają potem za dużo dzieci, za mało pieniędzy i tylko nieliczne zdobywają jakiś zawód. Zresztą to ostatnie dotyczy także mężczyzn. Dostają więc potem źle płatne prace u białych, u których starają się robić tylko tyle, aby nie być wyrzuconym. Reka jest wyjątkiem, jest bardzo pilna i pracowita, ale ten Kori w sklepie z towarami żelaznymi... Nie próbuje zrobić nic ponad to, co absolutnie musi.

– To smutne.

Helena znów pomyślała o kolorowo pomalowanych domach zebrzań i o tajemniczych historiach Ngati Rangitane. W opowieściach Bena Billera pojawiali się dumni wojownicy, silne żony wodzów i przebiegli bogowie, była w nich mowa także o sztuce rzeźbiarskiej, o sztuce budowania latawców, o łowieniu ryb i o myślistwie. Czy tu Maorysi byli inni?

– To dlaczego oni są tak... tak obojętni na wszystko?

– Kto, Maorysi czy biali? – drażnił się z nią James, po chwili jednak spoważniał. – Dawne struktury szczepowe odchodzą powoli w niepamięć – odpowiedział. – Tak

przynajmniej mówi o tym wujek Ben. Ci ludzie dążą do tego, aby stać się tacy jak *pakeha*, ale robią to bez przekonania. Chcą zarabiać pieniądze, ale nie widzą konieczności, aby coś w tym kierunku zrobić. I nie o to chodzi, że są leniwi, tego nie chcę powiedzieć. Nie rozumieją tylko pewnych współzależności – że najpierw trzeba iść do szkoły i studiować, aby dostać dobrą pracę. Większość Maorysów bardzo wcześnie rzuca szkołę, opuszcza swoje szczepy, aby iść do miasta i pracować w fabrykach – a wszyscy są potem bardzo nieszczęśliwi. I wtedy piją za dużo... Diabelskie koło, doprawdy!

James z przygnębieniem wyraźnie widocznym na twarzy ostrożnie prowadził pick-upa, aby za chwilę przejechać przez bramę, która stanowiła wjazd do *marae*. Dawniej z pewnością stały tu figury bogów, jak we wsi koło Palmerstonu.

– Czy oni nie mają... *tiki*? – spytała Helena, bawiąc się swoim wisiorkiem.

James uśmiechnął się.

– Zupełnie jakbym słyszał pewną maoryską studentkę Bena Billera, z wydziału mitologii, pierwszy semestr – zażartował. – To wszystko przeszłość. Bo w międzyczasie większość Maorysów dawno już przeszła na chrześcijaństwo. Zostało jedynie trochę przesądów – w które wierzą starzy ludzie, ciągle trzymający się swoich bogów i na życzenie nawet potrafiący czarować. Ale większość chodzi do kościołów *pakeha* albo po prostu nie wierzy już w nic. Ludzie mają skłonność do biernej postawy wobec życia...

Pick-up mijał teraz pierwsze domy. Wieś zrobiła na Helenie smutne wrażenie. Już *marae* Ngati Rangitane było mocno zaniedbane, jednak najwyraźniej troszczono się o najważniejsze domy zebrań i wyglądały one całkiem dobrze. Tu wszystko było bardzo zniszczone. James musiał wymijać biegające wolno kury i świny, a bose, półnagie dzieci gapiły się apatycznie na przybyszów. Podobnie jak starzy ludzie, siedzący przed domami, z których wielu miało butelkę whiskey pod ręką. Do niektórych chat poprzywiązywane były chude konie, częściej stały tam stare, rdzewiejące samochody, które chyba już nie nadawały się do jazdy. Energicznych i pełnych życia było tylko kilka psów, które biegły za pick-upem, szczekając głośno.

James jechał w kierunku centrum osiedla, którym był nie dom zebrań ozdobiony kolorowymi rzeźbami, lecz stary budynek farmy.

– To O’Keefe Station – powiedział. – Ta farma należała do niejakiego Howarda O’Keefego i powstała mniej więcej w tym samym czasie, co Kiward Station. Warden i O’Keefe byli rywalami, przy czym to O’Keefego opuściło szczęście. Kiward Station kwitła, a O’Keefe porobił mnóstwo chybionych inwestycji – stary Howard nie znał się ani na pieniądzu, ani na owcach. Ale o jego żonie, Helen, Maorysi do dziś opowiadają legendy. Helen O’Keefe założyła tu szkołę i zawsze wstawiała się za krajowcami. Kiedy Howard umarł, sprzedała ziemię Miss Gwyn, a ona podarowała ją Maorysom. Dom popadł w ruinę, a Tonga z niego nie korzystał. Ten wódz w ogóle odrzucał całą kulturę *pakeha*. Koua podchodzi do tego inaczej...

James wskazał na wejście do posiadłości. Przed drewnianym domem, niemalowanym od lat, ale ciągle bardzo stabilnym i w dobrym stanie, na bujanym fotelu przeciągał się mężczyzna. Był z pewnością młodszy niż Jack McKenzie, choć co prawda trudno było ocenić jego wiek. W przeciwieństwie do wszystkich Maorysów, których poznała Helena, jego twarz była mocno wytatuowana. Patrzył nieufnie, kiedy James

parkował pick-upa i oboje wysiadali.

– *Kia ora, ariki* – powitał go James.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– *Kia ora, Jimmy-Boy*. No, wróciłeś już z wojny? Obciąłeś kilku wrogom głowy i porządnie je uwędziłeś?

Helena zagryzła wargi. Także o tej, niezbyt pięknej tradycji szczepowej opowiadał Ben Biller. Lilian jednak powstrzymała go, aby nie opowiadał o tym zbyt szczegółowo podczas kolacji.

– Tego się dzisiaj już nie robi – odpowiedział krótko James i przeszedł od razu do sedna sprawy.

– Koua, przysłała mnie moja matka. Chcemy niedługo spędzać owce, bo to lato nie jest takie, jak powinno być. Jest o wiele za zimno jak na tę porę roku. Wkrótce też pogoda ma się zmienić, może o tym słyszałeś...

Maorys przytaknął, wskazując na stojące obok niego proste radio kiepskiej jakości, z którego wydobywały się dźwięki swingu.

– Bogowie też nam o tym donieśli – stwierdził.

Helena dostrzegła, że James przewrócił wymownie oczami, i pomyślała, że wódz jest chyba pijany.

– Byłoby dobrze, gdybyś przysłał nam kilku ludzi – mówił rzeczowo James. – O ile Hare i Eti będą w stanie być trzeźwi przez kilka dni. Także Koraka i Rewi.

Koua wzruszył ramionami.

– Zapytam ich, o ile nie zapomnę... – Po czym zwrócił wzrok na Helenę. – Co to jest? – spytał obcesowo.

Helena wstydziła się swojej flanelowej koszuli i spodni, ale dostrzegła, że Koua nie patrzył na nią pożądliwie. Jeśli jego wzrok w ogóle miał jakiś wyraz, była to raczej kpina. Wódz tego dziwnego szczepu miał na sobie niebieskie dżinsy i taką koszulę, jaką zwykle noszą drwale. Tłuste, czarne włosy, w których widać było pierwsze siwe pasma, opadały niedbale aż na ramiona.

– To twoja *wahine*? – uśmiechnął się. – Zdobycz wojenna z Europy?

Helena nie zrozumiała, ale dostrzegła gniew na twarzy Jamesa.

– To gość, Koua, po prostu gość. Do którego ty i twoi ludzie powinniście odnosić się z należnym szacunkiem – odpowiedział ostro. – Miss Gloria zajrzy tu w sprawie robotników i powie, kiedy dokładnie będą potrzebni.

Koua ziewnął.

– Ach, ten czas... *Inga wa o mua*... – Machnął lekceważąco ręką i sięgnął po stojącą pod fotelem butelkę whiskey. – Chcesz łyeczka, Jimmy-Boy? Albo *wahine*?

James potrząsnął przecząco głową.

– Nie, dziękuję – odpowiedział chłodno. – Oboje nie chcemy wódki. Jest jeszcze za wcześnie. Przed nami jest przyszłość, której nie chcemy przepić.

Pożegnał się, lekko unosząc rękę, co było dość uprzejme, choć nieco lekceważące, i przytrzymał przed Heleną drzwi samochodu.

– To był wódz? – spytała dziewczyna z niedowierzaniem, kiedy ruszyli. – On był... Zdaje mi się, że on był pijany.



James przytaknął z westchnieniem.

– Tak. Dlatego *mom* będzie musiała tu zajrzeć, mój ojciec też. Koua jest niesolidny i nie można mu ufać, ale to jedyny człowiek, który może pozyskać dla nas robotników. Kiedy rozmawiamy z nimi osobiście, odpowiadają: tak, tak, ale przychodzą wtedy, kiedy im się przypomni, co obiecali. A mimo to potrafią dobrze pracować. Nie zatrudniamy ich dlatego, że żądają niższego wynagrodzenia, tylko dlatego, że są bardzo sprawni w pracy z owcami. Także z psami i końmi.

Auto z głośnym dudnieniem wpadło w dziurę na drodze i James zamilkł.

– A co *ariki* mówił o mnie? – spytała Helena po chwili. – Co znaczy *wahine*? I to *I ga*...?

– *I nga wa o mua* – poprawił James. – *Wahine* znaczy po prostu kobieta, także żona czy ukochana. Uważam, że Koua użył tego słowa w niegrzeczny sposób, dlatego mnie to zirytowało. A *I nga wa o mua*... To ma coś wspólnego z tym, jak Maorysi rozumieją przeszłość. Dosłownie przetłumaczone znaczy: „czasy, które są sprzed nami”. Nigdy do końca nie rozumiałem tego związku przeszłości z przyszłością, ale moja matka jako młoda kobieta interesowała się sposobem postrzegania świata przez Maorysów. Jeśli chcesz się dowiedzieć więcej, musisz z nią porozmawiać. Albo spytaj wuja Bena, jeśli przywiązujesz wagę do lingwistycznych analiz i porównań z pokrewnymi obszarami kulturowymi Polinezji.

Uśmiechnął się, a Helena stwierdziła, że jego nastrój wyraźnie się poprawił. Wprawdzie niewiele rozumiała, ale filozofia Maorysów nie wydała jej się tak ekscytująca jak myśl o tym, że James jej bronił i żądał, aby Koua odnosił się do niej z szacunkiem. Jednak przeczytała dostatecznie dużo angielskich powieści, aby wiedzieć, że takie zachowanie było właściwe dla angielskiego dżentelmena. James przypuszczalnie zachowałby się tak wobec każdej kobiety. Było to dla niego tak oczywiste, że sprawiało wrażenie zabiegania o względy nawet obcej kobiety, która była w ciąży z innym mężczyzną. Jednak Helena poczuła osobliwe rozczarowanie – i jednocześnie gniew wobec tego niechcianego dziecka w jej łonie, które odbierało jej wszelką szansę bycia postrzeganą jako ewentualna życiowa partnerka Jamesa. Po chwili energicznie przywołała się do porządku. Nie wolno jej było zakochać się w Jamesie! Jeśli pozwoli, aby rozwinęły się w niej takie uczucia, tylko skomplikuje swoją sytuację.

Niedługo potem przyszło opamiętanie. Kiedy oboje za jakiś czas zjawili się na Kiward Station – maoryska wieś rzeczywiście leżała niedaleko – nie zastali Glorii McKenzie w stajniach, jak zwykle o tej porze.

– Miss Gloria jest w domu – powiedział jeden z pasterzy, który zamiast niej niechętnie sypał owies do końskich żłobów.

Helena od razu się zaniepokoiła. Czy matka Jamesa zachorowała? Zawsze nadzorowała karmienie, a tego dnia w dodatku także Jamesa nie było w domu.

Ale James nie dzielił jej obaw. Wcale nie miał zamiaru iść zobaczyć, co z matką, lecz od razu poszedł wraz Heleną i nieodłączną Ainné, aby zaprowadzić konie do stajni.

– A cóż takiego miałoby jej się stać? – odpowiedział na pytanie Heleny. – Prawdopodobnie ktoś przyjechał w odwiedziny. Zapewne któryś z hodowców i teraz razem z moim ojcem oglądają owce, a *mom* musi zabawiać jego żonę. No, nie będzie

w świetnym humorze... – Mrugnął do Heleny, która uśmiechnęła się z wyraźną ulgą. Jeśli Jack pojechał gdzieś wraz z gościem, to zrozumiałe było, dlaczego na podwórzu nie widzieli obcego samochodu. Zwierzęta szybko zostały nakarmione dzięki pomocy pasterza i po chwili James i Helena weszli do domu.

– Żeby do końca zepsuć mojej matce ten dzień, opowiemy jej o Koua – powiedział młody mężczyzna. – Będzie na pewno zachwycona, kiedy dowie się, że musi tam jeszcze raz pojechać...

Zaraz w wejściu rzeczywiście usłyszeli głosy w pokoju pana domu, a Helena od razu chciała pójść na górę, aby się przebrać. Swoją nową strój pokazałaby chętnie Glorii McKenzie, ale spotkanie w nim z inną kobietą byłoby dla niej żenujące. A głos, który usłyszeli, z pewnością należał do obcej istoty płci żeńskiej. James rozpoznał go od razu, także Ainné, skomląc radośnie, pobiegła do pokoju, aby powitać gościa.

– To przecież Moana! – zawołał James zdziwiony, ale i wyraźnie uradowany. – Chodź, Heleno, nie musisz się stroić dla Moany.

Helena mimo wszystko niezbyt chętnie poszła za nim i zatrzymała się zakłopotana, kiedy była już w zasięgu wzroku Glorii i Moany. Zawróciła natychmiast, gdyby tylko mogła. W każdym razie nigdy jeszcze tak nie żałowała, że nie przygotowała się choć trochę na spotkanie. Ale nawet gdyby upięła włosy najlepiej, jak tylko potrafiła, i włożyła najpiękniejszą sukienkę, to i tak obok Moany wyglądałaby jak szara mysz. Nawet Lucyna byłaby tylko niepozorną dziewczyną wobec tej młodej kobiety. Moana, która siedziała wraz z Glorią McKenzie przy kominku i którą właśnie radośnie witała suka Ainné, była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek zdarzyło się widzieć Helenie. Miała jasną cerę, owalną twarz o pełnych, ciemnoczerwonych wargach, prostym nosie i ciemnych, dużych oczach. Te oczy rozbłysły radośnie, kiedy dziewczyna zobaczyła Jamesa, ale i zamigotały dziwnie, kiedy Moana dostrzegła Helenę. Gęste, czarne włosy Moany były rozpuszczone i przedzielone pośrodku głowy, jak u Heleny, zanim je zaplotła w warkocze, ale jej włosów w żaden sposób nie można było porównać z włosami córki *ariki*. Sięgały aż do bioder dziewczyny. *Czarne jak hebanowe drewno...* Helena mimo woli pomyślała o Królowie Śnieżce z bajki, którą matka czytała jej, kiedy była dzieckiem. Dokładnie tak wyobrażała sobie księżniczkę.

– Moana, jak długo się nie widzieliśmy? – James patrzył na młodą kobietę, nie kryjąc radości. – Myślałem o tobie każdego dnia, kiedy musiałem latać. O tobie i o twoich latawcach!

Moana wstała natychmiast i podeszła do niego.

– Czemu zawdzięczamy dziś honor twoich odwiedzin? – spytał James. – Czyż letnie ferie jeszcze się nie skończyły? A może dowiedziałaś się, że wróciłem?

James bez skrępowania objął dziewczynę ramieniem, a ona podniosła ku niemu twarz w tradycyjnym *hongu*. Helena miała wrażenie, że oboje myślą tylko o jednym: aby się nigdy już nie rozstawać.

– *Kia ora*, James! – powiedziała Moana niskim, miękkim głosem. Głosem jak miód... Na pewno była doskonałą śpiewaczką. – Cieszę się, że znów tu jesteś!

Twarz Jamesa zachmurzyła się wyraźnie.

– Nie powinienem tu być – odparł. – Wojna się jeszcze nie skończyła.

Na twarzy Moany pojawił się łagodny uśmiech.

– Nigdy nie widziałam w tobie wojownika – odpowiedziała. – Ty chcesz latać, a nie zabijać. To *manu* są pośrednikami między nami a bogami...

Moana bawiła się *hei-tiki*, który miała na szyi. Helena dostrzegła, że przypominał on wisiorek Jamesa. Teraz zrozumiała. To Moana była tą „przyjaciółką”, która wykonała go dla Jamesa.

James roześmiał się gorzko.

– No, bycie kapłanem to na pewno nie dla mnie! – odparł. Helenę dotknęła także ta uwaga. To oczywiste, że James nie chciał żyć w celibacie. Z pewnością należał już do piękniej dziewczyny... – No, ale zostawmy wojnę – zmienił temat James. – Co tu robisz, Moano? To znaczy... Oczywiście cieszę się, że cię widzę...

– Przyszła w odwiedziny do mnie, nie do ciebie – wtrąciła się do rozmowy Gloria. – Moano, jeśli mamy kontynuować rozmowę, musisz zostawić Jamesa, bo ja powinnam zaraz zajrzeć do koni...

Moana zaczerwieniła się, a James zapewnił matkę, że u koni wszystko w porządku.

– Jestem tu tylko na weekend – oświadczyła Moana. – Mam wygłosić referat o stosunku Maorysów do czasu. Kiedyś na jednym z kursów mówiliśmy o tym, bo przyszli nauczyciele powinni lepiej rozumieć swoich maoryskich uczniów. Chodzi o teorię *I nga wa o mua*, o *pepeha*, i o to, jakie znaczenie mają *maunga* i *whakapapa* – oraz wszystkie opowieści na temat kanu, którym nasi przodkowie przybyli na Aotearoa... I wtedy nagle wszyscy zaczęli patrzeć na mnie. A ja też nie umiałam tego wyjaśnić. I dlatego przyjechałam tutaj...

– Czyż wokół Dunedin nie ma ani jednego *marae*, gdzie mieszka jakaś *tohunga*, która mogłaby ci to wszystko objaśnić? – spytał James z niedowierzaniem. Helena pomyślała, że zabrzmiało to tak, jak gdyby chciał trochę dokuczyć Moanie. Najprawdopodobniej zakładał, że jej powody przyjazdu na Kiward Station były zupełnie inne. Na pewno przyjechała tu tylko po to, aby go zobaczyć.

Ale ta uwaga nie wydała się Moanie zabawna.

– Tak rzeczywiście jest – odpowiedziała trzeźwo. – A przynajmniej ja żadnej *tohunga* tam nie znam. Maorysi w regionie Otago nie mieszkają już w swoich wioskach, lecz w miastach albo przynajmniej na przedmieściach, a szukanie *tohunga* trwałoby dłużej niż jazda pociągiem do Christchurch. Zamęczam więc pytaniami twoją matkę. Jestem z powrotem, Miss Gloria. Możemy mówić dalej.

Dziewczyna odwróciła się, chcąc usiąść koło Glorii.

James przypomniał sobie teraz o Helenie, która onieśmielona stała z boku. Uśmiechnął się do niej i wykonał zapraszający gest.

– Ty przecież też się tym interesujesz, prawda, Heleno? – zapytał przyjaźnie. – A dopiero co usłyszeliśmy o *I nga wa o mua*, dzięki Koua.

Helena drgnęła zaskoczona nieprzyjemnie, kiedy położył jej lekko rękę na plecach i łagodnie popchnął w kierunku kominka. Najwyraźniej zapomniiał, że ciągle jeszcze unikała takich gestów z czyjejkolwiek strony.

Moana spojrzała na nią badawczo.

– Moana, czy *mom* opowiadała ci o Helenie? – spytał James. – O naszym gościu

z Polski? Helena interesuje się bardzo kulturą Maorysów. Że tak powiem, zaraził ją tym wujek Ben. Heleno, to jest Moana.

– Zaraziła mnie tym pewna stara kobieta w *marae* Ngati Rangitane – poprawiła go cichym głosem Helena. – Ona... podarowała mi to właśnie... – pokazała swój *hei-tiki*, a spojrzenie Moany stało się czujne.

– Hineahuone? – spytała. – Bogini płodności? Wyrzeźbione w drewnie manuka? To coś bardzo rzadkiego.

Helena uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Tak, to ma chyba jakieś znaczenie – powiedziała i schowała figurkę.

Gloria dostrzegła teraz strój dziewczyny i uśmiechnęła się z uznaniem.

– Heleno, wyglądasz ślicznie w stroju do jazdy konnej! Usiądź, proszę, z nami. I opowiedz nam, jak nasz szanowny *ariki* wpadł na *I nga wa o mua*. Spróbuję odgadnąć. Użył tego powiedzenia w znaczeniu: jak nie przyjdiesz dziś, to przyjdiesz jutro.

James roześmiał się i uklonił się z żartobliwym uznaniem.

– Bogowie wyjawiają ci prawdę, *tohunga!* – zakpił. – Zostawię was teraz i zajmę się moją Pippą. Muszę ją sprawdzić przed lotem na wyżyny.

– Ale przyjdiesz na kolację? – spytała Moana. – Ja... Twoja matka mnie zaprosiła...

James skinął głową i uśmiechnął się do niej.

– Za nic w świecie nie chciałbym, aby ominęła mnie okazja ucztowania z córką wodza! – odparł, nie rezygnując z żartobliwego tonu.

Helena miała opuszczony wzrok. Zastanawiała się, czy Moana spędzi na Kiward Station cały weekend.

– *Whakapapa* – zaczęła objaśniać Gloria – oznacza w uproszczeniu pochodzenie – mówiła przytłumionym głosem i raczej cicho. Najwyraźniej brakowało jej fascynacji Bena Billera, jeśli chodzi o studia nad maoryską kulturą. I chyba z trudem przychodziło jej dzielenie się swą wiedzą z innymi. – Ale przede wszystkim dla Maorysów ważne jest kanu, którym ich przodkowie przybyli z Hawaiki, owej legendarnej wyspy na Polinezji, na Aotearoa. To kanu i jego nazwa wymieniane są jako pierwsze, jeśli ktoś opowiada swoją własną historię, czyli swoje *pepeha*. Ważniejsze niż imiona przodków są drogi, którymi oni szli, i miejsca, w których poprzednio mieszkali. To jest ważniejsze niż byt i przeżycie. W ten sposób można też wyjaśnić fakt, że przeszłość i przyszłość szczepów zlewają się w jedno. Przeszłość określa przyszłość. Ona nie jest zamknięta i nigdy nas nie opuszcza.

Helena potarła czoło. Myślała o Syberii i o Lucynie.

– A więc... nigdy nie będzie się wolnym? – wyrwało jej się mimowolnie. – Nigdy się nie zostawia czegoś za sobą? Nie wolno nigdy o czymś zapomnieć?

– Zapomnienie nie jest łatwe – odpowiedziała Gloria, a jej twarz miała dziwny, nieobecny wyraz.

Helena dotychczas uważała matkę Jamesa za osobę bardzo spokojną i zrównoważoną. Teraz zrozumiała, że także ona musiała walczyć z demonami swojej przeszłości.

– Ale czy to nie jest jednocześnie jakaś szansa? – spytała Moana swoim łagodnym

głosem, tak delikatnym jak głaskanie.

Mimo zazdrości Helena czuła, że ta młoda kobieta pociąga ją w jakiś dziwny sposób.

– Kiedy przeszłość nie jest zamknięta, zawsze jest możliwość, aby ją zmienić...

Helena poczuła nagle wściekłość.

– A jak ktoś już nie żyje? – spytała gorzko. – Tego przecież zmienić nie można!

– Ale czyjaś śmierć może nabrać dla ciebie nowego znaczenia – odparła Gloria. – To jest właśnie *toku*: jak ważne jest dla mnie to, co opisuję?

– Albo *taku* – uzupełniła Moana. – Jak ważna jest moja osoba dla tego, co opisuję?

Helena straciła wątek, kiedy obie zaczęły rozmawiać o *maunga*, miejscu, w którym człowiek może się zatrzymać między przeszłością a przyszłością. Dla Moany i Glorii filozofia Maorysów najwyraźniej zawierała coś pocieszającego, ale dla Heleny była raczej niepokojąca. Bez wątpienia przeszłość określała jej przyszłość. Z powodu Witolda będzie związana z dzieckiem, którego nie pragnęła. I jak gdyby nie dość tego, obecne będzie zawsze to, co ona sama zrobiła Lucynie. Spojrzenie Lucyny, pełne wyrzutu i żalu, będzie ją przesładować w przyszłości zawsze, podczas gdy Moanę czekało szczęśliwe życie na Kiward Station z Jamesem.

Helena była ciągle pogrążona w ponurych rozmyślaniach, kiedy Gloria i Moana wreszcie zakończyły swoją rozmowę, bo Jack i James zjawili się na kolację. James sprawiał wrażenie, że jest w doskonałym nastroju. Jego rudobrzazowe włosy były rozwiane przez wiatr, bo oczywiście nie ograniczył się tylko do sprawdzenia samolotu, ale wykonał małą rundę wokół farmy. Chciał właśnie o tym powiedzieć, kiedy podszedł do kobiet, zauważył jednak, że Helena była wyraźnie przygnębiona.

– Co się stało, Helena? – spytał z troską. – Może dla ciebie to było aż za dużo przeszłości?

Helenę poruszyło to pytanie, bo dokładnie tak to odczuwała. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, a już tym bardziej widząc spojrzenie Moany. Młoda Maoryska obserwowała dokładnie, co działo się między Heleną a Jamesem. Helenie wydawało się, że dostrzega w jej wzroku jakąś czujność, współczucie, ból, ale także... żal. Było to tak, jak gdyby nastroje Moany zmieniały się w mgnieniu oka.

– Chodź, zapomnij o tym gadaniu! – James próbował poprawić jej nastrój i przysunął dla niej krzesło w jadalni do stołu. – Wszystko jedno, co mówią Maorysi: to, co stało się wczoraj, już minęło. Ważna jest tylko przyszłość. Wojna wkrótce się skończy, Heleno! Churchill, Roosevelt i Stalin mają się spotkać w Jałcie. Chcą wyznaczyć zarysy powojennego porządku w Europie, cokolwiek to miałyby oznaczać. W każdym razie na świecie zapanuje pokój, kiedy twoje dziecko się urodzi!

Helena była mu wdzięczna, że się tak o nią troszczył i poświęcał tyle samo uwagi, co Moanie. Młoda Maoryska sprawiała wrażenie zdziwionej, ale bez komentarza przyjęła wiadomość o ciąży Heleny. Pełne elegancji zachowanie Jamesa obserwowała też bez zazdrości. Nie było zresztą po temu żadnych podstaw, Helena nie stanowiła dla niej poważnej konkurencji.

– Jak tylko Niemcy skapitulują – mówił dalej wesoło James – wszystko obróci się na dobre!

Helena przytaknęła posłusznie, kiedy dostrzegła, jak bardzo oczekiwał aprobaty. Przy czym było jej zupełnie obojętne, czy jej dziecko urodzi się w czasie wojny, czy też kiedy zapanuje pokój. Ciągle nie mogła sobie wyobrazić, że będzie matką, i sama myśl o tym też nie sprawiała jej przyjemności.

Także dla Moany temat wojny i pokoju w Europie wydawał się nie mieć żadnego znaczenia. Zamiast dyskutować o polityce, spytała Jamesa o jego lot, a on natychmiast zaczął o nim opowiadać.

Jack McKenzie nie był w tak dobrym nastroju jak jego syn. Miał dziś coś do zrobienia w pobliżu dawnej O'Keefe Station i wykorzystał okazję, aby w południe zajrzeć do Maorysów z tym samym zamiarem co James.

– Rozmawiałem już z Hare i Rewi – powiedział. – Chcą przyjść na spęd bydła i miejmy nadzieję, że nie są to tylko czcze obietnice. Były tam także ich żony, które przypomną im o tym i postarają się zadbać, aby byli w miarę trzeźwi. Ale co do Koua, nie robiłbym sobie zbyt wielkich nadziei, Glorio. Jemu jest wszystko jedno, zubożętniał na cały świat. Tonga po prostu przewróciłby się w grobie, gdyby to widział. Przykro mi, Moano... – Jack chyba dopiero teraz uświadomił sobie, że siedział przy stole z córką kogoś, komu właśnie ubliżał.

Moana wzruszyła ramionami.

– On za dużo pije – skostatowała. – Szczep powinien odwołać go z jego funkcji. Tylko że nie ma nikogo lepszego, może poza wujem Wiremu. A on raczej kazałby się poćwiartować, niż wrócić do nas.

– Co u niego słyhać? – spytała Gloria.

Helena przypomniała sobie, że James już raz wspomniał o tym człowieku. Ponoć jego matka omal nie wyszła za syna wodza, którym był Wiremu.

– Powodzi mu się dobrze, dziękuję – odparła Moana spokojnie. – Wkrótce zostanie ordynatorem. Doktor Pinter wycofuje się z pracy zawodowej i Wiremu będzie kierował kliniką. Mój wuj pracuje w klinice pediatrycznej koło Dunedin – Moana zwróciła się z ostatnimi słowami do Heleny. – Lubi to, tam też mieszka jego rodzina. Z pewnością nie wróciłby tutaj, aby stanąć na czele podupadającego szczepu Maorysów na Canterbury Plan. Smutne to...

Moana starannie poskładała swoją serwetkę. Helena zauważyła już przedtem, że dziewczyna znała reguły zachowania i starannie ich przestrzegała.

Gloria uśmiechnęła się do młodej Maoryski.

– No to kolej na ciebie, Moano. Wiesz przecież, że możesz być *ariki*.

Moana uniosła brwi w górę.

– Na papierze – zakpiła. – Ale w rzeczywistości? Nie sądzisz chyba, że gromada pijaków, którzy mają w głowie tylko whiskey, wędki i broń myśliwską, wybierze na wodza kobietę. W dodatku taką, która chciałaby zaprowadzić porządek w szczepie! Nie. Oni wybiorą kogoś podobnego do nich samych, żeby w ich *marae* wszystko było tak, jak jest dotychczas.

Moana odsunęła swój talerz.

– Odwieszysz mnie do domu, James? Nie chcę przyjechać zbyt późno, bo kto wie, w jakim stanie jest mój pokój. Nie byłam tam całe wieki. W najgorszym wypadku mój

ojciec ugaszcza tam swoich kompanów do picia...

Moana dopiero co sprawiała wrażenie zgnębionej, a teraz rozpromieniła się nagle. Z pewnością cieszyła ją perspektywa wspólnej podróży z Jamesem, który wstał od stołu i popatrzył niezdecydowanie na Helenę.

– Chcesz jechać z nami? – spytał.

Helena stanowczo potrząsnęła głową. W żadnym wypadku nie chciała być piątym kołem u wozu!

– Jestem zmęczona – odpowiedziała, ale postarała się popatrzeć mu w oczy.

Nie dostrzegła też, że w oczach Moany znikł błysk radości.

## ROZDZIAŁ 3

Kolejne dwa tygodnie minęły w mgnieniu oka. Należało przygotować spęd owiec i ich przybycie na farmę – wszyscy byli zajęci od rana do nocy czyszczeniem stajni i kontrolowaniem płotów. Helena była bardzo pomocna zarówno w domu, jak i w stajniach, a dzień przed spędem spytała nieśmiało, czy też może jakoś pomóc. Gloria przytaknęła od razu.

– Oczywiście, tu potrzebna jest każda para rąk. Możesz pojechać wozem z zaopatrzeniem i pomóc przy karmieniu dwunożnych drapieżników. Mężczyźni zwykle umierają z głodu, kiedy wracają ze spędu, a ja nie za bardzo nadaję się do gotowania i szykowania kanapek. Każdego roku biorę więc do tej pracy nasze pokojówki. Niestety, nie są zbyt samodzielne. Ciągłe trzeba im mówić, co mają robić...

Anna i Kyra, młode kobiety, których przodkami byli chyba zarówno Maorysi, jak i *pakeha*, były wprawdzie sympatyczne, ale niezbyt rozgarnięte. Helena dostrzegła już wcześniej, że kuchnia na Kiward Station nie była zbyt urozmaicona. Zarówno maoryska kucharka, jak i Anna oraz Kyra znały tylko kilka prostych potraw. Gospodyni, która prowadziła dom rodziny Heleny we Lwowie, była o wiele lepsza. Helena w dzieciństwie lubiła zaglądać jej do garnków i od dłuższego czasu zastanawiała się, czy może zaproponować Glorii, że sama zajmie się kuchnią. Teraz więc zgodziła się z radością, mogąc zająć się przygotowywaniem jedzenia w czasie spędu, i od razu pomogła Annie i Kyrze załadować wszystko na wóz. Ku jej zaskoczeniu było to coś w rodzaju kuchni polowej, którą Helena знаła z obozów.

Następnego ranka już o świcie na dziedzińcu przed szopami do strzyży zebrali się wszyscy ludzie, którzy mieli brać udział w spędzie. Wszędzie kręcili się mężczyźni, konie i bardzo podekscytowane psy. Helena miała pełne ręce roboty, podając wszystkim kawę i kanapki na śniadanie. Większość mężczyzn przyjechała wielkimi, choć przeważnie nieco zardzewiałymi pick-upami, na których przywieźli swoje konie. Tak też zrobiło czterech maoryskich pomocników, z których dwóch wymachiwało już o tej porze butelką whiskey. Jack odebrał ją im bez skrępowań.

– Dostaniecie ją dopiero dziś wieczór – oświadczył zdecydowanie. – Za dnia jesteście mi potrzebni trzeźwi.

Gloria przyprowadziła dwa konie, jednego dla siebie, drugiego dla Jacka, i wciągnęła je na przyczepę, którą podczepiono do pick-upa. Jack ciągnął kuchnię polową i siano dla koni samochodem ciężarowym, służącym też do transportu bydła.

– Właściwie owce wracają na własnych nogach do farmy – wyjaśnił wesoło Helenie i pozwolił, aby nalała mu znów kawy do kubka. – Ale jeśli któraś jest zraniona lub słaba, możemy ją tu załadować. Dawniej chore zwierzęta od razu zabijaliśmy. Zanim mieliśmy samochody, spęd zwierząt był o wiele bardziej żmudny. Najpierw trzeba było jechać dwa dni konno, zanim w ogóle zobaczyło się pierwsze owce. Teraz wszystko jest prostsze. Wieziemy konie na płaskowyż i zbieramy owce, które James spędził Pippą z gór. To też wymaga zręczności i sporych umiejętności, ale przynajmniej nie jesteśmy cały czas w drodze, czasem przy bardzo złej pogodzie, i nie szukamy tych owiec, które się gdzieś zawieruszyły.



James też zjawił się na miejscu zbiórki i zaczął pomagać przy załadowywaniu na samochody paszy, namiotów i wszystkiego, co było potrzebne do budowania prowizorycznych płotów. Spęd bydlą miał ciągnąć się przez dobrych kilka dni. Młody mężczyzna podszedł w końcu do Heleny i poprosił o kubek kawy.

– Nie chcesz polecieć ze mną? – spytał, zjadając kanapkę z serem.

Helena naląła mu znów kawy.

– A czy... Moana już kiedyś z tobą latała? – spytała, nabrawszy odwagi po wszystkich komplementach, jakie dziś dostała. A zaledwie rok wcześniej rankami przed spędem bydlą pojawiały się liczne problemy z kuchnią.

James zmarszczył czoło.

– Moana? – spytał. – Na spęd bydlą? Nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

Helena zaczerwieniła się.

– Bo ona... bo ona ma takie samo *hei-tiki* jak ty – wyjaśniła.

James uśmiechnął się.

– Tak. Ale boi się latać. Ona tylko puszcza latawce. Dawniej każdego roku przed świętem Matariki budowaliśmy razem *manu*. To jest maoryskie święto Nowego Roku. Wszyscy puszczają latawce z prośbami do bogów. Moana jest w tym bardzo dobra. Dlatego któregoś dnia wyrzeźbiłem dla niej *hei-tiki* przedstawiające wodza Nukupewapewa, który uciekł swoim wrogom, wznosząc się w powietrze na *manu*. Zanim więc wyruszyłem na wojnę, ona przyniosła mi to. – James wyciągnął swój talizman, przedstawiający małego ducha, który miał go chronić.

Helena skinęła głową i zagryzła wargi. A więc tak to wyglądało – oboje darowali sobie nawzajem talizmany, z pewnością jako coś w rodzaju miłostnego zastawu. Cieszyła się, kiedy Jack wezwał ludzi do odjazdu.

– Kiedy cię zobaczę? – spytał James, podczas kiedy Helena pakowała ostatnie rzeczy.

Wzruszyła ramionami.

– Myślę, że będziemy gdzieś tam nocować – odpowiedziała, wskazując w kierunku wyżyny.

James uśmiechnął się do niej.

– Znajdę cię – powiedział i pożegnał się, przykładając rękę do swojej czapki lotnika. Pozostali mężczyźni także mieli na głowie czapki albo kapelusze – tego jesiennego ranka było już przenikliwie zimno, choć niebo było czyste. Pasterze nie musieli się liczyć z deszczem czy też śniegiem.

Helena popatrzyła za Jamesem. Nie do końca zrozumiała, co chciał powiedzieć. Nie musiał nocować pod gołym niebem, wręcz przeciwnie, dla niego bezpieczniej było po wykonanej pracy polecieć do domu i wylądować na utwardzonym pasie niż gdzieś w górach. Mógł spać w swoim własnym łóżku.

Helena rozmawiała z Jackiem o starych czasach, kiedy pick-upy i samochody ciężarowe powoli jechały w kierunku zachodnim. Wierzchołki Alp Południowych, które Helenie wydawały się tak bliskie na Kiward Station, teraz stopniowo stawały się jeszcze bliższe. Jack roześmiał się, kiedy mu o tym powiedziała.

– Wszystkim się tak wydaje. Miss Gwyn ciągle opowiadała o swym pierwszym

wyjeździe z Kiward Station. Myślała, że na koniu szybko dotrze do gór, a jechała całymi godzinami, zanim się tam znalazła. Musimy pokonać wiele mil, nim znajdziemy pierwsze owce. I także wtedy ciągle jeszcze nie będziemy w Alpach, lecz dopiero na przedgórzu. W głąb gór owce nie docierają, tam prawie wcale nie ma trawy, tylko mchy i porosty, i śnieg – uśmiechnął się do Heleny i dodał, wskazując na niebo:

– Popatrz, tam jest James!

James wykonywał właśnie śmiały manewr, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Potem zawrócił i poleciał w stronę gór, aby zabrać się do pracy. Kiedy ludzie z Kiward Station dotarli do płaskowyżu, gdzie zwykle spędzali owce, były już tam pierwsze maciorki z półrocznymi jagniętami, a inne becząc gniewnie, zbiegały właśnie ze wzgórz.

– One już to znają – zauważył Jack. – Wiedzą, dokąd muszą iść, James wcale nie musi się wysilać. Jak tylko usłyszą samolot, ruszają w drogę.

– To one lubią wracać na farmę? – zdziwiła się Helena. – Dobrowolnie rezygnują z wolności?

– Zamieniają wolność na ciepłą oborę, gdzie trzy razy dziennie dostają siano! – roześmiał się Jack. – To przecież niezła zachęta, prawda? A tak poważnie, tu wkrótce zrobi się bardzo nieprzyjemnie. To będzie trudny czas nawet dla owiec. Nie wszystkie przeżyłyby zimę w górach.

Pasterze parkowali swoje samochody na skraju płaskowyżu powoli, aby nie przerazić owiec. Tam natychmiast zaczynali wyładowywać swoje konie i siodłać je. Psy zeskakiwały z przyczep i biegały dookoła niecierpliwie, chcąc jak najszybciej zabrać się do pracy. Helena z zafascynowaniem patrzyła, jak błyskawicznie spędziły pojedyncze grupy owiec, na rozkaz przewodnika oddzieliły owce z Kiward Station od owiec z innych farm, po czym natychmiast spędziły je w jedno stado. Helena zastanawiała się, jak Gloria, Jack i maoryscy pasterze od razu potrafili rozpoznać, które z tych wełnistych stworzeń należą do nich.

– Owce mają oznaczenia przy uszach – wyjaśniła Gloria, kiedy jakiś czas później przyszła napić się kawy. Helena i Kyra miały już przygotowane kanapki na drugie śniadanie, Anna zaczęła kroić mięso i warzywa oraz przygotowywać zaimprovizowaną kuchnię polową. – Oznaczamy już jagnięta. To najlepszy sposób, aby je potem rozdzielić, w każdym razie dla ludzi, którzy się na tym znają. Dla początkującego wszystkie oznaczenia są jednakowe.

Gloria zaczęła jeść kanapkę z szynką i spojrzała z uznaniem na kuchnię polową.

– Świetnie sobie z tym radzisz, Heleno, muszę cię pochwalić. Pierwszy raz rzeczywiście nie muszę martwić się o jedzenie.

Helenę ucieszył ten komplement – dziewczyna ze zdwojoną energią zabrała się za przygotowanie gęstej zupy na obiad. Ku swemu zakoczeniu podobała jej się praca na dworze, z pasterzami. A przecież dotychczas zawsze uważała się za dziecko miasta. Nigdy nie przypuszczała, że gotowanie i jedzenie przy ognisku sprawi jej tyle przyjemności.

– Dawniej wszystko gotowaliśmy na ogniskach – wspominała Gloria. – To było dość uciążliwe...

Teraz posiłek przygotowywano w kuchni polowej, a ogniska służyły tylko do

ogrzania się, co o tej porze było konieczne. Z każdą godziną robiło się coraz zimniej.

Nadchodząca zmiana pogody stanowiła chyba dodatkową zachętę czy też impuls dla owiec – zbiegały z gór coraz szybciej i w coraz większych grupach. Wkrótce cały płaskowyż był pełen beczących zwierząt. A późnym południem w zasięgu wzroku znów pojawił się James ze swoją Pippą i kilka razy okrążył kuchnię polową.

– To znaczy, że już je wszystkie spędził – powiedziała Gloria z zadowoleniem. – Trochę maruderów zostało pewnie na wzgórzach, te będziemy zbierać rano, zanim ruszymy w dół.

Gloria uśmiechnęła się do męża.

– Zrobimy to razem, Jack?

Helena ze wzruszeniem obserwowała, jak Jack McKenzie odwzajemnił jej uśmiech.

– Z tobą zawsze, kochana – odpowiedział.

W ciągu następnych kilku dni owce, zgromadzone w wielkie stada otoczone przez psy i pasterzy, miały być pędzone w kierunku Kiward Station. Samochód z kuchnią polową miał wyjechać wcześniej i czekać na pasterzy w miejscach, gdzie przewidziany był odpoczynek. Helena i pozostali pomocnicy musieli spędzić noc na dworze. Jack przysłał dziewczętom pasterzy, aby pomogli im rozstawić namioty, i wkrótce wszyscy siedzieli przy ogniskach. Mężczyźni puścili w krąg butelki whiskey, zaraz rozległy się śpiewy, zaczęto też opowiadać i wspominać. Helenę oczarowała ta atmosfera. Niektórzy pasterze *pakeha* mieli ze sobą harmonijki ustne albo nawet gitary, Maorysi towarzyszyli grającym na fletach. Dźwiękom instrumentów towarzyszyło beczenie owiec i rżenie koni, które biegały w prowizorycznych padokach. Zimne, czyste powietrze, ciemne sylwetki gór na horyzoncie i rozświetlone gwiazdami niebo – Helena właściwie mogłaby odczuwać coś na kształt szczęścia. Ale jak zawsze, kiedy tylko opanowywało ją uczucie zadowolenia i spokoju, gdzieś pojawiała się też myśl o Lucynie i natychmiast wracało poczucie winy. To szczęście było kradzione i w ogóle jej się nie należało.

– No, patrzysz w gwiazdy? – zwróciła się do niej nieoczekiwanie Gloria. Także ona nie brała udziału w śpiewach i żartach, lecz oddała się rozmyślaniami – a może coś wspominała? – One pewnie wydają ci się obce. Zawsze byłam rozczarowana, kiedy w Europie patrzyłam na niebo...

Helena na razie w ogóle nie dostrzegała różnicy między niebem europejskim a nowozelandzkim. Ani we Lwowie, ani tym bardziej na lodowatej Syberii nie miała zbyt wiele okazji, aby patrzeć w gwiazdy. Oczywiście czasem spoglądała na nie – właśnie na Syberii niebo było wyjątkowo przejrzyste – ale nie знаła nazw gwiazdozbiorów.

– Nie znam się na tym – przyznała.

– Ja się znam – odpowiedziała Gloria w rozmarzeniu. – Moja nauczycielka, Miss Bleachum, często wychodziła ze mną wieczorami na dwór i objaśniała mi gwiazdozbiory. Miałyśmy nawet teleskop. A Marama, moja babka, była Maoryską. Tłumaczyła mi, jakie znaczenie mają gwiazdy dla jej ludu.

– Dla mnie one są... w jakiś sposób budzą cześć i szacunek – powiedziała cicho Helena. – Niosą pociechę. Nie zmieniają się. Bez względu na to, co zrobimy i zamierzamy zrobić... Gwiazdy zawsze pozostają takie same. Były tu już, zanim się urodziliśmy.

I będą, kiedy umrzemy...

Gloria potrząsnęła głową.

– My tak tylko myślimy – stwierdziła. – Miss Bleachum tłumaczyła mi, że nie widzimy ich takimi, jakie są. Ich światło potrzebuje wielu lat, zanim do nas dotrze, często setek lat! To znaczy, że widzimy je takie, jakie były przed wieloma laty, a nie takie, jakie są teraz. Niektóre z tych gwiazd, które podziwiamy dziś, dawno już wygasły...

Helena westchnęła.

– Czy to znów ma coś wspólnego z *Inga wa o mua*? – spytała.

Gloria roześmiała się.

– Nie, w ogóle nie. A przynajmniej Maorysi o tym nie wiedzą. Dla nich gwiazdy są bogami, którzy kierują ich drogami. Maorysi dzięki nim mogą nawigować, kiedy płyną swoimi kanu. Jeśli sprawę prędkości świetlnej rozpatrywać filozoficznie, może miałyby to coś wspólnego z naszą interpretacją przeszłości – może z jaśniejszym obrazem minionych rzeczy. Ale ja nie jestem filozofem, dziecko. A ta noc jest zbyt piękna, aby oddawać się ponurym rozmyśleniom. Ciesz się więc teraźniejszością. Nawet jeśli ludzi nas fałszywym obrazem tego świata.

Gloria oparła się wygodnie i zaczęła opowiadać o gwiazdach. Ale Helena nie słuchała zbyt uważnie jej historii o bogach i żeglarzach. Wiedziała, że nie rozjaśni swojej przeszłości. I że żadna, nawet najpiękniejsza przyszłość, nie opuści swego welonu na to, co zrobiła.

Następnego dnia pasterze wyruszyli wcześniej. Helena dołączyła do nich bez trudu – w nocy było przenikliwie zimno w namiocie, który dzieliła z Anną i Kyrą. I nawet ona, mimo iż wierzyła, że po Syberii już nigdy nie będzie marzła, budziła się kilkakrotnie, trzęsąc się z zimna – mimo flanelowej koszuli, bryczesów i grubego swetra, który pożyczył jej James. A teraz dziewczyna cieszyła się na kubek gorącej kawy, nawet jeśli musiała ją sama przyrządzić. Mężczyźni czuli się podobnie. Dygocąc i zacierając ręce, ale mimo wszystko w dobrych nastrojach, zbierali się wokół wozu z kuchnią. Znowu zabrzmiały śmiechy i żarty. Helena i pokojówki usłyszały wiele komplementów, co bardzo cieszyło Kyrę i Annę. Helenie było nieprzyjemnie, kiedy mężczyźni wołali za nią, że jest piękna. Wprawdzie ciągle jeszcze mogła ukryć ciążę, ale można już było zauważyć, że była bardziej krągła niż obie dziewczyny. W dodatku jej cera, zawsze gładka i różowa, teraz zaczęła mieć skłonności do brzydkich wyprysków, a włosy, naprędce zaplecione w warkocze, też nie wyglądały najlepiej po nocy w namiocie. Helena w ogóle nie uważała siebie za ładną i nie lubiła, kiedy mężczyźni prawili fałszywe, jej zdaniem, komplementy.

Zaraz po śniadaniu Gloria i Jack wyruszyli ze swoimi psami, aby poszukać na przedgórzu Alp ostatnich zawieruszonych owiec, podczas gdy większość pasterzy pędziła już stada w stronę Kiward Station. Kilku pojechało naprzód ciężarówkami i pick-upami. Przy wozie z kuchnią pomagał młody Maorys, który, podobnie jak Anna i Kyra, też miał przodków wśród *pakeha* i otwarcie flirtował z dziewczętami. Jednak nie próbował tego robić z Heleną, co tylko umocniło ją w przeświadczeniu, że powinna z każdym dniem starać się zwracać jak najmniej uwagi na siebie. Robiła więc wszystko, aby nie słyszeć rozmów prowadzonych częściowo po angielsku, częściowo po maorysku, wyglądała z okna kuchennego namiotu i próbowała o niczym nie myśleć. Pogoda tego dnia pasowała

do jej niewesołego nastroju – brakowało słońca, niebo było szare i zachmurzone.

– Deszcz wisi w powietrzu – powiedział rankiem Jack, a mężczyźni przytaknęli zgodnie.

Poganiacze starali się utrzymać dość ostre tempo, aby możliwie szybko opuścić płaskowyż. Wiedzieli, że dopiero kiedy dotrą na Canterbury Plains, będzie to oznaczało, że udało im się uciec przed zimą. Tam rzadko padał śnieg, a niż zjawiał się tylko w postaci deszczu.

Także Jack i Gloria nie przedłużali swej samotnej wycieczki w góry, jak pierwotnie zamierzali, i około południa dołączyli do stad i pasterzy. Prowadzili ze sobą około pięćdziesięciu owiec, pilnowanych przez cztery psy. Ainné, która była wśród nich, przybiegła do Heleny w oczekiwaniu pieszczot, kiedy Jack i Gloria ustawili się w długiej kolejce po zupę. Helena cieszyła się. Pierwszy raz pomyślała, że dobrze byłoby mieć takiego psa jak Ainné. Zwierzę kochałoby ją bezwarunkowo – a to z pewnością musiało być piękne uczucie!

– Co, jesteś dumna, że pomogłaś przyprowadzić owce, prawda? – zinterpretowała Helena zachowanie suki, głaszcząc ją, i zaraz znalazła dla niej kawałek kiełbasy.

Gloria słysząc to, roześmiała się i skinęła głową.

– Ona się przechwala! – powiedziała. – A przecież wcale nie było trudno, bo owce biegly do nas same, jak gdyby nie mogły doczekać się spędu. One czują, że pogoda się zmieni, i wiedzą, że w tym wypadku najbezpieczniej jest szukać schronienia w stadzie. Ainné, nie zachowuj się więc tak, jak gdybyś dokonała nie wiadomo czego!

Gloria pieściła sukę, która teraz łąsiła się do niej i skwitowała skarcenie radosnym machaniem ogona. Ale Gloria szybko przełknęła podaną zupę, stwierdziła, że była pyszna, i pochwaliła Helenę, po czym marszcząc z niepokojem czoło, popatrzyła na niebo. Nad górami widać już było ciemne chmury, mimo to wszystko wskazywało, że ludzie z Kiward Station zdążą uciec przed niepogodą. Jack nakazał mężczyznom pędzić owce w kierunku doliny. Jednak po południu zaskoczył ich ulewny deszcz, choć na szczęście udało się uciec przed pierwszym atakiem zimy w Alpach. Wszyscy byli mokrzy i w złych nastrojach, kiedy w końcu dotarli do obozu, w którym mieli nocować. Na rozległej łące stała bardzo stara chata z bali, ciągle jeszcze nadająca się do użytku, która stanowiła jako takie schronienie przed niepogodą. A przynajmniej można było się w niej ogrzać, zanim ludzie rozeszli się do namiotów, które rozstawiono już przed przybyciem stad. Dla wszystkich pomocników w chacie nie było oczywiście miejsca, Gloria postanowiła więc, że zostaną tam tylko kobiety i kilku starszych pracowników farmy, którym zimno dokuczało bardziej niż innym. Tak zresztą robiono każdego roku w czasie spędu.

Także Helena dostała matę do spania. Zawinęła się w koce, leżąc między Anną i Kyrą, starała się być jak najdalej od mężczyzn. Wiedziała oczywiście, że tu nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo. Gloria i Jack także nocowali w chacie i mieli wszystkich ludzi na oku. Mimo to Helena nie czuła się dobrze w zatłoczonej, woniącej mokrą odzieżą i pełnej ludzkich wyziewów izbie. Może dlatego, że przypominało jej to zatłoczone baraki syberyjskich obozów, które dzieliła z wieloma innymi kobietami i dziewczętami. Nie za bardzo mogła spać. Jeśli udawało jej się zdrzemnąć, natychmiast

dopadały ją wspomnienia umierającej matki, składanych jej obietnic i skonsternowanej twarzy Lucyny, kiedy ta uświadomiła sobie zdradę Heleny.

W końcu dziewczyna nie mogła już wytrzymać, odsunęła koce, zarzuciła sobie jeden z nich na ramiona jako dodatkową ochronę przed zimnem, założyła buty i po cichu wyszła z chaty na zewnątrz. Od razu zrobiło jej się lepiej, kiedy poczuła pod stopami trawę i odetchnęła świeżym powietrzem pachnącym końmi i owcami. Ku jej zaskoczeniu chmury rozeszły się i niebo znów było pełne migocących gwiazd. Helena spojrzała na nie i spróbowała dostrzec różnice między gwiazdozbiorami półkuli północnej i południowej, o których mówiła Gloria.

– To jest Krzyż Południa – usłyszała nagle za sobą męski głos.

Odwróciła się gwałtownie. Była śmiertelnie przerażona, choć natychmiast rozpoznała, kto mówił. James miał na sobie długi, woskowany płaszcz, a jego rudobrzowe włosy były mocno zmierzwiłone. Uśmiechnął się do Heleny, jakby ciesząc się z udanej niespodzianki.

– Skąd... skąd się tu wzięłeś? – spytała.

– Z Kiward Station – uśmiechnął się. – Ruszyłem w drogę dziś rano. Chciałem zaznać choć trochę atmosfery prawdziwego spędu. Patrzenie na to tylko z samolotu jest nudne...

Helena zmarszczyła czoło. To zabrzmiało jakoś zaskakująco inaczej.

– Hej, nie cieszysz się, że mnie widzisz? – spytał wesoło, a w jego głosie słychać było wręcz rozczarowanie. – Powiedziałem przecież, że cię znajde.

– Tak trudne to znowu nie było – odparła Helena i w tym samym momencie poczuła złość na siebie samą. Czy naprawdę musiała być tak złośliwa? Ale sytuacja była osobliwa, zupełnie jak gdyby James próbował z nią flirtować. – Czy wasi ludzie nie nocują tu każdego roku?

James wykrzywił twarz w zabawnym grymasie.

– Już dobrze, masz rację! – przyznał dobrodusznie. – I jak podoba ci się na spędzie bydła? To znaczy, kiedy nie pada deszcz.

Helena w świetle księżycy zobaczyła, że jego płaszcz błyszczał od wilgoci. Dlaczego przyjechał tu mimo tak nieprzyjemnej pogody? Czy robił tak każdego roku?

– Lubisz mokre i zimne namioty, zadymione chaty, w których nocą szybko robi się zimno, a człowiek budzi się zdrętwiały i sztywny jak sople lodu, o ile w ogóle można było zmrużyć oko przy chrapaniu pozostałych ludzi? – Mrugnął do niej porozumiewawczo.

Helena odgadła, że się z nią droczył.

– Te noclegi na łonie natury, o których moi rodzice chyba nigdy nie przestaną roić?

Helena nie za bardzo wiedziała, co ma odpowiedzieć.

– Mnie... podobają się gwiazdy – powiedziała wymijająco.

James skinął głową i stanął obok niej.

– No to popatrzmy, co tam dziś mamy na górze... – Patrzył w niebo pozornie obojętnie, za to ze ściśle naukowym zainteresowaniem.

Serce Heleny zaczęło bić szybciej. Czuła osobliwą mieszankę radości i lęku.

– A więc Krzyż Południa, jak mówiłem – zaczął objaśniać James. – Rozpoznajesz go? Pięć jasnych gwiazd, których położenie tworzy krzyż. Tak to w każdym razie widzieli

chrześcijańscy żeglarze przed wiekami. Maorysi dopatrują się w tym gwiazdozbiore kształtu kanu. Czy wiesz, że jest odwzorowany na fladze Nowej Zelandii?

James pozornie przypadkowo położył rękę na ramieniu Heleny, a ona drgnęła, czując ten dotyk. Całkiem niedawno cofnęłaby się gwałtownie, ale teraz przyłapała się na myśli, że chciałaby przytulić się do tego młodego mężczyzny. Nie zrobiła ani jednego, ani drugiego, stała w ciszy i próbowała skoncentrować się na wyjaśnieniach Jamesa, aż nagle ciszę nocną przerwało szczekanie psa. Natychmiast przyłączyły się do niego pozostałe. Ainné, która wraz z innymi psami pilnowała stada owiec, rozpoznała głos swego pana i zaraziła swą radością inne psy. Piszcząc ze szczęścia, przybiegła do Jamesa i skoczyła na niego. Odwrócił się do suki i powitał ją – ale Helenie wydało się, że nie był tak uradowany, jak zwykle. Dlaczego?

Z chaty też dobiegło szczekanie – niektórzy pasterze zabrali swoje psy do środka, aby mogły spać obok nich, pozostałe collie leżały w stajni u koni. Teraz wszystkie przyłączyły się do szczekania dobiegającego z zewnątrz i za chwilę w wejściu chaty pojawiła się Gloria McKenzie. Strumień światła z jej latarki padł na twarz Heleny.

– Helena? – spytała Gloria wyraźnie zaalarmowana. – Czy coś się stało? Psy...

Helena odwróciła się gwałtownie i poczuła się jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku. A przecież nie robiła niczego złego. Nie potrzebowała też wstydzić się swojego stroju – podobnie jak wszyscy spała w ubraniach. Ale jednak była to noc, a ona stała obok Jamesa. Gloria zapewne pomyślała, że dziewczyna wymknęła się z chaty z jego powodu.

– James! – Gloria rozpoznała teraz syna. – A co ty tu robisz?

Była wyraźnie zaskoczona – zapewne w poprzednich latach James nie przyjeżdżał tu konno w trakcie spędu.

– Ja... ehm... myślałem, że się do czegoś przydam...

Pewność siebie Jamesa znikła w obecności jego matki. Najwyraźniej nie zastanawiał się, jak wytłumaczy swoją wycieczkę.

– Na zmęczonym koniu, który galopował całą noc? – strumień światła latarki Glorii padł teraz na brązowego wałacha, mokrego od potu, który ciągle jeszcze oddychał szybko. James przywiązał konia do rosnącego w pobliżu drzewa.

– Zapomniałeś o koniu na widok młodej kobiety? – głos Glorii był surowy, bo los koni zawsze leżał jej na sercu. – Zaprowadź teraz Kenana do stajni, rozetrzyj go porządnie i nakarm, a potem poszukaj sobie miejsca do spania!

Patrzyła, jak James podszedł do konia, ściągnął z niego siodło i sakwy i zarzucił je sobie na ramię, chcąc zanieść je do chaty.

– W namiocie, synu! – dodała.

– My... nie robiliśmy niczego złego... – usprawiedliwiała się Helena nieśmiało. – Tylko... tylko patrzyliśmy na gwiazdy.

– Których światło, jak wiadomo, może być zwodnicze – stwierdziła Gloria. – Chodź już do środka, wszyscy musimy rano wcześniej wstać.

## ROZDZIAŁ 4

Po nocnym spotkaniu z Jamesem Helena miała wyrzuty sumienia i prawie nie ważyła się spojrzeć Glorii w oczy, choć przecież nie musiała się niczego wstydzić. Ale zależało jej bardzo na przychylności rodziny McKenzie. Gloria i Jack w żadnym wypadku nie powinni sądzić, że Helena usiłuje przypochlebić się ich synowi i w ten sposób zdobyć jego względy. W Polsce, jako ciężarna kobieta bez męża, w takiej sytuacji natychmiast straciłaby dobrą opinię. W katolickiej ojczyźnie Heleny nie tak łatwo uwierzono by w jej opowieść o gwałcie i wywieraniu na nią presji. Dziewczyna z trudem mogła pojąć, że Billerowie i McKenzie nigdy w nią nie wątpili. Jeśli jednak widziano ją nocą w towarzystwie młodego mężczyzny...

Helena martwiła się i następnego dnia, a także w czasie kolejnych tygodni trzymała się z daleka od Jamesa. Poza tym szybko się męczyła i wykorzystywała to jako wymówkę i wytłumaczenie faktu, że wołała teraz więcej pomagać w domu niż w stajni. A i tak prawie nie było okazji, aby była z Jamesem sama.

A poza tym zbliżała się Wielkanoc i z Dunedin do swojego *marae* wróciła też Moana. Zaraz pierwszego dnia odwiedziła Glorię i jej rodzinę w dość szczególnej sprawie. Helena siedziała razem z nią w pokoju i słuchała, jak ta młoda, pełna zapału Maoryska opowiada o swoim projekcie ze studiów, którym miała się zająć w ciągu najbliższych kilku miesięcy, aż do zimowych ferii semestralnych. W tym celu zwolniono ją też z zajęć w seminarium nauczycielskim. Dawny dom zebrzań, jedna z centralnych budowli w *marae*, miał pełnić funkcję szkoły. Budynek stał pusty, od kiedy członkowie szczepu zaczęli mieszkać w pojedynczych domach, tworząc mniejsze społeczności rodzinne. Oczy Moany błyszczały, kiedy dziewczyna opowiadała o swoich planach i podkreślała słowa, gestykulując intensywnie.

– Pomyślałam, że ty, James, pomożesz mi wyremontować ten dom. Jest trochę zaniedbany, ale to solidna budowla, wymagająca tylko drobnych napraw. Parę gwoździ, kilka wiader farby... Nie wiem jeszcze, jak to sfinansuję, ale coś na pewno wymyślę! Może gmina kościelna zrobi zbiórkę albo Koua wykaże się gestem...

Gloria i Jack przysłuchiwali się uważnie. Zarówno jedno, jak i drugie uważali za nieprawdopodobne.

– A czy jest tu... dostatecznie dużo dzieci, żeby założyć szkołę? – spytała Helena, starając się okazać zainteresowanie.

W czasie odwiedzin w *marae* widzieli wprawdzie z Jamesem dzieci, ale do założenia szkoły z pewnością potrzeba było więcej niż na wpół wyremontowany dom. Będą też potrzebne książki i oczywiście nauczyciele. To, jej zdaniem, opłacało się tylko wtedy, kiedy było dużo dzieci.

Moana odrzuciła do tyłu swe piękne, długie włosy, a Helena widząc to, poczuła ukłucie zazdrości. Nawet taki drobny gest u Moany był pełen wdzięku i uroku.

– Myślę, że tak – odpowiedziała z zapałem. – Mamy przecież o wiele więcej dzieci niż *pakeha* – szkoła w Haldon pękłaby w szwach, gdyby one wszystkie chodziły tam codziennie. Ale ja nie mam na myśli prawdziwej szkoły, lecz bardziej... hm... kursy wakacyjne czy też zajęcia popołudniowe. Obok, albo zamiast normalnej szkoły, skoro



dzieci stale jej unikają... Wezmę się do pracy teraz, a później będę uczyć w czasie ferii semestralnych. Przyjedzie kilka moich koleżanek z Dunedin, aby mi pomóc. Kształcenie Maorysów jest ważnym tematem i rząd popiera takie projekty jak ten.

– Pytanie tylko, czy dzieci podzielą ten zapał i chęci – wtrąciła Gloria, która w dzieciństwie niezbyt chętnie chodziła do szkoły. – W końcu udział w zajęciach będzie dobrowolny.

Moana przytaknęła, uśmiechając się.

– Dzieci przyjdą na pewno! Wszystko będzie zupełnie inaczej niż w szkole w Haldon! Będziemy uczyć nie tylko przedmiotów szkolnych, ale także sztuki maoryskiej i rękodzieła, budowy latawców, tkania, plecienia koszy, zakładania ogrodów... Będziemy też tańczyć przy muzyce... Robić to, co dzieciom sprawia przyjemność. A kiedy będziemy coś opowiadać, będą to opowieści naszego ludu, a nie literatura *pakeha*, która nie ma nic wspólnego ze światem dzieci. Musimy je przekonać, zachwycić, aby się zapaliły do tego. Nie może dalej być tak, jak jest teraz. Połowa dzieci w *marae* nie umie czytać ani pisać.

Helena przypomniała sobie, że James też mówił coś podobnego na ten temat. Maoryskie dzieci nie czuły się dobrze w szkole w Haldon i po prostu wagarowały przy każdej okazji. Wymówek było zawsze mnóstwo. Po pierwsze, z O’Keefe Station do Haldon było daleko, po drugie, przedmioty szkolne nie interesowały dzieci, a poza tym dzieci *pakeha* odtrącały je. Obie grupy od samego początku rywalizowały ze sobą, jednak im więcej maoryskich dzieci unikało szkoły, tym więcej okazji mieli biali uczniowie do drwin, kpin i złośliwości. Popierali ich czasami nauczyciele – w nadziei, że rozbudzi to ambicję Maorysów. Efekt był oczywiście odwrotny od oczekiwanego: maoryskie dzieci przychodziły do szkoły coraz rzadziej. Nauczyciele próbowali więc interweniować u rodziców, bo przecież w Nowej Zelandii istniał obowiązek szkolny. Ale Maorysom było obojętne, czy ich dzieci chodziły na zajęcia do szkoły, czy nie. Maoryskie dzieci zgodnie z tradycją rzadko były do czegoś zmuszane i tylko nieliczni rodzice rozumieli, jak ważna jest nauka czytania i pisanie. Od czasu do czasu we wsi pojawiali się też szkolni inspektorzy Wydziału Oświaty i grozili Maorysom, że odbiorą im dzieci, jeśli one nie będą wywiązywały się z obowiązku szkolnego. Dawniej biali rzeczywiście często umieszczali małych Maorysów w internatach i placówkach opiekuńczych, aby oderwać ich od kultury szczepów, ich zdaniem budzącej lęk. Ale teraz nie było już takiej konieczności. Nikt we władzach i rządzie nie obawiał się letargicznych, żyjących w małych społecznościach szczepowych Maorysów. Nie chciano wikłać się w kłopoty i ponosić kosztów odbierania im dzieci, aby je potem gdzieś zamknąć i uszczęśliwiać na siłę. Maoryscy rodzice wiedzieli o tym doskonale i nic sobie nie robili z pogroźek szkolnych inspektorów i nauczycieli. Potakiwali, uprzejmie zegnali gości i dalej pozwalali robić dzieciom to, co chcieli. Moanę doprowadzało to do szału.

– James, pomożesz mi, kiedy już zbiorę pieniądze, prawda? – spytała. – I ty, Heleno, też – Moana zwróciła się przyjaźnie do Heleny. – Tak, wiem, nie powinnaś już wchodzić na drabinę... – Moana uśmiechając się, wskazała na brzuch Heleny, a dziewczyna zaczerwieniła się natychmiast – ale możesz pomalować ławki i stoły, które, mam nadzieję, zrobi dla nas James. Myślę, że kilkoro chłopców i dziewcząt ze wsi też

nam pomoże.

Helena zagryzła wargi. Przerażała ją już sama myśl o tym, że pokaże się w grupie młodych ludzi z takim brzuchem. Z pewnością będą o niej plotkować i snuć różne przypuszczenia na temat ojca jej dziecka. Jack i Gloria McKenzie mogli sobie mówić, że u Maorysów wszystko jest inaczej. W Haldon Helena prawie się już nie pokazywała. Oczywiście ciągle nosiła obrączkę, a historię o jej mężu znał już niemal każdy. Mimo wszystko ta sprawa była dla niej nieprzyjemna.

– Nie mam zbyt dużego talentu, jeśli chodzi o stolarstwo – odparł James.

Nie zabrzmiało to przekonująco. Bo tak naprawdę czar Moany skłoniłby każdego mężczyznę, aby z zapalem chwycił za młotek i gwoździe.

Trudniejsze okazało się jednak zdobycie pieniędzy na ten projekt. Kwesta w kościele okazała się kompletnym niewypałem. Gloria McKenzie poprosiła wielebnego kościoła anglikańskiego, aby wsparł zbiórkę pieniędzy, i duchowny rzeczywiście pięknie mówił w swoim kazaniu o miłości bliźniego i o wzajemnej pomocy. Jednak w puszcze znalazło się zaledwie kilka szylingów, a nastrój na placu przed kościołem był tak nieprzychylny, że Moana natychmiast porzuciła podobne pomysły, jak na przykład gminny piknik w celu wsparcia projektu, stragan z ciastami czy też pchli targ. Członkowie gminy byli zdania, że miejscowa szkoła oferuje wszystkim dzieciom lekcje na zupełnie przyzwoitym poziomie, a poza tym istnieje przecież jeszcze szkółka niedzielna, otwarta dla każdego. Jeśli Maorysów ta oferta nie interesuje, problem jest po ich stronie. Jak wyraził się Bernard Tasier, właściciel sklepu z towarami żelaznymi, żaden z obywateli nie miał zbędnego „dodatкового kawałka kielbasy”.

– A oni zamierzają jeszcze uczyć tych pogan! – wyraziła swoje obawy Mrs Boysen i popatrzyła na wielebnego z wyrzutem. – Tradycje maoryskie, kultura i techniki, też coś! Co to w ogóle jest?

– No, jak to co? – zakpił Tasier. – Wyrabianie broni i wędzenie obciętych głów wrogów! „Szczepy powinny odzyskać swoją samoświadomość...”. Jak tylko to słyszę... Pewnie po to, żeby zaczęli swoim sąsiadom rozbijać głowy albo co najmniej procesować się z nimi i odbierać im ich ziemię!

Wieśniacy przytakiwali – ci ludzie uważali jedno i drugie za podobne zło. A przecież wojny maoryskie w ogóle nie dotknęły Wyspy Południowej. Tu miały miejsce jedynie protesty krajowców przeciwko niesprawiedliwemu odbieraniu im ziemi, co rozwiązywały sądy. Gwyneira McKenzie nie była jedyną osobą, która musiała zapłacić odszkodowanie szczepom.

Helena zakładała, że „datki”, z których ostatecznie został sfinansowany projekt Moany, pochodziły głównie z kieszeni rodzin McKenziech i Billerów. Gloria w czasie rozmowy telefonicznej ze swoją kuzynką Lilian wspomniała o projekcie Moany i wkrótce potem poczta dostarczyła czek na całkiem pokaźną sumę. Zakup materiałów koniecznych do remontu nie stanowił więc już problemu. Moana musiała tylko znaleźć ludzi, którzy podjęliby się tej pracy. Ale w maoryskiej wsi jej pomysł spotkał się z równie niewielkim zainteresowaniem jak wśród mieszkańców Haldon. Prócz Jamesa i Heleny, której niechęć wyperswadowała jej bez trudu Gloria, nie znalazł się nikt, kto chciałby pomagać przy remoncie.

Od czasu do czasu zjawiał się ktoś ze starszych ludzi, jakaś kobieta zaoferowała pomoc przy uczeniu dzieci tkania i wyplatania, ale ich rodzice byli obojętni. Także Koua, wódz, nie tylko nie popierał projektu, ale wręcz go wyśmiewał. Moana była tak dalece bezradna i zrozpaczona, że w końcu uciekła się do swoich kobiecych wdzięków. Oczarowała jednego, a nawet dwóch młodych mężczyzn na tyle skutecznie, że wykonali parę szkolnych ławek. Nie mogła więc później okazywać całkowitego braku zainteresowania wobec awansów Hare i Koraka. Ale mężczyźni widzieli też coś, co było powodem także niepokoju i żalu Heleny: Moana była wpatrzona tylko w Jamesa.

Sytuacja poprawiła się nieco, kiedy przybyły dwie studentki seminarium nauczycielskiego z Dunedin – obie zaangażowane i pełne energii podobnie jak Moana i obie także o maoryskim pochodzeniu. Z zapalem zabrały się do prac remontowych i po kilku dniach nawet zaczęły już uczyć. Laura zafascynowała dzieci, konstruując proste instrumenty muzyczne i śpiewając wesołe piosenki, Janet opowiadała o maoryskich bogach i bohaterach i wraz z dziećmi odgrywała sceny z ich życia. Moana budowała z małymi Maorysami latawce. Miały być puszczane z wiatrem pod koniec maja, kiedy na nocnym niebie ukazywał się gwiazdozbiór Plejad i Maorysi obchodzili święto Matariki.

– *Manu* uchodzą za pośredników między niebem a ziemią – wyjaśniała Moana dzieciom.

Janet wpadła na pomysł, aby uczniowie zapisywali swoje życzenia do bogów na kartkach.

– Będziecie mogli je potem wysłać do nieba wraz ze swoim *manu* – powiedziała.

Maoryskie dzieci pierwszy raz pisały z zapalem, a te, które nie umiały jeszcze dobrze pisać, nie protestowały, kiedy Janet poprawiała ich pisownię. W końcu bogowie powinni móc przeczytać i zrozumieć ich życzenia.

Moana śmiała się.

– Wielebny nie będzie zachwycony, ale cel uświęca środki.

Zapał początkujących nauczycielek oraz ich pierwszych uczniów był tak zaraźliwy, że nawet Helena wykonała latawiec. Nie była jednak w stanie napisać swoich życzeń na kartce. Z jednej strony nie wierzyła już w Boga chrześcijan, ale z drugiej całe życie słyszała, że nie wolno mieć innych bogów obok niego. Pisanie takich życzeń, jej zdaniem, było bluźnierstwem. A w dodatku nie wiedziała, czego może sobie życzyć. Każda próba nawiązania kontaktu z Lucyną kończyła się niepowodzeniem. Helena kilkakrotnie pisała do Persji, jak też do Polski, kiedy jej kraj był już wolny. Rosyjska armia 17 stycznia weszła do Warszawy i zaczęły działać organizacje, które gromadziły uciekinierów. Ale po Lucynie i Kasprze zaginął wszelki ślad. Helena nie wiedziała, do kogo jeszcze można było się zwrócić. Jednak proszenie obcych bogów o opiekę nad siostrą, jej zdaniem, z pewnością nie mogło pomóc. Dziewczyna wyjaśniła to Jamesowi, bo ten był zdziwiony, a wręcz rozczarowany, kiedy na długo przed świętem Matariki postanowiła wypuścić w niebo swój latawiec bez kartki z życzeniami.

– Nie masz żadnych innych życzeń? – spytał. – Jakiegoś, które nie ma nic wspólnego z twoją siostrą? Niczego nie pragniesz dla siebie ani dla twojego dziecka?

Helena nie przyznała się, że podobnie jak kiedyś, także teraz pragnęła jedynie pozbyć się tego dziecka i w milczeniu potrząsnęła głową. Od pewnego czasu wyczuwała

już jego ruchy i wiedziała, że powinna coś odczuwać w stosunku do tej małej istoty, która w niej rosła i miała się niebawem urodzić. Ale właśnie to przychodziło jej z trudnością. Próbowwała nie myśleć o dziecku – ani o jego narodzinach, ani też o tym, co będzie potem. Woląla skoncentrować się na planowaniu święta Nowego Roku dla Maorysów, które miało mieć miejsce w czasie pierwszej nocy nowiu po ukazaniu się Plejad na niebie. Maorysi widzieli w tym gwiazdozbiórze matkę z córkami. Jego pojawienie się na niebie związane było z wieloma obyczajami, do których należało także konstruowanie i puszczanie latawców oraz wspólne wspomnianie złych i dobrych chwil minionego roku. Szczep miał właściwie obchodzić to święto wspólnie, ale nigdy nie zadawano sobie zbyt wielkiego trudu, jeśli chodzi o przygotowania. Wodzowi Koua pielęgnowanie tradycji było obojętne – zwykle wołał witać Plejady butelką whiskey, a nie śpiewając *karakia*. Jednak prawdziwe święto Matariki powinno wyglądać inaczej, dlatego Moana oraz jej przyjaciółki zdecydowane były tym razem przywrócić szczepowe tradycje, głównie ze względu na dzieci.

– Naprawdę chcecie przygotować *hangi*? – spytała Helena młodą nauczycielkę Laurę.

Obie dziewczyny planowały wydanie uczyty i Laura oświadczyła, że do tradycji święta Matariki należało także wspólne jedzenie potraw przygotowanych w piecu ziemnym. O ile to możliwe, dania miały być gotowe dokładnie w tym momencie, w którym na niebie ukazywały się gwiazdy, aby zaoferować im coś do jedzenia, ponieważ po długiej podróży będą na pewno zmęczone. Jednak wokół Haldon nigdzie nie było aktywności wulkanicznej, którą wykorzystywano do duszenia potraw. Jeśli mimo to chciano przygotować *hangi*, należało wykopać dół i wypełnić go rozgrzаныmi w ognisku kamieniami. Wymagało to sporego nakładu czasu i pracy i Helena nie za bardzo widziała w tym sens – podobnie jak James, który miał przygotować dół do gotowania w nim potraw.

– Chcemy to zrobić, koniecznie! – oświadczyła z zapałem Laura. – Dzieci powinny to kiedyś zobaczyć i przeżyć. Oczywiście wszystko zależy od tego, czy James nam pomoże. Namówisz go, Heleno? Przecież tak dobrze się rozumiecie...

Helena zmarszczyła czoło. Nie za bardzo wiedziała, co przez to chciała powiedzieć Laura. Bo jeśli chodziło o to, która z młodych kobiet miała największy wpływ na Jamesa, to Laura powinna była zwrócić się raczej do Moany.

Ale Laura roześmiała się, kiedy Helena jej to zaproponowała.

– Myślę, że on jest innego zdania – stwierdziła z szelmowskim uśmiechem. – Ale to wszystko jedno. Moana też już znalazła kogoś, kto będzie przygotowywał ten dół. Jej kuzyn Ropata przyjedzie tu z Dunedin, aby świętować z nami. On jeszcze nigdy nie przeżył prawdziwego święta Matariki. A Janet namówiła do kopania Rewi. Ja sama mam nadzieję, że pomoże nam Koraka... Jak widzisz, o Jamesa ty musisz się zatroszczyć. A on jest najważniejszą osobą, bo z całą pewnością nie będzie pijany przed południem!

Rzeczywiście Helena nie musiała zadawać sobie zbyt wiele trudu, aby namówić Jamesa do współpracy przy przygotowaniach do święta. Młody mężczyzna wprawdzie trochę narzekał na próby przeniesienia tradycji z Wyspy Północnej na Południową, twierdząc, że on musi z tego powodu cierpieć, ale młode kobiety nieoczekiwanie znalazły

sojuszniczkę w osobie jego matki Glorii.

– Nie masz cierpieć, tylko kopać dół! – powiedziała do syna ze śmiechem. – A ja też jeszcze nigdy nie uczestniczyłam w *hangi*. Przyjdziemy do *marae* z całą rodziną i Jack na pewno też chwyci za łopatę. Nie bądź gnuśny, James, bo a nuż znajdziesz złoto przy kopaniu!

– Złota, jak wiadomo, nie da się zjeść – wymruczał James. – Kto to powiedział! Jakiś amerykański Indianin, prawda? Czyli potwierdza się teoria, że złoto jest w ziemi, a jedzenie wyrasta z ziemi...

– W każdym razie mam nadzieję, że to jedzenie będzie pyszne, skoro już zadajemy sobie aż tyle trudu – mruzczał znów James, kiedy wreszcie ruszył z Heleną do *marae*, załadowawszy uprzednio na przyczepę pick-upa szpadle i łopaty. – Najlepiej, żebyś to ty zajęła się jego przygotowaniem. Twoja zupa na spędzie bydła była wspaniała, także inne potrawy, które przygotowujesz, smakują o wiele lepiej niż te, które gotuje nasza kucharka. Maoryskie kobiety niepotrzebnie oszczędzają przyprawę.

Helena zaczerwieniła się, słysząc tę pochwałę. Niewiele rozmawiała ostatnio z Jamesem, bo kiedy prace remontowe były już zakończone, nie przychodził już codziennie do domu zebrań. I to jej właściwie odpowiadało – im brzydsza wydawała się sobie w lustrze, tym bardziej unikała kontaktu z młodym mężczyzną.

– A ty naprawdę nie chcesz dziś puszczać swojego latawca? – spytał James. – Moge ci zrobić jakiegoś, bo ty... powoli robisz się na to zbyt ociężała.

Helena znów się zaczerwieniła, tym razem ze wstydu. James mógł też powiedzieć „niezgrabna”. Był koniec maja, do porodu pozostało jeszcze tylko sześć lub siedem tygodni.

– Albo wezmę twój list do bogów do mojej Pippy i zostawię go na chmurze! – zaproponował James z uśmiechem.

Helena zagryzła wargi. Ostatnio rzeczywiście wszyscy namawiali ją, aby prosiła bogów w czasie święta Matariki o błogosławieństwo dla dziecka – niektórzy robili to żartobliwie, jak Gloria, inni zaś całkiem poważnie, jak na przykład Janet, którą Moana usiłowała skłonić do odegrania roli kapłanki. Jej babka była *tohunga* szczepu Ngati Kahungunu i Janet czuła się do tego powołana. Jednak Helena stale wzbraniała się przed puszczaniem latawców i uzasadniła rezygnację z zabawy, mówiąc, że nie pozwala jej na to wychowanie w wierze chrześcijańskiej. Czuła się przy tym jak hipokrytka, bo nie osoba Jezusa, lecz Jamesa była powodem tego, że nie chciała napisać kartki z życzeniami. Długo o tym rozmyślała i w końcu musiała przyznać, że jej jedynym życzeniem było to, aby ten młody mężczyzna odwzajemnił sympatię, którą ona coraz bardziej go obdarzała. Helena nie za bardzo potrafiła z tym walczyć i ciągle wspominała dotknięcie jego ręki na swoim ramieniu tej nocy w czasie spędu bydła. Dzień w dzień przeżywała czar tamtej chwili i ciągle powtarzała sobie, że to tylko urojenie i że coś sobie wmawia. Bo James od tamtej chwili nie próbował się do niej zbliżyć.

Za to w czasie wspólnej pracy w domu zebrań wyraźnie rosła jego zażyłość z Moaną. Helena mimowolnie zauważała każdy uśmiech, który wymieniali oboje, każdą rozmowę i gotowość do wzajemnej pomocy. Pracowali ramię w ramię i widać było, że instynktownie czuli, co jedno albo drugie chce za chwilę powiedzieć czy też zrobić.

Także tego ranka przed świętem Matariki James opuścił Helenę od razu, aby przyłączyć się do grupy, w której pracowała Moana. Przywitał Ropatę, wysokiego mężczyznę w stroju *pakeha*, i za chwilę wszyscy dyskutowali z ożywieniem, jak należy rozgrzać w ognisku kamienie, które zebrał już kuzyn Moany i kilku Maorysów oraz jak przetransportować je potem do dołów, w których miały się dusić potrawy. Helena przyłączyła się do grupy kobiet, które przygotowywały jedzenie. Reka, młoda dziewczyna, która pracowała w sklepie niesympatycznej Mrs Boysen, natychmiast wcisnęła jej do ręki nóż do obierania warzyw i wskazała górę słodkich ziemniaków. Sama plotła kosze z trzciny, w których potem miały być umieszczone potrawy, i najwyraźniej ta sztuka była jej raczej obca.

– Mam nadzieję, że nie będą potem pełne piasku – westchnęła. – Ahurewa mówi, że takie kosze mają być szczelne, ale jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić. Jeśli o mnie chodzi, po prostu powiesiłabym kocioł nad ogniskiem. To też jest przecież bardzo tradycyjne...

– Myślałam, że zanim zjawili się tu *pakeha*, nie mieliście żadnych kotłów – zwróciła jej uwagę Helena.

Reka podniosła kufel piwa, z którego co chwilę upijała kilka łyków w czasie zaplatania.

– Co racja, to racja – przyznała, uśmiechając się. – A więc, dziękujemy wam, *pakeha*! Jak to dobrze, że jesteście!

Dokładnie tak samo jak Reka mówili przez cały dzień pozostali maoryscy mężczyźni i kobiety, popijając piwo i whiskey i w czasie zachodu słońca w *marae* panował już wesóły nastrój. Moana i pozostałe studentki seminarium nauczycielskiego cieszyły się, że noc zapowiadała się bezchmurna i wokół rozpalonych ognisk zbierały swoich uczniów, z których każdy niósł latawiec. Siedziało tam już kilku starszych ludzi, którzy wpatrywali się z uwagą w gwiazdy, a Moana z radością zauważyła, że na szczęście nie byli jeszcze na tyle pijani, aby nie móc opowiedzieć o nich dzieciom. Ahurewa, wiejska akuszerka, też opowiadała baśń o gwiazdach. Według niej słońce co roku zwracało się o pomoc do gwiazdy-matki Whanui, mówiąc, że jest wyczerpane i zmęczone, więc Whanui i jej córki powinny pomóc, aby zima nie była zbyt surowa. Whanui zbierała w odpowiedzi swoje dzieci. Jeśli one przyłączały się do pomocy i intensywnie świeciły, zima była krótka i można było wcześniej zacząć wysiewy. Jeśli dzieci sprawiały wrażenie bladych, apatycznych i niezbyt chętnych do pomocy, musiało upłynąć znacznie więcej czasu do końca zimy.

Helena wraz z dziećmi przysłuchiwała się opowiadanej legendzie o podróży gwiazd i wstrzymała oddech, kiedy na bezchmurnym niebie nad Canterbury Plains rzeczywiście rozbłysły Plejady.

– Będzie krótka, łaskawa zima! – zinterpretowała ich widok Ahurewa i wypła łyk piwa. – Będziemy mogli wcześniej zacząć siewy, a żniwa będą potem obfite...

Helena zastanawiała się, ile ziemi tak naprawdę obsiewali i uprawiali Ngai Tahu. Bo z tego, co widziała, to oprócz kilku zaniedbanych przydomowych ogródków Maorysi na O’Keefe Station prawie niczego nie uprawiali. Następnie przyłączyła się do rytualnej pieśni, którą zaintonowały nauczycielki wraz z dziećmi.

*Ka puta Matariki ka rere Whanui.  
Ko te tohu tene o te tau e!  
Matariki wróciła! Whanui prowadzi ich lot  
I rozpoczyna się Nowy Rok!*

Starzy ludzie nie byli tak pełni euforii, a niektórzy nawet zaczęli płakać. To bez wątpienia Moana poprosiła ich, aby na widok gwiazdozbioru zaczęli wymieniać imiona ludzi zmarłych w tym roku i opłakiwać ich, bo dopiero potem mogli oni, według wierzeń szczepu, uchodzić za tych, którzy odeszli ostatecznie. Wówczas można było zwrócić się ku nowemu życiu. Ten rytuał miały poznać też dzieci. Kobiety zgodziły się na to, ale ich płacze i żale trwały bardzo krótko.

– Właściwie w ubiegłym roku nikt nie umarł – zwierzyła się Helenie pewna staruszka. – Może poza Petą, który zapił się na śmierć. Ale on pochodził z Kaikoura i nie należał do nas...

Ponieważ rozgwieżdżone niebo rozpościerało się nad nimi w całej swej krasie, Moana, Laura i Janet dały znak dzieciom, aby puściły swoje latawce. Chłopcy i dziewczęta z dumą trzymali je na długich sznurkach na wietrze. Helena miała nadzieję, że rodzice i pozostali członkowie szczepu byli jeszcze na tyle trzeźwi, aby pochwalić je za wykonaną pracę. Większość dzieci pracowała całymi dniami, pieczołowicie malowała wykonane latawce i dekorowała je piórami i muszelkami. To James i Moana zachęcili je do tego.

James... Gdzie on w ogóle teraz był? Helena nie widziała go już od dłuższego czasu. I w tym momencie zrozumiała dlaczego. Usłyszała narastający szum silnika, a potem zobaczyła światła pozycyjne, które przypominały świecące oczy latawca na niebie. James próbował na swój sposób nawiązać łączność z gwiazdami! Jego Pippa przeleciała nad miejscem, gdzie wszyscy świętowali, na tyle wysoko, aby nie uszkodzić żadnego z latawców. I ku zdumieniu dzieci samolot ciągnął za sobą latawiec! Helena rozpoznała, że był to jej *manu paakau* w formie skrzydła pomalowany w jej ulubione kolory!

– To przecież twój latawiec! – zawołała do niej mała dziewczynka. – Popatrz, Heleno, twój latawiec leci wyżej niż wszystkie!

Helena teraz też to dostrzegła. James zabrał więc jej latawiec! Pomachała mu ręką razem z dziećmi.

– A teraz zaśpiewamy głośno piosenkę o latawcach, aby tam w górze usłyszeli ją James, Pippa i latawiec Heleny! – zachęciła swoich wychowanków Moana.

Helena raz jeszcze pomyślała z podziwem, jak bardzo dziewczyna musiała być pewna miłości swojej i Jamesa, skoro nie przeszkadzało jej, że jej przyjaciel ciągnął za swoim samolotem latawiec innej dziewczyny...

Młody lotnik wylądował na drodze dojazdowej do maoryskiej wsi i śmiejąc się, przyszedł do biesiadników. Niósł ze sobą latawiec Heleny.

– On musiał wznieść się w powietrze, aby porozmawiać z bogami! – oświadczył.

– I co powiedzieli bogowie? – zapytał Ropata, zanim zdążyła to zrobić Helena, po czym podał Jamesowi kufel piwa. Dla obu mężczyzn było to pierwsze piwo tego wieczoru. Ani James, ani kuzyn Moany przed rozpoczęciem uroczystości nie wypili

choćby kropli alkoholu. Za to wódz Koua, który stał teraz obok swego bratanka i z pewnością rozmawiał z nim o jego rodzinie mieszkającej w Dunedin, był już dość pijany.

James wznosił toast.

– W zasadzie powiedzieli to, co można usłyszeć w radio – odpowiedział i mrugnął porozumiewawczo do Koua. – To będzie dobry rok. Na świecie wreszcie panuje pokój...

Rzeczywiście Niemcy skapitulowały i wojna była już skończona.

– Wielu ludzi, którzy zostali wypędzeni ze swych domów, może już wracać do ojczyzny... – mówił dalej James.

Helena zagryzła wargi. Czy to dotyczyło jej? Czy chciał odesłać ją do Polski?

– Wiele rodzin rozproszonych po świecie teraz się odnajdzie... – James zwrócił się teraz wprost do Heleny. – Ich dzieci urodzą się już w nowym świecie. A to bogowie dali mi dla ciebie. – Podał młodej kobiecie *hei-tiki* z jadeitu.

Helena dziękując, wzięła wisiorek do ręki.

– Ja... ja przecież już mam *hei-tiki*... – odpowiedziała zakłopotana.

James uśmiechnął się szeroko.

– Ale twoje dziecko nie ma – odparł. – A któż mógłby je lepiej chronić, niż matka ziemia i ojciec niebo?

Kiedy Helena dokładniej obejrzała maleńką figurkę, dostrzegła dwoje bóstw w miłosnym uścisku. Byli to Papatuanuku i Ranginui, prarodzice świata.



## ROZDZIAŁ 5

Plany Moany związane ze świętem Matariki udało się zrealizować w całości. Uroczystość wypadła całkiem dobrze. Oczywiście Koua i pozostali Maorysi byli pijani, ale najpierw wszyscy tak jak dawniej śmiali się, rozmawiali i tańczyli przy muzyce. Moana i jej koleżanki dopilnowały, aby dzieci odpowiednio wcześniej poszły spać do domu zebrań – był to jeden z punktów programu – zanim zaczęła się pijatyka. Także Helena z rodziną McKenziech poszli wcześniej do domu, nawet niczego nie jedząc. Rozgrzane kamienie wrzucone do dołów nie wystarczyły, aby upiec mięso, które było półsurowe, kiedy mężczyźni wygrzebali kosze. Reka nie namyślając się długo, wsadziła wszystko do kotła i zrobiła z tego zupę, ale zanim zupa była gotowa, znów musiało upłynąć sporo czasu. A potem rzeczywiście biesiadnikom piasek trzeszczał między zębami. Trzciny, z których uplecione były kosze, skurczyły się w wysokiej temperaturze i w czasie wygrzebywania ich do środka dostała się ziemia. Dzieci mimo to były zachwycone, a pijani dorośli prawdopodobnie nawet nie zauważyliby tego, ale Gloria i Jack postanowili wracać. Wprawdzie tego dnia na Kiward Station nikt nie gotował kolacji, ale w lodówce było dostatecznie dużo wędliny i sera, a świeży chleb pieczono codziennie. James uśmiechnął się, widząc, jak Helena z apetytem zajada kanapkę.

– Widzicie teraz, że lepiej jest nie zagrzebywać jedzenia w ziemi przed spożyciem, o ile nie mieszka się obok wulkanu? – spytał.

Gloria uniosła brwi do góry.

– To przecież było tylko doświadczenie, próba – odparła.

Jack roześmiał się.

– A poza tym nie można tego uogólniać – poparł żonę. – W Europie najlepsze rodzaje sera dojrzewają właśnie w jamach pod ziemią...

James przewrócił wymownie oczami, a Helena próbowała na niego nie patrzeć. Myślała znów o latawcu... o prezencie dla jej dziecka... Czy to możliwe, że ona coś dla niego znaczyła? A może jego wysiłki miały na celu wzbudzenie zazdrości u Moany? To, jej zdaniem, było najbardziej prawdopodobne. Pewnie Jamesowi w ogóle nie podobało się to, że młoda kobieta przez cały dzień była ze swoim kuzynem z Dunedin. A wieczorem jeszcze tańczyła z Ropatą. Młody Maorys był wyraźnie zakochany w kuzynce, tego nie można było nie dostrzec. James prawdopodobnie zauważył to już wcześniej i zareagował właśnie tak. Helena postanowiła zachowywać jeszcze większy dystans. Robienie sobie nadziei, a potem rozczarowanie się albo wręcz ośmieszenie byłoby bolesne.

Helena zamierzała jeszcze bardziej zaangażować się w sprawy szkoły. Pilnowała dzieci, rozmawiała z nimi po angielsku i nauczyła się sama kilkunastu słów po maorysku. Dzięki temu wchodziła Jamesowi w drogę rzadziej, niż gdyby pomagała w stajniach czy też w kuchni na Kiward Station. Moana i pozostałe nauczycielki były zachwycone pomocą Heleny. Projekt w końcu okazał się przecież sukcesem. Janet zbierała każdego ranka wagarowiczów i próbowała nadrobić z nimi materiał, a po południu w szkole i tak panował ożywiony ruch. Przyszłe nauczycielki pomagały odrabiać lekcje, które należało zrobić w ramach przygotowań do zajęć w szkole publicznej, i proponowały warsztaty majsterkowania, muzyki i czytania. A potem, niedługo po święcie Matariki, stało się coś

zupełnie nieoczekiwanego. Obok maoryskich dzieci w ławkach w domu zebranych pojawiły się białe dziewczynki i biali chłopcy

– Ja też chciałbym zbudować latawca! – oświadczył mały chłopiec. Helena dostrzegła, że był to Marty Tasier, syn właściciela sklepu z towarami żelaznymi.

– A ja chciałabym nauczyć się tańczyć! – dodała jedna z dziewczynek.

Mała Maoryska od razu pokazała jej kilka prostych kroków, szeleszcząc przy tym piłeczką *poi-poi*. Była najwyraźniej dumna z tego, że wreszcie umie coś lepiej niż *pakeha*.

– To o wiele więcej, niż się spodziewałam! – cieszyła się Moana. – W najśmielszych marzeniach nie liczyłam na to, że przyjdą tu dzieci *pakeha*. Oczywiście są mile widziane. Wreszcie będzie można mówić o przyjaźniach między nimi a nami, Maorysami.

I rzeczywiście mali *pakeha* wkrótce nauczyli się pierwszych słów po maorysku. Z zapalem śpiewali też *haka* i odgrywali przedstawione historie z życia Maorysów. James podarował szkole starą piłkę do rugby, a Moana wyjaśniła dzieciom, że to wprawdzie jest gra *pakeha*, ale ma wiele wspólnych elementów z maoryską grą *ki-o-rahi*. Pewien stary człowiek ze wsi wiedział, jak pleść piłkę do tej gry, i nauczył tego dzieci. Jego żona zaś nauczyła dziewczynki tkactwa i objaśniała tradycyjne wzory szczepów.

I wszystko szło dobrze, ale któregoś dnia w szkole zjawili się pierwsi rodzice dzieci *pakeha*, chcąc zobaczyć, gdzie ostatnio spędzają swoje popołudnia Martin, Janes, David, Elisabeth i wiele innych dzieci. Mieszkańcy miasta Haldon nie byli zachwyceni wycieczkami swoich latorośli do świata Maorysów. Niektórzy poskarżyli się nauczycielowi w Haldon i wielebnemu, po czym przyszli osobiście do wsi, aby odebrać dzieci. Wielu rodziców zachowywało się tak, jak gdyby Moana, Janet, Laura i Helena uprowadziły ich dzieci albo przynajmniej skłaniały je do sprzeciwiania się swoim rodzicom. Przyszłe nauczycielki nie dały się sprowokować, próbowały uspokoić rozgniewanych dorosłych i wyjaśnić, co robią ich dzieci w tej szkole. Były przekonane o swojej racji i ostre słowa nie robiły na nich żadnego wrażenia. Jednak Helena obawiała się ludzi takich jak Bernard Tasier. Jego krzyki i groźby przypominały jej nadzorców w rosyjskich łagrach, a Jack i Gloria zgodzili się z nią, nazywając Bernarda Tasierra nazistą. Ten człowiek w czasie wojny wielokrotnie opowiadał się za narodowosocjalistyczną ideologią. Helena była oburzona, kiedy określał Maorysów jako brudnych dzikusów i podstępnych łowców głów, z którymi jego syn w żadnym wypadku nie powinien się bawić, i właściwie on byłby zasadniczym powodem, dla którego dziewczyna chciałaby ostro sprzeciwić się jego ojcu. Jednak strach przeważył.

Helena zdecydowała, że nie będzie zajmować się szkołą, kiedy Moana, Janet i Laura wrócą do Dunedin, a zbliżał się czas, kiedy wszyscy mieli się z nimi żegnać. Kierownictwo seminarium poparło ich projekt wciągnięcia krajowców do nowoczesnego społeczeństwa, a teraz wszystkie trzy studentki miały opowiedzieć o swoich doświadczeniach przed końcem semestru. Przed feriami zimowymi dziewczyny czekały też egzaminy, musiały więc nadrobić materiał, którym nie mogły się zająć w czasie projektu. Studentki rozumiały konieczność powrotu, żałowały jednak, że będą musiały opuścić dzieci. Razem prosiły Helenę dzień przed wyjazdem, aby ta przynajmniej zgodziła się pomagać dzieciom w odrabianiu lekcji. Helena nawet byłaby skłonna ulec

ich prośbom, ale czuła, że sama nie będzie potrafiła stawić czoła gniewnym mieszkańcom miasta Haldon. Tym bardziej że nie mogła liczyć na pomoc Koua. Wódz, podobnie jak większość pozostałych mieszkańców *marae*, tolerował wprawdzie szkołę, ale w nic się nie angażował.

– Nie wiem... A niedługo przyjdzie na świat moje dziecko... – próbowała wymówić się Helena, kiedy rozmowa zesłała na szkołę. – To wszystko jest zbyt męczące dla mnie...

Sama wiedziała, że nie był to zbyt wiarygodny argument, bo dotychczas próbowała jak najrzadziej mówić o dziecku i czekającym ją porodzie. Choć do tego czasu pozostało już tylko kilka tygodni, starała się wieść takie życie, jak dotychczas. Ciągle jeszcze jeździła konno, choć musiała wchodzić na stołek, aby znaleźć się w siodle, i choć nie mogła już zapiąć bryczesów na brzuchu. Dlatego zakładała stare, rozciągnięte w praniu swetry, które zwykle nosiła Gloria w czasie pracy. One doskonale zakrywały rozpięte spodnie, przytrzymywane jedynie kawałkiem sznurka.

– A jazda konna nie jest tak męcząca? – zgałiła ją natychmiast Laura. – Ty najwyraźniej w ogóle nie dbasz o swoje dziecko! Jeśli spadniesz...

– Nie spadnę – odparła Helena spokojnie.

Bo rzeczywiście nauczyła się w ostatnich miesiącach dobrze jeździć konno i oczywiście zawsze siedziała na bardzo spokojnym koniu.

– A Miss Gloria mi pozwoliła...

Akurat z tego Helena była niesłychanie dumna. Tego ranka poszła do koni po raz pierwszy sama, wyraźnie zachęcona przez Glorię. Dla Heleny było to coś w rodzaju pasowania na rycerza. Podziwiała matkę Jamesa i cieszyła się z jej pochwał. W dodatku Gloria była jedyną osobą, która nie chciała stale mówić z nią o dziecku. Rozmowy z matką Jamesa dotyczyły wszystkiego, co działo się na farmie, także psów i koni. Gloria była zapalonym hodowcą i mogła godzinami mówić o szczeniakach i źrebakach. Czyli w zasadzie interesowało ją każde nowe życie. Jeśli jednak Helena nie chciała mówić o swojej ciąży, Gloria akceptowała to. Pozwalała też decydować Helenie samej, na co może się odważyć, a na co nie.

– Miss Gloria prawdopodobnie sama siedziała na koniu do ostatniego dnia ciąży... – wyraziła swoje przypuszczenie Janet, która nie za bardzo była w stanie zaprzyjaźnić się z matką Jamesa. Janet była otwarta, rozmowna i bardzo dziewczęca. Szorstki, chłodny sposób bycia Glorii i jej męski styl ubierania się irytowały ją.

– ...i potem kładła Jamesa suce do skrzynki ze szczeniakami, kiedy akurat nie było nikogo, kto mógłby go popilnować – zdradziła Moana któregoś dnia jedną z legend rodziny McKenzie. Nie uśmiechała się przy tym jednak, chyba także ona nie ceniła sposobu podejścia Glorii do spraw ciąży i wychowania dzieci.

– Ale ty nie musisz tak postępować, Heleno! – dodała surowo Moana. – Wiem, nie chcesz w niczym przeciwstawiać się Miss Glorii i dobrze z nią żyć, ale nie musisz posuwać się tak daleko, aby tuż przed porodem siedzieć na koniu! Zajmij się lepiej szkołą. Pomaganie w lekcjach jest mniej męczące niż jazda konna!

Helena nie skomentowała tego. Ona sama uważała hałaśliwego Bernarda Tasiera za bardziej niebezpiecznego niż łagodna klacz Megan. Poprosiła Glorię

o najspokojniejszego i najlepiej wyszkolonego konia z jej stajni. Oczywiście dawno już nie pragnęła, aby w jakiś sposób doszło do poronienia, ale jedno się nie zmieniło: to dziecko nie było mile widziane w jej życiu. Jeśli się urodzi, będzie się o nie troszczyć, wypełniać swoje obowiązki, tak jak zawsze to robiła w życiu, oprócz tego dnia, kiedy zdradziła Lucynę. Jeśli trzeba będzie, nawet poświęci się dla tego dziecka. Ale jak długo było to możliwe, ignorowała je.

Jednak któregoś dnia, kiedy dziewczęta i Moana wyjechały z ciężkim sercem, Gloria McKenzie poruszyła temat porodu.

– Będziemy musiały rozejrzeć się za akuszerką, Heleno – oświadczyła, kiedy rodzina siedziała wieczorem przy kominku. Na Canterbury Plains panowała zima, było deszczowo i nieznośnie zimno.

Helena zaczerwieniła się. Było jej nieprzyjemnie, kiedy w obecności mężczyzn miała snuć plany związane z porodem, ale James spokojnie kartkował jakiś magazyn dla lotników, a Jack pykał w zamyśleniu ze swojej fajki.

– Radziłabym ci Ahurewę – mówiła dalej Gloria. – Do *marae* jest o wiele bliżej niż do Haldon, jeśli konieczna będzie szybka pomoc. A Ahurewa ma ogromne doświadczenie. Jej pomoc jest o wiele cenniejsza niż wezwanie Mrs Friedman.

Mrs Friedman była pielęgniarką i położną w Haldon.

– Ahurewa? O ile nie jest pijana – zwrócił uwagę Jack.

Helena także zauważyła, że Ahurewa przewaźnie miała ze sobą butelkę whiskey.

Gloria potrząsnęła głową.

– Ona nawet jak jest pijana, jest lepszą położną niż trzeźwa Mrs Friedman – oświadczyła. – Naprawdę możesz jej zaufać, Heleno.

– A gdyby miały pojawić się jakieś komplikacje, zawieziemy cię do szpitala – wtrącił się do rozmowy James.

Także on chyba trochę się obawiał.

– Ja w każdym razie będę mieć stale Pippę gotową do startu. Gdyby miało być bardzo źle, to za piętnaście minut będziesz w Christchurch!

– A tam wylądujesz od razu na Manchester Street? – zakpiła Gloria. – A może ona ma skakać ze spadochronem? Nie bój się, Heleno! Jesteś młoda i zdrowa, z pewnością wszystko pójdzie dobrze.

Helena przytaknęła apatycznie. Przez cały czas miała wrażenie, że tematem rozmowy jest jakaś inna młoda kobieta, a nie ona, Helena Grabowska, grzeczna córka katolickich rodziców z Polski, dla której nie do pomyslenia było zająć w niechcianą ciążę, w dodatku nie mając męża. Czasami w to wszystko nie wierzyła i miała wrażenie, że kiedyś obudzi się z tego koszmarne snu i znów będzie energiczna i szczupła. Teraz czuła się chwilami jak wieloryb wyrzucony na brzeg morza.

– Ach, prawda, niech któryś z was przyniesie kołyskę ze strychu...

Gloria tego wieczoru najwyraźniej była zdecydowana rozplanować wszystkie szczegóły dotyczące projektu „dziecko”. W każdym razie Helena była jej wdzięczna. Laura i Janet zwykle przy takiej okazji wręcz wydawały okrzyki zachwytu. Helena nie podzielała tego zupełnie. Rozumiała, że wszystko musi być przygotowane dla dziecka, ale nie odczuwała żadnej przyjemności przy wyszukiwaniu ubranek i szykowaniu

kołyski. Choć rzeczywiście nie potrzebowała się o nic troszczyć. Na Kiward Station znalazło się wszystko, co było potrzebne w pierwszych miesiącach życia niemowlaka. Kołyskę, którą Jack przyniósł następnego dnia do pokoju Heleny, wykonano kiedyś dla Glorii – było to przepiękne drewniane łóżeczko na biegunach, ozdobione misternymi intarsjami, z koronkową zasłonką. Helena była zdania, że jest godne księżniczki, a Jack przytaknął ze śmiechem.

– Tak też wyobrażali to sobie Kura-marotini i jej mąż William. Ojciec Glorii widział w niej księżniczkę, która kiedyś miała mieć u swych stóp cały świat. To on nadał jej to pompatyczne imię. Gloria jako dziecko trochę się go wstydziła. Ale jej dumni rodzice nie zadawali sobie trudu, aby ją przewinąć czy nakarmić... Tym zajmowała się Miss Gwyn – i ja. Zawsze kochałem Glorię! Najpierw jako małą siostrę, a potem, kiedy spotkaliśmy się po wielu latach rozłąki, jako żonę.

Później zjawiała się też Gloria z ubrankami dla dziecka. I były to ubranka jej samej, Jacka i Jamesa oraz starszej przyrodniej siostry Jacka – Fleurette. Gloria przeszukała wszystkie szafy z bielizną na Kiward Station – i znalazła je. Miss Gwyn najwyraźniej nie zadawała sobie trudu, aby cokolwiek wyrzucić, a Gloria nigdy nie miała na to czasu.

– Może to nie jest ostatni krzyk mody – stwierdziła, podnosząc w górę małą sukieneczkę – ale można w to ubrać dziecko. O ile nie chcesz uszyć czegoś nowego.

Helena potrząsnęła głową. Ubierze dziecko w to, co jest.

## ROZDZIAŁ 6

– Jak właściwie chcesz ją albo jego nazwać? – spytał Jack McKenzie i wypił łyk whisky.

Cała rodzina znów siedziała przy ogniu płonącym w kominku i, jak zwykle w ostatnich dniach, ojciec Jamesa próbował poruszyć z Heleną temat dziecka. Chyba zauważył, jak niechętnie dziewczyna o tym mówiła, i niepokoiło go to. Brak zainteresowania dzieckiem najwyraźniej przypominał mu o jego doświadczeniach z Kurą-maró-tini i jej małżonkiem Williamem – w każdym razie co jakiś czas wracał do tego, w jaki sposób ci oboje traktowali swoje dziecko. Potem pytał pozornie od niechcienia Helenę o plany, jakie ma wobec dziecka, a ona musiała znaleźć jakąś wymówkę, jeśli nie знаła odpowiedzi. Oczywiście im bliżej było terminu porodu, tym trudniej przychodziło jej coś do głowy. A zaczął się właśnie ostatni tydzień czerwca. Helena w każdym razie miała uczucie, że grubsza już być nie może. Jej brzuch wydawał jej się wręcz groteskowy, miała stale opuchnięte nogi, a kiedy szła, czasami traciła poczucie równowagi. Każdego dnia walczyła też z dokuczliwymi bólami krzyża. Nie było już możliwe ignorowanie dziecka, ale musiała też przyznać, że raczej odczuwała gniew niż radość na myśl o potomku i nie kochała go. Jeśli Kura-maró-tini czuła coś podobnego, Helena rozumiała ją doskonale. Choć Helena z pewnością nie zanieczyłaby swojego dziecka, na to była zbyt sumienna. I kiedy teraz zastanawiała się nad jakąś odpowiedzią i chciała wymamrotać, że nazwie noworodka po ojcu albo po matce, zadzwonił telefon. Gloria wstała i poszła do biura, aby odebrać. Wróciła prawie natychmiast.

– To do ciebie, Heleno. Dzwoni Miranda. I jest bardzo podekscytowana.

Helena miała ochotę się poderwać. Miranda była podekscytowana? Może dowiedziała się czegoś o Lucynie? Tak szybko, jak to tylko było możliwe, wygrzebała się z fotela, poszła za Glorią do biura i niezgrabnie chwyciła za słuchawkę. Dotychczas nie zdarzyło jej się zbyt często telefonować.

– Słucham... Lucyna Grabowska.

Pamiętała o tym, aby podać swoje oficjalne nazwisko. Możliwe, że w centrali ktoś mógł usłyszeć rozmowę. Ale Miranda najwyraźniej nie żywiła takich obaw.

– Helena, mówi Miranda! – W jej głosie rzeczywiście można było usłyszeć niepokój. – Co u ciebie i u twojego dziecka? – spytała uprzejmie, ale właściwie nie dała Helenie możliwości odpowiedzi. – Heleno, Witold Obłóński nie żyje!

Helena szukając oparcia, chwyciła ręką za kant szafki, na której stał telefon. Już samo to, że usłyszała nazwisko swego prześladowcy, spowodowało, że od razu zrobiło jej się słabo. Za chwilę dopiero dotarło do niej, co powiedziała Miranda. Witold nie żyje? Dlaczego? Przecież był tylko kilka lat starszy niż ona.

– Helena, słyszysz? – spytała Miranda. – Powiedziałam, że ten gnój Witold nie żyje. Zrozumiałaś?

Helena skinęła głową i po chwili zorientowała się, że Miranda nie mogła tego widzieć.

– Tak – powiedziała bezbarwnym głosem. – Ale... ale jak... jak to może być? On...

– Został zabity – poinformowała Miranda. – Wojenną maczugą Maorysów.

Przed oczami Heleny świat zaczął się kręcić. Nagle przypomniała jej się wycieczka do *marae* koło Palmerstonu... Ta dziewczynka Karolina, która chciała być wojowniczką. I broń, którą tej małej podarowała Akona. Jej triumfujące słowa: *Tym można kogoś zabić!*

– Karolina? – spytała.

– Skąd wiesz? – zapytała Miranda zaskoczona. – Czy już coś o tym słyszałaś? Myślałam, że gazety jeszcze o tym nie pisały, ale taka wiadomość jest oczywiście wiele warta. Trzynastoletnia dziewczynka, która zabija swojego nauczyciela. Nie w afekcie, ona to zaplanowała na zimno. Uderzyła go maczugą w tył głowy i potem, kiedy się zatoczył i upadł, zaczęła go dalej tłuc. Z największą brutalnością, tak jest napisane w policyjnym protokole.

– Pewnie miała swoje powody – powiedziała Helena i pomyślała o własnych fantazjach. O tym, jak często zabijała w myślach Witolda. Karolina zrobiła to naprawdę.

– Ona twierdzi, że ją molestował, dwa razy. A tym razem chciał więcej, niż tylko obmacywać. Więc zaplanowała, że go zabije. Dokładnie tak powiedziała. I to było głupie z jej strony. Gdyby przynajmniej twierdziła, że wpadła w szał... Ale to było umyślne i ona to przyznaje.

Helena oparła się o kredens. Tego już było za wiele. Miała pustkę w głowie, ale usiłowała z tym walczyć. Musiała pomyśleć, musiała pomóc Karolinie.

– Czy oni jej nie wierzą? – spytała cicho. – Policja... Kierownictwo szkoły... To musiała przecież być obrona konieczna...

– To bardzo trudne – wyjaśniła Miranda. – Z jednej strony z pewnością nie zakładają, że nie miała żadnych powodów, aby zabić mężczyznę, z drugiej strony żona Witolda wyprawia tu niesłychany teatr. I robi z niego świętego, mówi o nim jako o prawdziwym przyjacielu dzieci. Twierdzi, że nigdy nie dotknąłby swojej podopiecznej. A Karolina... W aktach zapisano, że w czasie deportacji gwałcono ją. Była ciężko ranna, kiedy dotarła do Persji, i leczono ją w tamtejszym szpitalu, była też w konsekwencji tego odpowiednio rozchwiana psychicznie. Teraz Miss Shermann czy też Mrs Obłowska twierdzi, że dziewczyna po prostu zwariowała. Coś, co zrobił jej Witold, musiało przypomnieć jej o tych typach w Rosji i to przelało czarę goryczy. Jeśli wszyscy zgodzą się z tą teorią, Karolina wyląduje w szpitalu dla psychicznie chorych!

– Nonsens! – powiedziała impulsywnie Helena. – To jasne, że ten typ ją obmacywał! Nie ją jedną i nie pierwszy raz...

– Właśnie! – odparła Miranda, a w jej głosie słychać było takie zadowolenie, jak gdyby Helena rozwiązała zagadkę dnia. – A ty musisz im to opowiedzieć, Heleno! Właśnie ty musisz zeznawać w sprawie Karoliny i powiedzieć, co on z tobą zrobił! I z twoją siostrą, bo mówiłaś, że wtedy też coś było, prawda?

– Ale ja... – Wszystko w Helenie sprzeciwiało się temu, aby przedstawić światu niegodziwości Witolda.

– Tak, tak, wiem, chcieliśmy tego zaniechać i zapomnieć o wszystkim – odparła Miranda z wyraźną niecierpliwością. – Ale teraz nie ma do tego żadnych podstaw. On już nie może cię wydać, Heleno. Twoja tajemnica jest bezpieczna, nikt nie będzie podważał prawdziwości twoich dokumentów. Będziesz zeznawać jako Lucyna Grabowska i opowiesz o gwałcie, a nie o wymuszeniu. Najważniejsze, żeby Karolina nie była sama

z tymi oskarżeniami. Musisz tutaj przyjechać, Helena. Natychmiast! Musisz!

– Podróż jest w tej chwili dla ciebie zbyt męcząca – zdecydowała Gloria, kiedy Helena blada jak ściana wróciła do salonu McKenziech i opowiedziała o historii Karoliny.  
– Bez wątplenia powinnaś zeznawać, ta biedna dziewczynka potrzebuje wsparcia i może je otrzymać. Ale jesteś przecież w dziewiątym miesiącu. Nie możesz teraz jechać na Wyspę Północną.

Widać było aż nadto wyraźnie, że Gloria tego żałuje i bardzo współczuje Karolinie.

– A może mogłaby zeznawać tutaj – zaproponował Jack. – Na policji albo u notariusza. Uwierzytelnione zeznanie można by wówczas przedłożyć w Pahiatua.

– To nie robi takiego wrażenia, jak osobiste stawienie się na miejscu – stwierdziła Gloria. – Tym bardziej że tam jest jego żona i robi, co może. Ludzie muszą spojrzeć Helenie w twarz, żeby jej uwierzyć, i nie tylko w twarz... – Popatrzyła na brzuch Heleny.

– Ja mogę tam polecieć i zabrać cię ze sobą – zaproponował spokojnie James. – Jeśli tylko się nie boisz...

Pamiętał doskonale, jak Helena po pierwszym locie cieszyła się, kiedy mogła wreszcie stanąć na ziemi.

– Zwariowałaś! – stwierdziła Gloria. – Te wstrząsy w samolocie... Od razu dostanie skurczów porodowych.

– Ja się nie boję – oświadczyła Helena. – Właściwie bardzo mi się to podobało. Wtedy było mi tylko niedobrze, ale tak było stale. Także w pociągu i w samochodzie... i na statku.

– Jeśli panuje względna cisza i nie ma wiatru, Pippa leci praktycznie bez wstrząsów – oświadczył James. – Lot jest o wiele bezpieczniejszy niż rejs promem. I ja lecę prosto, nie muszę wykonywać zakrętów, żeby coś ominąć. Możemy wystartować jutro rano i pojutrze bylibyśmy na miejscu. Albo nawet już jutro wieczór.

Helena zagryzła wargi. Przeraziła ją konieczność składania zeznania, a zaawansowana ciąża stanowiła zrozumiałe wytłumaczenie, aby z niego zrezygnować. Ale z drugiej strony nie mogła zostawić Karoliny samej sobie. Ta mała dziewczynka zemściła się za Helenę – i kto wie, za ile jeszcze dziewcząt przed nimi dwiema! Helena nie mogła się teraz wycofać.

Jednak James inaczej zinterpretował jej wahanie.

– Jeśli mi jednak nie ufasz... – W jego oczach widać było rozczarowanie.

Helena potrząsnęła głową.

– Polecimy – zdecydowała.

Helena nie była specjalnie zaskoczona, kiedy zastała Głorię czekającą na nią później na korytarzu przed jej pokojem.

– Dziecko, chciałabym z tobą raz jeszcze porozmawiać – powiedziała z pewnym zakłopotaniem. – Uważam, że... że to bardzo odważne z twojej strony, że mimo wszystko zdecydowałaś się lecieć do Pahiatua. Ale czy jesteś pewna, że tego chcesz?

Helena potarła czoło.

– Ja naprawdę się nie boję – oświadczyła. – James potrafi bardzo dobrze latać...

Gloria machnęła ręką lekceważąco.

– Nie o to chodzi. James rzeczywiście umie latać. A jeśli w drodze chwycą cię



skurcze, zawiezie cię do szpitala szybciej, niż my tutaj sprowadzimy akuszerkę. Widziałam już, jak ten chłopak ląduje na znaczku pocztowym! Chodzi bardziej o to zeznanie. Samolot ma tylko dwa siedzenia. Ja nie mogę ci towarzyszyć. Lilian też nie, ona jest teraz z Benem na Wyspach Cooka. Będziesz zupełnie sama... – Gloria popatrzyła dziewczynie w oczy i oznaczało to tylko jedno. Matka Jamesa dobrze wiedziała, o czym mówi. – Będziesz mówić o sprawach, o których chciałabyś zapomnieć.

Helena zagryzła wargi.

– *I nga wa o mua* – odpowiedziała cicho. – Nigdy się nie zapomina.

Gloria uśmiechnęła się.

– Masz rację. Może nawet lepiej jest o tym powiedzieć. Są lekarze... psycholodzy... którzy twierdzą, że to nawet pomaga, kiedy się o tym mówi. Ja... ja nigdy nie mogłam tego zrobić – opuściła wzrok.

– Czy pani... też przeżyła coś podobnego? – spytała Helena. Dawno już przypuszczała, że coś takiego mogło mieć miejsce, nawet jeśli Gloria ograniczała się tylko do niejasnych aluzji.

Gloria zacisnęła wargi.

– Byłam w Ameryce i chciałam wrócić do Nowej Zelandii – odpowiedziała. – I nie miałam pieniędzy. Byłam dziewiętnastoletnią dziewczyną... Wrócić do domu – to było dla mnie ważniejsze niż wszystko na świecie. Resztę dopowiedz sobie sama. Raczej umrę, niż o tym opowiem.

– Ja jestem... ja... – Helena chciała powiedzieć, że doskonale ją rozumie i wie, jak ona się czuje. Ale to nie Witolda miała przed oczami, myśląc o tym. Jego nienawidziła i czuła do niego obrzydzenie, a teraz jego dziecko zniszczyło jej przyszłość. Słowa, o których myślała, że nigdy ich nie wypowie, odnosiły się wyłącznie do Lucyny. Helena miała na myśli to, że nigdy nie będzie w stanie komukolwiek spowiadać się ze zdrady wobec swojej siostry.

– Dam sobie radę – powiedziała.

Gloria niezgrabnie podeszła bliżej. Czy matka Jamesa chciała ją objąć? Helena teraz dopiero zdała sobie sprawę, jak rzadko Gloria kogokolwiek dotykała. Także teraz cofnęła się jednak i tylko położyła jej rękę na ramieniu.

– Życzę ci szczęścia – powiedziała.

Oczywiście Helena czuła gwałtowne bicie serca, kiedy następnego ranka zajmowała za Jamesem miejsce w jego samolocie. Już samo wsiadanie z powodu jej brzucha okazało się nader trudnym przedsięwzięciem. Dziewczyna wstydziła się przed Jamesem z powodu swej niezgrabności i zdeformowanej sylwetki w szarej sukni ciężowej, która przypominała worek. Sklepy w Haldon nie były zbyt dobrze zaopatrzone, jeśli chodzi o modę dla przyszłych matek. Helena uważała, że wygląda fatalnie pod każdym względem – jej ciało było ociężałe i zniekształcone. Poprzedniego dnia umyła sobie włosy, a już dziś były szare i bez połysku.

James nic sobie z tego nie robił. Uśmiechał się do niej tak samo, jak tego dnia, kiedy w Haldon kupiła sobie bryczesy i koszulę w kratę.

– Ruszamy! Jak coś będzie się działo, to krzycz! – dawał jej wskazówki. – Dziś na pewno w kokpicie będzie głośno...

Deszcz padał już w nocy i nic nie wskazywało na to, że przestanie. Gloria miała z tego powodu obawy. James oświadczył jednak, że deszcz nie stanowi żadnego problemu, a lot może być niespokojny tylko z powodu wiatru. Ale tego dnia nie było wietrznie, wręcz przeciwnie. Deszcz bębnił tak jednostajnie o szybę kokpitu, jak gdyby chmury nad Canterbury Plains nigdy już nie miały się rozejść. Hałas był wręcz ogłuszający, było też ciemno.

– I nie martw się! – krzyknął James. – Do Wellingtonu jest tylko dwieście mil. To zaledwie dwie godziny lotu i wylądujemy na lotnisku wojskowym. Tam możemy zatankować i lecieć dalej.

– Albo pojechać do Pahiatua pociągiem – dodał surowo Jack, który także towarzyszył synowi i Helenie do hangaru. – Nie ryzykuj, James! W Pahiatua jest dom opieki dla dzieci, a nie lotnisko! Kto wie, gdzie tam będziesz mógł wylądować.

James uśmiechnął się szeroko, znów dotknął swojej czapki w geście pożegnania i wskoczył do kokpitu.

– Na razie, cześć! – pożegnał beczelnie ojca. – Pilnujcie Ainné!

A potem włączył silniki i mały samolot potoczył się na pas startowy. Helena zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, byli już w powietrzu.

James nie obiecywał za wiele. Lot był zdumiewająco spokojny, a ponieważ rzeczywiście lecieli prosto, Helenie nie było niedobrze. Nie lecieli też zbyt wysoko i trzymali się linii wybrzeża, Helena widziała więc w dole plaże i klify. Z początku widok przesłaniał deszcz, ale po godzinie pogoda poprawiła się i kiedy dotarli do Cieśniny Cooka, świeciło już słońce. Tu jednak nie było już tak spokojnie – między wyspani zawsze trochę wiało. Helena starała się być mimo wszystko dzielna.

– Twoje dziecko będzie lotnikiem! – przepowiadał James, kiedy wylądowali w Wellingtonie i przekonał się, że Helena nie sprawiała wrażenia tak uradowanej i pełnej ulgi, jak po swoim pierwszym locie nad Kiward Station. – Ja go wszystkiego nauczę, jak tylko będzie w stanie widzieć więcej niż stery!

– Może to będzie dziewczyna – powiedziała Helena i w tym momencie sama się zdziwiła. Po raz pierwszy mówiła bez skrępowania i niechęci o swoim dziecku i rzeczywiście miała przed oczami obraz małej dziewczynki, podobnej do niej samej.

– I co z tego? – spytał James. – Amelia Earhart też była dziewczyną. A Elly Beinhorn w latach trzydziestych okrążyła świat. Twoja córka też będzie w stanie to zrobić! A może nawet polecą na księżyc. Zobaczysz, za dwadzieścia lat tam dotrzemy!

Postarała się o uśmiech i próbowała nie myśleć o tym, gdzie ona i to dziecko będą za dwadzieścia lat. Czy ono w ogóle będzie miało jakieś szanse, a może nie powie mu się w ogóle, tak jak jego matce?

– Naprawdę chcesz jechać pociągiem? – dopytywał się James.

Zaprowadził Helenę do mesy oficerskiej i postarał się o kawę oraz coś do jedzenia. Ku swemu zaskoczeniu Helena po tym locie czuła głód.

Potrząsnęła dzielnie głową.

– Jeśli o mnie chodzi, to możemy lecieć – oświadczyła, choć chętnie odwlokłaby chwilę, w której miała dotrzeć do Pahiatua. Nie miała jednak ochoty na podróż pociągiem. Trasa, wiodąca przez Rimutaka Incline i pełna zakrętów, nie należała do spokojnych

i Helena wiedziała już, że w pociągu będzie trzęsło o wiele bardziej niż w czasie lotu.

Sprawa była więc rozwiązana. Kiedy jednak wychodzili z mesy, do Jamesa podszedł młody sierżant i zameldował, że ktoś na nich czeka.

– To młoda kobieta, sir – oświadczył. – I przyjechała sportowym samochodem. Mówi, że po was. Nazywa się... Chwileczkę, tak, nazywa się Miss... Miss Biller.

James i Helena wymienili spojrzenia.

– To Miranda – powiedział James. – Jednak będzie niebezpiecznie.

## ROZDZIAŁ 7

Miranda cieszyła się jak uczeń z udanej niespodzianki. Czekwała przed lotniskiem przy swoim małym samochodzie i pobiegła w stronę Jamesa i Heleny, aby ich objąć.

– O nieba, ależ jesteś gruba! – powiedziała, jak zwykle nietaktownie, kiedy już wypuściła Helenę z objęć. – Rozumiem teraz, dlaczego ciocia Gloria nie chciała pozwolić ci lecieć. Wyglądasz, jakbyś miała urodzić za trzy minuty! Choć oczywiście może to z powodu tej sukienki... Doprawdy, że też w tym Haldon tak dalece nie mają pojęcia o modzie dla kobiet w stanie odmiennym. Prawdziwy cud, że kobiety tam w ogóle jeszcze chcą mieć dzieci!

Miranda wyglądała tego dnia zniewalająco. Miała na sobie mocno wcięty, turkusowy żakiet o wywatowanych ramionach i wąską spódnicę w tym samym kolorze, która ledwie zakrywała jej kolana, oraz okrągły kapelusz na głowie. Zdaniem Mirandy był to odpowiedni strój na poważną okazję.

James przewrócił oczami, kiedy Helena jak zwykle zaczerwieniła się.

– Kobiety w Haldon chcą móc się ruszać w swoich sukniach – bronił swojej rodzinnej wsi... Czy też wsi Heleny? – Może ta suknia nie jest piękna, ale Helena mogła w niej wsiąść do samolotu. W tym twoim obcisłym etui nie byłoby to możliwe.

Miranda wykrzywiła się łobuzersko, kiedy Helena uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

– To jest zawsze dobry znak – powiedziała znacząco – kiedy mężczyzna uważa, że kobieta jest piękna w każdej sukni... A teraz wsiadajcie, zapowiedziałam, że przyjedziemy po południu. O trzeciej major Foxley i Mr Śledziński mają dla nas czas. Oczywiście Mrs Obłowska też chce być obecna, kiedy będziesz składać zeznanie, Heleno. Nie mam pojęcia, czy jej na to pozwolą, ale musisz się z tym liczyć. Ta baba potrafi być bardzo nieprzyjemna...

Miranda otworzyła drzwi od strony pasażera, a Helena z trudem wcisnęła się na siedzenie. Było prawie tak ciasno jak w samolocie, a na tylnym siedzeniu w ogóle nie zdołałaby usiąść. Dla Jamesa też to nie było proste – musiał mocno podciągnąć swoje długie nogi, aby się tam zmieścić. Jakoś sobie jednak poradził i nawet nie narzekał. Miranda usiadła za kierownicą i od razu przycisnęła pedał gazu.

– To jednak niesłychanie odważne z twojej strony, że poleciałaś – oświadczyła, biorąc kolejny zakręt na pełnym gazie. – Nie wiem, czybym się na to zdobyła.

– Co dzieje się z Karoliną? – spytała niespokojnie Helena.

Właściwie była mocno zaabsorbowana trzymaniem się za wszystkie możliwe uchwyty, ale miała nadzieję, że kiedy Miranda będzie rozmawiać, to może pojedzie wolniej.

– Biedactwo... – Miranda rzeczywiście zdjęła nogę z gazu. – Ale bądź co bądź nie jest w więzieniu, tylko ciągle jeszcze w Małej Polsce. Nikt tak naprawdę nie wie, kto za nią odpowiada. Obóz jest pod zarządem amerykańskim, a policja w Palmerstonie nie rwie się do tego, żeby aresztować małą dziewczynkę. Ale z drugiej strony wszyscy uważają Karolinę za osobę niebezpieczną...

– Dlaczego? – spytała Helena.

– Zbadało ją dwóch lekarzy – mówiła dalej Miranda. – Psycholodzy albo psychiatrzy, czy jak oni się nazywają. I niestety ich opinie są sprzeczne. Jeden jest zdania, że uderzyła w obronie własnej i z dużym prawdopodobieństwem już tego nie zrobi, o ile nikt jej nie zaatakuje. Drugi z kolei wysuwa teorię, że wystąpiło u niej jakieś zaburzenie percepcji i może dojść do nawrotu w każdej chwili. I niedobrze, że sama Karolina niewiele mówi. Ona siedzi cicho, patrzy w ścianę i ma tylko jedno wyjaśnienie: *Powiedziałam mu, że ja tego już nigdy nie zrobię*. Dla mnie nie jest to trudne do zrozumienia, ale lekarze rozmyślają nad tym całymi godzinami.

Miranda znów jechała z szaleńczą prędkością po górskich, krętych drogach, a Helenie było niedobrze.

– Nie jest też korzystne dla Karoliny to, co zeznały inne dzieci – opowiadała niestrudzenie Miranda. – Major Foxley wszczął dochodzenie, w jaki sposób Karolina weszła w posiadanie tej maczugi. Prawdopodobnie chciał obciążyć Maorysów współwiną, co oczywiście jest bzdurą. Karolina równie dobrze mogła sobie wziąć nóż z kuchni. Ale w ten sposób wynikła sprawa tej wycieczki do Ngati Rangitane, bo wówczas Karolina zachowała się dość osobliwie...

– Bo ona woli rzucać włócznią i wiosłować na kanu, niż tkać? – spytała Helena sarkastycznie i pomyślała o uwadze Jamesa na temat jej dziecka i o słynnych kobietach lotnikach. – Możliwe, że rzucała włócznią dalej niż chłopcy. I to miałyby być podstawą do wniosków o jej morderczych zamiarach?!

– Nazwała się wojowniczką i upierała się, aby pomalować jej twarz tak, jak mężczyźni – poinformowała ją Miranda. – I wtedy młody mężczyzna, który objaśniał dzieciom w *marae* rodzaje broni, podarował jej tę maczugę. I owszem, jestem pewna, że chłopcy byli trochę zazdrośni i zemścili się teraz poprzez swoje zeznania. W każdym razie Foxley wysłał ludzi do tego *marae*, aby przepytać Maorysów, ale pewna stara *tohunga* odprawiła ich z kwitkiem. Stwierdziła, że ta maczuga wykonana była dla kobiecej dłoni i jej wnuk podarował ją Karolinie, bo maczuga przemówiła do dziewczynki. Ponoć ta broń chciała jej bronić. Myślę, że gdyby Foxley miał coś do powiedzenia w Palmerstonie, Akona jako pierwsza wylądowałyby w domu wariatów.

Miranda dodała gazu, chcąc szybko pokonać wzniesienie.

– A gdzie jest Karolina teraz? – chciał wiedzieć James. W jego głosie słychać było niepokój wywołany szybką jazdą i podobnie odczuwała to Helena. Ale Miranda najwyraźniej sądziła, że było to spowodowane jedynie troską o los Karoliny.

– Musi siedzieć zamknięta w swoim pokoju – wyjaśniła. – Wykwaterowano stamtąd inne dziewczęta, bo one także trochę się jej boją. Mrs Obłońska stworzyła odpowiednio wrogą atmosferę, a gadanie chłopców, którzy byli w wiosce Maorysów, też zrobiło swoje. Ale staramy się nie zostawiać jej samej... to znaczy my, opiekunki. Jesteśmy po jej stronie. Trzeba na nią uważać, jeden z psychologów jest zdania, że ona może próbować popełnić samobójstwo. Koszmarna historia. Mam nadzieję, że władze zachowają się rozsądnie, kiedy usłyszą twoje zeznanie, Heleno.

Helena i James dziękowali wszystkim bogom i duchom, kiedy zdrowi i cali zajechali do Pahiatua. Helenie ciągle było niedobrze, ale nie czuła skurczów porodowych.

– Dzielne dziecko – zamruczała, zwracając się po raz pierwszy do swojego

nienarodzonego. – Musisz koniecznie jeszcze trochę wytrzymać. Musimy naprawić pewną krzywdę...

Dziecko kopnęło, jak gdyby chcąc odpowiedzieć. Najwyraźniej było zdrowe i dobrze się czuło. Helena odetchnęła. Zapomniała, że do tej pory nienawidziła tych kopniaków.

W Małej Polsce niewiele się zmieniło od czasu jej wyjazdu. Oczywiście domy i place zabaw nie były już tak nowe, za to dzieci były o wiele bardziej radosne i lepiej odżywione. Niektóre miały latem opuścić obóz i znaleźć się u rodzin w Wellingtonie, które chciały zaoferować im gościnę. Miały to być najpierw starsze dzieci, które chciały studiować w mieście bądź podjąć tam naukę. Jeśli chodzi o młodsze, zastanawiano się nad zezwoleniami w celu adopcji. Nie dyskutowano już na temat pierwotnego zamiaru odesłania dzieci po wojnie do ich ojczyzny. Polska była wprawdzie wolna od okupacji niemieckiej, ale za to teraz siedziała tam armia rosyjska. Całkiem możliwe, że siepacze Stalina znów deportują dzieci, kiedy się je odeśle z powrotem.

Natalia należała do tych emigrantów, którzy mieli się wyprowadzić latem. Pewne małżeństwo farmerów z Greytown oświadczyło, że jest gotowe przyjąć ją i jej rodzeństwo. Dziewczynka była więc podekscytowana, a Helenie bardzo to odpowiadało. Obawiała się, że jej przyjaciółka zrobi wiele hałasu, kiedy zobaczy ją w zaawansowanej ciąży, ale Miranda zapewne opowiedziała jej już o tym, zainteresowanie Natalii było więc w miarę niewielkie. Helena zakładała, że dziewczynka miała jej za złe, że nie wtajemniczyła jej w sprawę Witolda. Ale także pozostałe dzieci i nastolatki z Polski nie szukały z nią kontaktu, kiedy Miranda weszła z Heleną do jadalni. Wyglądało to tak, jak gdyby ze strachem odsuwały się od niej. Helena rozumiała to. Dzieciom w syberyjskich obozach mówiono, że każdy ma odpowiadać tylko za siebie. Jeśli komuś przytrafiło się nieszczęście, tak jak teraz Karolinie, każde wołało tego nie dostrzegać, niż wtrącać się.

Miranda i pozostałe nowozelandzkie opiekunki potwierdziły to wrażenie.

– Próbowaliśmy je wypytać, czy Mr Obłoński molestował też inne dziewczynki z ich klas – powiedziała jedna z nich. – Od razu przypuszczałyśmy, że Karolina nie jest jedyna i ty teraz to potwierdzasz, Lucyno. Ale wśród dzieci panuje na ten temat solidarne milczenie. Żadne nie chce otworzyć buzi...

Helena skinęła głową, czując, że cieszy ją fakt, iż nowozelandzkie pomocnice były przekonane o niewinności Karoliny. Witold wprawdzie nigdy nie próbował dobierać się do którejś z opiekunek, ale jego nieprzyjemny sposób bycia pozostawił u wielu młodych kobiet niemiłe wrażenie.

Nadeszła godzina przesłuchania i Helena z bijącym sercem podążyła za Mirandą do biura kierownictwa obozu, ciesząc się, że także James przyłączył się do obu kobiet.

– Ale nie będziemy mogły zabrać cię ze sobą – powiedziała Miranda, zerknąwszy na młodego mężczyznę. – Nawet nie wiem, czy mnie zaakceptują jako osobę towarzyszącą.

I rzeczywiście oboje musieli czekać na korytarzu, choć Mr Śledziński był nad wyraz uprzejmy, prosząc Helenę do środka. Także major popatrzył na nią przyjaźnie – tylko żona Witolda zerknęła niechętnie, nie kryjąc swej wrogości. Zezwolono jej wprawdzie być obecną na przesłuchaniu, ale nie wolno jej było zadawać pytań, musiała

też siedzieć z tyłu. Helena szybko zapomniała o jej obecności, kiedy Mr Śledziński zaczął wypytywać ją o jej personalia, a major spróbował przełamać lody, dopytując się o Billerów. Helena odpowiadała cichym głosem, opowiedziała spokojnie, co spotkało ją ze strony Witolda, wspomniała też, co zrobił jej siostrze na statku płynącym z Rosji do Persji.

– A dlaczego po prostu nie przyszła pani wtedy z tym do nas, Miss Grabowska? – spytał major, kiedy opowiedziała o swojej ciąży. – Mogła przecież pani nam zaufać.

Helena zaczerwieniła się i opuściła wzrok.

– Tu przecież nic mi nie zrobił – powiedziała. – I nie mogłam niczego udowodnić... – Jej głos stał się jeszcze bardziej cichy, kiedy opowiedziała o rozmowie z Witoldem. – Powiedział, że zamierza się ożenić z Miss Sherman, bo chciał otrzymać nowozelandzki paszport. I dodał, że jak o tym zamelduję, to wszystkiemu zaprzeczy. I on... – Zagryzła wargi i nagle ogarnęło ją przerażenie. A co, jeśli Witold opowiedział swojej żonie o jej historii? Po chwili nieco chaotycznie mimo wszystko mówiła dalej. – Powiedział, że jak o tym powiem, to się zemści. „Powiem, że sfałszowałaś swoje papiery” – tak mówił, „I że nie masz prawa tu być”. Chciał powiedzieć, że byłam już w ciąży, kiedy wsiedliśmy na ten statek. Że ja się przekradłam. Groził, że opowie, iż zna mnie od dawna. I to była prawda, byliśmy na Syberii w tym samym obozie. Powiedział, że po prostu zamelduje, że wtedy... też byłam łatwą dziewczyną. Bałam się – zakończyła.

Major skinął głową i zwrócił się do sekretarki, która protokołowała rozmowę.

– Proszę to zapisać, Miss Nola, a pani, Miss Grabowska, proszę zostać jeszcze chwilę i podpisać zeznanie. Dziękuję pani, bardzo nam pani pomogła.

Helena chciała wstać i wyjść, ale Mrs Obłowska natychmiast zarzuciła majora i Mr Śledzińskiego licznymi uwagami na temat jej zeznania. Helena próbowała nie słuchać. Cieszyła się, że miała wszystko za sobą. Oddychając z ulgą, otworzyła drzwi.

I wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Na korytarzu stała bardzo podniecona Miranda, która niemal nie mogła się doczekać końca przesłuchania. Jej ręki uczepiona była może dwunastoletnia dziewczynka o jasnych włosach, na widok której Helena natychmiast przypomniała sobie o Lucynie. Dziewczyna ukryła zapłakaną buzię w połach zakietu Mirandy.

– To jest Barbara – powiedziała głośno Miranda do Heleny i obu mężczyzn, licząc na to, że major i Mr Śledziński ją usłyszą. – Chciałaby złożyć zeznanie. Barbaro, popatrz na majora Foxleya i pana Śledzińskiego.

Miranda używała polskich słów – dzieci w obozie były przyzwyczajone zwracać się do nauczycieli per pan i pani zamiast Mr i Mrs. Łagodnie pogłaskała dziewczynkę po włosach.

Barbara podniosła głowę i popatrzyła na nią.

– Ty musisz iść ze mną! – powiedziała łamanym angielskim. Miranda spojrzała na obu mężczyzn prosząco. Miała nadzieję, że wykażą trochę zrozumienia wobec zakłopotania Barbary i jej lęku. I rzeczywiście weszła razem z dziewczynką do pokoju. Helena wykorzystwała okazję i została. Jedynie James czekał na korytarzu.

– A więc, Barbaro... – major odezwał się przyjaźnie do dziecka i rzucił ostrzegawcze spojrzenie Mrs Obłowskiej, która próbowała się wtrącić. – Proszę na razie

milczeć! Jeśli dobrze zrozumiałem słowa Miss Biller, mamy tu trzecią ofiarę. Wówczas i tak nie będzie już pani mogła wybielić swojego wspaniałego małżonka. Mów, dziecko, po polsku, Mr Śledziński wszystko mi przetłumaczy. Albo Miss Grabowska...

– Tego tylko brakowało! – wrzasnęła wdowa po Witoldzie, ale Barbara zaczęła już mówić. Mr Śledziński tłumaczył symultanicznie.

– Inne dziewczyny mówią, żebym niczego nie opowiadała, a Karolina jest i tak wariatką – wyszeptała dziewczynka. – A pani Obłońska mówi, że ja sobie wszystko wmówiłam, że wiele dziewczynek sobie coś wmawia, kiedy słyszą coś takiego jak o Karolinie. Ale ja sobie nic nie wmówiłam, a moja mama... moja mama zawsze powtarzała, że mam mówić prawdę... – Po delikatnej twarzy dziewczynki znów popłynęły łzy.

– A więc powiedz ją nam teraz – zachęcił ją major. – Nie bój się!

– Ja nie umiem dobrze liczyć – Barbara pozornie zmieniła temat. – I omal nie oblałam ostatniego egzaminu. Ale pan Obłoński powiedział, że ja... że są na pewno inne rzeczy, które umiem lepiej. I że jak mu je pokażę, to on wtedy ten stopień... dopasuje. – Dziewczynka zadrżała. – I ja go pocałowałam – wyznała. – I... i dotykałam, tam na dole. Ja nie patrzyłam, on trzymał moją rękę...

– Wystarczy! – major Foxley podniósł się. – To wstrętne. Barbaro, dziękuję ci bardzo, usłyszeliśmy wystarczająco dużo. Bardzo nam pomogłaś. I to bardzo odważne z twojej strony, że tu przyszałaś. Być odważnym to coś o wiele ważniejszego, niż umieć dobrze liczyć. Wszyscy jesteście bardzo dumni z ciebie. Możesz iść do swojego pokoju, Miss Biller z pewnością będzie ci towarzyszyć. A pani, Mrs Obłońska, jest zwolniona z pracy w trybie natychmiastowym. To bardzo szlachetnie z pani strony, że chce pani uczcić pamięć swojego męża, ale nie można tego robić, manipulując dziećmi i uniemożliwiając ustalenie prawdy! Wydział Oświaty znajdzie jakieś inne zatrudnienie dla pani. Ale dzieci w tym obozie nie będzie pani już uczyć.

Żona Witolda najwyraźniej chciała coś powiedzieć, jednak milczała. Major Foxley czekał, aż kobieta opuści biuro, czekały także Miranda i Barbara, chcąc uniknąć spotkania z nią. Przed drzwiami stał James, a nauczycielka wychodząc, nie zamknęła ich za sobą.

– Co teraz zrobimy z Karoliną? – major Foxley nie skierował tego pytania do którejś z obecnych osób, może po prostu rozmyślał głośno. – Bo po tym wszystkim, co usłyszeliśmy, możemy chyba założyć, że dziewczynka działała w obronie koniecznej. Czy będzie to po pańskiej myśli, Mr Śledziński, kiedy kierownictwo obozu odstąpi od dalszego dochodzenia?

Mr Śledziński skinął głową.

– Ale nie możemy jej tu zatrzymać po tym, co się stało i co teraz wszyscy o niej wiedzą – odpowiedział w swoim twardym angielskim. – Możemy ją jednak wysłać z powrotem do Polski – dodał, westchnąwszy.

Ale wówczas jego rozważania przerwała niespodziewanie Miranda. Jak zwykle pewna siebie zabrała głos, o nic nie pytając.

– Jeśli mogę coś zaproponować... To jest propozycja mojej ciotki Glorii McKenzie, którą złożyła dziś rano w rozmowie telefonicznej. Gloria mówi, że chce wziąć tę dziewczynkę do siebie, a później może nawet adoptować, jeśli pojawi się taka



możliwość. Powiedziała, że jeśli Karolina będzie wypuszczona, to ja mam ją przywieźć na Kiward Station na Wyspie Południowej. Mogłabym wyruszyć z nią jutro.

Helena poczuła się tak, jak gdyby ktoś obuchem uderzył ją w głowę. Gloria chciała adoptować Karolinę? Małą dziewczynkę, której nie widziała nigdy w życiu? To mogło oznaczać tylko jedno: miała z nią więcej wspólnego niż z jakimkolwiek człowiekiem na tym świecie. Helenę natomiast widziała jedynie jako gościa, który zawitał do nich na jakiś czas.

Serce Heleny biło gwałtownie, ale dziewczyna próbowała oddychać spokojnie. Oczywiście, niedługo na Kiward Station będzie jedno miejsce wolne. Nikt przecież nie wątpił w to, że ona opuści farmę po urodzeniu dziecka. Była też mowa o *high school* i o studiach. Nadszedł więc czas, aby zmierzyć się z rzeczywistością. Helena będzie musiała poszukać sobie pracy, aby utrzymać dziecko i siebie, a na Kiward Station zamieszka Karolina – w tych jasnych, przytulnych pokojach babki Gwyn, chronionych przez nią samą z portretu i tak kochanych przez Glorię. *Inga wa o mua* – przeszłość Glorii wyznaczała przyszłość Karoliny. Przy czym Karolina zasłużyła sobie na tę szansę. Była odważna, broniła się. Nie zdradziła swojej siostry. Helena zachwiała się.

– Hel... ehm... Lucyno, dobrze się czujesz? – W głosie Jamesa słychać było prawdziwą troskę. Mężczyzna objął dziewczynę ramieniem. Helena poczuła pokusę, aby się oprzeć i choć przez chwilę trwać w iluzji, że jest bezpieczna.

– Ale to my ponosimy za to dziecko pewną odpowiedzialność – zauważył Mr Śledziński. Swego czasu chyba nie popierał w całości kwestii przyjęcia Heleny na Kiward Station. – Bo ci psychologowie... są zdania, że ta dziewczynka będzie potrzebować opieki. Specjalnej opieki, bo ma zaburzenia psychiczno-emocjonalne...

Major machnął ręką.

– Ach, Mr Śledziński, tutaj wszyscy mają takie zaburzenia. Wszystkie te dzieci przeżyły coś strasznego. W Europie była wojna, jeśli wolno mi przypomnieć. A to zawsze pozostawia jakiś ślad u każdego. Ta psychologiczna opieka może zaś doprowadzić do tego, że dziewczynka się naprawdę rozchoruje. Zwłaszcza że w Polsce... Jak miałyby to wyglądać? Przecież tam jest wszystko zniszczone i panuje całkowity chaos... Kto miałby ją przyjąć? Gdyby ta dziewczynka znalazła się teraz wśród normalnych ludzi... Ludzi, którzy mieliby wobec niej dobre zamiary...

– Moana może się o nią zatroszczyć! – oświadczyła Miranda, której nigdy nie brakowało argumentów. – Moana będzie nauczycielką. Jeśli więc Karolina potrzebuje opieki pedagogicznej...

– Czy Moana jest członkiem rodziny? – spytał Mr Śledziński surowo.

– Nie bezpośrednio – odpowiedziała Miranda, a na jej twarzy pojawił się szelmowski uśmiech. – W każdym razie zawsze sądziliśmy, że James... ehm... się z nią ożeni...

– Mirando! – oburzył się James.

Helena drgnęła i strząsnęła obejmujące ją ramię Jamesa.

– To brzmi interesująco! – major Foxley próbował ratować sytuację, uśmiechając się do wszystkich. – Zmiana miejsca zamieszkania dobrze zrobi Karolinie, na Wyspie Południowej nikt jej nie zna, a jeśli jeszcze opieka pedagogiczna będzie zapewniona...

Niczego lepszego dla niej nie znajdziemy, Mr Śledziński. Jediną alternatywą jest zakład psychiatryczny w Wellingtonie...

– Nie! – odezwała się Helena, starając się mówić pewnie i zdecydowanie. – Tego... tego nie można jej zrobić. Byłam z Karoliną w maoryskiej wiosce. Ona nie jest szalona. To cudowna dziewczynka. Ona... będzie miała piękne i dobre życie... Gloria i Jack McKenzie zatroszczą się o nią, także James i... jego żona...

Kiedy wszyscy wychodzili z pokoju, Helena starała się iść spokojnie i nie okazywać swojego zdenerwowania, bólu i rozczarowania. Była tak bardzo zajęta sobą, że nie zauważyła oburzenia Jamesa. Bo kiedy tylko drzwi zamknęły się za majorem Foxleyem i Mr Śledzińskim, młody mężczyzna natychmiast rzucił się w kierunku swojej kuzynki.

– Mirando, jak mogłaś! Co za bzdury opowiadasz o mnie i Moanie, ja...

Miranda uśmiechnęła się szeroko.

– Ależ uspokój się, James, musiałam przecież coś powiedzieć. I przecież nie skłamałam. Doskonale pamiętam, jak bawiliśmy się w ślub, kiedy byliśmy mali.

– Miranda! – James zacisnął pięści.

– Teraz muszę odprowadzić Barbarę – mówiła dalej Miranda, jak gdyby nigdy nic.

– A potem zobaczyc, co u Karoliny. Może moglibyście pojechać pociągiem do Wellingtonu? Bo... Bo jutro jadę przecież z tą małą na Wyspę Południową. – Z uśmiechem pomachała Jamesowi i Helenie ręką. – Do zobaczenia na Kiward Station!

– Heleno... – zwrócił się bezradnie James do Heleny. – Helena, ja...

Dziewczyna zmusiła się do uśmiechu.

– Jest... jest OK, James. Jeśli o mnie chodzi, to... możemy jechać pociągiem.

## ROZDZIAŁ 8

James i Helena nie musieli jednak wracać do Wellingtonu pociągiem – znalazła się możliwość podwózki wojskowym samochodem ciężarowym. James w czasie jazdy rozmawiał z kierowcą na temat przebiegu wojny i następstw niemieckiej kapitulacji, która wreszcie miała miejsce, a Helena pogrążyła się w swoich myślach. Samochód ciężarowy nie miał tak dobrych resorów jak sportowe auto Mirandy, ale za to młody żołnierz jechał bardzo ostrożnie. Mimo wszystko Helena była kompletnie wyczerpana, kiedy wreszcie dotarli do Wellingtonu.

– Weźmiemy pokój w hotelu – zaproponował James, kiedy dostrzegł jej bladość. – Powinnaś trochę wypocząć. Później możemy pójść coś zjeść. Znam kilka dobrych restauracji w Wellingtonie. I... po prostu spędzimy tu piękny wieczór...

Jeszcze dzisiejszego ranka Helena być może powiedziałaaby „tak” i uznała taką propozycję za bardzo kuszącą, teraz jednak usłyszała w głosie Jamesa wahanie. Mężczyzna sprawiał wrażenie nieco przestraszonego. Oczywiście, obawiał się, że przyjmie to zaproszenie i będzie musiał pojawić się z grubą, brzydko ubraną dziewczyną w eleganckiej restauracji, gdzie być może go znano.

Helena potrząsnęła głową.

– Jeśli można latać, mimo że jest ciemno, to wołałabym lecieć z powrotem – wymamrotała.

James roześmiał się, bo dzięki temu pytaniu był od razu w swoim żywiole.

– Oczywiście, że nocą można latać! Przypomnij sobie święto Matariki. A jak myślisz, kiedy w Europie odbywały się naloty? W biały dzień, kiedy samoloty były widoczne z daleka? Nie, nie, to żaden problem. Za dwie godziny będziemy w domu.

Rzeczywiście wszystko poszło dobrze, ale Helena odetchnęła dopiero wtedy, kiedy Pippa wreszcie zatrzymała się na pasie startowym w Kiward Station. Bolał ją krzyż i pragnęła za wszelką cenę położyć się z wysoko uniesionymi stopami. Wprawdzie nie czuła jeszcze skurczów, ale bardzo bolała ją głowa. Była słaba, ale nie pozwoliła, aby James ją podparł.

– Jestem w ciąży, ale nie chora – odtrąciła go o wiele bardziej opryskliwie, niż zamierzała, i od razu zawstydzila się, widząc, jak bardzo go uraziła.

– Heleno, to, co mówiła Miranda... – James właśnie zabrał się za wyjaśnianie, ale w tej samej chwili oboje zobaczyli światła nadjeżdżającego samochodu. Był to pick-up Glorii. Helena odetchnęła. Nie będzie więc musiała ani mówić, ani też iść w stronę domu. Gloria zatrzymała się tuż przed nimi i wyskoczyła z samochodu.

– Dobry Boże, to jednak prawda! – wykrzyknęła zdenerwowana. – Jackowi wydawało się, że słyszy samolot, kiedy po raz ostatni obchodził stajnie. Więc na wszelki wypadek przyjechałam. James, czy ciebie opuściły już wszystkie dobre duchy, żeby latać po nocy?! W jeden dzień tam i z powrotem, i to z kobietą w zaawansowanej ciąży? Już nie mówiąc o podróży samochodem z Mirandą przez góry... Heleno, jak się czujesz? Musisz być kompletnie wyczerpana. – Gloria pomogła Helenie wsiąść do samochodu, a James patrzył na to z wyraźnym przygnębieniem.

– Ale przynajmniej wszystko dobrze poszło – mówiła dalej Gloria, okrywając

Helenę kocem. – Masz, zawiń się w to, dziecko, jest przecież lodowato zimno.

– Wiesz już o wszystkim? – spytał James.

Gloria przewróciła oczami.

– Oczywiście, że wiem. Miranda zadzwoniła od razu. Jak tylko przekazała dobre nowiny Karolinie, zaraz pognęła do najbliższego automatu telefonicznego. Znasz przecież Billerów. Jeśli kiedyś ktoś wymyśli telefon, który będzie można nosić ze sobą, to Miranda i Lilian kupią go jako pierwsze.

James roześmiał się na myśl o tym.

– Ona rzeczywiście już jutro rano rusza w drogę z Karoliną? – spytał.

Gloria przytaknęła.

– Ktoś z Urzędu do spraw Młodzieży przyjdzie jeszcze do nas, żeby się rozejrzeć w domu, ale tak, ta mała będzie mogła u nas mieszkać. Właściwie nie można było spodziewać się czegoś innego. Oni cieszą się, że się jej pozbędą.

– Mam nadzieję, że Karolina zna chociaż trochę angielski – stwierdził James z powątpiewaniem. – Barbara, to drugie biedactwo, mówiła ledwo co...

Gloria popatrzyła na niego w dziwnym, nagłym zamyśleniu.

– Nie sądzę, że ona będzie dużo mówić... – powiedziała po chwili.

I te słowa okazały się prawdą. Jack, który miał coś do załatwienia w Christchurch i odebrał je z pociągu, dowiedział się od Mirandy, że Karolina w czasie podróży nie odezwała się ani słowem. Także na widok wspaniałego budynku farmy nie powiedziała nic. Najwyraźniej ani jej to nie onieśmieliło, ani też nie zrobiło na niej żadnego wrażenia. Helena podeszła od razu, kiedy tylko Miranda wprowadziła Karolinę do domu.

– Może spróbujesz mówić do niej po polsku – zaproponowała Miranda. – Bo może ona po prostu niczego nie rozumie.

Helena w to wątpiła. W maoryskiej wiosce koło Palmerstonu Karolina potrafiła się całkiem ładnie wypowiadać po angielsku, lepiej nawet, niż większość pozostałych dziewcząt i chłopców. Jednak uśmiechnęła się do dziewczynki i przywitała ją w jej ojczystym języku. Karolina nie odpowiedziała. Sprawiała wrażenie jeszcze bardziej kruchej i delikatnej niż wtedy u Ngati Rangitane – jednak Helena pamiętała, że choć wtedy też wyglądała na zabiedzoną i niedożywną, mimo to była pełna radości i życia. Teraz określenie „wąta” pasowało do niej najlepiej. Jej śliczna buzia w kształcie serduszka miała smutny, nieobecny wyraz, a długie, czarne loki, choć wyszczotkowane, wisiały żałośnie, zamiast tańczyć wokół twarzy Karoliny, jak wtedy, kiedy odkrywała w sobie wojowniczkę.

– Gdzie jest ciocia Gloria? – spytała Miranda.

– Tutaj! – Gloria właśnie zbiegała po schodach. Miała na sobie strój, który zwykle zakładała do pracy w stajni: bryczesy, buty do jazdy konnej i koszulę w kratkę. – Musiałam coś zrobić w pokoju Karoliny – mrugnęła, jak gdyby była to jakaś tajemnica, ale za chwilę spoważniała. Kiedy zobaczyła Karolinę, na jej twarzy pojawił się wyraz współczucia i bólu.

– Chodź, mała siostrzyczko – powiedziała cicho do dziewczynki, kiedy już przywitała się z Mirandą, i objęła troskliwie chude ramiona dziewczynki. – Jestem Gloria i pokażę ci, gdzie będziesz mieszkać. Na pewno będziesz chciała teraz odpocząć.

Helena przetłumaczyła jej słowa, choć nie uważała tego za konieczne. Patrząc w oczy Karoliny, dostrzegła, że ona rozumiała. Dziewczynka patrzyła na Glorię z pewnym lękiem, ale i wdzięcznością. Wypocząć brzmiało trochę jak być samemu, a po dwóch dniach podróży z ciągle gadającą Mirandą dziewczynka z pewnością za tym tęskniła. Tak przynajmniej przypuszczała Helena.

Gloria ruszyła pierwsza, a Helena i Karolina poszły za nią, podczas gdy Miranda witała się z Jamesem, który właśnie wszedł do domu. Także on najwyraźniej natychmiast zorientował się w sytuacji i zatrzymał Mirandę, zanim ruszyła za kobietami.

Gloria przygotowała dla Karoliny jeden z dawnych pokoiów dzieciennych – prawdopodobnie swój własny. Jego umeblowanie było bardzo proste. Wszystko pasowało do Glorii, która nigdy nie miała skłonności do ozdabiania zajmowanych przez siebie pomieszczeń niepotrzebnymi przedmiotami. Na regałach stało kilka książek dla młodzieży, a na biurku leżał blok do rysowania i farby oraz ślicznie przewiązana wstążką książeczka i pióro. To, co musiała w ostatniej chwili przygotować Gloria, odnosiło się raczej do małego, trój kolorowego psa, który leżał na przyszłym łóżku Karoliny, jak gdyby było to jego własne. Był to jeden ze szczeniaków z hodowli Glorii. Miał dopiero trzy miesiące.

Oczy Karoliny rozszerzyły się, kiedy dostrzegła zwierzątko. Mały piesek ziewnął, zeskoczył z łóżka i poczłapał niezdarnie w jej kierunku.

– To jest Kiward Sunday – przedstawiła go Gloria. – Często nazywamy psy od dni tygodnia, to już taka tradycja. Najsłynniejszy pies, który się tu urodził, nazywał się Friday i należał do Jamesa McKenziego, ojca mojego męża. – Gloria uśmiechnęła się i dodała: – A on był słynnym złodziejem bydła. Zupełnie jak Robin Hood.

Karolina popatrzyła na nią ze zdumieniem, a Gloria spokojnie odwzajemniła jej spojrzenie.

– Sunday należy do ciebie – powiedziała.

Dziewczynka wydała z siebie zduszony dźwięk. Ostrożnie zbliżyła się do pieska, który nie wykazywał żadnych oznak strachu. Kiedy go pogłaskała, polizał jej rękę i przytulił się do niej.

– Pokażę ci, jak się je układa – mówiła Gloria dalej. – Choć on już coś potrafi. Jak tylko poczuje się tu jak u siebie, zaszczeka, jeśli ktoś będzie chciał do ciebie wejść. Nikt cię tu nigdy nie zaskoczy.

Na twarzy Karoliny pojawił się cień uśmiechu, a Helena poczuła dreszcz. Przypomniał jej się wyraz twarzy dziewczynki, kiedy w drodze powrotnej z maoryskiej wsi pokazywała jej wojenną maczugę.

I w tym momencie Karolina wypowiedziała pierwsze słowa na Kiward Station.

– Czy on... będzie mnie pilnował? – spytała zduszonym głosem. – Czy umie... gryźć?

Gloria potrząsnęła łagodnie głową.

– On będzie cię naprawdę dobrze pilnował, moja mała, ale nie będzie nikogo gryźć. Sunday będzie cię kochać.

Kiedy Helena godzinę później poszła do pokoju Karoliny z kolacją na tacy – rodzina McKenziech i Miranda zjedli na dole, ale nikt nie upierał się przy tym, aby

Karolina usiadła z nimi – drzwi do pokoju dziewczynki były lekko przymknięte. Helena mogła więc wejść, ale zastygła w bezruchu, słysząc szlochanie. Ostrożnie zajrzała przez szparę. Karolina płakała... z twarzą ukrytą w miękkiej sierści Sunday.

ŚWIATŁO

CANTERBURY PLAINS, NOWA ZELANDIA  
(WYSPA POŁUDNIOWA)  
LIPIEC 1945 – MAJ 1946

## ROZDZIAŁ 1

– Ahurewa chciałaby cię zobaczyć.

Moana przyjechała w odwiedziny na weekend, bo w O’Keefe Station miała mieć miejsce jakaś uroczystość rodzinna. Dziewczyna wykorzystała więc okazję, aby zajrzeć do McKenziech i przekazać zaproszenie maoryskiej akuszerki. Choć nie brzmiało to tak, jak gdyby stara *tohunga* pozostawiała ciężarnej jakiś wybór.

Helena była mocno zakłopotana, ale Gloria skinęła głową i odpowiedziała zamiast niej.

– Jasne. To bardzo rozsądne, że chce cię zbadać, zanim zaczniesz się poród, Heleno. Będzie chciała ci też wyjaśnić, jak to będzie przebiegać. Maoryskie metody pomocy przy porodzie są bardziej łagodne i naturalne niż u *pakeha*. Moim zdaniem są po prostu lepsze. A możesz mi wierzyć, bo miałam ciężki poród...

Helena słyszała już, że Gloria McKenzie dopiero kilka lat po ślubie z Jackiem zaszła w ciążę, a James z pewnością nie miał być jedynym dzieckiem. Może było to związane ze złymi doświadczeniami z jej młodości, o których nigdy nie chciała mówić? Helena zakładała, że Gloria miała wiele wspólnego z Karoliną. Matka Jamesa chyba w stosunku do nikogo nie okazywała tyle empatii, co wobec tej dziewczynki. Karolina zaadaptowała się dobrze już w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Wprawdzie ciągle jeszcze niewiele mówiła, ale chodziła za Głorią jak cień i starała się pomóc, gdzie tylko mogła. Najwyraźniej znała się na zwierzętach, a konie były jej szczególnie bliskie. To wszystko oraz jej znajomość angielskiego wskazywało na to, że dziewczynka pochodziła z bardzo dobrego domu, jak zakładała Helena. I zapewne pierwsze lata swojego życia spędziła w otoczeniu, które przypominało Kiward Station.

– Mogę cię od razu zawieźć do *marae*, Heleno – zaoferował swoją pomoc James. – I zabrać też ciebie, Moano. I tak muszę jechać do Haldon. W drodze powrotnej zabiorę Helenę z powrotem.

Moana przyszła pieszo z O’Keefe Station. W jej rodzinie miały się odbyć chrzciny, a babka dziecka była ulubioną siostrą wuja Moany, Wiremu, u którego Moana mieszkała w Dunedin. Dlatego też on sam przyjechał z całą rodziną, aby wziąć udział w uroczystości, i zabrał Moanę. Jednak dziewczyna musiała wracać razem z nim, aby zdać ostatnie egzaminy, choć dla większości studentów rozpoczęły się już ferie zimowe.

Helena z zazdrością patrzyła, jak ślicznie tego dnia wyglądała młoda Maoryska. Miała na sobie kolorową suknię-kimono z cienkiego materiału w kwiaty, która ściśle przylegała do jej szczupłego ciała i podkreślała jej talię. Dziewczyna wyglądała jak jedna z piękności mórza południowych Paula Gauguina. Miała jak zwykle rozpuszczone włosy – uroczystość chrzciny najwyraźniej jednoczyła tradycje maoryskie i *pakeha*. Helenie za to wydawało się, że jest z każdym dniem grubsza, o ile to w ogóle było jeszcze możliwe. Naprawdę miała już dość tej ciąży i jedyne, czego pragnęła, to to, aby dziecko urodziło się jak najszybciej. Bliskość wobec nienarodzonego, którą przez chwilę czuła w Pahiatua, znów znikła. Helena nie chciała tego dziecka i ciągle zlorzeczyła losowi. Żona Witolda z pewnością niczego nie pragnęła bardziej niż mieć dziecko z mężem, a zamiast tego Witold zrujnował życie Helenie i zrobił wszystko, co w jego mocy, aby jeszcze Karolina



cierpiała z powodu swej traumy.

– Oczywiście, pójdę – odpowiedziała Helena w nadziei, że nie będzie słycać w jej głosie, jakim wstrętem napawała ją konieczność tych odwiedzin.

Z nieszczęśliwą miną spojrzała jeszcze raz w lustro, zanim poszła za Jamesem i Moaną do samochodu. Z trudem mieściła się do workowatej sukienki, ale akuszerce i tak będzie wszystko jedno, jak wygląda.

W *marae* stwierdziła z przerażeniem, że nie było tam tak spokojnie, jak w zwykłe codzienne popołudnie. Na centralnym placu wsi stało już kilka samochodów. Niektóre były prawidłowo zaparkowane – między brudnymi, zaniedbanymi pick-upami członków szczepu Helena dostrzegła elegancki samochód marki Lincoln Continental.

– Czy to jest samochód Wiremu? – spytał James z podziwem. – Wow! Twój wujek musi dobrze zarabiać!

Moana przytaknęła.

– Tak, rzeczywiście zarabia dobrze – stwierdziła, a jej uwagę zwróciły inne samochody, które także stały na placu. Niektóre z nich miały otwarte drzwi, jak gdyby kierowcy wyskoczyli z nich pośpiesznie.

– A co tu robią te samochody z Haldon? – zdziwiła się. – Ten dodge na przykład należy do Bernarda Tasiera!

Kiedy James zatrzymał się i kobiety otworzyły drzwi, do uszu wszystkich dobiegły czyjeś głosy. Jeden z nich można było równie łatwo zidentyfikować jak dodge'a. Bernard Tasier mówił coś głośno do grupy mężczyzn *pakeha* uzbrojonych w broń myśliwską, która stała przed domem zebrana naprzeciwko równie rozwścieczonej grupy Maorysów.

– Otwierać! – rozkazał Tasier, wymachując bronią. – Oddacie mojego syna, i to szybko!

Wódz Koua odpowiedział właścicielowi sklepu z towarami żelaznymi równie gniewnym głosem:

– Twojego bachora tutaj nie ma, *pakeha*! Ile razy jeszcze mam ci to powtarzać? Szukaj gdzie indziej, bo my go nie mamy.

– Możesz gadać, ile chcesz, ty gnoju! – wrzasnął Tasier. Najwyraźniej nie był całkiem trzeźwy, podobnie zresztą jak Koua. – Nie wierzę w ani jedno twoje słowo! Chłopak zniknął, a ty nie chcesz otworzyć tego domu. Domu, w którym uczyliście dzieci. To wszystko śmierdzi aż pod niebiosa!

– Mister, niechże pan będzie rozsądny – wysoki, jak na Maorysów bardzo szczupły mężczyzna wyszedł zza wodza. W przeciwieństwie do innych, którzy przeważnie mieli na sobie dzinsy, flanelowe koszule i skórzane kurtki, ten był elegancko ubrany. Biała koszula, chusteczka w kieszeni marynarki i starannie obcięte włosy tworzyły zaskakujący kontrast z jego wytatuowaną twarzą. Taką twarz miał tylko on i Koua. Helena wiedziała o tym. Tonga, poprzedni wódz szczepu, jak opowiadał jej James, kazał wytatuować na twarzach swoich obu synów przerażające *moko*. A więc ten mężczyzna to musiał być Wiremu, wuj Moany.

– Dlaczego szczep miałby uprowadzić pańskiego syna? – zwrócił się do Tasiera, mówiąc spokojnym, rzeczowym głosem.

– Właśnie – dodał Koua. – Jeżeli mamy tu czegoś za dużo, to są to właśnie dzieci.

Ale Wiremu nie zwracał na niego uwagi.

– Mój brat, *ariki*... – wskazał na Koua – ...chętnie udowodniłby panu, że nie ukrył tam pańskiego syna. Ale nikt nie wie, gdzie są klucze do domu zebrań. Moja bratanica...

– Koniec z tym gadaniem, wyłamiemy drzwi! – wrzasnął Tasier. – Chodźcie, chłopcy. Albo od razu to spalimy...

– To wówczas spali pan swoje dziecko, gdyby rzeczywiście miało tam być – zauważył Wiremu.

Tasier uniósł broń i zrobił kilka kroków w jego stronę.

– Przestań, ty gówniany mądralo!

– Już dobrze, Mr Tasier, mam klucz. – Moana spokojnie stanęła przed wujem i rozwścieczonym biznesmenem. – Byłam na Kiward Station i przez nieuwagę zabrałam klucze ze sobą. Mój ojciec mówi prawdę, on rzeczywiście nie mógł otworzyć domu zebrań.

– Czy ten klucz jest czy nie – wtrącił się Koua, który w międzyczasie przypomniał sobie, jakie ma prawa jako wódz – ...ja nie muszę przed panem otwierać tego cholernego domu, Tasier. Ja tu reprezentuję prawo. To jest ziemia szczepu, to nasz dom. A jeśli życzy pan sobie, aby tu wejść, musi pan o to poprosić! – I mówiąc to, wódz skierował swą broń w stronę *pakeha*.

– Co tu się w ogóle dzieje? – James McKenzie pojawił się obok Moany. – Może najpierw opowie nam pan, co pana tu sprowadza, Mr Tasier. A w ogóle lepiej się rozmawia, jeśli nie wymachuje się bronią przed nosem rozmówcy. To dotyczy także ciebie, *ariki*.

W efekcie wtrącenia się do rozmowy dziedzica Kiward Station obaj rozmówcy nieco ochłonęli – i Tasier, i Koua opuścili broń.

– Marty zniknął – oświadczył Tasier, ciągle jeszcze agresywnie, ale przynajmniej nie krzycząc. – Mój syn... Mój ośmioletni syn. Zniknął dobrych kilka godzin temu, a moja żona szaleje z rozpacz. A gdzie był, kiedy zniknął po raz ostatni? Zgadujcie, do trzech razy sztuka! – Przy tych słowach Tasier wskazał na dom zebrań.

– Ale wówczas przyszedł do nas dobrowolnie, aby wraz z przyjaciółmi konstruować latawca – wyjaśniła spokojnie Moana. – A dziś nie odbywają się zajęcia. Widzi pan przecież, nie ma tu żadnych dzieci, a dom jest zamknięty.

– Ale kto mi zaręczy, że nie uwięziliście w środku Marty'ego? – Tasier popatrzył z wściekłością na wodza.

Koua wykrzywił twarz w lekceważącym grymasie.

– My, Maorysi, słyniemy z tego, że porywamy dzieci, prawda? W przeciwieństwie do *pakeha*, którzy nigdy nie uprowadzali maoryskich dzieci i nie umieszczali ich w placówkach misyjnych albo w tak zwanych szkołach, aby jak najszybciej zapomnieli o swoich szczepach i rodzinach. Chyba naprawdę nie wierzy pan w to, że chcemy z pańskiego Marty'ego zrobić małego Maorysa!

Stojący naokoło mężczyźni roześmiali się głośno. Moana jednak nie zwracała uwagi ani na ojca, ani na nich. Podeszła do swojej szkoły i otworzyła drzwi.

– Jeśli pana to uspokoi, Mr Tasier, może pan sobie obejrzeć nasz dom zebrań – powiedziała z opanowaniem. – Proszę, niech pan wejdzie i popatrzy, tam jest tylko jedno

wielkie pomieszczenie i nikt nie mógł się ukryć. I myślę, że moja rodzina nie będzie też miała nic przeciwko temu, aby obejrzał pan sobie dom mojej ciotki. Akurat mamy chrzciny. Większość dzieci z naszego *marae* właśnie siedzi tam za stołem i je. Gdyby więc Marty rzeczywiście przyszedł w odwiedziny do któregoś z przyjaciół...

– Tego dziecka tutaj nie ma, Moana. – Ten głos należał do elegancko ubranej kobiety, w której żyłach płynęła krew *pakeha* i Maorysów. Helena nigdy jej nie widziała, prawdopodobnie była to żona Wiremu. – Kiedy pojawili się tu mężczyźni ze wsi, od razu wszystko sprawdziliśmy i wypytaliśmy dzieci. Widziały Marty'ego po raz ostatni wczoraj w szkole. I chyba się z nim nie lubią bawić. Użyły też w rozmowie paru niemiłych określeń o jego ojcu, który z kolei, jak widać, ma skłonność do używania bardzo niesympatycznych słów wobec narodu Maorysów. Marty powtarza je za nim. Nie ma więc wśród naszych dzieci przyjaciół.

Bernard Tasier szykował się do ostrej odpowiedzi, ale słowa żony Wiremu przekonały chyba zgromadzonych wokół niego mężczyzn *pakeha*.

– Zostaw, Bernie, jego tutaj nie ma... – uspokajał go starszy mężczyzna. Helena dostrzegła, że był to Mr Boysen.

– Czego mieliby w końcu od niego chcieć? – ktoś inny zadał podobne pytanie jak Wiremu.

– Jak go... jak go ktoś w ogóle złapał, to na pewno będzie chciał dostać jakiś okup... – zastanawiał się trzeci z mężczyzn, najwyraźniej niezbyt trzeźwy. – Należałoby lepiej poczekać...

– Jak ktoś z was go uprowadził... to jeszcze wam pokażę, ja... – Tasier znów groził bronią Maorysom, którzy rozchodzili się powoli. *Pakeha* także pociągnęli swojego przywódcę do samochodu. Moana, James i Helena zostali sami w domu zebrań.

– Gdzie też może być to dziecko? – spytała Helena. – Rzeczywiście mógł je ktoś uprowadzić? Jak... jak wtedy dziecko Lindbergha?

Przypomniała sobie, że jej rodzice opowiadali jeszcze we Lwowie o podobnym wypadku, aby dzieci nie wychodziły same na ulicę.

James roześmiał się.

– W Haldon? Ależ skąd! Bernard Tasier w swoim sklepie z towarami żelaznymi z pewnością zarabia dobrze, ale milionerem nie jest na pewno. Marty bez wątpienia się odnajdzie. Prawdopodobnie gdzieś zabłądził.

– Jak można tutaj zabłądzić? To Canterbury Plains, James, a nie puszcza! Raczej poszedł w odwiedziny do któregoś z przyjaciół i zapomniał, która może być godzina!

– A czy sam nie mówiłeś, że w Haldon jest najwyżej dwadzieścioro do trzydziściora dzieci *pakeha* i bez Maorysów nie opłacałoby się prowadzić szkoły? – spytała Helena. – Mrs Tasier na pewno już przepytала rodziców dzieci w wieku jej syna, jeśli jej mąż był na to za głupi albo zbyt pijany. Nie. Jeśli Marty rzeczywiście zniknął kilka godzin temu, to albo coś go tak zajęło podczas zabawy, że całkiem zapomniał o upływie czasu, albo coś mu się stało. Nic wam nie przychodzi do głowy? Przecież jako dzieci też się tutaj bawiliście.

Moana i James spojrzeli na siebie.

– Sztolnie! – powiedział James.

– Kopalnia! – przytaknęła Moana. – To byłaby jakaś możliwość. Pojedźmy tam, James. Warto spróbować! – I od razu skierowała się w stronę samochodu. James i Helena ruszyli za nią i za chwilę pick-up podskakiwał na pełnej dziur drodze dojazdowej do Haldon.

– Możesz jechać trochę wolniej? – jęknęła Helena. James przestraszył się i zdjął natychmiast nogę z gazu.

– Przepraszam – powiedział. – Ale teraz naprawdę zaczynam się obawiać. Jeśli ten chłopak polazł do starej kopalni...

– A to jest możliwe? – spytała Helena. – One nie są jakoś zabezpieczone? I... Na Syberii nie było to takie łatwe. Zjeżdżało się tam w koszu... – Otrząsnęła się na samo wspomnienie o skrzypiącym wyciągu.

– Tu tak głęboko nie kopano – odparła Moana. – Wygrzebywano w ziemi tylko sztolnie – w tym przypadku na zboczu wzgórza i wchodziło do nich pieszo. Kiedy kopalnie upadły, oczywiście wejścia do nich zamknięto...

– Zrobiono to, zakładając je drewnem – uzupełnił James. – Przegniło już w czasach naszego dzieciństwa, kiedy byliśmy w wieku Marty’ego. Oczywiście włączyliśmy tam i obejrzeliliśmy sobie te kopalnie. To było bardzo ekscytujące, bawiliśmy się tam w poszukiwaczy złota i w speleologów...

– I nigdy nie zabłądziliście? – spytała Helena.

Moana potrząsnęła głową.

– Nie, to właściwie nie jest możliwe, choć Miranda zawsze upierała się, aby zabrać kłębek wełny i odwijać go za sobą, jak w greckim micie...

James zaśmiał się nerwowo.

– Tak jak Tezeusz, który szukał Minotaura w labiryncie. Miranda stale spodziewała się, że gdzieś nagle pojawi się puma...

– Ale skoro nie można się tam zgubić – drażyła dalej Helena – ...to dlaczego Marty nie wraca do domu?

Pick-up dotarł właśnie do utwardzonej drogi, dziewczyna odetchnęła więc z ulgą.

– Właśnie dlatego się martwię – odpowiedział z powagą James. – Nie tylko przy wejściach jest mnóstwo uszkodzeń, Heleno. Drewno szalunkowe, którym umacniano sufit i ściany, też jest już zmurszałe...

Stara kopalnia była oddalona od Haldon o mniej więcej dwie mile w kierunku Methven. Teren był tu bardziej górzysty, okoliczne skały świadczyły o tym, że formy krajobrazu były efektem działalności wulkanicznej. Helena straciła nadzieję, że odnajdą tu Marty’ego. Mały chłopiec właściwie nie mógł pokonać takiego odcinka w ciągu przedpołudnia. Ale szybko znalazło się wyjaśnienie, jak Marty mógł tu dotrzeć. Kiedy tylko James skręcił na polną drogę, w rozmoczonej po ostatnim deszczu ziemi dostrzegli odciski końskich kopyt. A koń, który je zostawił, silny pony, stał przywiązany do drzewa manuka zaledwie kilka metrów od wejścia do sztolni. Zarżał żałośnie na widok przybyszów. Prawdopodobnie czekał tu już od wielu godzin.

– Czy to jest pony Marty’ego? – spytał James Moanę. – Jego ojciec nic nie mówił, że chłopak wziął konia.

– Jego ojciec to nierozważny gnój, który tak usilnie chciał zwalić winę na

Maorysów, że nie przyszło mu do głowy, aby zajrzeć do stajni – stwierdziła Moana, po czym podeszła do zwierzęcia i pogłaskała je. Nigdy nie zwracała uwagi na konie i dlatego nie była pewna, czy już widziała Marty’ego jadącego na tym właśnie, ale długość cugli wskazywałyby na to, że jechało na nim dziecko. – Gdyby tak było, chyba przypisałby nam jeszcze jego kradzież.

James obejrzał wejście do sztolni. Nietrudno było rozpoznać, że tu ktoś wszedł. Było zastawione deskami, ale jedną z nich ktoś oderwał. James wyciągnął dwie kolejne, aby mogli wejść bez przeszkód.

– Zabierz latarki! – zawołał do Heleny, która z powodu brzucha powoli wysiadała z auta. – Są pod siedzeniem kierowcy. Powinna tam być też butelka z wodą i apteczka! Gdyby chłopak był ranny...

Helena poszukała wszystkich rzeczy i podeszła do wejścia do kopalni. Nie była pewna, czy powinna towarzyszyć obojgu. Jej wzrok padł na drzewo manuka, do którego przywiązany był koń. Miało dziwną, magiczną siłę przyciągania. Mijając je, pogładziła jego korę i przypomniała sobie wizytę u Ngati Rangitane. Drzewo manuka, które miało dać jej siłę i którego ducha ona tak wyraźnie czuła...

– Heleno, idziesz? – spytał James. – Czy wolisz tutaj poczekać?

Helena oderwała się od swoich myśli i podeszła do wejścia do sztolni. Nie chciała czekać sama na zewnątrz. Pod siedzeniem pick-upa rzeczywiście znalazła dwie latarki i podała je teraz Moanie i Jamesowi. Butelkę wody i apteczkę wsadziła po prostu do starego worka, w którym uprzednio znalazła latarki. Przewiesiła go sobie przez ramię, aby mieć wolne obie ręce. Grunt był nierówny, tu i ówdzie należało pokonać stopnie. Zaraz za wejściem sztolnia była jeszcze szeroka, ale potem pojawiły się przed nimi trzy ciasne szyby.

– Marty! – zawołała Moana donośnym głosem. – Marty, jesteś tam?

– Tutaj! – Z jednego z szybów dobiegł wyraźny, choć słaby głos. – Na pomoc!

– On tam jest! – ucieszyła się Moana. – Słyszemy cię, Marty!

Pochyliła się, zamierzając iść w tym kierunku, skąd dobiegał głos.

– Jasne, to głupie dziecko musiało wleźć do najbardziej ciasnego i ciemnego szybu... – James zgarbił się, aby nie uderzyć głową o sufit – ...i najbardziej zniszczonego. Pozostałe są lepiej umocnione. Idziemy, Marty! Zawołaj jeszcze raz, żebyśmy cię mogli znaleźć!

– Tutaj! – Teraz oprócz wołania słychać też było szloch.

– Wyciągniemy cię stamtąd!

Chłopak nie mógł być daleko. Helena znów przez chwilę zastanawiała się, czy ma iść za Moaną i Jamesem. Czuła lęk przed ciemnością. Przypomniały jej się szyby w syberyjskiej kopalni, o wiele bardziej ciasne. Nadzorcy często zmuszali najdrobniejszych i najchudszych więźniów, aby wczołgiwali się tam na brzuchach. Ale tu nie wyglądało to aż tak źle. Wprawdzie musieli się pochylić, ale w świetle latarek widzieli oszalowany korytarz o szerokości mniej więcej dwóch metrów i wysokości około półtora metra. Wkrótce też znaleźli Marty’ego. W tym miejscu ściana sztolni zawaliła się – złamały się dwa słupy podpierające sufit. Marty leżał pod zniszczonym szalunkiem.

– Moja noga! – jęczał. – Nie mogę wyciągnąć nogi!

Spróbował się podnieść, podpierając się na rękach i usiłując wyciągnąć tułów spod kamieni, jak gdyby chcąc udowodnić, że nie jest w stanie tego zrobić. Rzeczywiście od razu osunął się na ziemię. Marty był drobny i wątki i stanowił całkowite przeciwieństwo swego krępego i przysadzystego ojca.

– To tak boli! – jęczał.

– Ale poza tym nic ci nie jest? – spytała Moana, która razem z Heleną uklękła obok chłopca. Marty potrząsnął głową.

– Z pewnością nie jesteś ciężko ranny – uspokoiła go Moana. – Musimy cię tylko wydobyć spod tego...

– Zaraz to zrobimy! – oświadczył James i szarpnął pierwszy ze złamanych słupów, który leżał w poprzek na nodze Marty'ego. Jednak mimo wysiłków nie udało mu się go podnieść.

– Chyba muszę wrócić do samochodu po narzędzia – stwierdził po chwili. – Wytrzymasz jeszcze, Marty?

Chłopiec skinął głową. Uspokoił się już trochę i zaczął opowiadać o wypadku, kiedy James ruszył z powrotem.

– Chciałem tylko wyryć swoje imię na ścianie – wyjaśnił, wskazując na scyzoryk, który leżał obok niego. – A wtedy wszystko się zawaliło... Najpierw ściana, a potem strop... Tak szybko, że nie mogłem uciekać... Tak się bałem – pociągnął nosem.

– Nie miałeś latarki? – spytała Helena.

– Nie – wyjaśnił Marty. – To znaczy tak, lampę gazową. Chciałem, żeby było tak jak u górników, a nie, żeby to była zwykła latarka. Ale ta lampa zgasła, jak upadłem.

Moana oświetliła grunt wokół chłopca i rzeczywiście dostrzegła gazową latarnię, częściowo przysypaną gruzem. Wyciągnęła ją ostrożnie. Na szczęście nie była uszkodzona, gaz także nie uszedł.

– No to rzeczywiście było tu mroczno i ponuro – stwierdziła.

Marty przytaknął, teraz już trochę dumny ze swojego wyczynu. Helena uznała, że to odważny chłopak. Ona bałaby się śmiertelnie, gdyby została w tej ciemnej kopalni sama.

Od strony wejścia dobiegł odgłos kroków.

– Już idę! – zawołał James i nagle zaklął głośno. – Cholera! Ten przeklęty stopeń...

Helena przeraziła się – James musiał upaść. Miała nadzieję, że się nie zranił. Ale za chwilę stało się coś, co było o wiele groźniejsze niż obtarte kolano. Helena i Marty krzyknęli, kiedy w kopalni rozległ się głuchy grzmot. Słupy podpierające strop załamały się z trzaskiem, do szybu momentalnie zaczęły sypać się ziemia i kamienie. Wydawało się, że trwa to całe wieki. Helena bała się, że ziemia pogrzebie ich wszystkich. Ale wszystko ucichło zaledwie po kilku sekundach. Moana, której latarka wypadła z ręki, zaczęła obmacywać ziemię, aby ją znaleźć. Za chwilę poświeciła w kierunku, skąd miał nadejść James. Ale wyjścia nie było. Byli zasypani.

## ROZDZIAŁ 2

Helena poczuła narastającą panikę. Znała to z Syberii. Wówczas rzadko zjeżdżała do kopalni, ale wystarczyło, że kilka razy opuszczono ją w koszu w dół szybu w kompletną ciemność, gdzie musiała w kiepskim oświetleniu i przy ciągłym zagrożeniu zawalenia się sztolni wykonywać brudną i ciężką pracę.

– Umrzemy – wyszeptała w ciemnościach. – Umrzemy wszyscy.

Marty jęczał. Namacał jej rękę i uczepił się jej kurczowo. Helena ścisnęła ją mocno.

– Ależ skąd – oświadczyła Moana spokojnie.

Niemal jednocześnie usłyszeli wołania Jamesa.

– Jesteście ranne? Moana, Helena! Wszystko OK?

– Wszystko w porządku! – odkrzyknęła Moana. – Nikt nie jest ranny.

James odpowiedział coś, czego Helena nie zrozumiała. Usłyszała jednak, że zaczął odkopywać gruz. Próbował je uwolnić!

I w tym momencie wszystko znów zadrżało. Helena krzyknęła. Marty zaczął głośno płakać.

– Przestań, bo inaczej jeszcze więcej się tu zawali! – zawołała Moana. – Lepiej pojedź do wsi i sprowadź pomoc. Musicie zabezpieczyć wejście.

James mimo ostrzeżenia spróbował raz jeszcze, ale kiedy znów usłyszeli dudnienie w głębi kopalni, dał spokój.

– Wróć niebawem! – zawołał

Helena zaczęła dygotać.

– Umrzemy wszyscy – powtórzyła.

Moana podniosła latarkę i oświetliła jej bladą twarz.

– Naprawdę, umrzemy? – spytał przerażony Marty.

Moana potrząsnęła głową.

– Nie strasz chłopca – zganiła Helenę. – Oczywiście, że nie umrzemy, Marty. Wiem o tym doskonale, a więc po prostu bądź spokojny. James wkrótce będzie z powrotem.

– Czy to ci mówią duchy? – spytał poważnie Marty. – Mój *dad* twierdzi, że wy, Maorysi, nie jesteście prawdziwymi chrześcijanami i wierzycie w złe duchy!

Moana roześmiała się, najwyraźniej nieprzestraszona.

– My wierzymy tylko w dobre duchy – poprawiła chłopca. – Ale ich tutaj nie potrzebujemy. Czujemy się dobrze, mamy światło i wodę... A więc musimy kilka godzin wytrzymać, zanim James wróci z innymi mężczyznami.

Heleny to nie uspokoiło. Strach wręcz ją paraliżował.

– A jak kopalnia znów zacznie się zawalać? – wyszeptała. Było przecież całkiem możliwe, że reszta sztolni zapadnie się i pogrzebie ich pod gruzami. – Albo kiedy bateria w latarce się skończy?

Sama myśl o kilku godzinach w kompletnej ciemności wydawała jej się nie do zniesienia. I nagle poczuła ostry ból w podbrzuszu. Objęła swój brzuch.

– Moana... Ja... Zdaje się, że dziecko przyjdzie zaraz na świat...

Moana położyła łagodnie rękę na jej brzuchu.

– Ojej, jeszcze i to... – wymamrotała i ponownie oświetliła twarz Heleny.

Zobaczyła przed sobą ogromne, rozszerzone przerażeniem oczy.

– Ja umrę – powtórzyła Helena. – Wiedziałam...

– Na razie zrobimy tutaj więcej światła! – oświadczyła Moana, nie zwracając uwagi na jej słowa. – Masz zapalki, Marty? Musiałeś chyba je zabrać...

– Tak. – Chłopiec skinął głową i wygrzebał z kieszeni swych spodni pudełko.

Moana potarła jedną o ściankę pudełka i spróbowała rozpaścić lampę gazową. Za drugim razem się udało.

– No, mamy światło! – powiedziała zadowolona.

Helena klęczała skulona. Czuła teraz wilgoć wydobywającą się spomiędzy jej nóg.

– Posikałaś się – skonstatował Marty.

– Pęcherz płodowy pękł – poprawiła go Moana. – Heleno, rozluźnij się teraz. Połóż się, albo usiądź... tylko lepiej nie opieraj się o ścianę. Masz, weź ten worek, to będzie coś w rodzaju poduszki...

Troskliwie pomogła Helenie ułożyć się, aby dziewczynie było choć trochę wygodniej.

– Robiłaś to już kiedyś? – spytała Helena, czując odrobinę nadziei. – To znaczy... Pomagałaś przy porodzie?

Moana potrząsnęła głową.

– Myślę, że James będzie z powrotem, zanim naprawdę nadejdzie ta chwila – oświadczyła, choć w jej głosie nie było już poprzedniej pewności siebie. Poród, który miał niedługo nastąpić, nieco ją przerażał. – Ale... ja mam pięcioro rodzeństwa, a jestem najstarsza. U nas wszyscy urodzili się w domu. Coś niecoś więc wiem. Jeśli trzeba będzie, to poradzimy sobie, Heleno. Spróbuj się nie denerwować. Oddychaj spokojnie, pomyśl o czymś miłym...

Helena próbowała oddychać spokojnie, myśleć o Jamesie, o Kiward Station i o konnych przejażdżkach w promieniach słońca. Ale pamięć podsunęła jej przed oczy wspomnienie umierającej matki na Syberii. Wtedy w barakach też było ciemno. A Lucyna płakała tak jak teraz Marty. Helena próbowała ją wówczas uspokoić. Może teraz też uda jej się o wszystkim zapomnieć, kiedy będzie rozmawiała z dzieckiem.

– Nie płacz, Marty – wyszeptwała. – Wtedy zasmuczysz tylko twojego anioła stróża – to jej matka zawsze powtarzała Lucynie. – Wiesz przecież, że masz anioła stróża?

Marty potrząsnął głową. W Haldon nie było katolików.

– Czy to jest duch? – spytał.

Duchy zawsze bardzo interesowały chłopców. Helena zastanawiała się, czy to był efekt zajęć i majsterkowania w domu zebrań Ngai Tahu oraz toczonych przy tym rozmów, czy też może ojciec chłopca nastraszył go.

– To coś podobnego – odpowiedziała. – W każdym razie każde dziecko ma takiego anioła, a on nad nim czuwa. Jest... jest taka piosenka o aniele stróżu...

Przed oczami Heleny nagle pojawiła się pięknie udekorowana scena opery we Lwowie. Gwiazdkowe przedstawienie... Lucyna, Helena i rodzice w świątecznych ubraniach... Wystawiano *Jasia i Małgosię* Humperdincka.

Zaczęła śpiewać cicho:

*Gdy wieczorem idę spać,*



*czternastu aniołów będzie przy mnie stać.*

Moana i Marty słuchali jak urzeczeni. Helena zatonęła we wspomnieniu jak we śnie.

– Zdaje się, że Marty zasnął – powiedziała Moana, kiedy Helena skończyła śpiewać piosenkę. Dziewczyna zdusiła stęknienie, czując nadchodzący skurcz.

– Pięknie to zaśpiewałaś. Będziesz dobrą matką... – Moana pogłaskała brzuch Heleny.

Ale Helena wykrzywiła twarz w nagłym grymasie.

– Nie! – wyrzuciła z siebie gwałtownie. – Z pewnością nie! Nie chcę tego dziecka. Nienawidzę go!

Moana popatrzyła na nią z zaskoczeniem i potrząsnęła głową.

– Będiesz – powiedziała uspokajająco. – Kiedy ono się pojawi, będziesz je kochać. Tak jest ze wszystkimi kobietami. Nawet jeśli z początku tego dziecka nie chciałaś. Uwierz mi, połowa dzieci u nas we wsi to dzieci niechciane. Kobiety znajdują jakąś pracę we wsi albo na Kiward Station, jakiś *pakeha* zaprasza je na kilka drinków, one z nim idą... i dziewięć miesięcy później mamy znów małego mieszańca, który nie ma ojca. Ale jego matka zawsze go kocha, a w *marae* nikt nie patrzy na niego krzywo. Kłopoty zaczynają się dopiero później, kiedy dzieci *pakeha* nazywają go bękartem... Ale twoje dziecko będzie białe. A James z pewnością będzie dobrym ojcem.

– Skąd ci przychodzi do głowy James? – spytała Helena zaskoczona.

Moana spokojnie odwzajemniła jej spojrzenie, tylko w jej ciemnych oczach pojawił się smutek.

– To przecież jego dziecko, prawda?

Helena gwałtownie potrząsnęła głową, jednocześnie wijąc się z bólu w kolejnym skurczu.

– Nie! Oczywiście, że nie! – odpowiedziała, kiedy ból minął. – Czy... Miss Gloria nic ci nie mówiła? Ani James?

Helena była całkowicie zmieszana i zaskoczona. Przecież w interesie Jamesa było uświadomienie przyjaciółki. I dlaczego właściwie Moana nie zażądała od niego wyjaśnień wobec oczywistej niewierności?

– Miss Gloria mówi niewiele – odpowiedziała. – A James... Myślałam... myślałam... On był zdania, że nie powinno mnie to obchodzić. – W jej głosie słysząc było urazę. – Gdybym wiedziała... – nie dokończyła zdania.

– Ale przecież ja już byłam w ciąży, kiedy poznałam Jamesa.

Helena ciągle nie rozumiała, jak Moana mogła przez tyle miesięcy wierzyć w coś, co nie było prawdą, i milczeć na ten temat.

– Myślałam, że poznaliście się w Europie – odparła Moana. – Ale teraz to nieważne, James jest dobrym człowiekiem. Będzie kochał to dziecko tak samo, jak kocha ciebie.

– On mnie przecież nie kocha. – Helena z trudem zdusiła krzyk. Skurcze były coraz gwałtowniejsze, miała wrażenie, że coś rozdziera ją na pół, jednak za wszelką cenę nie chciała obudzić Marty'ego. Z pewnością lepiej będzie, jeśli tego nie zobaczy.

Moana uśmiechnęła się z przygnębieniem.

– Och, on cię kocha, Heleno. Widziałam to i czułam już w pierwszej chwili, kiedy wszedł z tobą do pokoju, a ja rozmawiałam z jego matką. Dostrzegłam natychmiast, że cię kocha. A kiedy dowiedziałam się, że jesteś w ciąży, to było dla mnie jasne, że go straciłam... O ile w ogóle kiedykolwiek należał do mnie. On chyba nigdy nie kochał mnie naprawdę – westchnęła. – Tego nie można wymusić.

Helena znów poczuła nadchodzący skurcz i wbiła paznokcie w materiał sukienki.

– Mylisz się! – powiedziała po chwili. – On nie może mnie kochać. Nikt mnie nie kocha, ja... – Zaszlochała, z bólu, wyczerpania i lęku. – Jestem złym człowiekiem.

Moana potrząsnęła głową.

– Jesteś człowiekiem, nad którym unosi się ciemna chmura. Także i to dostrzegłam. I o tym chciała dziś porozmawiać z tobą Ahurewa. Bo to nie jest dobre dla dziecka – uśmiechnęła się. – Ono wtedy być może nie będzie chciało wyjść – zastanawiała się przez chwilę. – Powinnam zaśpiewać mu kołysankę, aby wiedziało, że jest oczekiwane na tym świecie. Jak to było...

Helena miała uczucie, że to dziecko wprost wydziera się na świat, obojętnie, czy jego matka będzie się cieszyć, czy nie.

– Ty... widzisz tę chmurę? – spytała, oddychając szybko i starając się odwrócić swoją uwagę zarówno od bólu, jak i od myśli o Jamesie. Moana z pewnością się myliła. On nie mógł kochać jej, Heleny.

Ale Moana przytaknęła.

– A nie mam racji?

Helena popatrzyła na nią i skinęła głową.

– To jest tak, że to ja przyciągam ciemność. I słusznie. Ja... pokutuję za to, co zrobiłam. – Znów miała przed oczami twarz Lucyny i czuła, że do oczu napływają jej łzy.

Moana objęła ją ramieniem.

– Nie płacz – wyszeptała. – Nie strasz dziecka. – Zaczęła nucić jakąś melodię, lecz po chwili opanowała się. Helena najwyraźniej nie była jeszcze przygotowana do porodu. Jeszcze nie był czas, aby wołać dziecko.

– Czy chcesz mi opowiedzieć? – spytała łagodnie i odstawiła na bok lampę w ten sposób, że twarz Heleny znalazła się w ciemnościach. – Czy opowiesz mi, co przeżyłaś? Twoją *pepeha*?

– Co to jest *pepeha*? – spytała Helena i stęknęła głośno, czując kolejną falę skurczów.

– Twoja historia – odpowiedziała Moana. – Historia twojej przeszłości. I trochę więcej. Twoja *pepeha* mówi, co było i co będzie...

Helena roześmiała się cynicznie.

– *I nga wa o mua* – odpowiedziała. – Niedługo nie będę w stanie tego słuchać. I tak, macie rzeczywiście rację. Moja zdrada w przeszłości wyznacza moją przyszłość. A ta jest na zawsze zniszczona. Taka jest prawda i to jest słuszne... Ale ja mam już dość. Już nie mogę...

– Co takiego zrobiłaś? – spytała Moana łagodnie. – Może to nie jest coś aż tak złego.

– To coś bardzo złego – odpowiedziała Helena, teraz już szlochając. – To coś

z moją siostrą... i moją matką...

– Opowiedz mi po prostu – zachęciła ją Moana. – Nikomu tego nie powiem. Z całą pewnością. I nie będę cię osądzać.

– Sama już to robię! – wyrwało się Helenie. – A los już dawno wydał wyrok. Muszę więc wszystko przyjąć, ja...

– Nie wiem, jak jest w Polsce, ale w Nowej Zelandii ma się prawo do adwokata! – zażartowała Moana, chcąc dodać Helenie odwagi. – Opowiedz mi, Heleno. I twojemu dziecku. Nie powinnaś mieć przed nim tajemnic. To zatruje jego życie.

Helena potrząsnęła głową.

– Ono przecież jeszcze nie rozumie, o co chodzi! – obruszyła się.

– A o co chodzi? – spytała Moana surowo. – O karę? Sądzisz, że to dziecko jest karą za to, co kiedyś tam zrobiłaś twojej siostrze? Czy to nie jest niesprawiedliwe? Co to dziecko może na to poradzić? Jeśli nie mogę być twoim adwokatem, Heleno, to pozwól, abym była adwokatem twego dziecka! Ono nie zasługuje na to, czym próbujesz je obarczyć!

Helena zagryzła wargi. Moana miała rację, zamierzała skrzywdzić swoje dziecko, zdradzić je tak samo, jak kiedyś zdradziła Lucynę.

– To było w Persji – zaczęła mówić cichym głosem. – Udało nam się wyjechać z Syberii, Lucynie i mnie, nasze życie nie było już zagrożone, ale też nie było nadziei na przyszłość... – Helena mówiła z początku powoli, często urywając, ale potem coraz szybciej. W półmroku sztolni, pełna lęku przed porodem, ale i przed śmiercią, odślaniała krok po kroku swą tajemnicę. Umilkła tylko na chwilę, kiedy nadeszła kolejna faza skurczów porodowych. Opowiedziała, jak zostawiła Lucynę w potrzebie, samą, że złamała swą obietnicę, którą kiedyś złożyła matce. Opowiedziała, jak potem na statku oddawała się Witoldowi po to, aby kupić sobie jego milczenie.

– A przecież wtedy mogłam to jeszcze wyjaśnić – wyszeptała. – Gdybym po prostu powiedziała „nie”. Wówczas być może wydałby mnie. I na moim miejscu znalazłaby się Lucyna... – zaszlochała.

– Ale przecież byłaś wtedy już w Bombaju – wtrąciła Moana.

Pomyślała dokładnie o tym samym, co powiedziała Miranda przed kilkoma miesiącami. Nikt nie odesłałby Heleny z powrotem – ani też nie zorganizował specjalnego transportu dla Lucyny. Helena znów się rozszlochała.

– Kiedy potem dowiedziałam się o tym dziecku... Nie chciałam go, ciągle jeszcze go nie chcę! Próbowałam je zamordować. Gdybym mogła...

Moana przerwała jej z przerażeniem.

– Nie mów takich rzeczy! – zganiała ją. – Nie strasz swojego dziecka. Będiesz cierpiała jeszcze bardziej, kiedy ono nie będzie chciało przyjść na świat, bo przecież czuje, że go nie pragniesz.

Ale dziecko najwyraźniej nie miało żadnych obaw. Żyło i chciało koniecznie znaleźć się na tym świecie. Moana podparła Helenę, kiedy ona instynktownie się podniosła, po czym pomogła jej uklęknąć. Helena się broniła.

– Wolałabym leżeć. Tak będzie bolało jeszcze bardziej!

– To i tak będzie bolało, ale łatwiej jest urodzić, klęcząc – odparła energicznie. –

Dziecko zsuwa się na dół i siła ciężenia pomoże mu wydostać się na zewnątrz. U Ahurewy musiałabyś klęczeć między dwiema podpórkami. O jedną opierałabyś się, a drugiej byś się trzymała. Wówczas najłatwiej jest urodzić. Ale tu tego zaniechamy... Lepiej, żeby nam strop nie spadł na głowy. Czy czujesz, że musisz już przeć?

Helena potrząsnęła głową. Wyczerpana wisiała w ramionach Moany i rozkoszowała się krótką chwilą spokoju między skurczami.

– A poza tym nie sędzę, że to było coś aż tak złego, to z twoją siostrą – kontynuowała jak gdyby nigdy nic Moana. – Mówiłaś przecież, że nie przyszła na miejsce zbiórki. Po prostu nie chciała jechać do Nowej Zelandii!

– Nie widziałaś jej spojrzenia – wyszeptała Helena. – Jak... jak ona na mnie patrzyła... jak...

– Bez wątpienia była skonsternowana – stwierdziła Moana. – Dziwiła się. No i może rzeczywiście trochę się złościła. Była przecież przyzwyczajona do tego, że wszystko za nią załatwiałaś. I myślała, że to nic nie szkodzi, kiedy przyjdzie później, bo przecież wszyscy będą na nią czekać albo ty ją przyprowadzisz. I pierwszy raz tego nie zrobiłaś, co ją oczywiście zaskoczyło. Ale potem chyba była zadowolona z tego rozwiązania. Heleno, w tym obozie był przecież telefon, a poza tym mówiłaś, że jechaliście wojskową ciężarówką, a w nich często jest nawet radio. Lucyna mogła bardzo szybko zatrzymać ten konwój!

– Ale ona nie jest zdrajczynią! – odparła Helena przekornie.

– Nie widziała powodu, aby cię zdradzić – poprawiła ją Moana. – I dostała dokładnie to, co chciała: dokumenty, dzięki którym miała tyle lat, aby móc poślubić swojego przyjaciela i razem z nim opuścić obóz.

– Właśnie tego nie powinna była robić! – oburzyła się Helena. – Ona miała jechać do Nowej Zelandii i mieć lepsze życie. I tego chciała dla niej nasza matka...

Zaszlochała i zwinęła się z bólu, czując kolejną falę skurczów.

– To ja byłam za nią odpowiedzialna. Powinam była ją zmusić. Ja byłam... Ja jestem... Ja będę złą matką... – Helena krzyknęła głośno z bólu. Musiała już przeć, czy tego chciała, czy nie. I nagle poczuła coś między nogami – znów chlusnął strumień jakiegoś płynu.

– Ja umrę – jęczała, aby za chwilę poczuć gwałtowną ulgę. Dziecko nagle wysliznęło się z jej wnętrza ze zdumiewającą łatwością. Moana ostrożnie wzięła je na rękę.

– Dziewczynka! – powiedziała łagodnie. – Masz malutką dziewczynkę!

Półprzytomna, osłabiona, ale i pełna ogromnej ulgi Helena patrzyła, jak młoda Maoryska wyciera dziecko swoją halką i przecina pępowinę scyzorykiem Marty'ego. Dziecko, wyraźnie oburzone, zaczęło głośno krzyczeć.

– Nie sprawiaj jej bólu – wyszeptała Helena.

Moana uśmiechnęła się.

– Widzisz, już ją kochasz – odpowiedziała i zawinęła dziecko w halkę. Helena osunęła się na ziemię i zobaczyła tuż przed twarzą wystraszone oczy Marty'ego.

– Co się stało? Czy ciągle... ciągle jesteśmy tutaj? – spytał chłopak nieprzytomnie.

– Nie stało się nic złego – odpowiedziała Moana przyjaźnie. – Wręcz przeciwnie,

coś pięknego. Poparż, Helenie urodziło się dziecko. – Trzymała noworodka w świetle gazowej lampy, aby Marty mógł zobaczyć czerwoną i trochę pomarszczoną buzię. – To jest mała... Jak ją nazwiesz, Heleno?

Helena uniosła się.

– Może... Może Lucyna? – spytała zmęczonym głosem.

Moana zaprzeczyła zdecydowanie.

– Nie, Heleno. Tego nie możesz jej zrobić. Ona musi mieć własne imię.

– Ale przypominałaby mi o Lucynie. Jeśli ona nie żyje... – Helena pogłaskała po policzku dziecko, na które Marty cały czas patrzył z zafascynowaniem.

– Jak ten bocian się tu dostał? – spytał w końcu, ale nikt nie odpowiedział.

– Twoje żyjące dziecko ma ci przypominać o śmierci? – spytała Moana z przyganą. – To byłaby krzywda dla niego. Zwłaszcza że nie ma podstaw do tego, aby sądzić, że twoja siostra nie żyje. Jest młoda, a wojna się skończyła. Ty jej nie zdradziłaś, jedynie straciłaś ją z oczu. I tak samo byłoby, gdybyś ty została w Persji, a ona przyjechałaby do Nowej Zelandii. Może napisałaby do ciebie, bo byłaby tu sama, bez swojego przyjaciela. A za to musiałaby prawdopodobnie wycierpieć tyle samo, co ty z tym Witoldem. Bo on wymyśliłby coś, aby zmusić twoją siostrę do tego, do czego zmusił ciebie. Mówiłaś przecież, że coś już było na tym statku wiozącym was z Rosji do Persji. A nawet gdyby zostawił ją w spokoju, nikt nie wie, czy tu rzeczywiście byłaby szczęśliwa. Tak szczęśliwa jak ty...

– Ja przecież nie jestem szczęśliwa...

Helenie znów pocięły łzy po policzkach. A przecież nie chciała płakać. Chciała już trzymać w ramionach to dziecko, które właśnie urodziła. Pragnęła go teraz z całego serca. Moana miała rację. Helena już teraz kochała swoją córkę. Nie mogła traktować jej jako kary.

Moana podała jej dziecko.

– Jesteś szczęśliwa – skonstatowała, kiedy Helena zaczęła je kołysać. – To dziecko jest przyszłością, która wyrosła z twojej przeszłości. *I nga wa o mua*. Pogódź się z tym, bądź wdzięczna. To, co się stało, może było wstrętne i brzydkie, ale teraz będzie dla ciebie błogosławieństwem. James cię kocha...

– To nieprawda – wyszeptała Helena i znów poczuła nagły ból w podbrzuszu. – James zawsze należał do ciebie. I wróci. Dopiero kiedy ja odejdę...

Moana potrząsnęła głową.

– Nie odejdziesz – powiedziała zdecydowanie. – I nie byłoby to też słuszne. *I nga wa o mua* – to dotyczy mnie i także Jamesa. Ja jestem Maoryską, James jest *pakeha*. Nie przyjechaliśmy na Aotearoa na tym samym kanu. James prawdopodobnie powiedziałby, że to nie ma znaczenia i jakiś czas temu ja też tak myślałam. Pragnęłam go poślubić i mieszkać z nim na Kiward Station – może walczyłabym nawet o tę szansę, Heleno, gdybyś nie była w ciąży. Dopiero twoje dziecko, które uważałam za dziecko Jamesa, było powodem, dla którego postanowiłam tego zaniechać. I zastanowić się, czy ja rzeczywiście chciałabym wieść życie *pakeha*. Jak mój wuj Wiremu, który także zmaga się z poczuciem winy. To jego Tonga wyznaczył na swojego następcę, nie Koua, który się do tego kompletnie nie nadaje. Wiremu mimo to odszedł, a jeśli nie myśli o tym, jak Koua robi

wszystko, aby zrujnować szczerp, to wtedy jest szczęśliwy. Ale ja nie byłabym szczęśliwa. Ja chcę wskrzesić tradycje mojego ludu, nie chcę poświęcać naszej przeszłości dla dość wątpliwej przyszłości! I dzięki temu, że duchy doprowadziły do tego, iż spotkaliście się z Jamesem, widzę to tym bardziej wyraźniej. Ja będę *ariki* Ngai Tahu, Helena! Chociaż jestem kobietą. Do diabła, mogłabym zostać nawet premierem, gdybym chciała! Mogę przeciwstawić się mojemu ojcu i spróbować wygrać wybory.

– Jesteś córką wodza – uśmiechnęła się Helena przez łzy.

Moana dumnie skinęła głową.

– I jeśli trzeba będzie, powiodę swój lud na ścieżkę wojenną. Na wojnę przeciwko uprzedzeniom i ignorancji *pakeha*, przeciw obojętności i agonii Maorysów. Najpierw rozbuduję szkołę. Dzieci mojego ludu mają być dumne z tego, że są Maorysami. I nikt nie będzie im zabraniał zapraszać do siebie swoich przyjaciół *pakeha*, aby razem zaklinać duchy.

Moana mrugnęła do Marty'ego.

– Nie ma żadnych duchów – chłopak przypomniał sobie słowa swojego ojca.

Moana uśmiechnęła się szeroko.

– A kto wpuścił bociana do tej kopalni? – zażartowała.

Chłopak zmarszczył czoło.

– Może to jakaś wrona przyniosła to dziecko. Albo nietoperz.

– Czyż niczego was nie nauczono w tej szkole w Haldon? – spytała Moana z westchnieniem. – Tu, na Wyspie Południowej, nie ma nietoperzy, Marty. *Pekapeka* żyją tylko na Wyspie Północnej.

Jeszcze w trakcie jej słów usłyszeli hałas silników przed kopalnią i wkrótce także głosy.

– To mój *dad*! – cieszył się Marty. – Słyszę mojego *daddy*!

Rzeczywiście w kopalni słyhać już było dudniący głos Tasiera.

Jednak pierwszym, który zawołał kogoś po imieniu, był James.

– Helena? – W jego głosie słyhać było troskę.

Moana uśmiechnęła się do przyjaciółki.

– Widzisz, woła cię.

Helena odwzajemniła jej uśmiech.

Kilka godzin zajęło mężczyznom uprzątnięcie wejścia do sztolni. Kiedy już było wiadomo, że nie ma pośpiechu, wszyscy pracowali powoli i ostrożnie, aby nie spowodować kolejnych zawałów. Helena urodziła łożysko, a Moana powiedziała, że zakopie je potem tu, w kopalni.

– To na zawsze zwiąże duszę twojego dziecka z Aotearoa – powiedziała. – *Łono papas* będzie jej *maunga*.

Helena zmarszczyła czoło.

– Ale to przecież wcale nie jest pewne, że my tu zostaniemy! – odpowiedziała przekornie. – Gloria ma teraz Karolinę! Może powinnam wrócić do Europy i poszukać Lucyny?

Moana zmarszczyła czoło.

– Chcesz tego? Naprawdę chcesz wracać? Czyż twoja przyszłość nie jest tutaj? Nie

musisz szukać Lucyny, Heleno. Pozwól jej znaleźć ciebie! Ona wie, że wystarczy napisać do Pahiatua, aby się dowiedzieć, gdzie jesteś. Jeśli tego dotychczas nie zrobiła, to prawdopodobnie dlatego, że jest szczęśliwa ze swoim Kasprem. I może także dlatego, że obawia się, iż ty to zniszczysz. Daj jej czas, Heleno! Kiedyś przypomni sobie, że należysz do jej przeszłości i wówczas pozwoli ci na udział w swojej przyszłości.

Helena walczyła z myślami. Nie mogła teraz decydować o wszystkim. Czuła ogromne zmęczenie, ale było to przyjemne uczucie. Nie będzie już dzisiaj myślała o Lucynie, lecz o imieniu dla tej małej dziewczynki, która była jej przyszłością. I może o Jamesie, który był nią także. Pomyślała, że chciałyby zabrać ze sobą gałązkę drzewa manuka, które rosło przed wejściem. Wyrzeźbi z niego *hei-tiki* dla Jamesa, a Moana na pewno jej pomoże.

I kiedy kołysała dziecko w ramionach, w sztolni nagle rozbłysło światło. Mężczyźni kończyli właśnie poszerzać wejście do kopalni. Strumień światła dużego reflektora, dzięki któremu byli w stanie coś widzieć i pracować, padł wprost na buzię dziecka. Dziewczynka zacisnęła odruchowo oczy, ale nie płakała.

Moana uśmiechnęła się.

– Ona już ma imię – powiedziała. – Turama... Światło.

## ROZDZIAŁ 3

Dobrze było położyć małą Turamę do starannie przygotowanej kołyski, która stała teraz obok łóżka Heleny w pokojach Gwyneiry McKenzie. Gloria McKenzie towarzyszyła Helenie, kiedy James zaniósł ją na górę, ale aby być z nią przez chwilę sama, musiała użyć swojej siły perswazji. Jej syn nie odstępował Heleny ani na krok od chwili, kiedy pomógł jej opuścić sztolnię. Moana niosła dziecko i kiedy tylko Helena znalazła się w samochodzie, Maoryska podała jej natychmiast.

– I co, podoba ci się twoja córka? – spytała z uśmiechem Jamesa, kiedy ten z zachwytem wpatrywał się w czerwoną, pomarszczoną buzię.

Helenie zrobiło się nieprzyjemnie.

– On nie jest jej... – chciała poprawić, ale nie dokończyła na widok szczęśliwej twarzy Jamesa.

W drodze do Kiward Station oboje zamienili niewiele słów. Byli po prostu szczęśliwi, że są razem – Moana była na tyle taktowna, że poprosiła jednego z mężczyzn, aby zawiózł ją do *marae*.

Także Gloria i Jack niewiele mówili tego wieczoru. Wiedzieli już o udanej akcji ratunkowej – Helenie powiedziano później, że Jack był na miejscu w czasie usuwania gruzu z wejścia do sztolni i w ten sposób dowiedział się od innych mężczyzn o narodzinach dziecka. Ale ponieważ jego pomoc nie była potrzebna, wrócił na Kiward Station i poinformował o wszystkim Glorię, która natychmiast przygotowała sypialnię dla Heleny i Turamy. Czekwały tu kołyska, łóżko ze świeżą pościelą i ciepła kąpiel. Po przyjeździe położnicy i jej dziecka Karolina – jak na nią samą – wypowiedziała po raz pierwszy zaskakująco dużo słów. Dziewczynka była zafascynowana noworodkiem.

– Jak ona się nazywa? Turama? To zabawne imię, ale brzmi pięknie. Ona jest taka słodka... Ma takie maleńkie rączki... I nosek. Później będzie wyglądać tak jak ty, prawda, Heleno? Czy ona... czy ona będzie moją siostrą, kiedy... kiedy Jack i Gloria rzeczywiście mnie adoptują?

Helena w odpowiedzi popatrzyła bezradnie na Glorię.

– Nie – oświadczyła matka Jamesa, uśmiechając się. – Ale myślę, że ty będziesz jej ciocią.

Helena rozmyślała ciągle o tych słowach, kiedy po kąpieli leżała w czystej koszuli w swoim łóżku. Nakarmiła właśnie Turamę i była śmiertelnie zmęczona, ale tak szczęśliwa, jak chyba jeszcze nigdy w swoim życiu.

W ciągu następnych kilku tygodni James i Helena rozkoszowali się spokojem. Wprawdzie James odwiedzał Helenę i Turamę kilka razy dziennie i opowiadał jej, co działo się na farmie i u zwierząt, ale jeśli chodzi o swój stosunek do niej, był nadal powściągliwy. Za to uwielbiał bawić się z dzieckiem, które z każdym dniem stawało się ładniejsze. James twierdził, że już jest podobne do Heleny, a w każdym razie ma takie same porcelanowoniebieskie oczy.

– To może się zmienić – ostrzegła Gloria.

Helena powiedziała jej, że Witold miał brązowe oczy i że bardzo się obawia tego, iż kiedyś na twarzy Turamy dostrzeże jego rysy. Ale James potrząsnął z oburzeniem



głową.

– Nonsens, jej oczy będą niebieskie! – oświadczył z przekonaniem. – A może sądzisz, Heleno, że ona będzie podobna do mnie? Wtedy rzeczywiście będą ciemniejsze...

Helena śmiała się z tej uwagi, ale odetchnęła z ulgą, bo oznaczało to, że James nie obawiał się tego, iż dziecko mogło odziedziczyć po Witoldzie jego wygląd – i cechy charakteru.

Dopiero kiedy Helena mogła opuścić swój pokój położnicy i zejść do salonu, James nieśmiało poszukał jej bliskości. Objął ją troskliwie, kiedy po raz pierwszy ostrożnie schodziła po schodach, i wziął ją za rękę, kiedy poszli oboje na pierwszy spacer. I wreszcie ich ręce zaczęły odnajdywać się same, kiedy byli razem. Którejś lodowatej zimowej nocy stali pod rozświetlonym niebem i James objął dziewczynę ramieniem, kiedy patrzyli w gwiazdy.

Miesiąc po narodzinach Turamy Helena zaczęła pomagać w stajniach. Wkładała małą do koszyka i zabierała ją na dwór, a dziecko miało w osobie Karoliny bardzo gorliwą opiekunkę. Dziewczynka wprost rwała się do tego, aby pilnować Turamy, kiedy Helena wraz z Jamesem zaczęli znów udawać się na konne przejażdżki, a Helenie jego dotyk zaczął sprawiać przyjemność, kiedy niby mimochodem poprawiał jej dosiad na koniu albo kiedy pomagał jej w czasie pracy przy owcach – widziała, jak szczęśliwy był James, kiedy wówczas uśmiechała się do niego porozumiewawczo.

A potem rodzinę McKenzie na Kiward Station odwiedziła Miranda. Oczywiście od razu zachwyciła ją mała Turama, ale potem zawsze elegancka Miss Biller oświadczyła, że wszystkim dobrze zrobi jakaś mała odmiana.

– Heleno, ty jesteś już taką samą wieśniaczką jak ciocia Gloria! – zganiała przyjaciółkę. – Z pewnością tutaj to bardzo praktyczne, kiedy cały dzień chodzi się w bryczesach i flanelowej koszuli...

Helena była przeszczęśliwa, kiedy stwierdziła, że znów mogła założyć swoje rzeczy i zupełnie nie odczuwała potrzeby wkładania czegoś innego.

– ...ale pomyśl czasem o Jamesie i wuju Jacku! – mówiła dalej Miranda. – Oni muszą od czasu do czasu zobaczyć was obie w ładniejszych ubraniach, inaczej przestaną się interesować wami jako kobietami. Musimy pojechać razem na zakupy.

Gloria roześmiała się w odpowiedzi. Jack z pewnością kochał ją taką, jaka była. Dla niego nie musiała się stroić. Ale jeśli chodzi o Helenę, to słowa Mirandy padły na podatny grunt. W głębi ducha dziewczyna pragnęła wyglądać pięknie dla Jamesa. Jednak w sklepach w Haldon nie chciała przymierzać sukienek – obawiała się plotek.

– Jutro pojedziemy do Christchurch na zakupy! – oświadczyła Miranda. – Helena, Karolina, ciocia Gloria i ja. Żadnych sprzeciwów!

I rzeczywiście Gloria zgodziła się w końcu na wycieczkę – jej opory wynikały prawdopodobnie z niechęci skazania Karoliny na całodzienny potok słów i ciągłej wesołości Mirandy. Choć okazało się, że Karolina radziła sobie z tym zaskakująco dobrze, a długi spacer połączony z zakupami najwyraźniej nawet sprawił jej przyjemność. Pierwszy raz Helena dostrzegła, jak śliczna była ta drobna dziewczyna o długich, czarnych lokach. Karolina także miała niebieskie oczy i wyglądała znakomicie w ciemnoniebieskiej sukience, którą wyszukała dla niej Miranda.

– Wyglądasz naprawdę jak księżniczka! – podziwiała ją Helena i znów przyszła jej na myśl Lucyna. Jej siostra oczywiście była zupełnie inna, jednak równie piękna jak Karolina, która, podobnie jak kiedyś Lucyna, kręciła się teraz przed lustrem. Helena miała nadzieję, że Lucyna znów mogła kupować eleganckie sukienki, oraz nosić je. Ciągłe jeszcze myślała z troską i tęsknotą o siostrze, jednak lęk, że ona być może już nie żyje, ustąpił. Helena rozumiała teraz, że to siostra była przyczyną jej poczucia winy. Moana miała rzeczywiście rację – nie było żadnych podstaw, aby zakładać, że Lucynie coś się stało. Wojna w Europie już się skończyła. Bez względu na to, gdzie los rzucił Lucynę, nigdzie nie spadały bomby. I nawet jeśli Helena nie miała zbyt dobrego zdania o Kasprze, to ten młody, silny mężczyzna z pewnością był w stanie chronić jej siostrę.

Miranda kazała zapakować sukienkę dla Karoliny, po czym powędrowała do regałów z damskimi spodniami. I następną godzinę spędziła na przekonywaniu Glorii do zakupu pewnego ekstrawaganckiego modelu spodni.

– Przecież musisz czasami jeździć na zebrania związku hodowców bydła! Oczywiście, że musisz, wujek Jack opowiadał o tym i z pewnością chciałby cię zabierać ze sobą. I właśnie na takie okazje powinnaś zakładać te spodnie! Owczy baronowie padną z wrażenia, jak cię zobaczą!

– Chyba raczej z przerażenia – mruknęła Gloria. Damskie spodnie ciągle uchodziły za ten element garderoby, który zwracał powszechną uwagę. – A zwłaszcza padną kobiety... Ale dobrze, przekonałaś mnie. Rzeczywiście nie powinnam się aż tak zagrzebywać na Kiward Station. Może tego roku wszyscy razem pojedziemy do Christchurch: Jack, Karolina i ja, James i Helena z Turamą. Czas, aby „lepsze towarzystwo” z Canterbury Plains poznało kolejnego potomka rodziny...

Helena zdecydowała się w końcu na proste, ciemne spodnie z gabardyny, które z pewnością będą praktyczne, kiedy znów miałyby lecieć z Jamesem jego Pippą. A potem Miranda zaciągnęła ją do działu sukienek i nalegała, aby przyjaciółka kupiła sobie odcinaną w talii kolorową suknię o szerokiej spódnicy.

– To spodoba się Jamesowi! – twierdziła. – I może skłoni go do tego, aby z tobą gdzieś poszedł! Nie mam tu na myśli tego głupiego i nudnego zebrania związku hodowców bydła. Dlaczego nie pójdziecie na przykład do kina? Czy w Haldon nie ma ani jednego?

Rzeczywiście w Haldon nie było kina, w przeciwieństwie do Christchurch, i James z chęcią zaprosił tam Helenę. I kiedy zachwycona i dumna ze swojego zadania Karolina pilnowała Turamy, oboje obejrzeli film *Drzewko na Brooklynie*. Dla Heleny był to pierwszy film fabularny w życiu. A James wykorzystał ciemności i tkliwie objął dziewczynę ramieniem. Był szczęśliwy, kiedy przytuliła się do niego. Znacznie później wyznał jej, że odważył się to zrobić zgodnie z instrukcjami Mirandy.

– W kinie – wyjaśniła mu jego światowa kuzynka – wszyscy się całują i ściskają.

I wreszcie, kiedy James zaparkował pick-upa przed stajniami na Kiward Station i miał ruszyć z Heleną w stronę domu, oboje zatrzymali się i zaczęli się całować pod rozgwieżdżonym niebem. Ich wargi dotykały się nawzajem nieśmiało, z wahaniem. Żadne z nich się nie śpieszyło, wiedzieli, że czas na to, co miało nastąpić później, i tak kiedyś nadejdzie. Helena i James byli młodzi, wojna się skończyła – przed nimi była

przyszłość. Nie wątpili w to, że się kochają. Kiedyś na pewno się pobiorą i któregoś dnia mała Turama z pewnością będzie miała rodzeństwo...

## EPILOG

– I ile z tego, co wiemy, opowiemy naszej Helenie?

Jack McKenzie bawił się dużą, brązową kopertą. Nadawcą listu była znana na całym świecie agencja detektywistyczna. To do niej wkrótce po narodzinach Turamy i po poufnej rozmowie z Moaną zwrócili się Jack i Gloria, zlecając ustalenie miejsca pobytu Lucyny alias Heleny Grabowskiej. Oczywiście młoda Maoryska nie zdradziła wszystkich szczegółów, ale wspomniała, że Helena nie zazna spokoju, dopóki los jej siostry nie będzie jej znany. Oboje McKenzie nie zawahali się zwrócić do prywatnej agencji. Ich cierpliwość jednak została wystawiona na próbę. Dopiero teraz, prawie po roku poszukiwań, detektywom udało się wytropić Lucynę i Kaspra w Warszawie. Agencja zebrała też wiele danych na ich temat, obserwując oboje i wypytując każde z nich w trakcie niezobowiązujących okazji towarzyskich. W efekcie Gloria i Jack otrzymali obszerne dossier, które właśnie z uwagą studiowali. Zamknęli się w tym celu w swojej sypialni, aby nikt im nie przeszkadzał, i rozłożyli wszystkie papiery na łóżku.

– No tak, ja bym się ograniczyła do tego, co najistotniejsze – powiedziała w zamyśleniu Gloria. – Że Lucyna i Kasper różnymi drogami przedostali się do Polski...

– Nie wspomnimy jednak, że mogli zostać w kilku krajach, które nie były zajęte przez armię rosyjską – stwierdził Jack.

– Nie powiemy też, że wybrali Polskę nie dlatego, że powodowały nimi uczucia patriotyczne, lecz po prostu żadne z nich nie chciało nauczyć się języka obcego... – dodała Gloria. Wsunęła protokoły z rozmów, w których to właśnie wyczytała, na sam spód góry papierów. – Możemy jednak poinformować Helenę, że Kasper prowadzi w Warszawie warsztat samochodowy i znakomicie dogaduje się z komunistycznymi władzami...

– ...być może dlatego, że wielkodusznie przymyka oko na to, iż jego przyjaciółka spotyka się nocami z oficerami Armii Czerwonej w nie do końca legalnych klubach... – dokończył Jack. – A może o tym nie mówić?

– Oczywiście, że nie! – odparła Gloria. – Powiemy Helenie jedynie to, że Lucyna i Kasper dotychczas się nie pobrali. To ją na pewno ucieszy.

Jack skinął głową.

– I po prostu damy Helenie adres Lucyny. Jeśli będzie chciała, może nawiązać z nią kontakt, a owa młoda dama w Polsce będzie mogła sama zdecydować, czy pozwolić siostrze wziąć udział w jej życiu, a jeśli tak, to na ile – uśmiechnął się.

– Mam nadzieję, że ona rzeczywiście odpisze. Bo jeśli nie, to złamie Helenie serce – zmartwiła się Gloria.

– Napisze, napisze, Glory, nie obawiaj się! – uspokoił Jack żonę. – Jak tylko się dowie, że Helena jest właściwie zaręczona z dziedzicem jednej z największych owczych farm w Nowej Zelandii. Dzięki temu Lucyna będzie miała coś na kształt alternatywy, gdyby coś z rosyjskimi oficerami miało nie pójść dobrze.

Gloria zmarszczyła czoło. Wszelkie intrygi były jej obce.

– Sądysz, że jest aż tak wyrachowana? – spytała.

Jack roześmiał się cicho.

– Można by to określić jako życiową zaradność. W każdym razie z pewnością nie trzeba martwić się o tę młodą kobietę. Raczej obawiałbym się o Helenę i Jamesa, gdyby ona niespodziewanie tutaj się zjawiła. Teraz schowaj to wszystko oprócz kartki z adresem Lucyny. I zanim odlecą, będziemy mogli oznajmić jej dobrą wiadomość. Gdzie ona w ogóle teraz jest? Jeszcze u Turamy?

Helena znów miała łzy w oczach, choć starała się żartować, śmiać i śpiewać córce na pożegnanie. Turama rzeczywiście w czasie pierwszego roku swojego życia stała się miniaturową swoją matką. Jej oczy były niebieskie, włosy w kolorze miodowego blondu, podobnie jak Lucyny, a ich charakterystyczna nasada w kształcie serca także przypominała Helenie o jej pięknej siostrze. Helena miała nadzieję, że córka później stanie się jeszcze bardziej podobna do niej.

– Nie sądziłam, że tak ciężko przyjdzie mi rozstać się z nią – powiedziała przez łzy do czekającego na nią Jamesa.

James objął ją ramieniem.

– Nie podchodź do tego aż tak dramatycznie, Heleno. Będą was dzielić tylko dwie godziny lotu. A na wszystkich uniwersytetach co chwilę są jakieś ferie, nie mówiąc o długich weekendach, które też można wykorzystać na odwiedziny. Może tak zorganizujesz sobie wszystkie kursy, że w piątki nie będziesz musiała chodzić na uniwersytet. Ben Biller też przecież nie zapracowuje się na śmierć.

Helena niedawno ukończyła *high school*. A teraz pojawiła się ciekawa oferta dla dzieci i młodzieży z odległych farm: mogły one brać udział w zajęciach zaocznych. Nauczyciele utrzymywali kontakt z uczniami za pośrednictwem radia, a podręczniki i materiały do nauki dostarczano pocztą. Także Karolina uczęszczała do szkoły w ten sposób, co bardzo jej odpowiadało, jako dziewczynce raczej zamkniętej w sobie i stroniącej od kontaktów z ludźmi. Wcale nie brakowało jej obecności szkolnych kolegów i koleżanek ani też wspólnych projektów – Karolinie wystarczały książki i jej zwierzęta. Ciągłe naśladowała we wszystkim Glorię i doskonale radziła sobie w pracy z końmi i psami. Jej Sunday sprawdził się jako pies pasterski i Karolina czasami się uśmiechała, kiedy pasterze z szacunkiem zwracali się do niej per Miss Carol.

Za to Helena wolałaby chodzić do prawdziwej szkoły, w której mogłaby rozmawiać zarówno z nauczycielami, jak i z koleżankami i kolegami. Dlatego cieszyła się teraz na czekające ją studia uniwersyteckie. Zdecydowała się rozpocząć u Bena Billera studia kultury maoryskiej, aby poznać lepiej język i kulturę mieszkańców Nowej Zelandii. Potem chciała współpracować z Moaną, która właśnie zdała swój egzamin nauczycielski i zakończyła praktyczną część nauki w szkole podstawowej w Haldon. Wprawdzie nie było tam dość zajęć dla dwóch nauczycieli, ale Bernard Tasier oraz kilka innych liczących się osobistości z miasta upierali się, aby utworzyć jeszcze jedno miejsce pracy. Tasier był niesłychanie wdzięczny za uratowanie syna – i podkreślał wyraźnie, że on sam nigdy nie wpadłby na to, aby szukać dziecka w kopalni. Marty umarłby tam z pragnienia i wychłodzenia, gdyby ktoś nie dostrzegł konia stojącego przed wejściem, a jeśli zwierzę w końcu zerwałoby się i przybiegło do domu, wówczas prawdopodobnie nigdy nie odnaleziono by chłopca. Nie było już mowy o nieufności wobec Maorysów, jeśli chodziło o Tasię. Tak więc Marty najwyraźniej nie był stracony dla świata, w którym między

obiema nacjami zapanuje całkowity pokój.

Popołudniami Moana otwierała stary dom zebrań i zapraszała wszystkie dzieci. Planowała też przeprowadzić pogadanki dla ciągle zaniepokojonych rodziców *pakeha*, aby zachęcić do swojego projektu także ich dzieci.

– Zobaczycie! Kiedyś przekonam ich wreszcie, że Ngai Tahu od dawna już nie wędzą głów swoich wrogów – żartowała.

Helena także miała nadzieję, że w dalszej perspektywie *pakeha* coraz bardziej będą się interesować życiem swych maoryskich sąsiadów. Moana zamierzała stworzyć centrum informacyjne, które umożliwiłoby zapoznanie się z kulturą Maorysów wszystkim wycieczkowiczom, podróżnym oraz wycieczkom szkolnym z innych części kraju. Miała w tym brać udział także Helena. Ale to wszystko było kwestią przyszłości. Helenę czekały najpierw studia w Wellingtonie. Miała polecieć na Wyspę Północną samolotem wraz z Jamesem.

– Może jednak być tak, że nie usłyszysz pierwszego słowa, które wypowie Turama – żartował James. – I możliwe jest też, że tym słowem nie będzie *mommy*, lecz *daddy*.

Helena uśmiechała się przez łzy.

– Przecież to byłoby coś pięknego... – powiedziała, raz jeszcze całując córeczkę na pożegnanie i oddając ją w ręce Karoliny, na co ona cierpliwie czekała. Obok niej leżał jej trójkolorowy cień, Sunday.

– Masz pójść do biura na chwilę, zanim odleciecie – przekazała Helenie wiadomość, z którą przysłała ją tu Gloria. – Miss Gloria i Jack chcą ci coś powiedzieć.

Helena nie pamiętała, kiedy czuła się tak szczęśliwa i pełna ulgi, jak teraz po wyjściu z dawnego pokoju przyjąć na Kiward Station. Była rozpromieniona i w ogóle nie chciała wypuścić z ręki kartki z adresem Lucyny. Najchętniej napisałaby do siostry natychmiast, ale James czekał już ze swoją Pippą. Helena cieszyła się na ten lot. Często towarzyszyła Jamesowi w ostatnich miesiącach i znajdowała ogromną przyjemność w oglądaniu świata z góry. Dziś był piękny, pogodny dzień – będzie więc mogła rozkoszować się widokiem wybrzeża i morza.

– Wszystko w porządku? – spytał James, który miał już na sobie skórzaną kurtkę i czapkę lotnika. Wyglądał w tym stroju znakomicie.

Helena dostrzegła, że w kokpicie jego maszyny wisiał maleńki *birdman* z jadeitu, który podarowała mu Moana, zanim wyruszył na wojnę. A na szyi James miał inny *heiti* – trochę niezgrabnie wyrzeźbiony z drzewa manuka. Była to pierwsza rzeźba Heleny, wykonana zgodnie z zasadami sztuki maoryskiej. Przedstawiała Tane, boga lasu, który poprzez rozstanie z niebem i ziemią stworzył nowy świat i powołał do życia pierwszą kobietę, Hineahuone.

Helena przytaknęła, zamierzając wejść do samolotu. Miała na sobie eleganckie spodnie, które kupiła razem z Mirandą, i wiedziała, że przyjaciółka wyraziłaby uznanie, widząc ją w nich. Zaraz po przybyciu do Wellingtonu miała się z nią zobaczyć, bo zaplanowano już, że będzie mieszkać u Billerów. Poza tym Helena postanowiła w najbliższych dniach koniecznie pójść na Elizabeth Street, aby zobaczyć, czy do swego domu wrócili Neumannowie, bo dowiedziała się, że obóz dla internowanych byłych imigrantów niemieckich dawno już został rozwiązany.

W tym momencie Helena dostrzegła też Jacka i Glorię, którzy przyszli na pas startowy, aby pożegnać syna i ją. Choć James miał wracać już następnego dnia.

– Turama – oświadczył z całą powagą w trakcie planowania podróży – potrzebuje przecież swojego ojca.

Helena, uśmiechając się, objęła serdecznie jego rodziców. Młode psy, które znów skakały wokół Glorii, domagały się także jej pieszczot. Pochyliła się, chcąc je podrapać na pożegnanie. I wówczas nagle przyszło jej do głowy coś, o czym myślała już dawniej, kiedy Karolina otrzymała Sunday.

– Nigdy nie podarowałaś mi żadnego szczeniaka... – powiedziała cicho do Glorii.

– Nie? – Gloria uśmiechnęła się, wskazując na Jamesa. – A nie dostałaś mojego?

– *Mom!* – oburzył się James.

Helena śmiała się ciągle, kiedy samolot toczył się na start.

## POSŁOWIE

Zanim rozpoczęłam badania konieczne do napisania tej książki, nigdy nie pomyślałabym, że jest jakiś rozdział drugiej wojny światowej, o którym mój ojciec nie słyszał. Także moja lektorka Melanie Blank-Schröder wydała pełen zdumienia okrzyk: „Naprawdę? Ustaliłaś to na pewno?” – po moim exposé, kiedy opowiedziałam o odysei polskich obywateli, którzy w następstwie paktu o nieagresji zawartego między Hitlerem a Stalinem zostali deportowani najpierw na Syberię, a potem znaleźli się w Persji.

Moja Helena jest oczywiście postacią fikcyjną, jednak nie wymyśliłam sobie jej historii. Rzeczywiście Stalin zaanektował wschodnią Polskę po podpisaniu paktu z Hitlerem, a jej mieszkańców deportował, podczas gdy Niemcy zajęli Polskę zachodnią. Prawie cała ludność narodowości polskiej – która w tych częściach kraju stanowiła mniejszość obok Białorusinów i Ukraińców, została wywieziona na Syberię, aby zrobić miejsce dla osadników rosyjskich. Tysiące Polaków zmarło w obozach pracy, a wybawienie dla deportowanych nadeszło dopiero wtedy, kiedy Hitler w 1941 roku złamał pakt o nieagresji z Rosją. Stalin porozumiał się wówczas z aliantami, którzy zmusili go do rokowań z rządem polskim na uchodźstwie. Rząd polski zażądał zaś natychmiastowego uwolnienia deportowanych obywateli polskich, co wkrótce potem nastąpiło. Zaangażowanie aliantów w tę sprawę nie było jednak spowodowane względami humanitarnymi. Planowano stworzenie polskiej armii, a w jej skład miałby wejść ci deportowani Polacy, którzy byli jeszcze zdolni do służby wojskowej. Przewidywano, że przyszli żołnierze będą szkoleni w Iranie, zwanym wówczas Persją, który to kraj od 1941 roku był pod zarządem aliantów. Wszyscy pozostali Polacy, którzy przeżyli deportacje i pobyt w łagrach, mieli być w ślad za przyszłym wojskiem przetransportowani do Pahlawi, portowego miasta w Persji, i później umieszczeni w obozach wokół Teheranu. Ludzie ci byli w większości niedożywieni i chorzy, wielu zmarło też od razu po podróży w prowizorycznym szpitalu, naprędce utworzonym wprost na plaży. Zmarli pozostawili po sobie wiele dzieci i młodzieży – dla tych sierot trzeba było utworzyć specjalne placówki. W jednym z obozów zorganizowano sierociniec, podobnie jak w Isfahanie, gdzie panowały znakomite warunki. Kierownictwo obozów znajdowało się w rękach polskich wygnańców, a także Brytyjczyków i Amerykanów. Uciekinierzy z Syberii prawdopodobnie otrzymywali zaopatrzenie z rezerw wojskowych, na co wskazuje obozowe menu, składające się z gulaszu w puszkach i makaronu – dane te zarówno moja lektorka, jak i redaktorka tekstu oraz wszystkie te osoby, które wstępnie czytały tekst, określiły jako „z pewnością nieautentyczne”. Jednak byli mieszkańcy obozów w swoich pamiętnikach dokładnie opisywali właśnie taki przysmak! I był on bardzo chwalony, podobnie jak cała organizacja obozu. Jednak w dalszej perspektywie uciekinierom brakowało pewności co do ich losów, a już zwłaszcza jeśli chodziło o sieroty, dla których w Persji nie było żadnej przyszłości. Dlatego też zarówno Brytyjczycy, jak i członkowie rządu polskiego na uchodźstwie byli zachwyceni, kiedy w roku 1944 Nowa Zelandia zgłosiła gotowość przyjęcia siedmiuset polskich dzieci i umieszczenia ich w specjalnie dla nich przygotowanym obozie koło Pahiatua, małego miasta na Wyspie Północnej.



Polish Children's Camp powstał dzięki wspólnej inicjatywie amerykańskiej, polskiej i nowozelandzkiej, która była bardzo popierana przez mieszkańców Nowej Zelandii. Miejscowe związki kobiece nader troskliwie przygotowały pokoje i świetlice, a dzieci oraz ich polscy opiekunowie zostali bardzo serdecznie powitani.

Pierwotnie planowano odesłać małych uciekinierów po zakończeniu wojny do ich ojczyzny. Świadomie nazwano obóz Małą Polską, polskie nazwy otrzymały obozowe uliczki, a zajęcia dla dzieci prowadzone były w ich języku ojczystym. Kiedy jednak Polskę zajęła Armia Czerwona i kraj dostał się pod wpływ komunistów, odstąpiono od zamiaru repatriacji dzieci. Za to bardzo starannie i z sukcesem wspierano ich integrację ze społeczeństwem nowozelandzkim. Nowa Zelandia była otwarta także dla pozostałych w Europie krewnych dzieci, o ile ci jeszcze żyli. Znacznie później wiele dzieci ściągnęło do nowej ojczyzny członków swych rodzin, którzy uważani już byli za zaginionych.

W czasie, w którym ma miejsce akcja mojej książki, mniej szczęśliwie kształtowały się stosunki między potomkami europejskich kolonistów Nowej Zelandii a ludnością maoryską. Nastroje panujące między *pakeha* a Maorysami osiągnęły swój punkt krytyczny w latach czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku. Od chwili zasiedlenia wysp przez Brytyjczyków i innych emigrantów europejskich stale spadała liczba Maorysów w całkowitej liczbie ludności kraju – ujęta zarówno procentowo, jak i liczbowo. Wojny i choroby mocno osłabiły szczepy, wiele z nich było też zdziesiątkowanych w efekcie wojen domowych. Przymusowa integracja ze społeczeństwem *pakeha* przyczyniła się także do tego, że Maorysom groził całkowity zanik ich kultury i tożsamości. W efekcie industrializacji uciekali oni do miast, a alkoholizm i demoralizacja były na porządku dziennym. Maoryskie dzieci były wykluczane z grup rówieśniczych w szkołach, a z drugiej strony tak anglicyzowane, że nie rozumiały już swojego ojczystego języka i nie znały tradycji szczepów, z których pochodziły. Bezrobocie zarówno po kryzysie światowym, jak i po kolejnym związanym z oddzieleniem się Nowej Zelandii od Wielkiej Brytanii w roku 1947 podsyciło nastroje wrogości między białymi i Maorysami. Źle wykształceni *pakeha* oraz Maorysi konkurowali o miejsca pracy w nisko płatnych sektorach gospodarki.

Zwrot nastąpił dopiero w latach pięćdziesiątych, kiedy rząd nowozelandzki zaczął dostrzegać te problemy i podejmować próby ich rozwiązania. Zaczęto wspierać projekty edukacyjne dla Maorysów i angażować pracowników socjalnych, aby rodziny otrzymywały odpowiednie wsparcie. W szczepach coraz częściej pojawiały się takie jednostki, jak moja Moana, które z dużym zaangażowaniem próbowały wskrzesić maoryską obyczajowość i duchowość.

W latach sześćdziesiątych XX wieku w następstwie międzynarodowego ruchu obrony praw obywatelskich doszło do poważnych protestów i wystąpień Maorysów. Szczepy, dzięki budzącej się świadomości narodowej, walczyły o utrzymanie języka i kultury, jak też o wypłatę odszkodowań za dobra ziemskie wywłaszczone w czasie wojen domowych. Wiele szczepów wykorzystało otrzymane tą drogą pieniądze do odbudowy swych *marae* – dziś kultura maoryska jest ważnym czynnikiem gospodarczym kraju. Przybywający do Nowej Zelandii turyści mają bardzo bogatą ofertę, dzięki której mogą zapoznać się z miejscową kulturą. Wieczór z *haka* i *hangi* należy do standardowego

programu podróży. Kto chce dowiedzieć się więcej, może zarezerwować też noclegi w którymś z *marae* i poprosić o wprowadzenie do maoryskiej kultury i duchowości.

Ciągle jeszcze stosunki między Maorysami i *pakeha* nie są wolne od napięć i Maorysi, ogólnie rzecz biorąc, nadal należą do gorzej wykształconych warstw społeczeństwa. Gorsze są też statystyki świadczące o ich zdrowiu niż te dotyczące ludności pochodzenia europejskiego. Ogólnie jednak sytuacja Maorysów poprawiła się, co jest korzystne także dla kraju. I tak na przykład maoryskie związki przodują w ochronie środowiska Nowej Zelandii i walce o zachowanie zasobów naturalnych kraju.

Oczywiście starałam się zachować autentyczność także w kwestii innych aspektów, o których jest mowa w tej książce. Jeszcze dzisiaj zwiedzać można wspomniane wejścia do sztolni, które świadczyły o wieloletniej rabunkowej eksploatacji zasobów węgla w okolicach mojego fikcyjnego miasteczka Haldon. Takie wejścia znajdują się koło Methven, w okolicach Hutt. Tamtejsze kopalnie zostały zamknięte dopiero w latach pięćdziesiątych, czyli znacznie później niż te fikcyjne opisywane przeze mnie. Następstwa gospodarcze dla regionów, których to dotyczyło, były jednak podobne. Pojawiło się bezrobocie, które dodatkowo zaostrzyło nastroje między Maorysami a *pakeha*.

Do smutnych rozdziałów opisywanej historii należy fakt internowania w czasie drugiej wojny światowej Nowozelandczyków pochodzących z Niemiec – bez względu na poglądy polityczne i narodowość. Osadzano ich w obozie na Somes Island, w Wellington Harbour, a na krótki czas także w Pahiatua, na terenie późniejszego obozu Małej Polski. W efekcie zbiegli z Niemiec Żydzi znaleźli się w jednym obozie z fanatycznymi zwolennikami nazistów, których nie brakowało w Nowej Zelandii. Ideologia nazistów znakomicie odpowiadała rasistowskim poglądom postaci takich jak Bernard Tasier. Ludzie tacy jak on popierali szczególnie gorliwie tuż przed początkiem wojny i w czasie jej pierwszych lat idee narodowego socjalizmu i występowali przeciwko Żydom. Nie miało to jednak większego wpływu na liberalną atmosferę kraju i jego przystąpienie do wojny po stronie Wielkiej Brytanii. Podobnie jak w czasie pierwszej wojny światowej, także i teraz na wojnę wyruszyli liczni ochotnicy. W Royal Air Force służyło siedmiuset dwudziestu „kiwi”, którzy w czasie wojny powietrznej wykazali się ogromną dzielnością.

Trudność pojawiła się w trakcie opowiadania historii Jamesa, ponieważ załogi większości samolotów biorących udział w nalotach dywanowych składały się przynajmniej z dwóch, często czterech lub więcej ludzi. Poza tym potrzebna mi była maszyna, która łączyła funkcje myśliwca oraz bombowca. Na szczęście znalazłam specjalistę, i to we własnej rodzinie. Mój ojciec zapewnił mnie, że wyposażony w ładunek bomb Havilland Mosquito, którego zadaniem była także ochrona flotyli bombowców, rzeczywiście był używany w czasie wojny. Nie ma to jak świadkowie tamtych czasów! Wielkie dzięki.

Serdecznie dziękuję też moim czytelniczkom, które podjęły się wstępnego czytania tekstu, a których geograficzne wiadomości były mi bardzo pomocne. Moja lektorka Melanie Blank-Schröder razem ze mną przygotowała książkę, zaś mojej redaktorce tekstu Margit von Cossart zawdzięczam wiele impulsów, dzięki którym książka ta, jak sądzę, jest czymś szczególnym. I jak zawsze dziękuję też mojemu agentowi Bastionowi

Schlückowi – który także otwarty jest na nowe pomysły – oraz Joan i Annie Puzcas, dzięki którym od lat już nie muszę zajmować się tym wszystkim, co nie jest związane z pisaniem.

*Ka mate te kainga tahi, ka ora te kainga rua.*

*Jeśli stracisz dom, to znajdzie się nowy.*

Prawie wszystkie z siedmiuset sierot wojennych znalazły nową ojczyznę w Australii lub Nowej Zelandii.

<sup>1</sup> W odniesieniu do armii, oficerów itd. autorka używa określenia *rosyjski*, które decydujemy się zostawić w ślad za nią (przyp. red.).